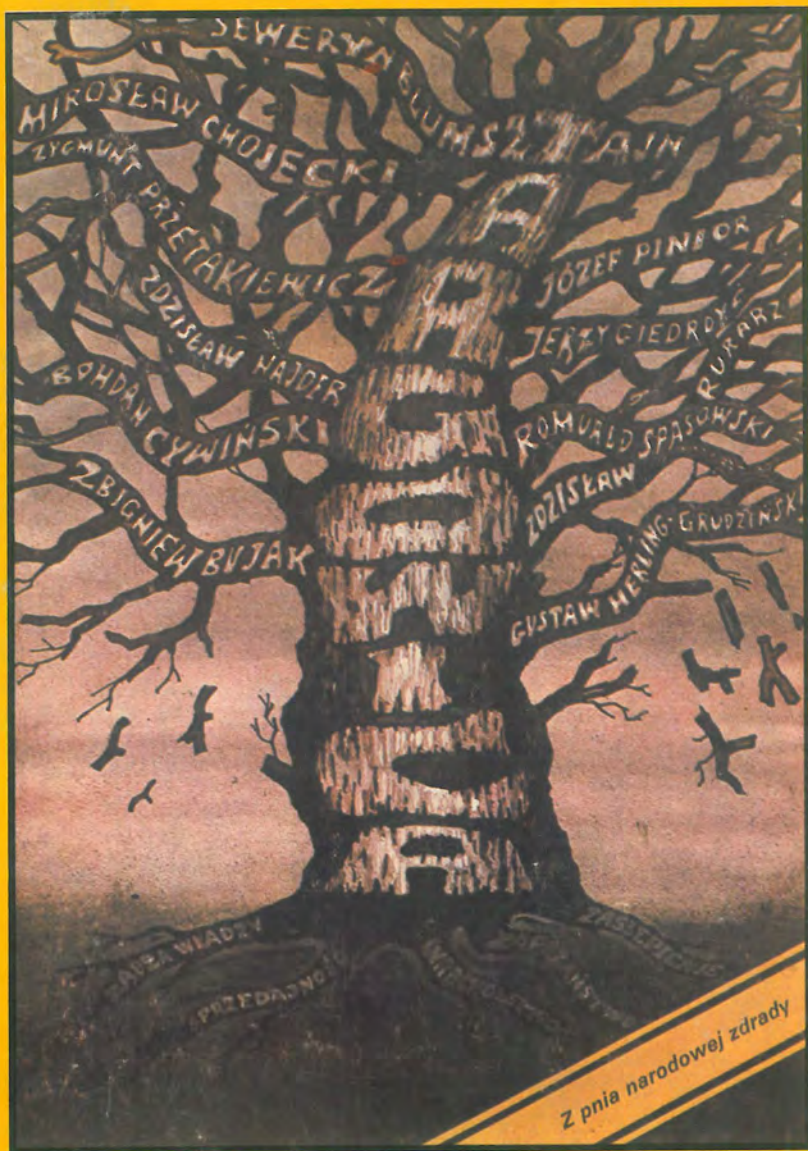


ANTY-KULTURA



ANTY-KULTURA

ANTY-KULTURA

ANTY-KULTURA

•WYBÓR TEKSTÓW O PARYSKIEJ „KULTURZE”•

© Oficyna Wydawnicza POMOST
Warszawa 1992

Skład: **ATeXT**sc Warszawa, Targowa 25, tel. 18 71 09 w. 249

Na okładce wykorzystano reprodukcję plakatu
autorstwa Witolda Mysirowicza.

Oficyna Wydawnicza POMOST

02-091 Warszawa, ul. Żwirki i Wigury 51 m 19, tel. (0-22) 23 57 16

ISBN 83-85521-03-8

LEOPOLD UNGER

DEKALOG ANTY-KULTURY

„Wielcy kłamcy powinni mieć dobrą pamięć”

Corneille

Nie tylko wielcy kłamcy. Mali manipulanci także nie powinni powoływać się na amnezję. Zwłaszcza zbiorową.

Pomysł „Anty-Kultury” wylansowany został bardzo dawno temu. Pojawił się w roku 1986 na łamach... *Kultury*. Figuruje w pierwszych wierszach felietonu o „Agentach i gadach w pokoiku ze sklepikiem w Maisons Laffitte”, inspirowanego przez wyjątkowo groteskową brednię, jaką był cykl artykułów sowieckiego *Krokodyla* na temat *Kultury* i Jerzego Giedroycia (fragmenty tekstu są przytoczone wewnątrz książki).

To jednak, że Jerzy Giedroyc dał się skusić na „Anty-Kulturę” nie w roku 1986, a pięć lat później, to nie kaprys ani przypadek. Odpowiada to logice sytuacji.

Już można

Po pierwsze więc, dziś już można wybór „Anty-Kultury” opracować i w Polsce wydać. Dziś już paryska *Kultura* nie musi być tematem wyłącznie prymitywnej propagandy i policyjnych donosów a, mam nadzieję, stanie się tematem krytycznych zapewne, ale poważnych opracowań historycznych, politycznych i literackich. Dziś już jest możliwy, choć może jeszcze niezupełnie łatwy, dostęp do archiwów, źródeł, świadków.

„Anty-Kultura” nie rości sobie pretensji do „wyczerpania tematu”. To, w obecnej fazie jest po prostu niemożliwe i nie taki był cel wydawnictwa. Ale oznacza to, że droga do opracowania o charakterze bardziej wszechstronnym, naukowym, jest otwarta i przetarta.

Dru ga strona medalu

Naukowym – albowiem, po drugie, „Anty-Kultura” nie zamyka, a otwiera ogromny i „bogaty” rozdział w historii *Kultury* i kultury polskiej. Nie można sobie bowiem wyobrazić ostatniego półwiecza bez uwzględnienia działalności *Kultury* i Jerzego Giedroycia, ich roli w kształtowaniu polskiej myśli politycznej i kulturalnej, skutków ich działania w dochodzeniu przez Polaków do niepodległości i demokracji.

Otóż, to co proponuję nazwać „Anty-Kulturą” i co powinno odzwierciedlać całość akcji władz komunistycznych (i tych, którzy się do niej w tym celu przyłączyli) przeciw *Kulturze*, jej redaktorom, współpracownikom i autorom, ta cała patologia policyjnego absurdu wraz z wiarą, że będzie ta pisanina mieć jakiś poważny wpływ na postępowanie i myślenie Polaków, to jest druga strona medalu historii i *Kultury* paryskiej i kultury polskiej. Bez tej drugiej, ciemnej i nieznannej strony, saga Maisons-Laffitte byłaby zubożona, niepełna i, w pewnym sensie, niezrozumiała, a jej miejsce w polskiej rzeczywistości ostatniego półwiecza nieczytelne.

Ciąg dalszy nastąpi

Stąd, po trzecie, to tylko początek. Aktorzy i autorzy rozmaitych epizodów tej anty-sagi powinni zacząć uzupełniać kronikę, wzbogacać „literaturę przedmiotu”, zacząć wypełniać „białe plamy”. Należałoby np. skłonić negatywnych (dziś przecież niczego nie ryzykują) i pozytywnych bohaterów rozmaitych faz „Anty-Kultury” do pisania dalszego ciągu.

W drugim wydaniu powinny się więc znaleźć opisy „metodologii” „Anty-Kultury”: proces podejmowania politycznej decyzji ataku na *Kulturę* w Biurze Politycznym czy aparacie KC, potem intelektualny, przepraszam za słowo, mechanizm

zamawiania „opracowań”, redagowania wytycznych dla autorów, misterium powstawania zbitek słownych i pojęciowych (trzeba tu wspomnieć o wydanej przez „PoMOST” pionierskiej pracy Michała Głowinińskiego „Marcowe gadanie”), no i całość procedury policyjnego, techniki śledztwa, penetracji środowiska, werbowania i wysyłania agentów, fabrykowania świadków i dowodów, zapisów cenzury, konfiskaty przesyłanych *Kultur* i książek (kto mi zwróci setkę egzemplarzy „Orla i reszty” przywłaszczonych przez UB w słynnej wyspie ciężarówce ze Szwecji?), naturalnie kulisy procesów *Kultury* („taterników i innych”)... No i poza tym, czy i kto był kapitanem Czechowiczem od *Kultury*? Nie należy zapominać o stronie humorystycznej: czy rzeczywiście ktoś fotografował wejście do „Maisonu” i czy rzeczywiście z muru na przeciwko? Gdzie są te zdjęcia?

Potem, już poważnie, kwestia oceny kosztów i wyników tych kampanii: czy ktoś kiedyś, i jeżeli tak to kto, zastanowił się nad sensem tej „działalności”? Jaki był kontakt z Moskwą w tej sprawie i kto się w Moskwie tym interesował (*vide casus* Golub w *Krokodylu*)? I wreszcie, jakiś remanent ludzki, antologia autorów „Anty-Kultury”.

Psyche władzy i ludzi

Albowiem, po czwarte, analiza „Anty-Kultury” zakłada psychoanalizę jej autorów. Ta zaś powie więcej o psychologii i psychice władzy komunistycznej niż głębokie studia teoretyczne. Przecież nikt, ani ci, którzy zamawiali i płacili, ani ci, którzy wykonywali te zamówienia, pisali i podpisywali te paskudztwa, nie wierzyli ani w skuteczność tej „działalności ideologicznej”, ani w to co zapisywali na temat *Kultury* czy jej autorów w szponach „siatki Wiesenthala”, CIA, Mossadu i innych „ośrodków wrogich Polsce Ludowej”.

Otóż, to ważne, gdyż (chyba się nie mylę), udział w „Anty-Kulturze” był w zasadzie ochotniczy. Nikt w Polsce, nawet stalinowskiej, nie mówiąc już o latach po-stalinowskich, nie mógł właściwie nikogo zmusić do napisania czegokolwiek (poza pisanie życiorysów na Rakowieckiej czy Koszykowej), zmyślania, fabrykowania faktów, „upiększania” i „wzbogacania” materiałów bezpieki, no i, tym bardziej, do podpisania tego typu „twórczości”. Naturalnie, odmowa wykonania takiego zamówienia

zakłada pewne ryzyko: groziła utratą awansu, zmianą stanowiska czy miejsca pracy, ale rzadko kończyła się naprawdę ostro, np. utratą zajęcia w ogóle. Z wyjątkiem ofiar wewnątrzpartyjnych porachunków czy kampanii antysemitkiej w 1968 r., w PRL tracili pracę, a często i wolność, nie oporni czy nawet zbuntowani partyjniacy czy poputczyki, a przede wszystkim – jeżeli nie wyłącznie – denuncjowani w rozmaitych anty-kulturach „wrogowie ideologiczni”.

Inaczej to formułując, autorzy „Anty-Kultury” pisali i mówili na ochotnika, nie z musu, z cynizmu, a nie z przekonania, dla pieniędzy i innych korzyści, a nie ze strachu. Wiedzieli, że kłamią, że szkodzą innym Polakom i własnemu krajowi. Z jakich powodów, dla jakich korzyści dawali się upodlić, ba, szli dalej niż władza kazała, dlaczego dawali się wykorzystywać nie tylko do walki z poglądami czy polityką i filozofią *Kultury*, ale z ludźmi, o których często niczego nie wiedzieli, a często wiedzieli coś wprost przeciwnego niż pisali, to jest właśnie pytanie, które pierwszy, ten właśnie tom „Anty-Kultury” stawia, ale na które dopiero nowe jej wydanie „uzupełnione i poprawione”, potrafi może odpowiedzieć.

Nie tylko kultura

Tu bowiem, po piąte, nie chodzi tylko o *Kulturę* i jej „Anty”. Unikajmy demagogii, pomińmy okres naprawdę stalinowski. Ale później?! Propaganda wokół roku 1956, Poznania i „obciętych rąk”, wokół roku 1958 i sprawy *Po prostu*, fala brudu po liście 34, kampania roku 1968 i „studenci do nauki”, rok 1976 i sprawa KOR-u, wreszcie stan wojenny i propaganda mniejszego zła, opluskwanie Wałęsy i Michnika, każdy okres (można dopisywać bez końca) miał swą „Anty-Kulturę”, miała ją cała Polska, na wszystkich zakrętach, a nawet i na prostej.

Psychologia „ochotników” na wszystkich etapach była podobna. Warto przecież poznać cechy myślowe i psychiczne, uwarunkowania nie policyjne a intelektualne i, że tak powiem, polityczne, w których grupa inteligentnych ludzi godzi się na poniżającą rolę instrumentu w służbie nie tylko bezmyślnej i prostackiej, często... antyinteligentnej propagandy, ale także w służbie zwyczajnych durniów, sprawujących władzę z mandatu policji i zagranicy.

„Anty” jak „ONI”

W istocie, i to jest po szóste, potrzebne byłoby teraz specyficzne „anty-kulturowe” opracowanie w stylu i w typie tomu „Oni” Teresy Torańskiej. Tak jak w „Onych” lekcja zasadnicza wykracza tutaj bowiem poza bezpośrednią treść i zawartość „Anty-Kultury”: chodzi tu o naturę ludzką, o jej związek z prawdą, ze złem, chodzi o mentalność, na zasadzie której intelektualista daje się sprowadzić do instrumentu usprawiedliwiania bredni lub nawet zbrodni, uzasadniania zła, mając przy tym przekonanie, że, jako intelektualista, nie ponosi za to co zrobił żadnej odpowiedzialności.

W „Onych” chodziło o ludzi, którzy politycznie sowietyzowali Polskę. W „Anty-Kulturze” chodzi o ludzi, którzy to samo robili w sferze intelektu, idei i rozumu.

Zwrócił moją uwagę inteligentny artykuł Zbigniewa Bauera w „Polityce” z refleksjami wokół nowego zjawiska w Polsce, jakim jest seria „wywiadów-rzek” z – jak się ich nazywa w Polsce – prominentami *ancien régime’u*. Otóż Bauer zastanawia się nad dwuznaczną rolą dziennikarzy w tym procederze. „Były polityk, który staje się chłodnym analitykiem własnych działań, to – pisze Bauer – twór sztuczny i niewiarygodny...”. W tych warunkach „dziennikarz staje się pomocnikiem polityka w roli pisarza, a jednocześnie służy jako kłapa bezpieczeństwa. W razie skandalu można pewne rzeczy zepchnąć na jego nieudolność, nadmierną wścibskość, powierzchowność i tendencyjność...”

Możę dodać, że zjawisko to dotyczy nie tylko byłych, ale i aktualnych prominentów. Wywiady to naturalnie nie jest okazja do polemiki dziennikarza z „wywiadowanym”. Ale „podkładanie się” czy „podlizywanie”, to też nie jest szlachetny gatunek uprawiania zawodu. To, co w tym zakresie miałem okazję zobaczyć i wysłuchać w czasie kampanii wyborczej, było nie tylko niesmaczne ale i anty-skuteczne. I też należy do przyszłej antologii „anty...”

Dwa aspekty o bardziej abstrakcyjnym charakterze zasługują w tym kontekście na próbę poruszenia, bo tylko o próbę może w tym powierzchownym ujęciu chodzić.

Najpierw, i to będzie już po siódme, kwestia nowej zdrady klerków. Piszac o intelektualistach, Max Weber wprowadził słynne rozróżnienie między „etyką przekonania”, cechującą intelektualistów i „etyką odpowiedzialności”, cechującą ludzi działania, polityków. W istocie jest to podział sztuczny, w praktyce już właściwie nie istniejący: przecież w ogromnej większości wypadków intelektualisci to także ludzie działania. Albo działają bezpośrednio, jako politycy czy administratorzy, albo pośrednio, przez wpływ, dobry lub zły, jaki wywierają na opinię publiczną.

Nas interesuje dziś naturalnie ten drugi przypadek. W „uprawianiu” zła, w usprawiedliwianiu gwałtu, w szalberstwie, intelektualisci „zdradzili” bardziej niż politycy. Współcześni klerkowie pobili wyobraźnię Bendi: oddali wolność wypowiedzi w służbę tyranii, dokonali przekupstwa języka, odwrócili sens moralności, umieścili kłamstwo w centrum ludzkiego myślenia. Doprowadzili do perfekcji sztukę nie kreowania idei w oparciu o fakty, a wymyślania faktów tak aby pasowały do idei.

Aby przeżyć w kłamstwie, aby działać w takiej atmosferze, klerk musi się bronić przed świadectwem rzeczywistości, rozumu, zdrowego rozsądku. Uznanie rzeczywistości oznaczałoby przyznanie się do klęski, przyznanie, że nie ma się prawa do rządzenia, prowadziłoby do wyrzeczenia się samego siebie. To narzucało konieczność samo-przelicytowania się, stałego „zwiększania dawki”, aż do „overdozy”, do absurdu. Tak powstawały rekordy głupoty o „sklepiku” w Maisons-Laffitte czy rekordy draństwa o „politycznym i moralnym obskurantyzmie paryskiej *Kultury*...”

Równanie jawi się proste: im bardziej była zgniła rzeczywistość w Polsce, im bardziej była bezradna, z góry przegrana na terenie prawdy, tym bardziej agresywna i niedorzeczna (żeby nie wspomnieć o hańbie domowej) była jej propaganda, tym szybciej uciekała ona z terenu informacji w sferę kłamstwa. Wyrobnicy „*Anty-Kultury*” uciekali najszybciej. Ich „utwory” powinny zostać w nowym wydaniu historii głupoty w Polsce.

Nie można, po ósme, uniknąć kwestii ideologii. W swojej jakże pożytecznej książce „*La Connaissance Inutile*” (Grasset, Paryż 1988), którą warto może zaktualizować i adaptować posługując się faktografią specyficznie polską, Jean-François Revel wyraża pogląd, że współczesne pojęcie „ideologii”, lansowane głównie przez tak zwaną „lewicę” na Zachodzie i kraje „pokoju i postępu” na wschodzie, oznacza to w istocie potrójne rozgrzeszenie i nadużycie:

a) intelektualne, zakładające taką selekcję i takie posługiwanie się, a nawet fałszowanie faktów, aby służyły one wyłącznie udawadnianiu z góry założonej tezy. Oznacza to, *implicite*, abdykację umysłową i prowadzi do chwalenia, zależnie od „etapu”, idiotyzmów w rodzaju czerwonej książeczki Mao czy, dodajmy, dzieł zebranych Breżniewa lub Gomułki. Lub też, w tym przypadku, do wydawania policyjnych opracowań na temat „szczególnej roli paryskiej *Kultury* w systemie dywersji ideologicznej...”

b) praktyczne: polegające na wyeliminowaniu z argumentacji wszelkich kryteriów skuteczności działania, wszelkich dowodów na porażkę, niestusznosc polityki, np. w sprawie katastrofy kołchozów, czy bankructwa gospodarki komunistycznej w ogóle. W odniesieniu do „*Anty-Kultury*” oznacza to krążenie w obiegu zamkniętym, uparte kontynuowanie propagandy pozbawionej nawet dla jej autorów wszelkiej szansy dotarcia, nie mówiąc już o przekonaniu kogokolwiek.

c) moralne, eliminujące z dyskusji kryteria zła i dobra. Pozostaje tylko służba ideologii: to jest dobre co jest komunistyczne, nawet Pol Pot, nie mówiąc już o przekupstwie, nepotyzmie, nadużyciach nomenklatury, zjawiskach typu Ceausescu, propagandzie sukcesu, mniejszego zła itd., itp.

Ideologia w tej koncepcji, staje się wyłącznie źródłem i uzasadnieniem fałszu. W imię tak pojętej ideologii kłamstwo, byle „postępowe”, staje się słuszne i usprawiedliwione, a wszystkie chwytby stają się dozwolone. Celem ideologii nie jest bowiem poznanie prawdy, a uwiarygodnienie i legitymizacja, niezależnie od stopnia impostury, własnego systemu. Sensem ideologii jest nie przekonanie, a zniszczenie przeciwnika w jej sferze działania, to znaczy w sferze intelektu, usprawiedliwienie unicestwienia wroga,

kiedy jest to możliwe, lub neutralizacja, na wszelkie sposoby, jego wpływu, kiedy, jak *Kultura*, znajduje się on poza zasięgiem bezpośredniego rażenia.

Stąd, komunistyczne ujęcie ideologii implikuje utratę zarówno zdolności intelektualnych co i zmysłu moralnego. „Anty-Kultura” jest tej podwójnej atrofii bardzo charakterystycznym, ale tylko jednym z licznych objawów. Pod tym względem kampania „anty...” z lat 1968 (Eisler, w „Marcu 1968”, wydaje mi się, dokonał tu ogromnej pracy), 1970, 1976, 1981 i innych, czekają na opracowanie. Bez takich opracowań, bez „Anty-Kultury” tych wszystkich lat, przyszłe pokolenia Polaków nie będą mogły poznać historii ich kraju.

Brak wyobraźni

Po dziewiąte, uderzający jest brak wyobraźni czeladników „Anty-Kultury”. Można założyć, że w latach 50-tych byli tacy, którzy w klimacie wyzwolenia od okupacji i groźby hitlerowskiej stracili lub eliminowali świadomie wszelki krytycyzm wobec rzeczywistości sowieckiej. Byli tacy, sam znałem, którzy wierzyli w ideał komunistyczny, bardzo za to cierpieli przed wojną i akceptowali potem środki, które uświęcały cel. Inni przekonani byli o trwałości i wieczności państwa sowieckiego, o niezniszczalności jego potęgi. Był przecież okres, zwłaszcza wśród intelektualistów na Zachodzie, prawdziwej fascynacji najpierw mitem, potem mistyfikacją, potem potęgą, a wreszcie nawet terrorem stalinowskim.

Ale czym mogli kierować się, czemu ulegali, autorzy „Anty-Kultury” i innych polskich „anty” w latach 60-, 70- i 80-tych? Ślepotą, głupotą, przekupstwem? W wielu wypadkach i w odniesieniu do wielu osób można zapewne zastosować każde z tych określeń nie tylko osobno, ale i wszystkie razem. Wśród nazwisk już dziś cytowanych w tym wyborze, a co dopiero wśród tych, jakie znajdują się po jego uzupełnieniu, figurują jednak także ludzie niewątpliwie inteligentni. Co sprawiło, że długo przecież „po sezonie” jeszcze wierzyli w parasol bezpieczeństwa, w bezkarność i, że tak powiem, w bez-ryzykowność ich procederu?

Nie wiem jednak, czy można już dotknąć, *sine ira et studio*, kwestii odpowiedzialności inspiratorów, poleceniodawców i autorów „Anty-Kultury” i innych „anty”. Nie chodzi tu

naturalnie o odpowiedzialność karną, typu sądowego. To nie moja specjalność. Sądzę zresztą, że za gwałt na moralności i zdrowym rozsądku, sprawiedliwości przy pomocy sądów wymierzyć się nie da. Ale spotkałem się z poglądem, że w intelektualnym i moralnym, ba, nawet towarzyskim sensie, nie powinno tu być „grubej kreski”. Fakt, że cała ta brudna wojna poszła na marne, że właściwie nikt, albo prawie, z ludzi myślących nie dał się na nią nabrać, nie powinien stanowić okoliczności łagodzącej. Właściwie, w tym kręgu, jest to okoliczność pogarszająca sprawę: nie tylko robili draństwa, ale jeszcze sfuszerowali całą robotę.

Najbardziej skrajni moi rozmówcy powiedzieli krótko: to była kolaboracja z okupantem, a za kolaborację się płaci. I, w kontekście najbardziej „zasłużonych” autorów, dawali przykład... Brasillacha we Francji. Nie dosłownie, naturalnie, kat jeszcze poczeka, ale „cywilnie”. Wydaje się istotne, że zapiekłość w narodzie jest często większa wobec ludzi pióra niż ludzi pałki.

Inni zaproponowali, aby *dossier* najbardziej obciążonych propagandystów, tych, naprawdę, według moich rozmówców (a każdy ma swoją listę), odpowiedzialnych za trucie ludzi i klimatu, zestawień ze sprawą niezawodowych konfidentów UB. Za mało znam sprawę, aby wdawać się w porównania. Bardzo przekonujące wydało mi się to, co na ten temat powiedział poseł Jan Rokita w wywiadzie dla *Konfrontacji* (VII-VIII, 1991). Ale trzeba natychmiast wyjaśnić, że porównanie jest chybione z jednego chociażby względu: konfidenti, *ex definitione*, pozostawali w ukryciu; propagandyści nie tylko się nie kryli, a wprost przeciwnie, chcieli być znani, podpisywali swoje doniesienia. To prawda, że często chodziło o pseudonimy, ale to nie zmienia „moralności” zjawiska. Wszyscy piszący, na jakimś etapie, używają pseudonimów, jedni z konieczności i ostrożności, inni ze skromności, inni wreszcie ze wstydu. Pytanie tylko, czy biorą na siebie odpowiedzialność za to co pisali. Niektórzy stawiają sprawę odpowiedzialności niejako dwufazowo: ważni są, naturalnie, autorzy, ci podpisujący, ale ważniejsi są ci, których (to ulubiony termin właśnie „antykulturowców”) określić należy jako „inspiratorów”. Jerzy Eisler w swoim „Marcu 1968” (*Krytyka* i PWN, 1991) przypomina, że ataki na Baumaną, Schaffa, Bączkę czy Kołakowskiego wychodziły ze strony ludzi, którzy nigdy nie mieli w rękę, a tym bardziej nie czytali ich książek. No a

transparenty „Moški do Dajana” itp.? Kto je redagował? Kto pisał teksty, które ktoś inny potem wygłaszał?

To samo, w ogromnym stopniu, dotyczy autorów „Anty-Kultury”. Ktoś, w KC czy w MSW, „podrzucił” materiały: w 1968 roku listę prawdziwych, żydowskich nazwisk „prominenckich” dzieci, „inspiratorów”, „komandosów”, etc. Ktoś inny, a może ten sam, sporządził listę nazwisk do umieszczenia na „drzewie zdrady”, z redaktorem *Kultury* na czele. Ktoś inny wreszcie, znowu może ten sam, może jakiś intelektualista, a może nawet... pisarz, uznawał za zbrodnię ideologiczną „wpisane w amerykański system wywiadu, subwersyjne przerzucanie książek nielegalną drogą do Polski”.

No a wymiar „sprawiedliwości”? Sędziowie, prokuratorzy i niektórzy „obrońcy”? Jak informują autorzy Departamentu Szkolenia i Wydawnictw MSW, w procesie „taterników” prokuratorzy podkreślili „służebną rolę paryskiej Kultury w realizacji amerykańskich doktryn politycznych i dywersyjny charakter podejmowanych przez nią działań”. Sąd doszedł do wniosku, że „proces w całej rozciągłości ujawnił dywersyjno-spiegowski charakter zainteresowań paryskiej Kultury”... i „w pełni potwierdził słuszność aktu oskarżenia”. Jakiś „komentator radiowy” uzupełnił materiał dowodowy relacją, że „korzenie sięgają do Tel-Awiwu” i że akcja *Kultury* wywodzi się z „filozofii zdrady narodowej”. W tych warunkach sędziowie i prokuratorzy nie mogli nie mieć świadomości skutków ich decyzji, to znaczy wyroku, to bowiem w oparciu o taki stek bredni, które MSW wymyśliło, „eksperci” z „Ośrodka Badań Wschód-Zachód” (co z tym ośrodkiem, à propos?) opracowali i podpisali, a kapłani Temidy „ulepszyli”, nadając mu formę prawną-sądową, posłali np. w procesie „taterników” pięcioro młodych ludzi do kryminału.

Zapytany, czy jest możliwe, aby konsekwencje ponosili tylko „fizyczni” sprawcy nadużyć i zbrodni MSW, Rokita odpowiada, że choć trudno będzie udowodnić bezpośredni związek z przestępstwem, „to nie sposób zaprzeczyć, że decydenci mieli świadomość skutków podejmowanych kroków”.

No a w „Anty-Kulturze”? I w innych „anty...”? Krakowski poseł przyznaje, że „duża liczba obywateli jaka świadczyła usługi dla MSW jest garbem, a nawet bombą podłożoną pod państwo”. A jak to jest z bombą propagandową? Czy można oddzielić i podzielić winę tych, którzy kazali i dokonali mordy na Przemyku i Pyjasie od tych, którzy pośmiertnie ich opluli w duchu „anty...”?

Kto kazał z porucznika poległego w 1945 roku pod Bolonią i pochowanego na cmentarzu II Korpusu w Loretto zrobić w 1972 roku łącznika Mossadu z NATO? Rokita twierdzi, że taktyka „miękkiego przejścia” wyszła na dobre w MSW. Jak się to odbędzie i komu to wyjdzie na dobre w „Anty-Kulturze”, tylko czas pokaże.

Mimo takich okoliczności, a taki zarzut spotka naturalnie redaktora *Kultury* i autora wyboru czy przedmowy do „Anty-Kultury”, mówienie o zemście, o załatwieniu porachunków czy odgrywaniu się, jest oczywiście bzdurą. Do odegrania się redakcja *Kultury* miała nieskończoną ilość nie tylko powodów, ale i okazji. Jej reakcja na najbardziej rażące obrzydliwości i, co gorsza, niesprawiedliwości, ograniczała się do kilku osobistych polemik, no i drukowania co jakiś czas „czarnej listy” autorów.

Tu nie chodzi o zemstę. Od bogów, dla których zemsta jest rozkoszą, woła Kopalińskiego, który powiada za Juwenalem, że „zemsta jest zawsze rozkoszą miernych, słabych i małostkowych umysłów”. A poza tym zwolennikom boskich rozkoszy przypominam, że, jak powiadają Francuzi, zemsta to danie, które powinno spożywać się na zimno. Anty-kulturowe „danie” jest jeszcze gorące. I chyba długo jeszcze nie wystygnie.

Piramidy i komputery

Stąd, choć Jerzy Gierdoyć, jego ekipa i ludzie z kręgu *Kultury* mieliby spory rachunek własnych krzywd do wystawienia, dziś, na koniec – i po dziesiąte – tylko dwie niemiłe uwagi.

Pierwsza to ta, że wydanie „Anty-Kultury” nie zamyka, a powinno otworzyć dyskusję wokół nowej „zdrady klerków”. Oczywiście, zgadzam się z Adamem Szostkiewiczem, który w *Tygodniku Powszechnym* (10.XI.91) przestrzega przed „małodusznym” zapomnianiem, że „w całej Europie sowieckiej ośrodkami krystalizującymi antykomunistyczny opór były środowiska intelektualne”. Co nie znaczy, że należy zapominać o tych drugich, którzy „krystalizowali” w przeciwnym kierunku. Właśnie ktoś mi opowiadał o przygotowaniach do wielkiego międzynarodowego kolokwium w Paryżu na temat miejsca i roli intelektualistów w polityce. Wśród referatów i referentów mają się znaleźć prorocy hasła „Nie mamy się czego wstydzić”. Przed wystąpieniem w

Paryżu (czy w Warszawie) powinni przeczytać „Anty-Kulturę”.
Może zmienią zdanie.

I druga uwaga, naprawdę końcowa, to ta, że – wydaje mi się – warto to wszystko prześledzić i zrozumieć, albowiem z katastrofy komunistycznej w Polsce jedna jest ewangelia na dzień dzisiejszy: z najemnikami niczego solidnego zbudować się nie da. Tak jak z niewolnikami, budować z nimi można piramidy i więzienia, nie można jednak konstruować komputerów. Ani budować demokracji.

Listopad 1991

Leopold UNGER

I.

WYOBECOWANIE

Jerzy Bronisławski

Spotkanie z księciem

Ubrany w smoking, pod którym miał mały reporterski japoński magnetofonik, przezornie zabrany w podróż, Fed przybył punktualnie do lokalu. Nigdy tu nie ma kompletu gości – odstraszały ceny. W sali poprzecinanej marmurowymi kolumnami panował półmrok. Każda nisza stanowiła odrębny zakątek. Rozlegały się słabe dźwięki ukrytej orkiestry. Nawet stosunkowo obyty w lokalach człowiek mógł poczuć się jak biedak, którego wprowadzono do wielkich bogactw. Toalety pań oszołamiające. Na palcach każdej jubiler mógłby doliczyć się okazałych majątków. *Maître d'hôtel* w nieskazitelnej bieli smokingu zaprowadził Feda do wnęki w rogu sali. Willkinson siedział w towarzystwie szpakowatego pana. Twarz inteligentna, regularne rysy. Fed widział go pierwszy raz. Skłonił się.

– Jerzy Giedroyc – padło nazwisko.

Fed dałby głowę, że już je słyszał. Po chwili przypomniał sobie, iż pierwszą osobą, która wspomniała o tym panu, jako o przyjacielu, był Willkinson. Miało to miejsce wówczas, gdy wręczał do zapoznania Fedowi manuskrypt żony francuskiego korespondenta. Znajomi w Warszawie też je wymieniali.

– Dag mówił, że będzie pan w centrali. Specjalnie wpadłem – rozpoczął rozmowę starszy pan. – Dobrze słyszeć z pierwszej ręki, co się dzieje w rodzinnym kraju.

Fed uśmiechnął się. Zaabsorbowany był wysupływaniem słodkowodnego kraba ze skorupki. Przyrządzone w znany tylko szefowi kuchni sposób stanowiły specjalność zakładu.

- Oczywiście - przyznał - bezpośrednia relacja jest lepsza od wszystkich opisów.

- Potrzebna nam relacja człowieka nie zaangażowanego. Postronnego, powiedziałbym. Taka jest najpełniejsza. Bez subiektywizmu, który cechuje rodaków z kraju.

Fed nie przerywał. Słuchał matowego głosu. Kelner zabrał nakrycia, pojawił się inny z następnym daniem. W mikroskopijnych filiżaneczkach ciemniała zupa żółtowa. Zapach przyjemnie łaskotał nozdrza.

- Chciałbym usłyszeć od pana jako od zaufanego człowieka mojego przyjaciela - zwrócił głowę ku Willkinsonowi - szczegóły o przebiegu kościelnych uroczystości milenijnych.

Wdzięczność za manuskrypt, który był przewodnikiem Feda w pierwszych dniach pobytu w Warszawie, nakazywała rewanż. Zaczął od 1958 roku. Wtedy to w Polsce narodziły się dwa milenijne programy: świecki i kościelny. Władze państwowe wysunęły hasło budowy tysiąca szkół. Kościelne - dwa lata wcześniej - dziewięcioletnią nowennę. Referował problemy szczegółowo i ze znanstwem. Opowiadał o sytuacji prawnej kościoła w Polsce, o jego pozycji w społeczeństwie. Nie obeszło się bez uwag krytycznych. To szczególnie interesowało obu panów. Niedziela po niedzieli charakteryzował Fed uroczystości w poszczególnych miastach. Streszczał kazania, jakie z tej okazji wygłosili dostojnicy. Opowiedział o zamieszaniu, które wywołało orędzie episkopatu do biskupów niemieckich. Podkreślił, że Warszawa jest chyba jedynym miastem w Europie, które na każdym kroku przypomina ofiary okupacji. Opowiadał o innych sprawach natury politycznej, kulturalnej i gospodarczej. Cztery pełne godziny. Giedroyć sporządził z tego spotkania kilkunastostronicowy stenogram, a w przyrodzie przecież nic nie ginie.

Na koniec Fed opowiedział o uczestnictwie w pielgrzymce do Częstochowy.

- Za pomyślność - zaproponował Willkinson, kiedy Fed skończył.

Trącili się pękatymi kieliszkami.

- Jak pan sądzi, Federico, czy według tego, co pan widział, i z tego, co zna od przyjaciół w Warszawie, można liczyć na zatargi pomiędzy władzami a wiernymi? - zainteresował się Giedroyć.

- Myślałem nad tym nie raz. W tym celu przyłączyłem się do pielgrzymki. Znając taktykę władz i zachowanie się hierarchii, w błędzie jest ten, kto sądzi, iż może dojść do wystąpienia. Wzajemnego denerwowania nie wykluczam. Do starć jednak obie strony nie dopuszczają.

Giedroyć westchnął szukając wzroku Willkinsona:

- Miałem rację. Hierarchia niejednemu już raz w historii odegrała dwuznaczną rolę. Teraz też... - zamyślił się.

- Widzi pan, na emigracji wytworzyły się dwie koncepcje zmian w kraju - objaśnił Feda. - Ci, którzy skłaniają się do obcej myśli, stoją na stanowisku, że należy inspirować ruchy odśrodkowe oraz wykorzystywać okazje. Za taką uznano właśnie obchody Tysiąclecia. Stawiają na chłopstwo i mało uświadomione warstwy społeczne. To nierealne. - Uśmiechnął się. - Koncepcja dawno przebrzmiała. Pewne ośrodki propagandowe (miał chyba na myśli „Wolną Europę”) od lat stosują prymitywną propagandę. Obliczona jest właśnie na wspomniane grupy. Inteligencja jest poza wszystkim, i to na długie lata.

Znowu wypili po łyku koniaku.

- My jesteśmy zwartą grupą. Taka dawniej była emigracja Słowackiego i Mickiewicza. - Poprawił się w fotelu, jakby dla dodania sobie otuchy. - Cięży na nas obowiązek historyczny. Uwolnić ojczyznę. Nie tylko w sensie formalnym, lecz także w duchowym. W powojennych latach przyjęliśmy błędną platformę krytykowania inteligencji z kraju. To pogłębiało przepaść. Doszliśmy do wniosku, że tylko ścisła więź może dać rezultaty. Proszę popatrzeć. Aktualnie wydajemy pozycję, które zdają się nie atakować systemu w Polsce. Nie dotyczą też reżymu. Ale tylko pozornie. Drukujemy utwory autorów krajowych - podkreślił nie bez dumy w głosie. - Wspaniały to sposób na rozmiękczenie. Człowiek zawsze ma skłonność do ugody. Szeregi sojuszników reżymu siłą rzeczy muszą się wykruszać. Mamy dowody. Przyjeżdżają do nas ludzie, telefonują, dzielą się wrażeniami. Przyczynkiem może być ostatni dwuletni pobyt Witolda Gombrowicza w Berlinie zachodnim. Znane panu nazwisko?

Fed przytaknął. Jeszcze w Argentynie czytał świetnie napisaną „Ferdydurke” - powieść z czasów Polski szlacheckiej oraz powojenny „Trans-Atlantyk”.

– A propos, młody człowieku, ma pan znajomości w kołach polskich naukowców, studentów?

Fed nie ujawnił kontaktów. Prawdę mówiąc jego znajomości do atrakcyjnych nie należały. No bo kto? Grześ? „Ziemianin”? Profesor? Powtórzył manewr, który swego czasu nie udał się z Nowakowskim.

– Z kontaktami w Polsce niełatwa sprawa – oznajmił Giedroyciowi. – Co innego, gdybym był rekomendowany...

Giedroyć przyglądał się długą chwilę twarzy Feda. Zwrócił jakby pytający wzrok ku Willkinsonowi. Zastanawiał się. Wydobyl z wewnętrznej kieszeni notesik w skórzanej oprawie. Na wyrwanej kartce papieru zanotował nazwiska...

– Nie są to najważniejsi ludzie, o których niebawem w Polsce usłyszysz – oznajmił. – Jeżeli będą mieli do ciebie zaufanie, możesz daleko dojść, chłopcze, i stać się gwiazdą pierwszej wielkości. Proszę nie być jednak zbyt natarczywym. Konspiracja tego nie cierpi, a ona w Polsce istnieje – mówił z zagadkowym uśmiechem na wargach.

– ... Widzisz rekomendacje? – Fed rzucił skrawek papieru na stolik. – Mam się skontaktować i powołać na niego – zmęczony drogą i alkoholem zaczynał się słać na łóżko. Wilkosz ułożył go. Sam przygotował sobie pośłanie na stojącej w pokoju bordo sofie. Administracja hotelu była przewidująca. Dodatkowo w każdym pokoju przygotowała wełniany koc. Przed pójściem na spoczynek zdjął Fedowi buty i spodnie. Wzrok zatrzymał się na zapisanej nierównym charakterem pisma kartce papieru.

W marcu 1970 roku na stole sędziego prowadzącego sprawę „taterników” znalazła się też kartka napisana ręką Giedroycia.

„(...) Skontaktować się z (...) Ustalić, kto w dwutygodniku „Prawo i Życie” pisuje artykuły pod pseudonimem „Rodak ze Szmulek”. (...) Zorientować się w możliwości kolportażu na terenie Czechosłowacji. (...) Ustalić, czy w (...) są jednostki wojskowe. (...)”.

Oskarżeni wyjaśniali genezę dokumentu. Autorem był także Jerzy Giedroyć – przywódca intelektualnej emigracji polskiej w Paryżu i kierownik tamtejszego miesięcznika „Kultura” oraz tak zwanego Instytutu Literackiego.

Rozdział z książki Jerzego Bronisławskiego (Kudasia) *Wyobcowani* wydanej przez Iskry, Warszawa 1972.

Tadeusz Mateja

Podwójne życie Jerzego Giedroycia

CZEŚĆ PIERWSZA

WIELKI NIEMOWA I WIELKI REŻYSER

Rzecz niniejsza nie jest ani historią, ani rozbiorem analitycznym paryskiego miesięcznika „Kultura”, stanowiącego jedynie tło dla właściwego tematu rozważań i wniosków dotyczących centralnej, acz w cieniu ustawionej postaci redaktora pisma – Jerzego Giedroycia. Każde pismo jest dziełem jego redakcji, a redakcja jest zespołem kształtowanym przez jej naczelnego redaktora. Jaki redaktor – takie pismo. Pisma rosły i pęczniały przy jednych redaktorach, nikły i padały przy innych. I dlatego Jerzy Giedroyć jako redaktor „Kultury” nie jest i nie może być nikomu osobistością obojętną, aczkolwiek czyni on bardzo wiele, aby nie narzucać się uwadze opinii publicznej. Czytając skromnie figurujące na przedostatniej stronie okładki pisma imię i nazwisko redaktora, informującego o adresie i telefonie redakcji przy 91, avenue de Poissy w Maisons-Laffitte (S.-et-O.) – można by ulec wrażeniu, że poza tym Jerzy Giedroyć nie istnieje w miesięczniku paryskim. Nie pisze, nie publikuje żadnych artykułów, nie narzuca się piórem i własnym sądem o rzeczach wielkich i małych tego świata, pozostaje wielkim Niemową, który jednak nieprzerwanie od lat kilkunastu firmuje pismo. Firmuje i redaguje. „Kultura” jest bezspornym, wypracowanym dziełem Jerzego Giedroycia w każdym swoim calu: w treści, w tendencji, w koncepcji, w doborze

autorów, w stylu i poziomie, kręgu zainteresowań i w swojej moralnej, czy raczej amoralnej postawie.

O redakcji „Kultury” nic właściwie konkretnego powiedzieć nie można, nie dlatego, aby niczym szczególnym się nie wyróżniała i była ciałem jałowym, ale właśnie dlatego, że jej w ogóle nie ma. Redakcją „Kultury” jest sam Jerzy Giedroyc. Istnieje wprawdzie na łamach tego pisma, poza pomocniczym personelem technicznym, publicysta skupiający często ludzkie namiętności – w osobie Juliusza Mieroszewskiego. Ale obecność tego pisarza na łamach „Kultury” jest także przemyślanym dziełem Jerzego Giedroycia. Pełen temperamentu, niekończących się i z zasady sprzecznych ze sobą, fantastycznych pomysłów koncepcyjnych, przybierający tożę i styl nieomylnego proroka pochłoniętego i szarpanego wewnątrznie zagadnieniami wyjątkowo najwyższego, kluczowego szczebla, strateg i szermierz w jednej osobie, niewyczerpany prestidigitator, rozdawca pochwał i gromów, namiętny inscenizator porządku świata i Europy ustawiający losy i przyszłość krajów i narodów jak pionki na szachownicy – pławi się Juliusz Mieroszewski w samouwielbieniu i w tej swojej (w jego przekonaniu) wszechmocnej i wszechobecnej inicjatywie, ściągającej na siebie powszechną uwagę, a osłaniającej równocześnie właściwego reżysera sceny, o którym mało kto mówi. Tak właśnie Jerzy Giedroyc ustawił swój spektakl, w którym widownia ogląda tylko kukielki i główną kukłę popisową, ale nie widzi Wielkiego Reżysera pociągającego za sznurki i dyrygującego tym niepowszednim widowiskiem.

Rozkoszując się Juliuszem Mieroszewskim, bądź zwalczając go, a nie interesując się Jerzym Giedroyciem – znajdujemy się na fałszywym tropie i tracimy właściwe ślady wiodące do prawdy o „Kulturze”. Jerzy Giedroyc nie jest w niej manekinem lub tylko pracowicie zapobiegliwym wydawcą czy administratorem. Jest duszą i inspiratorem, sprężyną i ośrodkiem dyspozycji. Jest nade wszystko głównym i jedynym mandatariuszem i zaufanym Wielkiego Mocodawcy, który to pismo utrzymuje i wyznacza mu przewidzianą rolę „niezależnego” pisma emigracji polskiej. Niezależnego naturalnie od jakichkolwiek czynników polskich w kraju i emigracji – ale jak najbardziej zależnego od głęboko załamanych i niewidocznych opiekunów i dysponentów zza oceanu. I dlatego bez rozpoznania osobowości, sylwetki i indywidualności Jerzego Giedroycia – każda dyskusja o

„Kulturze” jest czynnością jałową i bezskuteczną. Nie może ona bowiem prowadzić do sedna, problemu. A tylko sedno każdej sprawy odtwarza, jak wiadomo, piękno lub otchłań jej prawdy.

OKRES „BUNTU MŁODYCH” I „POLITYKI”

Jerzy Giedroyc nie jest postacią nieznaną lub nową, to jest wyrosła na gruncie emigracji. Swoją działalność polityczną podjął redaktor „Kultury” już w roku 1929, kiedy to wspólnie z Rowmundem Piłsudskim i innymi utworzył organizację pod nazwą „Myśl Mocarstwowa”. Dla młodszych roczników tytuł ten mówi dziś niewiele. Starsi jednak pamiętają, że organizacja ta nie wyróżniała się nigdy liczebnością i stroniła od ruchu masowego. Ograniczała się głównie do działalności kameralnej, wydawniczo-publicystycznej, odczytowej. Ze szczególnym upodobaniem rozwijała tak zwane „kontakty” o bardzo różnorodnym zasięgu i charakterze. Ideologicznie grupa ta, posiadająca wybitne cechy koterii kanapowej, zbliżona była do konserwatystów, chociaż różniła się od nich – przynajmniej zewnętrznie – w poszczególnych zagadnieniach. Nie ukrywając zastrzeżeń i niechęci do skrzydła konserwatywnego spod znaku krakowskiego „Czasu” i „Naszej Przyszłości” Jana Bobrzyńskiego, ciążyła wyraźnie i utrzymywała bliskie stosunki z Catem-Mackiewiczem z wileńskiego „Słowa” – organu także konserwatywnego, ale mającego zarówno inną genezę, jak i nieco odmienne w wielu sprawach aktualnych stanowisko, aniżeli spadkobiercy krakowskich „Stańczyków”. Organem „Myśli Mocarstwowej” było pismo „Bunt Młodych”, pozostające pod decydującym wpływem Jerzego Giedroycia i uchodzące za organ odłamu ówczesnych młodych piłsudczyków z prawego skrzydła, nie ukrywającego sympatii dla idei monarchizmu w Polsce. „Bunt Młodych” rozwijał koncepcję streszczającą się w moralnym poparciu dla rządu sanacyjnego, ze szczególną sympatią dla ówczesnych rządowych projektów późniejszej konstytucji kwietniowej. Sympatią darzył organ Jerzego Giedroycia również i włoską odmianę faszyzmu, a w zakresie polskiej polityki zdążył do aktywizacji polskiej ekspansji na wschód, południe i północny wschód, zdecydowanie wyznając stanowisko antykomunistyczne i antysowieckie. „Bunt Młodych” przeciwstawiał się tzw. Frontowi Morges, to jest formacji pozostającej pod patronatem Ignacego

Paderewskiego, a skupiającej m.in. Witosa, gen. Sikorskiego, Korfanteo, słowem centrowe żywioły antysanacyjne. Równocześnie organ „Myśli Mocarstwowej” był przeciwny endekom oraz pogromom antysemitycznym organizowanym przez endecję i jej przybudówki. Wypowiadał się natomiast za swoistą odmianą antysemityzmu: emigracją Żydów do Palestyny oraz asymilacją części społeczeństwa żydowskiego pozostałej w Polsce. Na tym gruncie nawiązała się współpraca tej grupy z niektórymi kołami żydowskimi w Polsce.

Tak te sprawy wyglądały na zewnątrz, ale nie wyczerpywały całości zagadnienia „Myśli Mocarstwowej”, „Buntu Młodych” i ich głównego inspiratora – Jerzego Giedroycia. Główną cechą, jaka go już wtedy wyróżniała, była różnorodność kontaktów osobistych z ludźmi o przeciwnych poglądach. Wśród jego współpracowników spotykamy w tym czasie redaktora tygodnika „Faszysta Polski” – Edwarda Piotrowskiego oraz Ksawerego Pruszyńskiego, jednego z aktywnych na początku członków „Myśli Mocarstwowej” i autorów „Buntu Młodych”, który w połowie lat trzydziestych uległ jednak poważnej ewolucji „w lewo”. Jerzy Giedroyc posiadał również kontakty z nacjonalistami ukraińskimi i z syjonistami, jak też z ludźmi niedwuznacznie faszystującymi. Mając do czynienia z gronem ludzi o znacznym temperamencie i wybujałych ambicjach, znajduje się z nimi nieraz w konflikcie, co doprowadza do rozłamów w jego grupie i do wzajemnych oskarżeń. Ale Jerzy Giedroyc nie wypuszcza nigdy steru z ręki. Na przełomie lat 1936-37 „Bunt Młodych” zmienia nazwę na „Polityka”. Ośrodkiem pisma pod nowym tytułem pozostaje znowu Jerzy Giedroyc, obok którego skupiają się dwaj bracia Bocheńscy: Adolf i Aleksander oraz Mieczysław Pruszyński – brat Ksawerego. Ksawery nie należy już wówczas do tego zespołu.

WŁAŚCIWE KULISY

Zanim się to stało Jerzy Giedroyc wszedł jeszcze na inną, ważniejszą dla niego drogę. W roku 1930 obecny redaktor „Kultury” paryskiej związał się z II Oddziałem („dwójką”) Sztabu Głównego i korzystał z jego pomocy finansowej.

Zachowane dokumentacje nie pozostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości. W aktach przedwojennego Ministerstwa

Spraw Wewnętrznych znajduje się notatka pt. „Pro domo” o następującej, ciekawej treści:

„Dnia 21.XII.30 r. p. radca Dubicz wręczył mi sprawozdanie z konferencji, która się odbyła dnia 17.XII.30 r. w sprawie p. Wojstowskiego z Wydziału Wschodniego M.S.Zagr. Odpis sprawozdania wewnątrz. W uzupełnieniu do sprawozdania podaje następujące dane dotyczące wydawnictwa:

Pierwszy numer wydawnictwa „Wschód” ukazał się dnia 14.VII.30 r. pod redakcją p. Jerzego Giedroycia. Pan Giedroyc wskutek nawału pracy ustąpił dnia 15.X.30 r. ze stanowiska naczelnego redaktora. Stanowisko to zajął p. Wł. Bączkowski, którego z kolei na stanowisku wydawcy zastąpił p. Kamil Szyfried. Drugi numer „Wschodu” ukazał się dnia 10 grudnia 1930 r. pod redakcją p. Bączkowskiego.

W myśl wzajemnego porozumienia się, w miesiącu czerwcu 1930 r. Szefa Ekspozytury 2 Oddziału II Sztabu Głównego z zastępcą naczelnika Wydziału Prasowego M.S.Zagr. - czasopismo „Wschód” miało być subsydiowane à 150 zł miesięcznie przez Eksp. 2 Oddziału II S.G. i Wydział Prasowy M.S.Zagr. Ponieważ suma 300 zł nie była wystarczająca na wydawanie miesięcznika, czasopismo „Wschód” na razie ukazuje się jako kwartalnik.

Poniżej podaje wykaz sum wypłaconych przez Eksp. 2 tytułem subwencji dla czasopisma „Wschód”:

- 1) 11.XII.30 r. 450 zł – p. Giedroyc
- 2) 21.XI.30 r. 550 zł – p. Włodzimierski (Bączkowski)
- 3) 4.XII.30 r. 200 zł – p. Włodzimierski (Bączkowski)
- 4) 10.I.1931 r. 150 zł – p. Włodzimierski (Bączkowski)

Z powyższych sum przeznaczono: a) 450 zł na wydanie Nr 1 czasopisma „Wschód”, b) 750 zł na wydanie Nr 2 czasopisma „Wschód”, c) 150 zł na poczet Nr 3 czasopisma „Wschód” mającego się ukazać w miesiącu lutym 1931 roku.

Dnia 4.I.1931 r. p. radca Drymmer wyjaśnił, że M.S.Z. nie wypłaca stałego subsydium dla czasopisma „Wschód”, jednak subsydiuje wymienione pismo przez zakup większej ilości egzemplarzy, mianowicie Nr 1 zakupiono – 100 egz., Nr 2 – 300 egz.”*

Raport ten, jak wynika z umieszczonych na nim adnotacji, dołączony został do akt Sztabu Głównego Oddziału II,

* Vide – DOKUMENTY, str. 91,92 i 93 nin. broszury

L. 2100/II/Inf./2/I/31. Zaopatrzony jest dwoma nieczytelnymi podpisami z dnia 5.2. i 5.5. 1931 roku i stwierdzającymi „znak pilności” aktu oraz „współpracę” właściwej komórki. Szef wydziału podcyfrował go w dniu 31.1.1931 roku.

LATA PRÓBNEGO EKSPERYMENTU

Zanalizujmy treść tego ciekawego i interesującego nas przy niniejszym temacie aktu przedwojennych czynników II Oddziału Sztabu Głównego.

Oczywiście, przede wszystkim trzeba stwierdzić, że zacytowany tu dokument, jak wiele innych podobnych uratowanych dokumentów, jest zaledwie małym fragmentem całości, która zaginęła w ostatniej zawierusze wojennej. I trzeba to stwierdzić, aby uprzedzić wątpliwości co do tego, że możemy tu mieć do czynienia z jakimś mało znaczącym, przejściowym incydentem. W pracach II Oddziału, jak wiadomo, nie było spraw incydentalnych i zamykających się na chwilowej, przejściowej współpracy czy krótkim towarzyskim kontakcie. Sprawy tego typu posiadały w tej instytucji charakter trwałe i ciągłe z przyczyn, które nie wymagają bliższego uzasadnienia. Wynikało to z jednoznacznej, przejrzystej roli tej instytucji i długofalowego charakteru jej zadań i celów.

Z tą właśnie instytucją Jerzy Giedroyc (prawdopodobnie zaledwie w rok po wkroczeniu na arenę publiczną) znalazł się w tak ścisłej współpracy, że wszedł na stanowisko redaktora naczelnego czasopisma nie tylko subsydiowanego, ale i powołanego przez ówczesną „dwójkę”. Tym się tłumaczy, że rzecznik MSZ Drymmer wymówił się od bezpośredniego subsydiowania „Wschodu” i ograniczył pomoc dla niego do formy zakupywania określonej, „większej” ilości egzemplarzy. Forma była odmienna, ale rezultaty te same i ten system subwencji zapadł głęboko w świadomość nowokreowanego redaktora naczelnego organu „dwójki”. Radca Drymmer nie domyślał się nawet, jak cennego doświadczenia przysporzył młodemu adeptowi II Oddziału w jego latach późniejszych.

Nie wiemy, czy funkcja Jerzego Giedroycia we „Wschodzie” była pierwszą powierzoną mu w II Oddziale rolą, czy też była to już rola zaawansowanego „dwójkarza”, któremu nie tylko zaufano, ale dostatecznie wysoko oceniono jego walory, powierzając mu

wielce odpowiedzialną rolę redaktora naczelnego i to – jak się okazuje – na samym, najtrudniejszym z natury rzeczy wstępie kariery tego pisma. Nie trzeba dodawać, że zadaniem czasopisma „Wschód” było – wedle planów II Oddziału – ogniskowanie polityki prowokacji w stosunku do Rosji Sowieckiej.

Główny organizator i rzecznik „Myśli Mocarstwowej” oraz redaktor „Buntu Młodych”, a następnie „Polityki” był – jak to stwierdza zacytowany dokument – w bliskich, bezpośrednich stosunkach z II Oddziałem Sztabu Głównego już w roku 1930. Czy był aktywnym funkcjonariuszem tej instytucji w latach poprzednich, tego na razie nie wiemy, ale wolno przypuszczać, że obowiązków redaktora naczelnego pisma o tak specyficznym znaczeniu jak „Wschód” nie powierzono by w „dwójkę” adeptowi sztuki prowokatorskiej. Musiał to być bardziej wytrawny praktyk, zarówno doświadczony jak przede wszystkim wypróbowany. Zostawmy jednak na boku domysły, ponieważ wystarczająco zupełnie znane fakty.

Na ich tle wolno ustalić, że Jerzy Giedroyc już od kolebki swojej kariery publicznej pozostawał w koneksjach z II Oddziałem. Samą współpracę z tą instytucją można by do pewnego stopnia usprawiedliwić, gdyby nie fakt, że Jerzy Giedroyc w roli zausznika II Oddziału podjął się udziału w życiu politycznym i w tej dziedzinie pełnił zadanie przywódcy grupy politycznej, redaktora pisma, ideologa i inspiratora ideologicznych założeń programowych. Otóż w tym świetle równoległy udział w robocie tego typu, jak II Oddział, i w życiu publicznym, a szczególnie politycznym i to na szczeblu kierowniczym – posiada zupełnie specyficzny i jednoznaczny wydźwięk, którego tu nie potrzeba nazywać po imieniu.

Nie można się dlatego dziwić decyzji II Oddziału odwołującej Jerzego Giedroycia ze stanowiska redaktora naczelnego „Wschodu” po wydaniu pierwszego numeru z powodu „nawału pracy”, jaką był on obciążony. Skoro bowiem został skierowany do organizowania „Myśli Mocarstwowej” i redagowania „Buntu Młodych”, nie mógł równocześnie zajmować się innym pismem na dłuższą metę. Po spełnieniu zadania uruchomienia „Wschodu”, Jerzy Giedroyc odszedł służbowo do swojej właściwej pracy zleconej mu przez II Oddział.

PODSTAWOWE ZASADY SYSTEMU JERZEGO GIEDROYCIA

Jest rzeczą aż nadto oczywistą, że geneza zadań wyznaczonych przez II Oddział musiała wyrzucić decydujące ślady na charakterze pracy i systemie stosowanym przez Jerzego Giedroycia w powołanych przez niego organizacjach i pismach. Ich najbardziej znamioną cechą była ściśle przestrzegana elitarność i ograniczanie współuczestnictwa do drobnych zespołów używanych do robótek zupełnie szczególnego typu. Robótki te nie znoszą światła dziennego, ponieważ stają się ono zbyt krępujące przy każdej organizacji masowej, podlegającej zawsze nieprzewidzianej kontroli publicznej i przy największej umiejętności przywódców skazanej często na nieprzewidziane okoliczności i zasadzki. Toteż dewizą Jerzego Giedroycia już w tamtym, wstępnym, można by powiedzieć eksperymentalnym okresie jego wyprawy w życie, stała się z jednej strony niechęć do działania w świetle jasnych reflektorów, przy równoległej skłonności i zamiłowaniu do działania intymnego, kameralnego, nie prześwieczonego przez zbyt natarczywe czynniki, choćby własnego środowiska. Z drugiej zaś strony Jerzy Giedroyc już wówczas specjalizował się w systemie gruntowania niekontrolowanego systemu jednoosobowej decyzji przy stwarzaniu pozorów istnienia szerszej platformy kolegalnej przyjmującej formalną, ale pozorną odpowiedzialność za inspiracje zakulisowego dyrygenta w jego osobie. Przy czym – rzecz znamionna – najbliższe kolegium Jerzego Giedroycia składało się z reguły z jednostek niewątpliwie nawet uzdolnionych, ale wyróżniających się nieokiełznanym temperamentem, łatwo zapalnych, dynamicznych i ulegających bezkrytycznie idei czy koncepcji, którą albo uznawano w tym gronie za słuszną w danym okresie, albo którą umiejętnie zasugerowano zapaleńcom. Obaj bracia Pruszyńscy i dwaj bracia Bocheńscy, stanowiący jedyny sztabik przy Jerzym Giedroyciu na jego wstępnym etapie z okresu „Myśli Mocarstwowej”, „Buntu Młodych” i „Polityki”, zręcznie powiązanych odgórnie i pośrednio przez współpracę Giedroycia z II Oddziałem, być może nawet bez świadomości tego brzemiennego w następstwa faktu u jego najbliższych współtowarzyszy – przypominają do złudzenia jednoosobowy obecny „sztab” tego samego Giedroycia w osobie Juliusza Mieroszewskiego, utalentowanego narwańca tej samej maści, co

jego poprzednicy z okresu przedwojennego. Sztaby się zmieniły, ale żadnym zmianom nie uległ Jerzy Giedroyc, wytrawnie wychowany już w szkole sanacyjnej „dwójki”. [...]

CZEŚĆ DRUGA

NA BEZDROŻACH BEZKARNOŚCI

To, że w latach wojny nie odbył się proces karny małżeństwa Jerzego i Tatiany Giedroyców w związku ze skandaliczną aferą w Rumunii, niczego oczywiście nie dowodzi, a w każdym razie nie stanowi żadnego dowodu niewinności bohaterów tej afery. Nie odbyło się bowiem wiele innych procesów na podobnym czy nieco innym tle i oczywiście sprawcy różnych malwersacji, afer oszukańczych i nadużyć wszelkiego rodzaju nie tylko pozostali do końca na wolności, ale nawet ścigani przez władze śledcze – uniknęli sądów i do dnia dzisiejszego żyją w świecie, zażywając nieraz szacunku i podziwu wśród nieświadomej najczęściej tych spraw emigracji. Wystarczy wymienić z afery Giedroycia nazwiska Kuttana, Miłoszewskiego czy Gużkowskiego, których przestępstwa były i są niewątpliwie, niemniej jednak zażywają oni dziś pełnej bezkarności. Uniknąwszy ręki polskiej sprawiedliwości w czasie wojny, nie obawiają się już obcych prokuratorów i trybunałów niezainteresowanych w ściganiu coraz bardziej odległych w czasie przestępstw przeciw interesom polskim.

Emigracja lat wojennych posiadała dwa przeciwstawne sobie obozy polityczne, czynne zarówno w środowisku cywilnym jak wojskowym i każdy z nich posiadał swoich „nietykalnych”, chronionych przed ręką sprawiedliwości wyciąganą po przestępcę przez czujnego przeciwnika. Jeżeli grupy skupione wokół gen. Sikorskiego zamierzały osiągnąć przestępcę z obozu sanacyjnego, uruchamiane były potężne wpływy i siły sanacji, istniejące w życiu politycznym i w wojsku, które utracąły momentalnie zamierzenia „sikorszczyków”. I na odwrót. W ten sposób co najmniej większość przestępców była praktycznie bezkarna. Zależało już tylko od ich sprytu i dobrej orientacji, aby chowając się za jeden lub za drugi parawan ująć wszelkiej odpowiedzialności w każdej sprawie, za którą w normalnych warunkach wymierzono by surowe kary więzienia.

Był jeszcze jeden skuteczny sposób na uniknięcie odpowiedzialności karnej. Komu palił się grunt pod nogami na odcinku cywilnym, przywdziewał mundur żołnierski i w ten sposób automatycznie wyłączał się spod procedury sądowych władz cywilnych i mógł spokojnie przeżyć wojnę. Po wojnie zaś wszelka odpowiedzialność karna za czyny popełnione z naruszeniem interesu polskiego gubiła się poza krajem. Na emigracji bowiem nie było już czynnika, który mógłby ścigać winnych.

W ten sposób utonęło mnóstwo spraw na zawitych drogach i bezdrożach naszej emigracji, która rozproszyła się – i wielu ludzi mających nieczyste sumienia wyemigrowało w odległe strony świata, przybierając tam pozę wzorowych obywateli, pozornie uczciwych, a niejednokrotnie także postawę lokalnych nieustępliwych mentorów, regulujących moralność emigracyjnych środowisk.

Wróćmy jednak jeszcze do okresu wojennego. Rumunia była więc pod tym względem terenem idealnym i „uprzywilejowanym”. Przede wszystkim bezpośrednio po katastrofie wrześniowej powstał wśród uchodźstwa, a w ogóle wśród całej emigracji polskiej nieopisany chaos. Spowodowała to między innymi także zmiana rządu, która faktycznie dokonała się we Francji. Rumunia była w tym zagadnieniu bocznym torem, pomimo iż w ambasadzie polskiej w Bukareszcie amb. Raczyńskiemu czy płk. Zakrzewskiemu wydawało się, że naprawdę o czymkolwiek decydują lub cokolwiek regulują w tej kwestii. Wszystko to było złudzeniem, ponieważ decyzje zapadały w znacznie wyższych rejonach, poza Polską i poza Rumunią, bo w Paryżu. Tam decydował w ostatecznej instancji rząd francuski przy pomocy swoich adherentów ze świata polskiego, znajdujących się na miejscu we Francji.

W samej Rumunii nie było żadnej polskiej egzekutywy, która potrafiłaby skutecznie przeciwdziałać przestępstwom podejmowanym przez różne szumowiny, ale także przez niektórych utytułowanych ludzi. W pierwszych miesiącach ścierały się gwałtownie wpływy i siły dawnego obozu rządzącego skupionego wokół Becka z grupą ludzi podporządkowanych gen. Sikorskiemu. W tej mętnej wodzie łatwo więc było łowić ryby. Toteż łowiono je bez opamiętania, granic umiaru i przyzwoitości.

Aferzyści poszukiwali żeru przede wszystkim na ludzkiej nędzy i zwierzęcym strachu przed Niemcami. Hieny poczuły tu smak

swoich ofiar, z których w tej sytuacji można było ściągać żywcem nawet skórę, a coś dopiero po 25 dolarów, czy jak w innych wypadkach po 10 tysięcy od amatorów na stanowiska państwowe? Wszyscy chcieli uciekać i płacili każdą cenę, jakiej aferzyści żądali.

Kiedy zaś sprawa stała się zbyt jawna i głośna i kiedy zaczęto wzywać aferzystów przed Komisję Badawczą, która przecież nie była organem normalnego sądu, wkroczyli do Rumunii Niemcy i wtedy nie czas było na śledztwo. Uciekał kto żyw, a z żywymi uciekali także przestępcy. Wśród tej powszechnej paniki nikt już nie miał czasu na kontynuowanie dochodzeń, a tym bardziej na procesy i wyroki. Życie i bezpieczeństwo przed Gestapo były ważniejsze. Wprawdzie w Turcji rozpoczęły się próby wznawiania śledztw i poszukiwań, ale Turcja stała się zaledwie terenem przejściowym dla wielkiej masy uchodźców. Zdążano na Bliski Wschód, gdzie znajdowały się większe polskie środowiska cywilne i wojskowe. Kto przeskoczył te bariery, wypływał już na obszary dalekich, nieznanych, egzotycznych krajów, w których wszyscy starali się urządzić, znaleźć oparcie i podstawę dla dalszego bytu wśród niełatwych warunków. Niezastąpionym azyłem stawały się szeregi wojska. W wojsku można było utonąć, szczególnie w mundurze szeregowca lub niższego oficera. Wystarczyły deklaracje patriotyczne, nikt nie pytał o przeszłość i nie wypatrywał ciemnych plam w kartotece ochotnika. Co ruchliwsi szukali kontaktów z grupami dominującej na tym obszarze sanacji. Wystarczyło legitymować się postawą oporną w stosunku do gen. Sikorskiego, aby znaleźć opiekę i życzliwość cywilnych i wojskowych zwierzchników. Tak uplasowały się całe szeregi ludzi zagubionych na szlakach prowadzących z Zaleszczyk, poprzez Rumunię, Węgry, Turcję, aż na Bliski Wschód. Wśród rzesz patriotów znalazły się rzecz jasna także różne podejrzone i obciążone niestawną przeszłością typy. Ale na Bliskim Wschodzie wszystkich połączono wspólną platformą wojskowej dyscypliny i jedności przeciw rządowi Sikorskiego. Odnajdywać się zaczynały dawne, nienaruszone koterie. Zbierano niezawodnych ludzi, oddanych dawniej reżimowi sanacyjnemu, a obecnie nieodzownych w organizowaniu rozproszonych szeregów do walki o odzyskanie utraconych stanowisk państwowych i władzę.

Tak zatem, w tych warunkach nie trudno było zakamuflować nawet niedawne grzechy, pokrywając je bądź mundurem wojskowym, bądź na czas i właściwie nawiązanym kontaktem politycznym, który stawał się puklerzem przed ewentualnymi poszukiwaniami czy represjami. Jerzy Giedroyc wywędrował z Rumunii w okolicznościach, o których zachowane i znane dokumentacje rządu gen. Sikorskiego nie wspominają. Z tego okresu wiadomo tylko o jego przesłuchaniu przeprowadzonym przez sędziego Wondrauscha w Bukareszcie i na tym urywają się informacje dotyczące tego fragmentu niezaszczytnych i niedokończonych dziejów Jerzego Giedroycia. Jedno jest pewne, że żadna instancja do tego powołana nie wyjaśniła do końca autorytatywnie ciężkich zarzutów, pod jakimi znalazł się były szef „prezydialnego gabinetu” w bukareszteńskiej ambasadzie, czy – jak chce Kajetan Morawski – „szara eminencja” Rogera Raczyńskiego. Sprawa została jedynie uwieczniona w protokole przesłuchania Giedroycia, przy czym nie trzeba być zbyt domyślnym, aby wiedzieć, że zeznania podejrzanego szły na pewno po linii zaprzeczania udziału w danej aferze czy w ogóle jakiegokolwiek jego winie w tym skandalu. Dopiero rozprawa sądowa mogłaby ustalić, w jakim stopniu Jerzy Giedroyc był winien i na jaką karę zasłużył. Ale jak wiemy rozprawy sądowej nie było, a w każdym razie nie mamy dowodów na to, aby się ona odbyła. Nie ma jednak także dowodów na to, aby sprawa Giedroycia była kiedykolwiek umorzona przez właściwy, jedynie do tego powołany czynnik, to jest przez prokuratora czy przez trybunał, który orzekłby uwolnienie oskarżonego od zarzutów. Jednym słowem rzecz rozplynęła się we mgle, jaka zaległa okoliczności związane z normalnym trybem postępowania w takich sprawach.

Skoro jednak warunki wyjątkowej sytuacji nie pozwoliły sprawy Jerzego Giedroycia dociągnąć do przepisanej prawem końca, nie znaczy to, aby ona nie istniała, albo też że znalazła pomyślnie dla niego rozwiązanie. Istnieją bowiem nadal dokumenty, częściowo przez nas powołane i zacytowane w niniejszej relacji, które świadczą nie tylko o poszlakach, ale także i o dowodach winy Giedroycia. W świetle tych dokumentów rysuje się tylko zagadnienie stopnia i rozmiarów jego uczestnictwa w aferach, a nie sam udział, który jest bezsporny.

Z Rumunii Jerzy Giedroyc wyjechał do Turcji, gdzie znowu natrafił na działalność Komisji Badawczej, która podjęła tam ponownie swoje dochodzenia. Jest rzeczą jasną, że wykrycie afery Giedroyciów w najwyższym stopniu kompromitowało ambasadora Raczyńskiego i dlatego zależało mu bardzo na zatuszowaniu sprawy, a co najmniej na przerwaniu śledztwa. Kierownik polskiej placówki wywiadowczej w Stambule dał do zrozumienia Rogerowi Raczyńskiemu (a istnieją poszlaki, że oświadczył to bezpośrednio także i Giedroyciowi), że z chwilą wstąpienia Giedroycia do wojska dochodzenia przeciw niemu zostaną przerwane. W ten sposób wymuszono na Giedroyciu wyjazd do Palestyny. W normalnej bowiem sytuacji nie musiał on wyjeżdżać ze Stambułu i mógł pozostać w Turcji albo przenieść się do innego kraju neutralnego. W Turcji mógł się zaciągnąć do wojska jako ochotnik. W Palestynie natomiast obowiązywał przymus mobilizacyjny oparty o polską jurysdykcję i tam więc Giedroyc musiał się znaleźć w szeregach wojskowych. Do tego właśnie zdążył Roger Raczyński, którego sprawa Giedroycia w szczególności i łatwo zrozumiały sposób denerwowała i niepokoiła. Równocześnie zaś administracja gen. Sikorskiego miała także swój własny cel we wcieleniu Giedroycia do wojska. W ten bowiem sposób izolowano go od działalności publicystycznej, którą oceniano jako niebezpieczną dla rządu, mając na uwadze jego ruchliwą inicjatywę i aktywność oraz niemałe powiązania z „generalnym sztabem” wysokich czynników byłego reżimu sanacyjnego.

Tak więc ostatecznie Jerzy Giedroyc, były szef „prezydialnego gabinetu” w Bukareszcie wstąpił jako zwykły żołnierz w szeregi wojska, gubiąc skutecznie wszelkie ślady po swoich niechlubnych wyczynach rumuńskich. Tak przetrwał do czasu, aż się zjawiła odsiecz w osobie wspomnianego wyżej Józefa Czapskiego, malarza i pisarza, przejętego misją armii gen. Andersa, opuszczającej Rosję a zdążającej do nowych zadań na zachodzie Europy. Nie w głowie artysty były takie lub inne drobnostki czy zgola uchybienia, jak niewyjaśnione sprawy i sprawki Giedroycia z terenu rumuńskiego, skoro najważniejszym zadaniem była dlań wtedy fanatyczna mobilizowania na Bliskim Wschodzie wszystkich zdolnych do pióra i propagandy ludzi wokół coraz bardziej pęczniejącego „posłannictwa” szeregów gen. Andersa. A jeśli o jego perypetiach

z sędzią Wondrauschem i Komisją Badawczą była nawet mowa, to tylko o tyle, o ile szło o podmałowanie podłoża rzekomo niestrudzenie prowadzonych podkopów i zmyślonych oszczerstw rządu gen. Sikorskiego przeciw patriotycznym i nieugiętym szeregom obozu Piłsudskiego...

Legitymacje Jerzego Giedroycia do włączenia go w „misyjną akcję” sztabu gen. Andersa były jak najbardziej bezsporne - przedwojenna działalność na niwie „Buntu Młodych” i „Polityki”, współpraca z polityką min. Becka i jeszcze ściślejsza z II Oddziałem znaczyły więcej, niż jakieś tam „nieporozumienia” z władzami śledczymi na tle not werbalnych czy innych potknięć „cypryjskich”. W świetle tych pozycji wszystko przemawiało za Jerzym Giedroyciem, a nic przeciw niemu. Sędzia Wondrausch zagubił się gdzieś po drodze ze swoimi aktami, Komisja Badawcza zaniechała aktywniejszej działalności, zaś pośredni i bezpośredni świadkowie z Rumunii rozbiegli się po różnych szlakach. Któż zresztą miał wtedy dostęp do sztabu armii gen. Andersa, która była ośrodkiem całego życia polskiego w tamtejszym rejonie, nadzieją w beznadziejności i gwiazdą przewodnią dla niewiadomej przyszłości? Toteż Jerzy Giedroyc na szczeblu sztabowym mógł się czuć bezpieczny. Zadania były wielokrotnie większe i wznioślejsze, aniżeli dociekanie prawdy w aferze, która w międzyczasie zagubiła już swe ślady w piaskach pustynnych i bezdrożach egzotycznych krajów...

I tak rozpoczął się trzeci rozdział drogi Jerzego Giedroycia, nie przerwany niczym do dnia dzisiejszego.

Moglibyśmy na tym właściwie zakończyć niniejszą relację, ale sądzimy, że należy się jej jednak chociaż kilka jeszcze zdań na temat jeśli nie wniosków, to przynajmniej luźnych refleksji na tle całego tu poruszonego zagadnienia i faktów.

BEZSPORNE WNIOSKI

Fakty, wśród których część jest tylko fragmentarycznie zarysowana (wskutek braku pełnej dokumentacji), a inne stanowią przejrzystą całość, składają się w tej relacji na wniosek, że Jerzy Giedroyc w okresie między jesienią 1939 roku a co najmniej latem roku 1940, korzystając ze swej uprzywilejowanej pozycji w ambasadzie RP w Bukareszcie, nie tylko patronował

w różnych formach dokonywanym w tym czasie pod auspicjami ambasady i innych oficjalnych placówek polskich nadużyciom, aferom i zgoła kryminalnym przestępstwom finansowym, ale także świadomie w nich współuczestniczył, ciągnąc z tego osobiste zyski. Boć przecież niepodobna sobie wyobrazić ani przez chwilę, aby człowiek zajmujący tak kluczową pozycję, w którego rękach znajdowały się w ciągu długich miesięcy wszystkie nici działalności ambasady i jej tzw. „przybudówek”, aby człowiek będący mężem Tatiany Giedroyciowej i posiadający stałe, bezpośrednie i osobiste stosunki z tego rodzaju osobnikami, co Wiktor Kutten, Zdzisław Miłoszewski i Ferdynand Gużkowski - nie posiadał przez tak długi okres czasu żadnego, najmniejszego wyobrażenia o tym, co się działo nawet nie wokół niego, ale po prostu na jego biurku, w jego gabinecie, w jego bezpośrednim, najbliższym otoczeniu, u ambasadora i w podległych mu komórkach urzędowych. Koronny, bo bezpośredni świadek sceny, ppłk Stanisław Ostaszewski, gdy w obecności mjra Zimmala powiadomił ambasadora Raczyńskiego o wykryciu afery i dowodach udziału w niej Jerzego Giedroycia, zanotował w swoich zeznaniach, że Raczyński, główny protektor podejrzanego szefa „prezydialnego gabinetu”, „nie bronił Giedroycia, nie przytoczył żadnego argumentu na jego obronę”, przyznając, że „była to jedna z najmniejprzyjemniejszych rozmów, jakie miał w życiu”. Nie dziwimy się Rogerowi Raczyńskiemu i wierzymy, że mógł być „bardzo tym zdeprymowany”, ponieważ cios był zaiste miazdzący. Cóż bowiem mogło być bardziej deprymującego i bardziej miazdzącego, jak oglądanie własnych podpisów na notach werbalnych podsuniętych mu przez jego „prawą rękę” i jego - jak wyznaje Kajetan Morawski - „pierwszą ulgę i pomoc” - przez jego długoletniego sekretarza z czasów jeszcze warszawskich i szefa „prezydialnego gabinetu”, który z takim „taktem lecz stanowczo pilnował, by ani z góry ustalony podział czasu, ani hierarchia i kolejność rozpatrywanych zagadnień nie zostały naruszone”, a więc także i owych podpisów na notach werbalnych podsuniętych ambasadorowi, na których szajka aferzystów zarobiła ciężkie dolary i lżejsze leje rumuńskie, nie patrząc, że jednocześnie naraża polskie imię i polskie interesy na niewątpliwą szawkę i szkodę.

Z przytoczonych dokumentów wynika również niezbiecie, że Jerzy Giedroyc pozostawał w tym samym okresie w najściślejszej współpracy z ówczesnymi kołami sanacyjnymi, inspirowanymi

i kierowanymi na terenie Rumunii przez byłego ministra Józefa Becka. Jest także faktem, że po wykryciu afery z jej szeroko rozgałęzionymi odmianami, te właśnie koła sanacyjne uczyniły wszystko co możliwe, aby skutecznie osłonić Jerzego Giedroycia, a sprawę zatuzować i pogrzebać. Zamierzenie to w pełni się udało, ponieważ Giedroyc nie tylko nie został w żadnej formie ukarany, ale przeciwnie – został wyróżniony już na terenie pozarumuńskim, przyjmując kierownictwo akcji propagandowo-kulturalnej w formacji wojskowej gen. Andersa. Nie poniósł również najmniejszych konsekwencji prawnych żaden z współuczestników bukareszteńskiego gangu i cała ta haniebna sprawa zawisła ostatecznie w powietrzu.

Następnym wnioskiem narzucającym się po lekturze zacytowanych dokumentów jest fakt, że Jerzy Giedroyc, współdziałający z II Oddziałem, korzystał w różnych fazach swojej działalności przed wojną i w Rumunii z możej ochrony i pomocy tej instytucji oraz że niektórzy ludzie II Oddziału, będącego ekspozyturą i domeną sanacyjnych wpływów, stali się głównymi bohaterami znanych nam afer i nadużyć finansowych, czerpiąc z nich olbrzymie zyski osobiste. Powiązania w tej dziedzinie Jerzego Giedroycia z ludźmi II Oddziału były tak bliskie i zażyłe, że byłoby trudno przy obecnym rozeznaniu ustalić, czy odpowiedzialność za popełnione nadużycia i przestępstwa spada wyłącznie na poszczególne jednostki, czy też mamy do czynienia ze zorganizowanym gangiem kierowanym przez II Oddział względnie czy w związku z tym nici całej afery nie sięgały jeszcze wyżej, aż do ścisłego centralnego kierownictwa grupy sanacyjnej na terenie Rumunii?

Nie jest także dostatecznie wyjaśniona rola ambasadora Rogera Raczyńskiego w całej tej historii, jeśli nie przyjąć poglądu, że stał się on zupełnie bezwolnym i nieświadomym narzędziem Giedroycia. Jednakże trudno przyjąć tego rodzaju nieprawdopodobną niemal tezę zważywszy, że Roger Raczyński był jednak człowiekiem odpowiedzialnym na swoje czyny, dostatecznie doświadczonym dyplomata, a także praktycznym i umiejętnym partnerem. Świadczy o tym jego ekwilibrystyka taktyczno-polityczna w skomplikowanym i niełatwym okresie likwidowania rządu Sławoja-Składkowskiego, Ignacego Mościckiego, Śmigłego-Rydza i równoległego instalowania rządu gen. Sikorskiego. Jest przeto rzeczą niemal niemożliwą, aby w ciągu wielu miesięcy ambasador nie zauważył, że pod jego boki-

na jego rachunek i pod jego firmą najbliższy mu człowiek pozostaje w zмовie z kliką aferzystów, narażających dobre imię nie tylko swego zwierzchnika, ale przede wszystkim jego wysokiego urzędu i reprezentowanego państwa.

BEZPRZYKŁADNY ZANIK PAMIĘCI KAJETANA MORAWSKIEGO

Skoro jesteśmy już przy tym temacie, nie sposób nie zauważyć, że Kajetan Morawski w swoich wielokrotnie tu cytowanych pamiętnikach ani jednym słowem nie wspomniał o aferach bukareszteńskich, o ich smutnych bohaterach, ani o wynikających z tego kłopotach i ciężkich przeżyciach Rogera Raczyńskiego. Morawski opuścił wprawdzie Bukareszt już 3 listopada 1939 roku, czyli że nie był bezpośrednim świadkiem tego, co się później działo. Niemniej w swoich wspomnieniach poświęca sporo miejsca fragmentowi bukareszteńskiemu i kluczowej roli Giedroycia w „prezydialnym gabinecie” ambasady.

Książkę swoją napisał Morawski wiele lat później i, jak wynika z jego wyznań, stykał się z Rogerem Raczyńskim, przebywającym już wtedy daleko poza Rumunią. To oczywiście wyklucza, aby nie posiadał absolutnie żadnych informacji czy oświeleń przyjaciela w sprawie, która w roku 1940 stanowiła w kołach polskich w Rumunii, w Turcji, a także na Bliskim Wschodzie jeden z głównych tematów niepowszedniej sensacji. Niepodobna uznać za możliwe, aby Morawski nie słyszał nigdy o aferze obejmującej ludzi, z którymi nie tylko się stykał, ale z którymi współpracował a nawet się przyjaźnił. Cóż zatem mogło być przyczyną, że afera bukareszteńska zagubiła się bez śladu w jego wspomnieniach?

Wyjaśnienie może być tylko jedno. Autor „Wspólnej drogi” postanowił po prostu pominąć ten rozdział, który dla niego był zbyt trudny i bolesny. Nie chciał napisać prawdy, a nie mógł pisać nieprawdy i wdawać się chociaż w najbardziej ostrożną obronę przegranej sprawy. Jego wspomnienia pisane są wyraźnie z intencją podtrzymania najlepszej pamięci o Rogerze Raczyńskim i osłonięcia go przed zbyt surowymi osądami ludzkimi.

Afera bukareszteńska nie harmonizowała z tym zamierzeniem i skądinąd szlachetną intencją, ponieważ obraz powinien być być raczej wyidealizowany, aniżeli przyćmiony słabościami

i potknięciami bohatera opowieści. W mniemaniu Morawskiego nieobecność w Bukareszcie usprawiedliwiła jego nieświadomość. Pisał więc o tym, co sam widział. Czego nie widział bezpośrednio, w czym nie uczestniczył – przemilczał. Gdyby pamiętniki Morawskiego były jedynym zachowanym świadectwem tamtych dni, można by sądzić, że formowały je i działały w nich jeśli nie anioły, to przynajmniej wyjątkowi ludzie, trochę tylko po ludzku ułomni, ale przecież owiani nienagannymi intencjami, zapatrzeni w świetlane cele swego postannictwa historycznego, oddani bez reszty swoim obowiązkom, niezłomni w szlachetności, aczkolwiek miotani trudnościami i wątpliwościami. Jerzy Giedroyc w obrazie tym przedstawiony jest w roli bądź anioła stróża u boku borykającego się Rogera Raczyńskiego, bądź męża opatrznosciowego, którego łaskawe bogi zesłały z nieba ambasadzie w najcięższej chwili chaosu i załamania. W tych pogodnych wspomnieniach nie ma żadnej wzmianki o takich przynajmniej postaciach, jak Tatiana Giedroyciowa, Wiktor Kutten, Zdzisław Miłoszewski czy Ferdynand Gużkowski, którzy przecież odegrali węzłowe role w bukareszteńskiej gęstwinie przestępczych inicjatyw, odbijających się żywym i gwałtownym echem także w Angers. Do świadomości Kajetana Morawskiego jakby nic z tego nie dotarło. A jeśli coś doszło, to zapadło się głucho w niepamięć. I to właśnie jest bardzo dziwne i arcyniezrozumiałe. Nie można inaczej pojąć tego bezprzykładnego zaniku pamięci, jak tylko przekonaniem, że autor „Wspólnej drogi”, jak również wszyscy inni pamiętnikarze tych dni, bezpośredni i pośredni świadkowie ciemnych i ponurych fragmentów tamtego czasu, postanowili utopić je w zapomnieniu i zatrzeć po nich już nie tylko wszelkie ślady, ale nawet wzmianki. Morawski mógł Giedroycia w tych sprawach albo potępić, albo bronić, zależnie od swego poglądu na kwestię afer w Rumunii. Skoro jednak w ogóle wszystko przemilczał, oznacza to, że przyjął udział w świadomym spisku milczenia, jaki zadecydowano rozciągnąć nad tą kryminalną historią, rzucającą tak jaskrawe i nieobojętne światło na cały ówczesny fragment dziejów naszej emigracji. To jest najbardziej smutne i najbardziej charakterystyczne.

PRZEMILCZAŁ RÓWNIEŻ POBÓG-MALINOWSKI

Nie wspominał co prawda nic o tych sprawach również i Władysław Pobóg-Malinowski w swojej „Najnowszej historii politycznej Polski” i nie wymienił nawet ani razu nazwiska Jerzego Giedroycia, chociaż wiedział, że spełniał on nie byle jaką rolę przy Rogerze Raczyńskim w przełomowych i brzemiennej jesieni 1939 roku. Poboga-Malinowskiego tłumaczyć jednak może częściowo okoliczność, że w swej ogromnej pracy historycznej, naszpikowanej faktami, nie mógł po prostu zmieścić wszystkich dosłownie fragmentów i ludzi oraz wszystkich choćby ważnych szczegółów związanych z historią tragicznych dni wrześniowych i późniejszych. Ale nie mogło nie odegrać roli w pominięciu Giedroycia również i to, że Pobóg-Malinowski pozostawał w pewnym powiązaniu z ośrodkiem paryskiej „Kultury”, bo znalazł tam współpracę choćby w formie ogłoszonego w „Zeszytach Historycznych” „Kultury” (z 1962 r.) skorowidza nazwisk swego dzieła. A to zobowiązywało do dyskretnego pominięcia sprawy, która wielkim cieniem ciążyła i ciąży na miesięczniku z Maisons-Laffitte...

Pobóg-Malinowski jednak przemilczał przynajmniej istnienie Jerzego Giedroycia i nie gloryfikuje go w żadnej formie. A to posiada swoją wymowę, zważywszy rolę, jaką spełniał w Bukareszcie szef „prezydialnego gabinetu” ambasady RP. Przeczonym skreśleniem z listy nazwisk, związanych z tamtymi dniami polskimi, Pobóg-Malinowski dał chociaż pośrednie świadectwo swojej ocenie głównego bohatera bukareszteńskich afer i nadużyć.

Jest cechą znamionną w różnych rozdziałach życia Jerzego Giedroycia, że wszyscy kolejno mobilizowani przez niego do różnych celów ludzie, z różnych czasów i okoliczności, przeminęli z wiatrem, natomiast on nie tylko się ostał, ale nawet coraz lepiej funkcjonuje i wspina się na coraz wyższy szczebel swojej kariery. Cóż pozostało na przykład po zespole dawnego „Buntu Młodych” czy „Polityki”? Jedni – jak Adolf Bocheński, zginęli chwalebnie na polu chwały, inni – jak Ksawery Pruszyński, padli ofiarą

tragicznego losu, jeszcze inni – jak Aleksander Bocheński, borykają się w kraju w ramach „Paxu”, raczej odlegli od ideałów swojej młodości górnej i chmurnej. Szczegła gwiazda Cata-Mackiewicza. Jerzy Giedroyc natomiast błyszczy bez przerwy i wciąż jest na firmamencie. Nie ma śladów także ani po jego współnikach z Bukaresztu, ani po Rogerze Raczyńskim, ani po wszystkich wymienionych w tej relacji, zarówno z grona uczestników przestępczych przygód, jak i członków Komisji Badawczej, a nawet sanacyjnych inspiratorów z otoczenia Becka. Każdy z nich, jeśli żyje, dogorywa wśród niepamięci ludzkiej. Jeden tylko Giedroyc pozostał i to na wysokim szczeblu mentora emigracji, jej proroka, reżysera, wydawcy i redaktora ośrodka koncepcji pouczającej, co trzeba robić, aby świat był zbudowany na podobieństwo planu wypracowanego w Maisons-Laffitte. Można by mniemać, że mamy do czynienia z geniuszem, którego nie mają się ani złe duchy, ani złośliwe losy. Sam gen. Anders ma się ku smutnemu końcowi, chociaż jak może tak ratuje rozpaczliwie wielostronne trudności i kłopoty rozdawaniem orderów i nabywaniem honorowych obywatelstw miast. Zaś Jerzy Giedroyc, którego Anders wyniósł z przepaści na wyżyny po rumuńskich przygodach, jest niezużyty, aktywny, ustawiony jakby na wyższej, już nieosiągalnej dla emigracyjnego „naczelnego wodza” płaszczyźnie wtajemniczonego Ali Baby, znającego zagadkę przyszłego świata. Anders likwiduje swego „Orla Białego”, gdyż niedobór pisma przekracza nawet jego możliwości. Natomiast Jerzy Giedroyc z coraz większym rozpędem rozbudowuje swoją „Kulturę”, sypie tomami książek, wydawnictwami, dokumentacją historyczną (byłe nie rumuńską z lat 1939-1940), słowem – rośnie w oczach.

Zaiste, cudowne dziecko – można by powiedzieć – urodzone w czepku, uświęcone dobrymi łaskami przeznaczenia!...

Niestety, nie ma cudów w tej dziedzinie. Jerzy Giedroyc na pewno nie jest geniuszem. Jest zwykłym człowiekiem, obdarzonym jednak przez naturę dużym sprytem i umiejętnością posługiwania się każdym środkiem, który prowadzi do zaplanowanego przezeń celu. Takim był za młodu, gdy skromnie zaczynał od kilkuset złotych subwencji z II Oddziału, gdy podejmował się zorganizowania grupy młodych ludzi, tworząc wśród nich nieduży klanik polityczny stanowiący nieodzowne tło dla uplasowania siebie samego w pozycji „przywódcy” ośrodka posługującego się mistyfikacją, a mającego wykazać, że jego „wódz” posiada

uniwersalną receptę na lepsze losy Polski. Ta mistyfikacja otwierała drzwi do różnych ludzi i środowisk, a w oczach mocodawców z II Oddziału robiła z Giedroycia kandydata do szczególnych poruczeń i poufnych zadań.

A potem jak piorun z jasnego nieba spadła tragedia wrześniowa i nadszedł okres rumuński, w którym Jerzy Giedroyc uplasował się już w kluczowej pozycji, stwarzającej szanse bardziej realne, wymierne, obliczalne w obcej, większej walucie, konkretne. Ale ten okres dość szybko minął i szczęśliwie, gdyż nasz bohater mógł – zdawało się – na tym zakręcie zwichnąć sobie niebezpiecznie całe życie. Jednakże Jerzy Giedroyc umiejętnie przeczekał te złe dlań czasy i wkrótce wypłynął znowu, tym razem w 2 Korpusie. Tu rozwinął ponownie żagle wielkiej misji i mistyfikacji w dziedzinie kulturalno-politycznej, wydawniczej i koncepcyjnej. W 2 Korpusie było na pewno wielu innych zdolnych, wybitnych pisarzy, polityków i działaczy na znaczną miarę, ale wypłynął i ostał się tylko Jerzy Giedroyc. Więc zagłował w tym czasie na tej samej co dawniej fali, która go niosła w Polsce przed wojną i po wrześniu w Rumunii. A wspierały go te same siły, które przedtem skierowały go do misji na odcinku młodszego pokolenia, a równocześnie zaleciły uruchomienie wydawnictwa będącego narzędziem prowokacji antysowieckiej. I były to także te same siły, które wyznaczyły Giedroycia na stanowisko w ambasadzie bukareszteńskiej, skąd wysyłało się na akcję podziemną do kraju miliony złotych i inkasowało „prowizje” i gdzie wydawało się „na lewo” i odpłatnie noty werbalne, fałszywe dokumenty i skierowania na Cypr.

Potem zaś otworzyła się kolejna szeroka perspektywa. Pieniądzy w 2 Korpusie było pod dostatkiem. I Giedroyc szybko zorientował się w tej okazji. Dawne siły ciągle jeszcze działały i były nadal dość wpływowe, aby umieścić swego zaufanego na nowej kluczowej pozycji.

Ale tym razem jednak złota polska żyła uwidoczniła swój definitywny kres. Jednakże Jerzy Giedroyc należy do ludzi przewidujących i z chwilą gdy spostrzegł, że dotychczasowe źródło nie jest niewyczerpane i że pomyślny jego start mógłby się załamać w sytuacji ogólnie dla środowiska emigracyjnego nieprzychylniej – ofiarował swoją współpracę innym bogom, do zasobów których nie mogły się równać ani możliwości II Oddziału przed wojną, ani dochodowości płynące ze źródeł

uruchomionych w Bukareszcie, ani nawet zapasy 2 Korpusu. Tak doszło do ugruntowania „niezależnej” pozycji miesięcznika „Kultura”, czyli osobiście Jerzego Giedroycia, występującego już tym razem w roli nadrzędnej w stosunku do wszystkich jego dotychczasowych protektorów, opiekunów, współpracowników, wspólników, zwolenników i przeciwników. Trzeba przyznać, że długoletnie doświadczenia zebrane w ciągu życia pozwoliły mu tak ustawić sprawę, że nieświadoma opinia publiczna gotowa jest uwierzyć, iż Jerzy Giedroyc rzeczywiście własnym, mozołnym sumptem czyni cuda, bo nie tylko od lat utrzymuje „Kulturę”, nie tylko ją rozwija, ale nawet rozbudowuje ją na miarę najbardziej zamożnych wydawnictw europejskich. Sam zaś Jerzy Giedroyc starym, wypróbowanym systemem jest skromny i trzyma się wciąż w cieniu, ba – robi wiele w tym kierunku, aby nie wywołać wilka z lasu i nieznosnych upiorów własnej przeszłości. I tak zabezpieczony i obwarowany ze wszystkich stron mieszka Jerzy Giedroyc od lat w emigracyjnej kadzi narodowej, utrzymując niezmordowanie nową swą mistyfikację w postaci centralnego ośrodka „myśli politycznej” z siedzibą w Maisons-Laffitte.

Ale choć tym razem sztuka udaje mu się od dość dawna, niemniej nie rozstrzygnięto to problemu, który niezmiennie pozostaje aktualny od lat dwudziestu pięciu. Problem polega na tym, czy rzeczywiście człowiek, który – przez cały czas prowadząc podwójne życie – ma na sumieniu poważne zarzuty natury przestępczej, wynika z afery znanej nam z przytoczonej dokumentacji, może i powinien zajmować w życiu emigracyjnym tak wysoki szczebel społeczny? Konkretnie, czy może i powinien Jerzy Giedroyc być wydawcą i redaktorem „Kultury”

– skoro nie rozpatrzona i nie rozstrzygnięta została sprawa jego współudziału w aferach Wiktora Kuttana, Zdzisława Miłoszewskiego, Ferdynanda Gużkowskiego i Tatiany Giedroyciowej, że wymienimy tylko cztery główne postacie ze sprawy not werbalnych i tzw. sprawy cypryjskiej;

– skoro nie wyjaśniona została dotychczas tak kapitalna sprawa, jak ustalenie, ilu agentów niemieckiego wywiadu przeniknęło na tyły alianckie przy wykorzystaniu polskich dokumentów, przedkładanych – raczej świadomie niż nieświadomie – Rogerowi Raczynskiemu do podpisu przez szefa „prezydialnego gabinetu” ambasady RP w Bukareszcie;

– skoro jego metody, znane z poprzednich okresów jego działalności, świadczą, że nie gardził on nigdy żadnym źródłem dochodów w realizowaniu swoich zamierzeń;

– skoro w świetle tamtych z nim doświadczeń istnieje uzasadnione podejrzenie, że również i dziś posługuje się on co najmniej wątpliwymi z punktu widzenia interesu narodowego źródłami i przy ich pomocy rozwija obecną akcję, która budzi daleko idące zastrzeżenia z punktu widzenia sprawy i interesu polskiego?

Czy czynniki emigracyjne, powołane do przestrzegania poziomu moralnego w polskim życiu ideowo-politycznym zamierzają

– wyświetlić publicznie sprawę afer w Rumunii, z którymi był powiązany Jerzy Giedroyc w latach 1939-1940 i co zamierzają uczynić w tym kierunku, aby po ustaleniu jego winy położyć kres sytuacji, w której obciążony poważnymi przestępstwami pretenduje do roli przywódczej wśród emigracji;

– obciążyć odpowiedzialnością tych wszystkich, którzy świadomi afer w Rumunii, ich rozmiarów i szkodliwych następstw dla sprawy polskiej, zatajają znane im fakty przed opinią publiczną, aby nie narażać w ten sposób pozycji wydawcy i redaktora paryskiej „Kultury”;

– zbadać, czy gen. Władysław Anders, aprobując udział Jerzego Giedroycia w odpowiedzialnych pracach 2 Korpusu i przekazując mu miesięcznik „Kultura”, wiedział o jego udziale w aferach w ambasadzie bucharszteńskiej;

– wyciągnąć (po ustaleniu ewentualnego świadomego pominięcia posiadanych o tym informacji) w stosunku do winnych tolerowania Jerzego Giedroycia w 2 Korpusie a następnie w „Kulturze” odpowiednie konsekwencje, celem zadośćuczynienia obrażonej w ten sposób elementarnej zasadzie moralności i odpowiedzialności w życiu publicznym?

Stawiając publicznie niniejsze zagadnienie przed całą polską opinią emigracyjną, mamy przekonanie, że wykonując ten obowiązek, kierujemy się do społeczności, która ceniąc swoje imię – potrafi wyegzekwować poszanowanie dla podstawowych postulatów zarówno w dziedzinie jej godności i moralności jak i odpowiedzialności w polskim emigracyjnym życiu ideowo-politycznym.

Fragmety z broszury
Tadeusza Mateji (Klaudiusza Hrubyka) *Podwójne życie Jerzego Giedroycia*
wydanej nakładem miesięcznika „Nasz Znak”. Malmö (Szwecja) 1965.

Andrzej Przypkowski

Arena

Siedzieli we trzech w swoim klubie w niezbyt radosnych nastrojach. Ostatnia kampania prasowa prowadzona po ujawnieniu źródeł finansowania Kongresu Wolności Kultury była dla nich wyjątkowo nieprzyjemna. Wszyscy trzej przecież poświęcili dużo trudu, aby rozkręcić tę maszynę, którą teraz tak gwałtownie atakowano. Taka gratka dla tych przeklętych demokratów!

Profesor wyciągnął z kieszeni kilka odbitek maszynopisu i podsunął je towarzyszom.

– Oni nie mogą milczeć, to jasne. Brak jakiegokolwiek repliki oznacza tylko jedno: przyznanie się do klęski – powiedział. Dziś właśnie otrzymałem najnowszy numer polskiego pisma z Paryża. Przetłumaczyłem fragment artykułu Spaskiego, czytajcie proszę.

Pułkownik machnął lekceważąco ręką i odsunął odbitkę. Smith natomiast zagłębił się w lekturze.

„Jesteśmy emigrantami politycznymi, więc mamy wrogów i sprzymierzeńców. Wrogami są ci, co nas skazali na życie na obczyźnie, zaś sprzymierzeńcami ludzie, którzy myślą podobnie jak my i chcą oczywistą krzywdę, wyrządzoną naszemu narodowi, naprawić. Uważamy się więc za sprzymierzeńców Ameryki i jako tacy chcemy wypełnić swe zadanie, czego nie zrobimy, nie mając możliwości dysponowania środkami. Nie trzeba być politykiem, aby wiedzieć, że wszyscy sprzymierzeni z Ameryką korzystają z jej zasobów materialnych, nie istnieje więc żaden powód, dla którego mielibyśmy od takiej pomocy stronić. Dolar nie jest niczym wstydlivym”.

Adwokat czytając tekst kiwał aprobowająco głową. Pułkownik zaś układał sztucze w geometryczne wzory.

– Co o tym powiesz, Bill? – zapytał Profesor.

– Nasz doktorek ma rację. Rzeczywiście dolar nie jest niczym wstydlivym. Powiedział głośno to, o czym my wszyscy doskonale wiemy. Myślę, że to dobry artykuł.

– I ja tak uważam. Ale musimy wziąć poprawkę na tę cholerną drażliwość Wschodnioeuropejczyków. Przez dwadzieścia lat z okładem głosili, że nie są i nigdy nie będą niczymi agentami. Że reprezentują własne interesy narodowe, a te nie mają na przykład nic wspólnego z intrygami snutymi przez zawodowych polityków emigracyjnych.

– Myślisz o tym, co pozostało z tych ich „emigracyjnych rządów?” – zapytał Pułkownik.

– Oczywiście. Zaprzyjaźnione z nami pismo w Paryżu mogło rozwinąć skrzydła tylko dlatego, że się wyraźnie odcięło od ośrodka londyńskiego. Ich myśl polityczna nie była skażona niezlomnością. Szli na współpracę z krajem, nie akceptując komunizmu. Zresztą nie muszę wam przecież tego wszystkiego przypominać.

– Jako że wielokrotnie omawialiśmy te sprawy – wtrącił Pułkownik – a światły umysł naszego Profesora niejedną zagrywkę wysmażył nie tylko dla tych w Paryżu, okay, Profesorze...

Profesor nie miał zamiaru replikować Pułkownikowi, ciągnął dalej:

– No i teraz ludzie dowiadują się, że te wspaniałe niezależne ośrodki emigracyjnej roboty są finansowane przez tajne służby USA. W jednej chwili runął cały mit szlachetnego samozaparcia. Toteż artykuł Spaskiego, ustawiający całą rzecz w kategoriach sojuszniczej pomocy, zawiera dość sprytne rozumowanie, dobrze nawet, że zabrał głos nie czekając na nasze dyrektywy. Ale nieuchronnie przypomni się ludziom sprawa Bergu*, a pamiętacie,

* „W miasteczku Berg, w pobliżu Monachium w Niemczech Zachodnich amerykańskie tajne służby wywiadowcze założyły małą centralę szpiegowską (raczej ośrodek – przyp. autora) składającą się wyłącznie z ludzi pochodzenia polskiego. Z jednej strony kierowali nią pozostali przy życiu przywódcy nielegalnej organizacji NIE (Niepodległość), którzy odegrali ważną rolę w antykomunistycznym podziemiu w Polsce, a z drugiej strony delegaci przystąpi z Londynu przez ugrupowanie Arciszewskiego. W Bergu prowadzono m.in. kursy dywersji dla młodych emigrantów, którzy mieli być następnie zrzućeni na spadochronach na teren ich rodzinnego kraju.

jakim wstrząsem stała się ta afera dla wschodnioeuropejskiej emigracji politycznej. Zastanawiałem się, czy argumentacja Spaskiego jest wystarczająca. Co o tym sędzicie?

Smith z niewyraźną miną odsunął od siebie kartkę. W gruncie rzeczy nigdy dobrze nie rozumiał, o co idzie w tej skomplikowanej grze. Był bystrym i znakomitym wykonawcą zadań, które przed nim stawiali inni. Wystarczała mu dobra opinia, jaką się cieszył w Waszyngtonie, i możliwość uczestniczenia w operacjach, które stały się podstawą jego zamożności. Każdy stawiany przed nim problem rozstrzygał w dość prostych kategoriach – „Oni”, ci w Waszyngtonie, i ich najbliżsi współpracownicy, jak Pułkownik i Profesor, wiedzą lepiej. Będąc jednak dość dobrze wprowadzony w te mechanizmy, do których ruchu od tyłu już lat się przyczyniał, musiał od czasu do czasu wyrazić bardziej określoną opinię. Nie zawsze wystarczało przysłuchiwanie się opiniom innych.

– Wiecie, że ja mam nieco inny punkt widzenia – zaczął ostrożnie. – Czy ukrywając do tej pory nadrzędność naszych amerykańskich interesów w tej całej kombinacji z emigracją, robimy dobrze? Czy z racji choćby naszej potęgi militarnej i ekonomicznej nie jesteśmy magnesem przyciągającym wszystkich, którzy chcą znaleźć się po naszej stronie? Spaski ma rację – istnieją sojusznicy, dla których dobre to, co amerykańskie. Dolar też. Przede wszystkim dolar. Ostatecznie w Europę zachodnią wpompowaliśmy kilkanaście miliardów i jest to chyba widoczne, co? No więc czyż musimy tak bardzo skrywać naszą chęć zabezpieczenia sobie strefy wpływów również na Wschodzie? A cóż innego robimy od lat w Indochinach? I świat się z tym pogodził, prawda?

Profesor pokręcił przecząco głową:

Fakt, że współdziałało w tym przedsięwzięciu kilku byłych nazistów, powiększył rozmiary skandalu. W powodzi rewelacji w roku 1953 wyszło na jaw, że »zajęcia praktyczne« w Bergu przyniosły Arciszewskiemu i jego przyjaciółom dokładnie milion czternaście tysięcy siedemset siedemdziesiąt dolarów subwencji w okresie od października 1950 roku do grudnia 1952 roku. Tego rodzaju dokładne wyliczenia rzuciły pewien cień na spór, który w roku 1954 miał przeciwstawić szefa »Zamku« Zaleskiego generałowi Andersowi. Spór miał tło finansowe. Jego przedmiotem był »skarby narodowy« zdeponowany w bankach angielskich... Zaleski, zwymyślany przez Andersa, aby otrzymać pożyczkę pięciu tysięcy funtów szterlingów, potrzebną dla zapewnienia utrzymania »rządu«, został zmuszony do oddania do depozytu swej kolekcji starych monet». – Alain Guerin, *Komandosi zimnej wojny*, KiW 1971.

– Niestety, Bill, świat się z tym nie pogodził. I w tej chwili nawet nie myślę o fali demonstracji antyamerykańskich, rozlewającej się szeroko na wszystkich kontynentach. Nawet nie o tym myślę, ale o tych mniej lub bardziej zawołowanych enuncjacjach, jakie nieraz składają poważni politycy zaprzyjaźnionych z nami państw.

– I to nawet takich, które otrzymały od nas mnóstwo forsy – wtrącił Pułkownik. – Sojusznicy w jedną tylko stronę: daj... Ale mimo wszystko Spaski ma rację. Nie ma co tej sprawy roztrząsać. Trudno, stało się i z tego powodu nie ulegną zmianie metody finansowania spraw, które nas obchodzą. Ale skoro już się powiedziało A...

Profesor spojrział na Pułkownika lekko zaniepokojony. Nieraz już zdarzało się, że musiał powstrzymywać realizację niektórych pomysłów Pułkownika, zbyt prostackich jak na tę delikatną grę. Pułkownik jednak, urwawszy tak efektownie, nie spieszył się wcale z dopełnieniem myśli i przywołał kelnera. Dopiero zamówiwszy drinka, powiedział:

– Więc możemy teraz więcej żądać. To jest właśnie to B...

– Nie rozumiem. Mogę prosić o bliższe wyjaśnienie? – Głos Profesora zdradzał wyraźny niepokój.

– Oczywiście, Profesorze. Biorę po prostu pod uwagę sytuację, jaka panuje obecnie w Polsce. Znacie szczegóły, nie będę ich powtarzał. Wniosek stąd dla nas oczywisty – musimy pełniej docierać teraz do Polaków. Nie starcza nam już Wolna Europa, trzeba dotrzeć do polskich intelektualistów.

– To znaczy?

– Ustalić możliwości szerokiego kolportażu na przykład pisma redagowanego przez Spaskiego, gdyż to właśnie pismo powinno znajdować odbiorców w kręgach ludzi, którzy potrafią narzucić reszcie społeczeństwa właściwy kierunek przemian wewnętrznych. Trzeba też poszerzyć krąg czytelników. [...]

– Niech pan wyśle pocztą. Nie radzę panu odwiedzać redakcji – grzmiał do słuchawki Spaski. – Nie, nie zabraniam panu, ale doprawdy lepiej będzie, jeśli się nie spotkamy... lepiej dla pana i dla mnie. Przecież pan wraca do kraju, prawda? No więc... Odpowiem tak, jak zawsze odpowiadają redaktorzy: jeśli tekst

będzie dobry to, panie dziejski, dam do następnego zeszytu. Pan rozumie... Tak, proszę zadzwonić przed wyjazdem... Honorarium? Oczywiście według pana dyspozycji... Zgoda. Do usłyszenia, miły panie.

Doktor sapnął i odłożył słuchawkę.

– Dlaczegoż, u diabła, oni są tak naiwni? – powiedział po francusku do siedzącego w fotelu pułkownika Colberta. – Sprawiają wrażenie prowokatorów wysłanych przez polską policję bezpieczeństwa. Są ogromnie nachalni w szukaniu kontaktów ze mną. Ale często okazuje się, że tylko marzą o druku w naszym piśmie.

– A dużo pan ich ma, tych marzycieli? – zapytał Colbert grzechocząc lodem w szklance z whisky.

– Z Polski?

– No oczywiście. Tych emigracyjnych sami policzyliśmy... – Colbert zaśmiał się, ale Spaski nie był wcale w nastroju do żartów.

– Zawsze się kilku znajdzie – odpowiedział. – Przez dłuższy czas miałem krajowego współpracownika, którego publikowałem systematycznie w każdym numerze. Nie ruszał się z Warszawy, a mimo to... Ale to był doświadczony pisarz i polityk. Przed jego śmiercią dowiedziałem się, że żałował swej decyzji powrotu do kraju. Teraz też mamy przyjaciół w niektórych kręgach, zdają się one być bardziej znaczące niż tradycyjne środowiska pisarskie.

– A tamten co? Zmarł? Wpadł? Zwinęli go?

Spaski rozłożył ręce w geście rezygnacji:

– Wpaść to wpadł, ale zmarł w swoim łóżku. Stary już był...

– O, to polska policja taka miłosierna?

Tym razem doktor nie odpowiedział. Przyglądał bujne włosy i pochylił się nad biurkiem.

Colbert wciąż grzechotał lodem. Przedłużał wizytę, jakby nie dostrzegając lekkiego zniecierpliwienia gospodarza. Spaski wstał i krzątał się przy stoliku z trunkami. Dolał trochę whisky gościowi, sobie zaś koniaku. Z kieliszkiem w ręku siadł znów naprzeciwko Colberta.

– A co słyhać u naszego przyjaciela? Jak zdrowie pana Madeya? – zapytał wreszcie pułkownik przerywając milczenie.

– Nieźle. Tym razem jeszcze się wygrzebał. Mówię oczywiście o jego stanie fizycznym. Psychicznie bowiem nie doszedł do siebie.

– To znaczy?

– Przycichł. Przestał pracować, nie składa mi już cotygodniowych wizyt. Jakby wygasła jego dotychczasowa pasja.

– Wypalił się?

– Może. Byłem u niego kilkakrotnie, ale on teraz nieskory do rozmów. Twierdzi, że jest słaby i czeka na wyjazd do sanatorium. Już do niego nie jeżdżę, ograniczam się do telefonów. Niezbyt chętnie ze mną rozmawia.

– Nie tylko z panem, doktorze.

– Hm, to nie załagodziliście tego sporu między sobą?

– Co? Zupełnie mi to wyszło z głowy. Chciałem mu dać dowód pamięci, ale zdaje się, że on wcale nie życzy sobie tego. Trudno. Trzeba zrozumieć człowieka, któremu śmierć zajrzała w oczy. Ale, ale, czy Madey ma we Francji jakąś rodzinę?

– Nikogo.

– A jego krąg znajomych, przyjaciół?

– Poza mną i moimi współpracownikami nie utrzymywał z nikim stosunków. To typ samotnika.

– A kontakty z krajem?

– Tylko jednostronne. To znaczy korespondencja wpływająca do redakcji, którą mu przekazywałem, oczywiście prasa krajowa, książki i tak dalej. Nigdy nie zdarzyło się, aby wykazał inicjatywę w kierunku zmontowania własnych kontaktów.

– Jest pan tego pewien?

– Najzupełniej. Proszę nie zapominać, że Madey należy do najstarszych moich współpracowników. Od samego początku był ze mną w dobrym i złym. Cokolwiek byśmy powiedzieli o jego obecnym stanie, jedno mogę stwierdzić z całym przekonaniem – to człowiek ogromnie dla nas zasłużony i godzien zaufania. Czyżby pułkownik był innego zdania?

– Skądże! Ja też się odwołuję do naszej starej znajomości. Mamy chyba do siebie zaufanie, prawda? No więc... Pytałem tylko z obowiązku. Często się zdarza, że ludzie rozgoryczeni...

– Rozgoryczeni? Ależ on nie ma żadnych powodów do goryczy. Trzeba być wyrozumiałym, to tylko kwestia czasu. Dojdzie do siebie z pewnością. Muszę się przyznać, że brakuje mi jego sobotnich wizyt.

– A dziś sobota...

– Właśnie. Spróbuję do niego zadzwonić.

Spaski podniósł się z niejakim trudem i podszedł do telefonu. Wykręcając numer ciągnął dalej:

- Był zawsze bezkompromisowy w walce z komunistami. Rozwijał ożywioną działalność publicystyczną nie tylko w prasie emigracyjnej. Wiele czołowych dzienników francuskich publikowało jego artykuły...

Spaski umilkł i trzymając słuchawkę przy uchu wsłuchiwał się w sygnał wywołania.

- Nie ma go - mruknął. - Pewnie poszedł na spacer.

- Albo wyłączył telefon. Mniejsza z tym, doktorze - rzekł Colbert podnosząc się z miejsca. - Będę rad, jeśli pan będzie się nim dalej opiekował. Pan rozumie, on tyle wie...

Spaski odłożył słuchawkę i ściereczką przecierał biurko.

- Może pan być pewien, pułkowniku, mojej nad nim opieki. Rozumiem też pana obawy, ale jestem skłonny suponować, że są one płonne.

- I ja też tak sądzę...

Uściskali sobie ręce, Spaski wyszedł z gościem do przedpokoju. Akurat w tym momencie zabręczał dzwonek. Spaski otworzył drzwi, w których ukazał się Paweł Madey.

- Jak się masz, stary koniu? - wykrzyknął Spaski. - Brawo! Nareszcie znów jesteś!

Madey wszedł lekko przygarbiony, sapiąc ze zmęczenia.

- Comment ça va! - przyłączył się do powitania Colbert. - Świetnie pan wygląda!

Paweł Madey nie odpowiedział na powitania. Zwracając się do Spaskiego rzekł po polsku:

- Dziś sobota, doktorze, prawda? No więc jestem...

Spaski przeprosił Colberta i ujął Madeya pod ramię.

- Ależ proszę, proszę jak najserdeczniej. Pułkownik właśnie wychodzi.

Colbert obrzucił ich szybkim spojrzeniem i wypowiadając banalne słowa pożegnania opuścił lokal redakcji. Spaski, usadowiwszy Madeya w fotelu, krzątał się podając mu wodę mineralną zmieszaną z jakimś sokiem; nie przestawał manifestować swojej radości z powodu przybycia kolegi i współpracownika.

- Nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłem - mówił.

- Właśnie przed chwilą próbowałem telefonować. Jak z tym sanatorium? A samopoczucie? Colbert też się troszczy o ciebie, właśnie wypytywał mnie o twoje zdrowie. Przyjechałeś metrem? A nie za duszno? Z powrotem musisz wziąć taksówkę, albo lepiej sam cię odwiozę. No popatrz, po tylu tygodniach znów jesteś u

mnie. Jeśli jeszcze powiesz, panie dziejski, że przyniosłeś felieton jak zwykle, to zwariuję z radości. No jak, Paweł, jak się czujesz? Już dobrze? Skoro tu przyszedłeś...

Madey machnięciem ręki przerwał potok słów.

- Co chciał od ciebie Colbert? - zapytał. - Czy sprowadziła tu go tylko troska o moje zdrowie?

- Ależ skąd, wpadł z przyjacielską wizytą i przy okazji zgadało się na twój temat. Nie lubisz go? Przecież okazuje nam zawsze tyle przyjaźni...

- Zostaw to, doktorze. My obaj też żyliśmy w przyjaźni.

- Żyliście?

Madey potaknął.

Spaski zrobił zdziwioną minę.

- Paweł, stało się co?

Zamiast odpowiedzi Paweł wstał i podszedłszy do biurka wziął do ręki ostatni numer czasopisma. Otworzył go na odpowiedniej stronie i głośno przeczytał: - „Jesteśmy emigrantami politycznymi...”

- Czy to nieprawda? - zapytał Spaski.

- Prawda.

- No więc?

- Doktorze, nie operujmy półprawdami i ćwierćsloganami. Znamy się tyle lat... Przez wszystkie te lata pracowałem dla ciebie w przekonaniu, że ja mam rację, ty masz rację, że robimy to wszystko dla nas samych, dla naszego narodu i tylko dla naszego narodu... - Madey wrócił na miejsce i opadł na fotel. - Tak, głęboko w to wierzyłem, jak wierzyłem w te filantropijne fundusze z Ameryki. I teraz ta dociekliwa komisja senacka...

Spaski obruszył się:

- Czego chcesz? Czy nie przekonywająco wyjaśniłem swój punkt widzenia? Jak to ma znaczenie, z czyjego budżetu idą dla nas pieniądze, skoro nikt się nie wtrąca do naszej roboty? Nie żyjemy w próżni, nie działamy w próżni. Powtarzam, nie jest wstydem mieć sojuszników...

- I nie jest wstydem być obcym agentem.

- Przesadzasz. Jesteś rozdrażniony, Paweł, i stąd te słowa. Ale ja cię rozumiem. Postaraj się i mnie zrozumieć. Napisałem najszczerzą prawdę...

- O dwadzieścia lat za późno.

- Jak to?

– Dla mnie o dwadzieścia lat za późno. Teraz, gdy dowiedziałem się, że byłem amerykańskim agentem, i to wbrew swej woli... W pierwszej chwili nie do pojęcia była dla mnie propozycja Colberta, ale teraz wiem, że prosił tylko o koleżeńską przysługę. Jak to bywa między nami – agentami... Ale nie to jest ważne. To ty jesteś zręcznym graczem, to ty jesteś duszą i sercem tej roboty za obce pieniądze. Ale ja cię nie oskarżam, nie, doktorze. Winien jestem tylko ja, z całą moją naiwnością, że może być inaczej, że jest inaczej. Właściwie powinienem być ci wdzięczny, że jeszcze przed śmiercią odkryłeś przede mną tę starą prawdę. A wiesz jaką? Jeśli nie ma szczęścia bez miłości, to nie ma spokoju i wolności bez ojczyzny... To nie ja, to Turgieniew... Wiem, co mi teraz powiesz, przytakniesz, że przecież wolność i ojczyzna... Że właśnie dlatego... Jestem zmęczony, doktorze, piekielnie zmęczony. Jedyne uczciwe pieniądze, jakie tu dostawałem, to ta francuska renta... Nie siedziałem w pensjonacie, kiedy trwała tu walka, dlatego mam do tej forsy prawo. Prawo uczciwego człowieka bez względu na to, że ty mnie tej uczciwości pozbawiłeś.

– Paweł!

– Nie protestuj. W głębi duszy wiesz, że mam rację, choć mi jej nigdy głośno nie przyznasz. Niepotrzebne mi jednak twoje przyznanie... Przyszedłem, żeby ci to wszystko powiedzieć, choć mogłem po prostu zadzwonić lub jeszcze prościej – napisać. Ale po cóż tu listy? Powiedziałeś, że nikt się nie wtrąca do naszej roboty. Skłamałeś. Znowu skłamałeś. Te twoje rozmowy z ludźmi z kraju... Przecież to wszystko jest sterowane, nie ty wymyślasz taktykę, którą mi wykładasz. To nie ty jesteś taki mądry, doktorze Spaski... Podziwiałem cię, a teraz wiem, że powinienem podziwiać tych w Waszyngtonie. To są prawdziwie mądrzy ludzie, doktorze...

Umilkł. Ujął znowu szklankę w rękę, Spaski widział, jak chybocze się w niej napój. Przez moment czuł, że ogarnia go panika. Opanować się – opanować za wszelką cenę... Madey jest głupcem, zwykłym głupcem, nic nie pojmuje ze świata, w którym żyje, ten świat trzeba rozumieć nowocześnie, bo jest to świat obalanych granic i wspólnot, gdzie nie liczą się interesy poszczególnych nacji.

– Więc rezygnujesz z dalszej walki, Paweł... Tak sobie tłumaczę twoje dzisiejsze załamanie. Jesteś zmęczony, masz do tego prawo, choć ja nie chcę nawet myśleć, że mogę być zmęczony. Pomyśl, nasza praca jest potrzebna przede wszystkim tym w kraju. Wątpisz w to? Dziś właśnie telefonował do mnie ktoś stamtąd.

Oni Igną do nas, do możliwości swobodnej wymiany myśli, ustalania, co jest, a co nie interesem narodowym.

– Tyś to już dawno ustalił, prawda? Ty dobrze wiesz, co jest tym interesem narodowym. Boże, jak ty umiesz pluć...

– Więc dobrze, nie ja to ustaliłem. I jaki stąd wniosek? Że mamy kapitulować? Pozwolić, aby zapanował wschodni porządek? Przestać istnieć tylko dlatego, że korzystamy z obcych pieniędzy? A mamy własne? Mamy? A te kilkaset egzemplarzy naszego pisma, które co miesiąc trafia do kraju, to ma się już nie liczyć, bo ogromnie wrażliwe sumienie redaktorów nie pozwala na branie pieniędzy zza Oceanu? Paweł, Paweł, zawsze byłeś naiwny, ale przecież nie na tyle, aby nie wiedzieć, iż każde działanie musi być uwarunkowane także pieniędzmi.

– Masz rację, doktorze. Przyznaję ci rację. W gruncie rzeczy pieniądze stanowią o wszystkim. A ty umiesz zabiegać o forszę, zawsze umiałeś.

– Zawsze umiałem być potrzebny – sprostował Spaski.

– Zawsze wiedziałeś komu. To cenna umiejętność. Ale ja nie przyszedłem do ciebie, aby ci czynić wymówki. Wiesz, po co przyszedłem?

Spaski wichrzył palcem czuprynę. Był zdenerwowany. Wiedział przecież, że jest to pożegnalna wizyta Madeya, że w tym momencie się z nim rozstaje. Nagle nasunęła mu się myśl, iż tamten może w rozdrażnieniu popełnić jakieś niewybaczalne głupstwo.

– Wiem, Paweł, dobrze wiem – odpowiedział łagodnie. – Po tylu latach rozchodzimy się. Trudno. Ciężko mi się z tym pogodzić, twoje pióro dobrze nam służyło, ale nie będę usiłował wpłynąć na zmianę twojej decyzji. Proszę tylko, abyś przez pamięć o naszym wspólnym trudzie starał się być rozsądnym.

Madey uniósł głowę.

– Co to znaczy być rozsądnym? Co przez to rozumiesz? Czego się obawiasz? Co może zrobić stary człowiek, gdy jest chory i samotny? Zabić się? A po co? Śmierć przyjdzie sama... Ja w dalszym ciągu jestem katolikiem, doktorze.

Spaski potaknął. Jest katolikiem, oczywiście. Przecież nie o to idzie. Czy ten głupiec nie rozumie sensu moich obaw? Jak mu to wyraźniej dać do zrozumienia? Chrząknął i powiedział:

– Jedziesz teraz do sanatorium. Jakie masz plany po powrocie?

Madey nie odpowiedział. Całymi latami nie pamiętał o swym katolicyzmie, obojętność wobec wiary przerażała go. Kiedy

teraz uczynił to wyznanie, zrobił to na przekór intencjom Spaskiego. Znał go zbyt dobrze, aby nie wiedzieć, że doktor jest zaniepokojony. Niech więc niepokoi się dalej. A w tamtych latach w zagraconym i ciemnym pokoiku na Żoliborzu? Latach wielkiej fascynacji owym olbrzymem o łagodnych oczach? Miesiącach wadzenia się z nim i z Bogiem? Latach dziennikarskiej terminatora u ojca Bazylego, które były latami pokory, wynagradzanymi docześnie? Co wtedy przeważało? Łagodny sceptycyzm, kpina z własnego losu czy oportunistyczny? No dobrze, wtedy był oportunistą, musiał nim być choćby dlatego, aby ratować poczucie własnej wartości, potwierdzanej w redakcji ojca Bazylego, a podważanej przez tę, którą tak bardzo kochał. A więc to chęć zdobycia sukcesu, sukcesu za wszelką cenę, pchała go do ugody z tamtymi ludźmi, którzy go w końcu kupili. No tak. Kupili... I znów ta scena na Gare du Nord, kiedy szedł ku wyjściu sprawdzając pieczęcie na listach. Paryż miał być etapem i był nim – ostatni etap jego życia, być może za długiego. I komu zdać teraz rachunek z tego etapu? Jak to uczynić?

– Plany? – ocknął się. – A jakież ja mogę mieć plany? Powolne konanie lub, jeśli chcesz dożywanie... Będę pisał, porządkował te swoje notatki. Akcja na Nordzie, réseau Szymona... I potem ćwierć wieku w twojej służbie, doktorze. To też warto byłoby utrwalić. W twojej służbie, delikatnie mówiąc...

Spaski spojrzał uważniej na swego gościa. Będzie pisał, a więc to trafi do druku. Doświadczony dziennikarz nie sięga po pióro, aby pisać do szuflady. On ma zamiar to opublikować...

– Doskonale – powiedział. – Pochwalam ten zamiar. Naszym obowiązkiem jest wystawić świadectwo epoce.

– I sobie – uzupełnił Madey.

– Tak. I sobie, oczywiście. Dla innych. Mam nadzieję, że niedługo będę mógł opublikować tę pracę w *Dokumentach epoki*. Ta seria chwyciła, wiesz, ile listów przychodzi zawsze po każdym tomie. Mógłbyś z grubsza, panie dziejski, określić termin dostarczenia mi maszynopisu?

– Tobie? – Madeyowi zdało się, że uchwycił błysk popłochu w spojrzeniu Spaskiego. – Tobie? – powtórzył. – Doktorze, jesteś znakomitym redaktorem i wydawcą, lecz przecież nie jedynym.

Spaski poderwał się zza biurka. Przemierzając pokój szybkim krokiem, podniósł głos jak zawsze wtedy, gdy był zdenerwowany i gdy coś nie szło po jego myśli.

– Paweł, do diabła, ocknij się z tego idiotycznego stanu! – grzmiał. – O co ci idzie? Siedzisz ze mną na jednym stołku i zejść z niego nie możesz. Kim jesteś tu w Paryżu beze mnie i bez moich przyjaciół? Emigrantem i jałmużnikiem francuskiej armii. Nie pozwolą ci zdechnąć z głodu, ale to wszystko. Wszystko, panie dziejski. Nie chcesz być potrzebny, choć jeszcze możesz. Bóg z tobą. Wybierasz samotność dożywania, jak to określiłeś. Ładnie. Nie po to żyjemy w warunkach wolności, aby ci coś narzucać. Ale zapamiętaj, Paweł – jeśli uczynisz cokolwiek, co skomplikuje mi moją robotę, zniszczę cię. Zniszczę bez chwili zastanowienia. Żaden kraj nie ma obowiązku trzymać u siebie ludzi niewygodnych, a ty się takim niewygodnym staniesz, jeśli...

– Jeśli opublikuję moją pracę gdziekolwiek indziej. Brawo. Nareszcie spadła maska przyjaźni z twarzy znakomitego redaktora. Ale ja cię przejrzałem wcześniej, doktorze, i nie jest to dla mnie niespodzianka. Teraz grozisz, jak groziłeś już wielu przede mną. Wykańczasz, jak wykończyłeś wielu przede mną. Wiem, oczywiście, że na przykład nakaz ekspulsji dla mnie to tylko kwestia jednej rozmowy z Colbertem, wszechmocnym twoim przyjacielem. Ale tym razem pomyliłeś się, doktorze. Ja nie jestem sam. Wcale nie jestem śmieciem, o którego nikt się nie upomni. Znajdą się tacy, którzy wiedzą, kim byłem i co robiłem na tej ziemi, podczas gdy ty... Nie, ja ci groził nie będę. Wyjdę stąd i zapomnę o tej rozmowie. Raczej będę starał się zapomnieć. I – na koniec – chcę uśmierzyć twoje obawy. Nie wybieram się do polskiego konsulatu, nie będę zabiegał o prawo repatriacji, nie nawiążę kontaktu z żadnym krajowym wydawcą. Nie wolno mi tego zrobić. Ale wcale nie przez pamięć na nasze wspólne lata, tylko dlatego, że jestem człowiekiem, który im przeszkadzał. Przeszkadzał własnej ojczyźnie. Był wrogiem i teraz nie będzie nawróconym grzesznikiem. Więc skoro nie wolno mi czy nie mogę wraz z nimi budować, nie będę już przeszkadzał. To wszystko.

Podniósł się z miejsca i wyciągnął do Spaskiego rękę:

– Żegnaj, doktorze Spaski. Rozchodzimy się każdy w swoją stronę. Ty do swej niespożytej aktywności, ja zaś w cień. Cień mi wystarczy. A co do tego maszynopisu, to dopiero po mojej śmierci... Zostawię dyspozycję. W cywilizowanych krajach szanuje się ostatnią wolę, prawda?

Spaski odwzajemnił uścisk w milczeniu. Madey z satysfakcją obserwował wyraz ulgi na jego twarzy. Powinien go teraz zostawić

w spokoju. Potrzebny mu jest spokój, jeśli chce wykonać tę swoją ostatnią pracę.

– Żegnaj, Paweł – powiedział Spaski cicho. – Nie wierzę, abyśmy się rozstawali na zawsze. Żle mnie oceniasz. Nigdy cię nie będę traktował jak wroga, to niemożliwe. Twoje odejście uzasadnię każdemu, kto będzie o to pytał, względami zdrowotnymi. Nic ci z mojej strony nie grozi i grozić nie będzie...

Gdy Madey schodził po marmurowych schodach okazałej kamienicy, czuł się o wiele lepiej niż przed dwiema godzinami, kiedy tymi samymi schodami piął się w górę. Idąc ulicami Paryża rozmyślał, że oto został zupełnie sam w tym mieście, do którego zawitał na krótko przed trzydziestu laty. Ale tym razem nie ciążyła mu samotność, bowiem była to samotność z wyboru.

Wsiadł do autobusu i pojechał do miejsca, którego tyle lat unikał. Wsiadłszy przed rozległymi zabudowaniami dworca Północnego, wmieszał się w tłum podróżnych przewalających się w hali, skąd wybiegały perony. Przed każdym z nich zatrzymał się chwilę, aż odnalazł tablicę, której poszukiwał: Drobnym i niespiesznym krokiem powędrował potem peronem wzdłuż odpoczywających i pustych wagonów. Spoglądał na zakurzone szyby, przebiegał wzrokiem literki oznaczające przynależność państwową. Wreszcie przystanął. Na zielonkawej szarzyźnie jaśniało PKP. Jeszcze parę kroków i zobaczył tablicę z napisem: *Warszawa Gł. – Frankfurt/Oder – Köln – Paris Nd.* Odsunął się nieco, aby ogarnąć wzrokiem cały wagon, który jeszcze przed kilkunastoma godzinami stał na warszawskim dworcu, do którego wsiadali ludzie, pod którego oknami gromadziły się grupki odprowadzających. Tam wokół rozbrzmiewała polska mowa. A tu? Znowu podszedł do tablicy i wyciągnął rękę. Pogłodził tę tablicę wyczuwając opuszkami szorstkość kurzu. Przybliżył dłoń do twarzy i długo wpatrywał się w brud osiadły na palcach. Wtedy poczuł ogromne zmęczenie. Powędrował pod dach hali i przysiadł na kawiarnianym krześle. Pił zimne mleko i obserwował tłum podróżnych, słuchał szybkiego trzepotu francuszczyzny. Zapadał zmierzch, kiedy wyszedł przed dworzec i zatrzymał taksówkę. Podając kierowcy adres pomyślał, że stało się tak, jakby w końcu przekroczył jakąś niewidzialną granicę.

Dlaczego tak długo trwało to opętanie Spaskim? Zawsze wymagał od siebie logicznego myślenia, dlaczegoż był ślepy i głuchy? Przejrzał, ale jest już za późno. Niczego nie naprawi,

nie nie zmieni. Wszystko zostanie po staremu z jednym tylko wyjątkiem – opróżniło się miejsce felietonisty w piśmie Spaskiego, ale to miejsce wnet będzie wypełnione, znajdzie się następca, stąd czy stamtąd, który skrupulatnie wykona, czego od niego będą żądać. Nic więc się nie zmieni. Teraz tylko ta książka. Zawrze w niej swoją prawdę o tym ćwierćwieczu, niech się krzywią ci i tamci.

Wysiadając z taksówki spojrzał w perspektywę swej ulicy. Tu też nic się nie zmieniło, wszystko jakby zastygło w kształcie sprzed lat. Sklep *confiserie* ze stojącą przed nim srebrną kamionetką, tuż obok *épicerie*, gdzie zawsze kupuje ulubione sery, kilka bliźniaczo do siebie podobnych jednopiętrowych kamieniczek, a w jednej z nich najokazalszy sklep jubilera. Nic więc tu nie przybywa, nic się nie starzeje, tylko ludzie. Wchodził wolno do swego domu, myśląc z niechęcią, że zaraz się będzie musiał zająć przyrządzaniem jakiegoś posiłku. Przypomniawszy sobie o butelce wina, którą wręczyła mu na powitanie pani Dupont, a której dotychczas jeszcze nie otworzył.

Przekręcił klucz w zamku i wchodząc potknął się o coś na podłodze. Była to stara skórzana teczka, z którą się nie rozstawał od czterdziestego pierwszego roku, kiedy to przeniósł w niej pierwszy ładunek broni – efenkę i kolta. Od tamtej chwili teczka ta towarzyszyła mu stale podczas pracy i walki w konspiracji. I wtedy w Nordzie, kiedy to eskortował transport broni ze zrzutów. Wielekroć wracając myślą do tamtego wydarzenia i swojej ucieczki, zastanawiał się, jakim sposobem, wyskakując z pociągu, zabrał wówczas ze sobą tę teczkę. Był to rodzaj fetyszu, pamiątki z lat, których się nie zapomina. Więc potknął się o tę właśnie teczkę, choć od kilku lat nie brał jej do ręki. Skąd się wzięła w przedpokoju na podłodze? Schylił się i ostrożnie podniósł ją. Zajrzał do środka. W wewnętrznej kieszeni tkwiło kilka dokumentów. Były to zaświadczenia z *Résistance*, legitymacje odznaczeń, wyciągi z rozkazów. Do licha, czyżby już tak stracił pamięć, że nie pamięta, kiedy ją wyjął? Wszedł do pokoju... Z przyzwyczajenia spojrzał wpierw na swoje biurko, gdzie zawsze stała maszyna do pisania. Maszyna znajdowała się na fotelu, zaś biurko było zasłane papierami. Trzymając mocno w ręku teczkę, jakby ktoś chciał mu ją zabrać, podszedł bliżej. Wyciągnięte do połowy szuflady i okropny bałagan, jaki w nich panował, potwierdziły fakt bezsporny. Ktoś tu był i czegoś szukał.

Oparty rękami o blat wpatrywał się ponuro w porozrzucane papiery. Czyżby rezygnacja ze współpracy ze Spaskim oznaczała

coś więcej? Czego szukali? Dowodów na to, że jest komunistycznym agentem? To byłoby zbyt prymitywne, a ci ludzie do prymitywnych nie należą. Nie, takich dowodów nie szukali. A może to zwykłe włamanie? Pochylił się nad wyciągniętą szufladą, na samym wierzchu leżał portfel z gotówką i książeczka oszczędnościowa. Nie naruszone. Jeszcze stary srebrny zegarek, dar rodziców z okazji matury. I ten leży na swoim miejscu. A więc to nie złodziej...

Poszedł do przedpokoju, obejrzał zamek drzwi wejściowych. Żadnego śladu. Tylko jakby klucz przekręcał się z większym oporem. Fachowcy. Zdenerwowany wrócił do pokoju i zaczął przeglądać porozrzucane papiery. Na pozór nic nie zginęło, choć ten ktoś był ogromnie ciekawy – przepatrzył nawet egzemplarze czasopisma Spaskiego.

Nie miał już wątpliwości, co się za tym kryje. Spaski od kilku tygodni musiał się zorientować, że ich drogi się rozchodzą. Skandal w amerykańskim Kongresie i ujawnienie źródeł finansowania tego rodzaju jak instytucja Spaskiego przedsięwzięć obudziły czujność protektorów. [...]

•

– No więc zrozumiał pan? Po raz pierwszy od kilkunastu lat jawi się przed nami szansa. Wszyscy pracujemy dla niej i my, emigranci, i odważni ludzie w kraju. Tym razem się uda, jeśli... – Spaski zawiesił głos i wlepił wzrok w twarz Mietka. – Jeśli Polacy wreszcie uświadomią sobie, że mogą uzyskać więcej.

Mietek kroił uważnie kawałek mięsa i dostrzegał barwy potraw. Brązoworóżowy płat mięsa, pomarańczowe frytki, zieleń pomarszczonej sałaty okraszonej czerwienią pomidora. I rubinowy cień wina w pękatym kieliszku, i lodowy blask wody w smukłej szklance. Talerz z serami, koszyk z pieczywem i w tle szlachetnie sklepiona głowa okolona bujną, przyprószoną siwizną czupryną. Twarz patrycjusza i sybaryty. Godna postawa. Serdeczność. Z pewnością świetnie by wyglądał w telewizji. Jest w tej knajpie znany, na dźwięk tego nazwiska kelner natychmiast wskazał stolik ukryty między wysokimi oparciami, jak w kolejowym *coupé*.

– Witam, witam serdecznie... Daszkiewicz junior. Bardzo pan jest podobny do ojca. Nie musieliby mi pana przedstawiać. Cieszę

się, że mam znów do czynienia z przedstawicielem szlachetnego rodu.

Sadowił go naprzeciw siebie, przyzywał kelnera, studiował głośno kartę win, radził się, czy Chateaufort-du-Pape 65 mają lepszy niż Pomerol z tego samego rocznika, zamawiał z wielką rozwagą potrawy, cały czas konwersację z kelnerem przeplatając polskimi słowami, w których wyrażał swoją opinię na temat win i dań.

Mietek od samego początku czuł się skrępowany, nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami, czy serwetę już teraz rozłożyć na kolanach czy jeszcze poczekać, był zły, że na pytania Spaskiego odpowiada monosylabami, że wygląda na kmiotka, którego przypadkowo dopuszczono do wielkopańskiego stołu. Napiłby się teraz z przyjemnością kieliszek czystej wódki, aby złapać trochę oddechu, a może i odprężenia. Wódki jednak nie było, zamiast niej pociągali przed posiłkiem jakieś gorzkie i aromatyczne świnistwo. Spaski cały czas monologował, ogromnie zadowolony – nie wiadomo – z siebie czy z tego spotkania. Wykładał, że niełatwe jest życie na obczyźnie, że jest się oderwanym od zasadniczego nurtu życia narodu, że obcy dawno już zapomnieli o wojennych obietnicach, a przypominanie im tego nie daje żadnych skutków. Wreszcie przeszedł do chwili obecnej:

– Uzyskać więcej – powtórzył. – Rozumie pan? Kiedy pan wyjechał z Polski? W końcu lutego, ach tak... No, jakie tam wtedy panowały nastroje? Nietęgą, co? Wiem, wiem, nie potrzebuje mi pan mówić, fakty i zdarzenia dały na to wystarczającą odpowiedź, panie dziejski, wystarczającą.

– A jednak w Polsce wszystko wróciło do normy, panuje spokój, czego nie można powiedzieć o Paryżu – powiedział Mietek.

– Spokój? Czy wie pan, ile ludzi opuszcza teraz kraj? No, zdrowie, panie Daszkiewicz, w pańskie ręce...

Upili łyk wina, Spaski szczerze dołą z butelki.

– Dobrze, prawda? Pan lubi wino?

Mietek nigdy dotychczas nie zastanawiał się, czy lubi wino. Trzeba przyznać, że wino do dobrego obiadu sprawia, że się lepiej słucha... A może i lepiej mówi? Dotychczas nie miał okazji, prawie nic jeszcze nie powiedział. Mówi tylko Spaski...

– Bola mnie pijackie obyczaje w kraju. Był taki pisarz, który to wyraził najbrutalniej. Hłasko. Zna pan to nazwisko zapewne? Drukowałem wiele jego prac. Żałuję, że ostatnio pisze coraz

oporniej. Prawda, pan zapewne nie wie, że ja tu mam własne wydawnictwo. Zrobiło się kawał roboty do tej pory. Wydaję miesięcznik od dwudziestu lat, prócz tego kilka serii książkowych, z których każda liczy już dziesiątki tomów. I właściwie jestem sam jeden, nie licząc nikłej pomocy administracyjnej. W kraju byłbym potężnym wydawcą, pewnie zatrudniałbym dziesiątki, jeśli nie setki ludzi. Byłbym albo i nie...

Spaski, upiwszy łyk wina, ciągnął dalej:

– Ja tu nie jestem taki znów oderwany od kraju. Co to, to nie, panie dziejski. Przyjeżdżają ludzie stamtąd, przyjeżdżają. W kraju, nie powiem, mam też nazwisko. Ilu to już osobiście poznałem, ha, ha, luminarzy... Chętnie przyjeżdżają na ten niby to Zachód. A pan też chętnie tu przyjechał?

Spaski wyraźnie oczekiwał odpowiedzi, bo wlepił weń oczy i przestał nawet poruszać sztuccami.

– Czy chętnie? Przyznam, że miałem trochę emocji przed wyjazdem do Ameryki. Wielka podróż, inny świat. Możliwość konfrontacji, porównań, ale nie tylko. Także i jakiegoś... no... zderzenia. Wyobrażeń i rzeczywistości. Mitów i faktów. Cieszę się, że wyjechałem. Teraz wiem, jak wygląda Nowy Jork i jak wygląda Paryż. I ta wiedza była mi bardzo potrzebna.

– A więc pan ma już wiedzę? O Ameryce i Francji? Świetnie. A jaka to wiedza? Czuje się pan ekspertem od tych krajów?

Mietek spojrzał chłodno na rozmówcę.

– Nie jestem ekspertem, proszę pana. Ani od tych krajów, ani od innych.

– Nawet od Polski?

– Nawet. Nawet w dziedzinie, w której pobierałem wykształcenie.

– Jest pan, zdaje się, prawnikiem?

– Ukończyłem wydział prawa ze specjalnością prawa administracyjnego. Wykształciłem się na urzędnika.

– I nie pan zamiaru robić kariery w sensie tradycyjnym dla tego zawodu? No, aplikacja sądowa, praca sędziego, potem adwokatura?

– Nigdy nie myślałem o adwokaturze. Może dlatego, że tam się jest zdany wyłącznie na własne siły...

– A pan tego nie lubi? I to mówi młody człowiek z wyższym wykształceniem, samodzielny i zamożny jak na krajowe warunki? Nie lubi pan samodzielności, no, no, za moich czasów

uniwersyteckich bywało zupełnie inaczej. Całe szczęście, że my tu, na Zachodzie, przyzwyczajani jesteśmy do samodzielności. Od nas zależy, aby ludzie w kraju uwierzyli, że może być inaczej. Trzeba do tego dążyć, panie dziejski, nie szczędzić sił.

Mietek odłożył sztucce i powiedział:

– Pan, zdaje się, zaprosił mnie na obiad? Czy pan przypadkiem nie zapomniał, że w mojej kieszeni znajduje się paszport z literkami PRL?

– Przepraszam, ale co ma do rzeczy paszport, który się nosi w kieszeni? Co mnie obchodzi, że władze policyjne wielu krajów oglądają podczas podróży mój francuski paszport? Czy przestałem przez to być Polakiem? Czy tylko pan i panu podobni mają prawo do tego miana? Na szczęście nie zależy to od „PRL”, jak to pan ładnie powiedział. Dlaczego pan wstaje? Czy wolno się panu obrażać na starszego człowieka tylko dlatego, że powiedział coś, co nie bardzo się zgadza z jego własnymi poglądami? Niechże pan siada, panie dziejski, nie godzi się tak reagować na uwagi przyjaciele. No, wypijmy na zgodę, inaczej powiem, że jest pan źle wychowany. W dyskusji można używać różnych argumentów. To taki stary dziennikarski nawyk. Ja pana znam, panie Daszkiewicz, dobrze znam. To, że się dziś spotkaliśmy po raz pierwszy w życiu, o niczym nie świadczy. Pisał mi o panu Smith z Nowego Jorku. A ja przyjaźnię się z nim już kupę lat i wiem, jaki to wartościowy człowiek i że się nigdy nie myli w ocenie innych. Otóż on mi pisał, że pan mi złoży wizytę i wyświadczy pewną przysługę. Co prawda zaczynam w to powątpiewać, ale spróbować nie zawadzi.

Mietek znów usiadł. Usłyszał coś, co stanowiło dlań zupełną niespodziankę. Smith przedstawił go listownie, był pewien, że się spotkają i że on odda Spaskiemu usługę. Ciekawe. Przecież do wczoraj on sam nie wiedział, że zdobędzie się na ten telefon. Poza tym Smith jest w Paryżu. Skoro są przyjaciółmi...

– Smith panu pisał czy może mówił? Przecież jest w Paryżu. Nie odwiedził pana?

– Owszem, odwiedził, ale to nie ma nic do rzeczy. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Niech pan pije, panie Daszkiewicz, to znakomite wino. I nie boli po nim głowa. Więc zdrowie... Doskonale. Proszę, niech pan spróbuje tych serów, uwielbiam te miękkie, kremowe i półkremowe. Jadł pan już „caprice des dieux”? Albo ten ostrzejszy „le petit François”? Niech pan spróbuje. No i co weźmiemy na wety? Szampan czy koniak? A może jedno i drugie?

Co pan wybiera? Wszystko jedno? *Garçon! Mumm s'il vous plaît, mon ami...*

Co by powiedziała Linda, gdyby była świadkiem tej rozmowy? Gdyby mówiła i myślała po polsku? Byłaby z niego niezadowolona. Nie jest partnerem do dyskusji. Dlaczego, do diabła? Przecież wyczuwam, gdzie są przeciwnicy, cały ten front na linii Nowy Jork – Paryż. Wiem, kim oni są.

Kelner postawił na stoliku srebrny kubetek z omotanym białą serwetką łebkiem butelki. Mietek przyglądał się, jak zgrabnie odkorkował butelkę z dyskretnym klaśnięciem korka, który pozostał mu w dłoni. Szybko rozlał syczącą pianę do płaskich kielichów i oddalił się spiesznie, by dalej kręcić się między kuchnią, kasą a stolikami, wymachując to białą serwetką, to pełnymi smakowitej treści półmiskami.

Pili szampana w milczeniu, Spaski coś tam sobie rozważał, coś kombinował. Mietek był rad z tej przerwy. Czuł, że wypite wino przydało mu trochę śmiałości. Do pewności siebie było jeszcze daleko, ale skoro zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z przeciwnikiem, postanowił podjąć rękawicę.

– Więc jest pan nie tylko w korespondencyjnym kontakcie z adwokatem Smithem. Czy pana interesy wydawnicze obejmują może także rynek amerykański? Jeśli pan Smith jest pana adwokatem, to jakiego rodzaju interesy reprezentuje?

Spaski ocknął się i znów wrócił mu wigor.

– Interesy? Kto panu mówił o interesach? Smith jest moim prywatnym znajomym i przyjacielem. I, panie dziejski, jest pan na niewłaściwym tropie łącząc jego osobę z moimi interesami wydawniczymi. Moje wydawnictwo jest wydawnictwem wyłącznie polskim i, chwała Bogu, jakoś nie bankrutuję. Widocznie nie brakuje mi odbiorców drukowanego polskiego słowa. Czy nigdy doprawdy nie trafiło do pana w Warszawie moje pismo? Niech pan mi szczerze odpowie, nie trafiło?

Tak. Czytał kiedyś to pismo. Raz pożyczyła mu je Maria, innym razem Wojtek. Czytali i dyskutowali wtedy prozę znanego polskiego pisarza, który postanowił zrezygnować z ojczyzny. Była to wtedy nie byle sensacja. Ów pisarz był jednym z pierwszych, którzy, faworyzowani dotąd i opływający w dostatki, postanowili opuścić kraj. Potem była jeszcze sprawa głośnego kompozytora, znanego architekta, pianisty i tak dalej. Niektórzy z nich milczeli potem, jakby zawstydzeni, inni robili sobie za granicą

prasę przez sensacyjne oświadczenia i opluwanie byłych kolegów. Ta proza wówczas to właściwie była rozpisana na głosy wielka denuncjacja i tych, z którymi ten człowiek zasiadał we władzach łączącego ich związku twórczego, i tych, którzy obdarzali ich nie byle jakimi przywilejami w ciężko doświadczonym i zrujnowanym kraju.

– Owszem, trafiło – odpowiedział. – I co z tego? Czy chce mnie pan zapytać o wrażenia z lektury?

– Nie. Chodziło tylko o ustalenie faktu. Te druki potrzebne są nam, Polakom. I tu, i tam. Za dwa dni wyjdzie tom dokumentacji poświęcony niedawnym wypadkom w Polsce. Prześlę go panu do hotelu. Ja, proszę pana, nie jestem politykiem. Wydawcą – tak, dziennikarzem – tak, uchodzącą – tak, ale nie politykiem. Zawsze byłem jak najdalszy od londyńskich swarów śmiesznych panów bawiących się w rządy i skarby narodowe. Oni mnie nawet wyklęli za to, że nie chciałem im służyć. Pamiętam, w pierwszych latach po wojnie obiecywali mi nawet znaczne sumy, abym podporządkował pismo legalnemu, jak to się wówczas nazywało, rządowi. Ale ja nie. Zawsze uważałem, że polityka tych panów jest polityką pajaców, a nie mężów stanu. Tak, tak, panie dziejski, pajaców. A wracając do mnie, to jedynym moim pragnieniem jest pomóc krajowi. A pomagać powinien każdy uczciwy Polak.

– Święte słowa. I wie pan, nieraz się nad tym zastanawiałem, jak pomóc. Czułem, że to, co dotychczas robiłem, było jałowym trudem. Nie wytrzymałem w biurze. Chciałem iść do bardziej konkretnej roboty, na budowę, ale i to mi się nie udało. Ja bym chciał, chciał... być użyteczny.

– Pan na budowę? Pomimo swego wykształcenia i możliwości, jakie pan posiada? Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko bzdurne pomysły. Powinien pan być aktywny, owszem, ale nie na budowie. Pana miejsce jest gdzie indziej.

– Gdzie? – Mietek jakby zapomniał, z kim rozmawia. Zdawało mu się, że życzliwość Spaskiego nie jest sztuczna. Może ma jakąś rację w tym, co mówi? W kubeku stała pusta butelka po szampanie. Spaski zamówił dwa kieliszki koniaku.

– Spróbujemy tego bisquita. Niezły. Dlaczego pan nie pije? W pana wieku nie wiedziałem, co to umiar... Jeśli jest okazja... Jest pan całkiem sympatyczny, ma pan tylko trochę zawężony sposób myślenia. Nie dziwię się temu. Pan się już urodził po wojnie.

No właśnie. Podobna mi się, że pan zapytał mnie, gdzie jest jego miejsce. Chciałbym panu umieć na to pytanie odpowiedzieć.

Spaski miał czerwoną twarz i zaróżowiony nos. Popijał koniak drobnymi łykami, rozprowadzając trunek językiem po podniebieniu. Odstawił kieliszek i wyciągnawszy ramię przez stół oparł je na barku Mietka.

– Podobna mi się pan, młody człowieku. Podobno nie chciał pan dłużej zostać w Stanach. Nie dziwię się. My Europejczycy nie bardzo trawimy ich prymitywizm pomieszany z techniką. My, proszę pana, mamy w kościach parę tysięcy lat rozwoju naszej cywilizacji. Oni zaś – zaledwie dwieście rozpychania się łokciami. Jednak dzielnie się pan tam spisał, całkiem dzielnie.

W Mietku znów obudziła się czujność. O czym on mówi, co wie o jego pobycie w Stanach? Zapewne to samo co Smith. A co wie Smith? Czy dowiedział się o jego wizycie u tej kobiety? Czy oni sprzysięgli się, aby go osaczyć?

– Nie rozumiem. O czym pan mówi? – spytał ostrożnie.

– Pan nie wie? Dobrze, daję słowo, dobre! *Raptus puellae*! Przecież porwał pan córkę Smitha i uwiózł do Francji... No proszę, wpuścić takiego do kraju i już w nim gra słowiańska krew. Smith nie jest z tego zadowolony, mój panie, i chyba nie ma się co dziwić. Jestem nawet skłonny przypuszczać, że wybrał się do Paryża nie tylko w interesach.

Mietek patrzył z napięciem w twarz Spaskiego. Tamten mówił z uśmiechem, zaczerwieniony i jakby lekko podniecony:

– Nie tylko w interesach. Był rozgoryczony, kiedy mi o tym mówił. Chciałby ją zabrać do domu. Co pan na to? Zgodzi się pan?

– Proszę pana, nie widzę potrzeby rozmawiać tu o moich sprawach osobistych. I to takich, które nie tylko mnie dotyczą.

– Przepraszam. Ja tylko tak z czystej przyjaźni. Widzi pan, ja znam Smitha. To człowiek ogromnie ustosunkowany, on dużo może.

– Na przykład?

– Bez przykładów. Po co zaraz przykłady? Przecież ja tylko tak o tym napomknąłem. Ma pan poważne plany?

– Więc co mówił Smith? – Mietek zignorował pytanie. – Groził? Spaski wzruszył ramionami.

– Skądże. A cóż on panu może zrobić? Jest pan we Francji legalnie, dokumenty ma pan w porządku, oboje jesteście

pełnoletni w obliczu prawa francuskiego, a i amerykańskiego, no więc czego się pan obawia? W dodatku wraca pan do kraju, nikt panu w tym nie może przeszkodzić.

– Ja o tym panu mówiłem?

– O czym?

– Że wracam do kraju?

– Nie. Ale dokąd ma pan jechać? Z naszej rozmowy wynioskowałem, że pan wraca, ot i wszystko. Czy może się pomyliłem?

Mietek milczał. Poczucie jakiegoś narastającego niebezpieczeństwa znów odezwało się w nim. Smith i jego wspólnik osaczają go na wszystkie sposoby.

– Jak najszczerzej przestrzegam pana przed pochopnym krokiem. Jeśli ma pan zamiar zostać na Zachodzie, to z góry mówię, że jest to zły wybór. Co pan będzie tu robił? Na razie, dopóki ma pan pieniądze, wszystko w porządku. Ale potem? Zanim pan uzyska zezwolenie na pobyt, przejdzie przez policyjne badania... A tak na marginesie, czy był pan w Polsce prześladowany? Nie sędzę, przecież nie daliby panu paszportu. No więc starania o zezwolenie na pobyt pochłoną sporo czasu i pieniędzy. Trzeba będzie wziąć adwokata, bo sam pan się pogubi w tym wszystkim. Pana zawód nie rokuje tu najmniejszych nadziei. Pewnie, jest pan młody, może się pan nauczyć jakiegoś fachu, ale musi pan być przygotowany na zaczynanie życia od początku. No i z czego pan utrzyma dziewczynę? Przecież jej ojciec nie da wam ani grosza. Stanie się pan natychmiast pariasem, panie dziejski. Tu nie lubią obcych, chyba że są turystami i zostawiają swoją forszę.

Osuszył do końca kieliszek, oblizał wargi i ciągnął dalej:

– Tego się po panu nie spodziewałem. Przecież sam pan mówił, że chce pan być użyteczny dla kraju. Więc nie tu, panie dziejski, nie tu. Użytecznym dla kraju można być tylko w kraju.

Mietek spojrzał na Spaskiego z sympatią. A może nie jest on taki, za jakiego go miał w trakcie rozmowy? Uważa, że jego miejsce jest w Polsce. Tylko dlaczego tak się przeraził przypuszczeniem, że mógłby zostać?

– Nie pije pan koniaku? Szkoda, jest doskonały. No więc jak? Wraca pan do ojczyzny?

Mietek skinął głową.

- No, tego się spodziewałem. - Spaski odetchnął głęboko. - Jest więc pan człowiekiem rozsądnym. I przyjemnie się z panem gawędzi. Muszę panu podarować trochę wydanych przeze mnie książek. To ciekawa lektura. Piszą u mnie i ludzie z Polski. Ciekawie piszą. Kiedy pan wyjeżdża?

Mietek uczynił nieokreślony ruch ręką.

- Pytam, bo chciałbym zdążyć posłać panu do hotelu trochę tej lektury. Zapewniam, że nie straci pan czasu na próżno. Zdąży pan przeczytać przed wyjazdem?

On chce się dowiedzieć, kiedy wyjeżdżam. Do tego wyraźnie zmierza. Nie wolno zdradzić się z niczym, nie wolno.

- Zdążę, oczywiście. Zostawię panu adres hotelu.

- Nie trzeba. Smith mi dał. Jeszcze przed wieczorem będzie pan miał paczkę u siebie. Tak więc zbliża się do końca pana pobyt we Francji. Zadowolony pan z tej podróży?

- Nawet bardzo.

- Leci pan samolotem?

- Nie wiem jeszcze, nie pomyślałem o tym.

- Nie radzę samolotem. Nic pan nie zobaczy i po dwóch godzinach ląduje w Warszawie. Lepiej pociagiem. Można sobie wysiąść gdzieś po drodze, zwiedzić jedno i drugie miasto. Zresztą mam dla pana propozycję - powinien pan jechać przez Pragę czeską. Trochę dalej, ale po drodze bardzo atrakcyjne miasta w Niemczech Zachodnich, no i Praga też ciekawa... Wie pan, mam przyjaciela w biurze podróży, on panu załatwi zamianę biletu, nie będzie to nic kosztować. Pojedzie pan?

- Przez Czechosłowację?

- No tak, przecież nie potrzebuje pan czeskiej wizy tranzytowej. Macie wzajemną umowę o ruchu bezwizowym, prawda? Mógłby pan się nawet w Pradze zatrzymać. Mam tam serdecznego kolegę, jeszcze z okresu okupacji. Trochę rozeszły się nasze drogi, jest tam znanym dziennikarzem, ale jeśli zjawi się pan u niego z moim listem polecającym, to z pewnością będzie pana najserdeczniej gościł. Dobry pomysł, prawda? Jedzie pan sam czy też...

Co go to obchodzi, na litość boską? Smith chyba zlecił mu, aby się wywiadał o nasze plany, więc robi, co może. Nie, panie Spaski, nie wypełni pan tej misji, zapewniam pana.

- Nie wiem jeszcze - powiedział wymijająco. - Nie rozmawialiśmy na ten temat.

- Nic nie szkodzi. Może pan jechać z tą dziewczyną. Czesi dadzą jej wizę bez kłopotu, teraz się u nich sporo zmieniło. Nawet nie musi odwiedzać czeskiego konsulatu, wizę dostanie na granicy. Dla niej będzie to bardzo interesujące. Pierwszy kraj za żelazną kurtyną. Porówna go sobie potem z Polską... No jak, zgadza się pan na moją propozycję?

- Jest na pewno ciekawa. Muszę to rozważyć.

- A jak długo będzie pan rozważał? Bo przecież trzeba załatwić zmianę biletu, a ja obiecałem w tym pomóc.

Teraz muszę dowiedzieć się, o co mu chodzi. Teraz jest chwila, kiedy puści farbę ten miły starszy pan o elokwencji tak wielkiej, jak jego apetyt.

- Zgadza się.

Spaski wyciągnął znów ramię przez stół.

- Niech mi pan poda dłoń. No właśnie. Jest pan miły i rozsądny. Zapewniam pana, że będzie pan miał wspaniałe wrażenia z tej podróży. Mój praski przyjaciel wspaniale pana ugości. Zawiezie mu pan pozdrowienia ode mnie, może nawet trochę książek, o które prosił w ostatnim liście. Tak, to dobry pomysł, dostanie ode mnie prezent, będzie się czuł zobowiązany. Przygotuję tę paczuszkę, właściwie dwie paczki. Jedną dla niego, a drugą dla mego znajomego w Warszawie. To będą książki, tylko książki, nikt na granicy się do pana nie przyczepi.

Ach tak. Specjalny kurier pana Spaskiego. Literatura dla Czechosłowacji i kraju. Jasno to powiedziane, jaśniej nie można. Trzeba robić z siebie naiwnego.

- Mam sporo bagażu - powiedział Mietek obojętnie, udając, że nie przeraża go propozycja Spaskiego. - Pan rozumie, trochę się obkupiłem w Stanach, a i w Paryżu przybyło coś niecoś. Nawet się obawiałem, że będę musiał w samolocie dopłacić za nadbagaż...

- Ale teraz nie ma kłopotu. W pociągu ilość bagażu nie jest ograniczona. Zależy mi na tym, aby pan wziął te książki...

- A jeśli nie? Jeśli odmówię?

Spaski nie spuszczał z niego wzroku. Mietek wytrzymał to spojrzenie.

- No cóż, trudno - odpowiedział Spaski spokojnie. - Te książki i tak dotrą tam, gdzie trzeba. Tylko... szkoda mi pana. Po prostu szkoda.

- Szkoda? Dlaczego?

- Przecież sam pan mówił o potrzebie własnej użyteczności. O poszukiwaniu własnego miejsca i tak dalej. Teraz nadarza się okazja. Może pan z niej skorzystać lub nie. Żal mi pana... Pojawiają się możliwości, to przecież jasne, możliwości zmian. Ludzie czekają na te książki. I mają rację. Może pan nie być z nimi, wolno panu. Tylko mi pana żal...

Mietek uczynił ruch, jakby chciał się podnieść z miejsca. Spaski powstrzymał go gestem dłoni.

- Chwileczkę. Przecież tak się nie rozstaniemy, te niedomówienia... wątpliwości... Ja jeszcze nie powiedziałem wszystkiego, panie dziejski.

- Nie? No to słucham, niech pan mówi.

- Po co pan jeździł do Stanów Zjednoczonych?

- To całkiem jasne. Otrzymałem zawiadomienie, że mam podjąć spadek po ojcu. Sprawę załatwiłem, jak pan wie.

- Załatwił pan. Rzeczywiście. Czy jako powód wyjazdu podał pan władzom w Polsce sprawy spadkowe?

- Dostałem paszport bez żadnych trudności.

- Aby odebrać spadek?

- Aby odwiedzić znajomego, który mi przysłał zaproszenie.

- No, wreszcie pan się przyznał.

- Do czego?

- Do wprowadzenia w błąd władz, a one tego ogromnie nie lubią. Przypuszczam, że po powrocie będzie się pan musiał tłumaczyć. W dodatku nie wiadomo, czy władze uznają to tłumaczenie za wystarczające. Dajmy na to, że tak. Potem wyjeżdża pan z Ameryki i wcale nie wraca od razu do kraju, tylko włóczy się jeszcze po świecie. W paszporcie jest francuska wiza...

- No i co z tego? Paszport mam ważny jeszcze prawie rok, w dodatku na wszystkie kraje świata, więc co?

- W porządku, mój chłopcze, w porządku. Czy pobrał pan w Stanach pieniądze?

- Przecież pan wie.

- Wiem. Pokwitował pan odbiór piętnastu tysięcy dolarów. Dostał pan te pieniądze, prawda? A jeśli kopia tego pokwitowania znajdzie się w Polsce? Jak pan im to wytłumaczy? Siedział pan w Stanach kilka miesięcy, potem jeździł po Europie... Dostał poważną sumę pieniędzy... Spadek? Jaki spadek? Przecież pan nie zgłosił tego odpowiednim władzom. Spadkami zajmuje się Ministerstwo Spraw Zagranicznych, czy oni coś o tym wiedzą?

Trzeba będzie sprawę wyjaśnić. A to nie będzie takie proste. Pana ojciec i jego działalność jest raczej znana tym, którzy będą pana przestłuchiwać. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, syneczek macza palce w tej samej robocie... Osiem do dziesięciu lat, jeśli będzie pan grzeczny... Jeżeli nie, to jeszcze więcej. Dlatego żal mi pana.

Mietek siedział jak skamieniały. Krew odpłynęła mu z twarzy, zaciśnięte kurczowo palce zbieleły. Nie mógł wykrztusić słowa. Plunąć, plunąć mu w twarz i uciec...

- Niedobrze pan się czuje? Może trochę wody? Alkoholu? Przykro mi, że musiałem to panu powiedzieć. Ale ja pana tylko uprzedziłem. Nie chcę pana wpędzać w kłopoty, nic mi z tego nie przyjdzie. Ja tylko szukam sojuszników dla wielkiej sprawy. Niech mi pan powie szczerze: chce pan nim zostać czy nie? Pomoże pan czy nie? Mogę przysiąc, że nic panu nie grozi. Chodzi o te trochę książek. Ma pan przecież polski paszport, na granicy czeskiej nie będą pana kontrolować, na polskiej też wątpliwe, bo będzie pan jechał pociągiem z Pragi. Pomoże pan w ten sposób mnie, tamtym ludziom, a najwięcej sobie. Właśnie sobie. Dlaczego pan milczy?

Nie, nie będzie milczał. Ale nie powie, co myśli. On ma go w ręku. Ten szantaż uknuty razem ze Smithem ma wszelkie szanse powodzenia. Jest teraz zgubiony, nic mu nie pomoże, nawet ucieczka. Więc zgodzić się, stworzyć pozory. Ale on tego nie umie. Jest sam, zupełnie sam, a naprzeciwko siedzi człowiek bez skrupułów i bez sumienia. Wytrawny gracz i współnik Smitha. Mają go w ręku. Smith go nienawidzi i chce zniszczyć. Linda wróci do domu pokonana przez ojca. Przecież jest nieświadoma jego draństw. Co by na jego miejscu zrobiła? Nie może jej zdradzić treści tej rozmowy, to jest wyłącznie jego sprawa.

- Pana propozycja nosi w sobie znamiona pojęcia, które ma swój odpowiednik w każdym kodeksie karnym - powiedział wolno. - Ale ja nie chcę, abyśmy rozstali się tak... bez załatwienia sprawy.

- Nie chce pan? Więc przemówiły do pana moje argumenty?

- Tak.

Spaski wyraźnie się odprężył. Stał się znów jowialny, niemal serdeczny.

- A jednak Daszkiewicz. Zapalenie i trochę wariat, jak jego ojciec. Kiedy go opuszczała emocja, potrafił myśleć rozsądnie.

- Wezmę od pana te książki i doręczone je w Pradze i w Warszawie. Zapewne otrzyma pan od tych ludzi wiadomość, czy wywiązałem się z zobowiązania, prawda?

- Oczywiście.
 - W jakim terminie chce pan otrzymać to potwierdzenie?
 - Jak najszybciej.
 Mietek pokręcił głową.
 - To się nie da zrobić, wie pan przecież, że nie jestem tu sam... Mam jeszcze swoje sprawy, pan rozumie... Muszę mieć trochę czasu. Potem pojadę... Proszę mi dać miesiąc na załatwienie tych... przesyłek. Za miesiąc otrzyma pan wiadomości stamtąd. Nie wcześniej.
 - Zostaje pan jeszcze we Francji?
 - Tak. Mamy pojechać nad morze...
 Spaski roześmiał się.
 - Rozumiem, oczywiście. Trzeba mi było tak od razu powiedzieć. Nie stawiam przeszkód, skądże. Niech pan jedzie z nią nad morze, zazdroszczę panu. Kiedy pan wyjeżdża?
 - Za dzień lub dwa. Proszę więc mi przysłać do hotelu te paczki i kartkę z adresami. Załatwię to panu. Sam wymienię bilety, pieniądze nie grają tu roli.
 - Ale ja też chciałbym coś dla pana zrobić. Choćby taką drobnostkę - zaoponował Spaski.
 - Nie ma o czym mówić. Nie będziemy tego rozpatrywać w kategoriach forsy.
 - Nieodrodny Daszkiewicz... U niego też pieniądze na ostatnim planie.
 - No właśnie. Umowa stoi, panie Spaski?
 Uścisnęli sobie ręce. Spaski chciał jeszcze zamówić butelkę koniaku, ale Mietek podziękował. Podnosząc się dostrzegł, że sąsiednie stoliki są puste. Dawno już minęła pora obiadu, ów sprawny kelner siedział przy barze, podliczając obroty. Pożegnali się i wreszcie Mietek mógł znów znaleźć się na paryskiej ulicy. Zatrzymał taksówkę. Dochodziła piąta, Linda pewnie już czeka...[...]
 - A kto był jeszcze na tej liście? Czy może mnie pan poinformować?
 - Na pierwszym miejscu figurował pan Spaski...
 - I co, był pan u niego?
 Mietek milczał. Odmieniły się role, teraz tamten pyta, zależy mu na tych odpowiedziach, jego wzrok jest świdrujący. Nic nie powiedzieć? A może on już wie o tym obiedzie, może zna finał spotkania? Po diabła tu lażem!

- Byłem - odpowiedział z przymusem. - Poznałem pana Spaskiego.
 - Aha - stwierdził bezbarwnie Madey. - Interesował się panem, prawda? Szczególnie tym, że pan wraca do Polski. Nie musi mi pan mówić, wiem, że tak było. On bardzo lubi rodaków z kraju. Życie może bez tych kontaktów. Z pewnością miał dla pana interesującą propozycję. Czy jest pan może dziennikarzem? Literatem? Pisuje pan artykuły?
 - Nie. Nigdy nie napisałem żadnego artykułu...
 - No więc miał dla pana innego rodzaju propozycję. Nie obchodzi mnie jaką. Ale jeśli się pan zgodził, to zrobił pan głupio. On już niejednego omotał, niejednego wpędził w swoje draństwo. Jest ułożony i serdeczny, wylewny i sprytny. Słowiańska dusza, nie ma co mówić. Szkoda, że przed spotkaniem z nim nie złożył mi pan wizyty.
 - To czysty przypadek. Zresztą kiedy wczoraj dzwoniłem, nie miał pan ochoty mnie widzieć.
 - Właśnie. Ja na ogół unikam wszelkich spotkań. Nie tylko z obcymi. Przywykłem do samotności.
 - Nie ma pan rodziny? - Mietek usłyszał we własnym głosie nutkę współczucia.
 - Nie mam. Ani tu, ani w kraju. Lepiej, że nie mam. Starość, choroba, kłopoty... Ale to mało ważne. I co Spaski? Zaprosił pana na obiad do swej ulubionej knajpy? Znam te jego wystawne obiadki, lubi zjeść i wypić. On ma zdrowie... Zazdroszczę mu tego. Tylko tego. Zadowolony pan ze spotkania?
 Znowu Mietek poruszył się niespokojnie. Madey brak odpowiedzi uznał widocznie za potwierdzenie, bo ciągnął dalej:
 - Tak... On potrafi być gładki i przyjemny. To dobry kompan w zabawie, ale nigdy nie wiadomo, kiedy u niego kończy się zabawa, a zaczyna interes. Tak, proszę pana, znam go lepiej niż ktokolwiek inny. Pracowałem z nim z górą dwadzieścia lat...
 Co za dziwny człowiek, myślał Mietek, były współpracownik odstawiony obecnie na boczny tor? I stąd ta niechęć? Ciekawe, co się za tym kryje. Po chwili milczenia Madey ciągnął dalej:
 - Lżej by mi było, gdybym mógł stwierdzić, że mnie oszukał. Ale nie. Nie oszukał. Pisałem te swoje artykuły i felietony, nie dla niego wcale. Tak czułem i tak myślałem. Wdzięczny byłem jemu i innym, że zrobili pismo, gdzie mógł rozbrzmiewać niezależny polski głos. Ale to było złudzenie. Ten głos nigdy nie był niezależny

i dawno przestał być polski. Czy wy tam w kraju o tym wiecie? Czy zdajecie sobie sprawę, że ci, którzy tu pozostali, dawno przestali mówić i pisać po polsku? No, niech pan powie, wiecie o tym?

Domagał się natarczywie odpowiedzi, zza okularów świdruje Mietka wzrok tego człowieka, który twierdzi, że nie mówi po polsku.

– My się tym po prostu nie zajmujemy, proszę pana – odpowiedział Mietek prostując się. – Tyle mamy własnych spraw, ważnych i mniej ważnych, że nie staje nam czasu na wsłuchiwanie się w wasze głosy. Jeśli to potrzebne, to nie nam.

Madey pokiwał głową i spojrzał na biurko.

– Nie wam, nie panu – powtórzył. – Ja to już wiem. Trochę za późno doszedłem do tej wiedzy. Ale, powiadają, lepiej późno niż wcale. [...]

Fragmenty dwóch rozdziałów powieści Andrzeja Przepkowskiego *Arena* wydanej przez Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa 1973.

Aleksiej Gołub

Cztery oblicza agenta X

A JEDNAK CHERCHEZ LA FEMME

„Kiedy wyjeżdżałem za granicę, to naturalnie stykałem się tam z emigrantami politycznymi. Koniec końców zwrócił na mnie uwagę Nowak, z którym zaznajomiłem się przypadkiem u wspólnych znajomych. Pan Giedroyć namawiał mnie, abym życzliwie się odniósł do możliwości pracy w „Wolnej Europie”.

Fragment wystąpienia Z. Najdera w radio „WE”, 30 stycznia 1983

Nowak – Jan Nowak vel Zdzisław Jeziorański, założyciel i pierwszy dyrektor polskiej sekcji radia „Wolna Europa”, współpracownik CIA.

Giedroyć – Jerzy Giedroyć. Dyrektor polskiego wydawnictwa emigracyjnego „Instytut Literacki w Paryżu”. Naczelny redaktor polskiego pisma emigracyjnego „Kultura”. Rezydent CIA.

„Wolna Europa”. O tej utworzonej i sterowanej przez CIA radiostacji, podobnie jak o jej siostrze „Radio Swoboda”, napisano już tak wiele, że nie trzeba chyba dodatkowych prezentacji.

Wydawnictwo „Instytut Literacki w Paryżu”. Utworzone przy wydziale propagandy II Korpusu armii generała Andersa,

rozwiązanej po drugiej wojnie światowej we Włoszech. Oficjalnie zarejestrowane w 1946 roku w Rzymie, w 1947 roku wydało pierwszy numer pisma „Kultura”, które od tej pory jest organem prasowym wszystkich sił zewnętrznych i wewnętrznych, dążących do zawrócenia Polski na drogę kapitalizmu i żarliwie walczących przeciw budownictwu socjalizmu w tym kraju, przeciw jego przyjaźni i współpracy ze Związkiem Sowieckim.

W tym samym 1947 roku wydawnictwo przeniosło się do Francji, do małego miasteczka Maisons-Laffitte na malowniczych przedmieściach Paryża.

We Francji dyrektor wydawnictwa Giedroyc nawiązał ścisłą współpracę z CIA i stał się jej zaufanym i rezydentem. Pomimo szerokiej działalności wydawniczej, polegającej na wydawaniu wywrotowej antysocjalistycznej literatury, Giedroyc aktywnie zajmuje się werbunkiem agentów dla CIA spośród polskich emigrantów, a także obywateli przyjeżdżających z PRL. Otrzymując środki od przedstawicieli amerykańskiego wywiadu, Giedroyc finansuje poszczególne osoby i grupy, walczące przeciw ustrojowi państwowemu i społecznemu PRL.

Najder nie był szczery, zapewniając, że z Nowakiem-Jeziorańskim zapoznał się przypadkiem. Niewąsko zmęczonemu ideologiczną walką specjalście od radio-insynuacji Nowakowi-Jeziorańskiemu i szykującemu się do emerytury doświadczonemu łowcy agentów Giedroycowi potrzebna była młoda zmiana. Z kolei początkujący szpieg-literaturoznawca potrzebował protekcji i opieki ludzi, którzy osiągnęli szczyty drabiny hierarchicznej polskiej emigracji. Dlatego znajomość Najdera z Giedroyciem i Nowakiem nie było przypadkiem. Inna sprawa, że poznali się w przypadkowych okolicznościach – dzięki kobiecie.

Angielka polskiego pochodzenia, zasłużona współpracownica Intelligence Service, Halina Carroll pierwsze powojenne lata spędziła w Polsce, gdzie ją posłano oficjalnie jako współpracownicę ambasady Wielkiej Brytanii. Kiedy spotkała Najdera, Carroll miała pod czterdziestkę, a Najder – dwadzieścia sześć lat. Jednak różnica lat go nie zniechęciła. Mająca kolosalne stosunki i arystokratyczne maniery, chuda bywalczyni polskiego ośrodka emigracyjnego w

Londynie zrobiła na stypendyście Polskiego Związku Literatów tak oszałamiające wrażenie, że otrząsnąwszy z rąk kurz archiwów, na złamany kark ruszył w konkury. Missis Carroll z kolei z macierzyńską troskliwością zalecała mu słuchać Amerykanów Kordeka i Brethafta. A także panów Nowaka-Jeziorańskiego i Giedroycia, którzy szybciotko wyprowadzą go na drogę prawdy... Ale macierzyńskie uczucia Angielki bardzo prędko przerodziły się w miłość. I kiedy Najder zaproponował Carroll rękę i serce, bez wahania przyjęła i jedno i drugie.

Tak zaczął się nowy etap w życiu tajnego agenta, o którym później powiedzą, że Najder zrobił karierę na starszej od siebie kobiecie.

PIELGRZYMOWANIE DO MAISONS-LAFFITTE

„Najważniejszym zadaniem emigracji politycznej jest tworzenie alternatywnych programów dla Polaków. Jednym z autorów, który taki program wytyczył, jest Zbigniew Brzeziński”

Marian Kowalski, *Kultura* nr 5/1976

„Instytut Literacki w Paryżu” utworzony został dość daleko od granic Polski Ludowej. Jednak dyrektor Instytutu Giedroyc nawet w tych warunkach uznał za właściwe przestrzegać surowej konspiracji. Z gośćmi spotyka się potajemnie, używając jako znak rozpoznawczy ten sam zewnętrzny atrybut, co agent X – sklepik.

W Maisons-Laffitte, słynnym z torów wyścigowych i starego zamku, w pół drogi między Instytutem a prywatną willą Giedroycia rezydent otworzył jeszcze sklep żywnościowo-papierniczy, w którego drzwi co i raz zaglądają żwawe osobistości z pojemnymi portfelnami i siatkami. Na dźwięk dzwonka rezydent wychodzi do gościa i sprawdzwszy przy pomocy hasła, że nie stoi w obliczu Francuza z sąsiedniej ulicy, a przedstawiciela „delegatury”, zaprasza gościa do niewielkiego pokoiku za magazynem.

„Delegatury” – delegacje ugrupowań i partii politycznych, łaknących aktywnej interwencji w wewnętrzne sprawy Polski. Były one dwojakiego rodzaju – emigracyjne, działające za

granicami Polski, i z samej Polski. I jedni i drudzy potrzebowali wsparcia, a Giedroyc i jednym i drugim okazywał pomoc ze środków, specjalnie wydzielanych przez CIA USA. Aby się dostać na pieniężny garnuszek, wymagano niewiele – wystarczyło przedstawić imienny spis członków organizacji.

Subwencje wypłacano po pięć-dziesięć dolarów na duszę, czyli raczej na głowę.

– Po pięć dolarów? – warczeli niekiedy z niezadowolaniem przedstawiciele „delegatur”. – Z takimi pieniędzmi nawet do bistra nie ma co zaglądać. Nie mówiąc już o restauracji.

– Po pierwsze jest to jednorazowa zapomoga – tłumaczył Giedroyc – a po drugie przeznaczona jest nie na to, aby każdy członek organizacji dostał pięć franków na kieliszek. Środki przeznaczone są na wynajem lokali, na druk ulotek... Restauracje będą później! Kiedy obejmiemy władzę!

Mimo tych wyjaśnień zdarzało się, że „delegatury” z uzyskaną zapomogą udawały się na hipodrom, gdzie zgrywały się do ostatniego centa na totalizatorze. Dlatego zasiłki pieniężne od Giedroycia niezależnie od liczby członków organizacji zawsze z łatwością mieściły się w kieszeni. Pojemniejsze miejsca – teczki i siatki – wypychano antysocjalistyczną literaturą wywrotową i kwestionariuszami o charakterze szpiegowskim:

...Gdzie i jakie obiekty wojskowe w PRL są Panu znane?

...Proszę wskazać położenie znanych Panu lotnisk.

...W pobliżu jakich stacji kolejowych znajdują się sowieckie jednostki wojskowe?

Itđ., itp.

Skąd się tu wzięły szpiegowskie kwestionariusze? A stąd, że „polityczne ugrupowania” i „partie” to tylko piórka, w które przystroili się najmici CIA.

Przywódca jednej z takich „grup” politycznych, która przez wiele lat żyła na utrzymaniu Giedroycia, znanej pod nazwą „Wolność i niepodległość”*, Macelek kiedyś w chwili szczerości wyznał:

– Reputacja organizacji politycznej pozwala inaczej wyglądać w oczach Polaków i zapewnia dogodniejsze pozycje wyjściowe aniżeli

te, którymi dysponują inne, ukrywające swe prawdziwe zamiary grupy, chociaż one także są interesujące dla naszych przyjaciół”*

Macelek chciał powiedzieć, że etykieta organizacji politycznej jest wygodna w stosunkach z CIA a zarazem sprawia na Polakach wrażenie, że stoją nie wobec garstki szpiegów, a wobec grupy ludzi, stawiających sobie wzniosłe cele. Widocznie z tego powodu „Wolność i niepodległość” ukrywała swe prawdziwe oblicze nawet przed pokrewnymi jej grupami. Jeśli chodzi o samego Macelka, to zakonspirował się do tego stopnia, że Amerykanie znali go tylko pod imieniem Tommy, Niemcy – jako Hansa, a Polacy – jako Marka. Chociaż jego prawdziwe imię brzmiało Józef.

Tak to jest, mój młody przyjacielu! – poklepał kiedyś ojcowsko po ramieniu Najdera Giedroyc. – Wam też przydałoby się sklecić i stanąć na czele niedużej partii albo ugrupowania. A może i coś więcej... Bagaż teoretyczny macie odpowiedni. Na ilu uniwersytetach pracowaliście? Trzech czy czterech?

– Na sześciu – odparł skromnie Najder. – Pięciu amerykańskich – kalifornijskim, kolumbijskim, stanu Illinois, stanfordzkim i Walli. I jednym angielskim – w Oksfordzie. Nie mówiąc już o warszawskim. Ten można uznać za siódmy.

– Widzi Pan, jak dobrze! Tak że rodacy mogą od Pana oczekiwać, że tak powiem, i słów, i czynów. Tym bardziej, że zadania naszych wspólnych przyjaciół dawno już Pan wypełnia i zmuszony jestem finansować Pana na ogólnych zasadach. Aż dziwne, że mi to dotychczas nie przyszło do głowy!

Zamiast odpowiedzi Najder uśmiechnął się znacząco: dawno już miał zamiar zebrać trochę pro-amerykańsko nastawionych dysydentów i sklecić z nich antysocjalistyczną organizację. Co więcej, wymyślił już nazwę dla tej absolutnie zakonspirowanej organizacji – „Polskie porozumienie niepodległościowe” PPN i podczas swych stażów na amerykańskich uniwersytetach opracował jej program. Nie brakowało mu chwalić Boga doświadczonych konsultantów i doradców. [...]

Fragmenty z artykułu Aleksieja Gołuba *Cztery oblicza agenta X* zamieszczonego w sowieckim tygodniku satyrycznym *Krokodil* nr 34 z grudnia 1985.

* „Wolność i niepodległość” – szpiegowska organizacja dywersyjna, której ośrodek mieścił się w RFN – została rozbita przez organa bezpieczeństwa PRL.

* Tu i dalej pod „przyjaciółmi” rozumie się Amerykanów, a w szczególności CIA.

II.

EMISARIUSZE

W. Komorowski, H. Szyszkowski

Rozpracowanie

[...] „Instytut Literacki” i paryska „Kultura” wypełniają w systemie amerykańskiego aparatu dywersji ideologicznej wyraźnie określone funkcje. Zadaniem ich jest dokonywanie penetracji i dywersji w środowiskach inteligenckich. Realizują przede wszystkim te zadania, które amerykańska doktryna określiła następująco: „USA powinny dążyć do rozwoju zakrojonych na wielką skalę kontaktów z intelektualistami, uczonymi i przedstawicielami kół kierowniczych w orbicie komunistycznej, nie tylko dla zawodowej wymiany poglądów, ale również dlatego, aby podrywać systematycznie ich zaangażowanie”.

Sama „Kultura” wyraźnie zresztą definiuje sens swej działalności, stwierdzając: „Istotą naszej postawy i w związku z tym polityki jest przeświadczenie, że gra nie jest skończona. Gdybyśmy kiedyś doszli do przekonania, że nie ma żadnych szans wydobywania Polski spod jednostronnego imperialistycznego ucisku Rosji i że jedyną rozsądną jest akomodacja w ramach bloku wschodniego – wówczas zamknęlibyśmy „Kulturę” i wrócili nad Wisłę” („Kultura” nr 133/58).

W ostatnim okresie „Kultura” jeszcze bardziej podkreśla swe dążenie do odgrywania roli organizatorskiego ośrodka walki z socjalizmem w Polsce, „pragnie być katalizatorem myśli i skupiskiem sił gotowych do działania” („Kultura” nr 248/249/68).

W realizacji tej funkcji „Kultura” nastawiona została na różne formy dywersyjnej działalności wymierzonej przeciwko ustrojowi socjalistycznemu w Polsce.

Miesięcznik „Kultura” zaprogramowany jest jako instrument dywersyjnej propagandy antykomunistycznej na terenie Polski. Redakcja „Kultury” nie ukrywa – a potwierdza to treść pisma – że jest ono redagowane pod kątem potrzeb propagandowo-politycznych grup antysocjalistycznych wewnątrz kraju.

„Kultura” jest polskim ośrodkiem politycznym reprezentującym naszych „ideologicznych powinowatych” w kraju” („Kultura” nr 252/68).

Podobny sens i charakter ma działalność „Kultury” w zakresie wydawnictw książkowych. Biblioteka „Kultury” jest w tej chwili najważniejszym zapleczem źródłowym w języku polskim dla antysocjalistycznej działalności.

Specjalną rolę odgrywa „Kultura” w zakresie wydawania tekstów, zawierających antykomunistyczne treści, przerzucanych z krajów socjalistycznych, a zwłaszcza z Polski.

Działalność ta zapewnia druk literatury programowo-instrukcyjnej dla organizowania konspiracji antysocjalistycznej w Polsce, jak również służy propagowaniu „podziemnej literatury” i stwarza dla niej realne bodźce, stymulując jej rozwój. Rolę „Kultury” ocenił brytyjski „Daily Mirror” z dnia 15.I.1968 r. określając jej twórców mianem „przemytników protestu z Maisons Laffitte”, których „kontrabandą jest drukowane słowo”, przemycane zarówno z, jak i do krajów socjalistycznych.

Reprezentowana przez „Instytut” swoista filozofia polityczna jest w istocie swej filozofią zdrady narodowej. Przejawia się ona m.in. w kwestionowaniu tak istotnych dla narodu polskiego spraw, jak granica na Odrze i Nysie. J. Mieroszewski stwierdził w tej kwestii, co następuje: „Jeżeli uznanie granicy na Odrze i Nysie miałoby być równoznaczne z oficjalnym pogrzebaniem wszelkiej nadziei wydobywania Polski spod władzy komunistycznej – to uważamy, że lepiej, by granica była nie uznana („Kultura” nr 198/64).

„Kultura” stawia sobie również za zadanie organizowanie dezercji intelektualistów z Polski na Zachód. Ma to na celu wykorzystanie tych dezercji dla kampanii psychologiczno-dywersyjnej przeciwko Polsce, jak i wzmocnienie ośrodków dywersyjnych na Zachodzie przez dopływ „nowych kadr”. „Kultura” wychodzi bowiem z założenia, że „emigracja polityczna musi stanowić frag-

ment sił krajowych przerzuconych za granicę” (J. Mieroszewski, Ewolucjonizm, Biblioteka „Kultury”, t. C VI, str. 14).

Ośrodek paryskiej „Kultury” podejmuje także bezpośrednią organizatorską działalność, polegającą na skupieniu wokół siebie grup obywateli polskich, których wykorzystuje następnie do prowadzenia przeciwko Polsce i innym krajom obozu socjalistycznego akcji o charakterze nie tylko dywersji ideologicznej, lecz także mającej cechy działalności wywiadowczej.

J. Giedroyc inspirował i finansował ludzi w celu zbierania informacji w kraju i ich nielegalnego przekazywania do „Kultury”, jak również dostarczania nielegalnie do kraju wydawnictw „Kultury”.

W przypadku braku autentycznych informacji J. Giedroyc po prostu fabrykuje różne wiadomości szkalujące ustrój i władzę PRL, publikując je jako pochodzące z kraju i przerzuca następnie do Polski.

Stosowania dywersyjno-szpiegowskich metod nie ukrywa również sama „Kultura” pisząc m.in.: „Trudno się domyśleć, że za konwencjonalną fasadą (pisma) kryje się jakże niekonwencjonalna działalność (...) Zdobycie (...) materiałów wymaga zachodów, starań, często całych „strategicznych operacji i funduszy”. Nie wszystko można załatwić legalnie”.

„O swej zakulisowej i niekonwencjonalnej działalności jest bardzo trudno pisać, a jeszcze trudniej podać jakieś szczegóły (...) owa zakulisowa polityczna działalność decyduje nie tylko o jakości, ale i o roli pisma” („Kultura” nr 1/183/63).

[...] W dniu 19.II.1970 roku na rozprawie przeciwko M. Kozłowskiemu i innym zabrali głos rzecznicy oskarżenia.

Prokurator Górski podkreślił służebną rolę paryskiej „Kultury” w realizacji amerykańskich doktryn politycznych, dywersyjny charakter podejmowanych przez nią działań, wskazał na funkcję J. Giedroycia w organizowaniu i inspirowaniu antypolskich akcji i związki oskarżonych z kierowanym przez niego wrogim ośrodkiem. Analizując instrukcję J. Giedroycia stwierdził, że w całej rozciągłości ujawnia ona dywersyjno-szpiegowski charakter zainteresowań paryskiej „Kultury” i inicjowanych przez nią akcji.

Prokurator Pancer omówił wyniki postępowania dowodowego podkreślając, że w pełni potwierdziło ono słuszność przedstawionego sądowi aktu oskarżenia. Poddała ocenie działalność oskarżonych na szkodę PRL, zwracając uwagę w szczególności na organizatorską rolę M. Kozłowskiego w tej działalności, osobiste

zaangażowanie M. Tworkowskiej, aktywność K. Szymborskiego. Udział J. Karpińskiego i M. Szpakowskiej w przestępczej działalności ocenia w kontekście ich głębokiego zaangażowania w realizację antysocjalistycznych haseł, w których formułowaniu zwłaszcza J. Karpiński uczestniczył od wydarzeń marcowych. Wskazała na „nieprzejednaną wolę »naprawy« PRL w myśl instrukcji J. Giedroycia i jemu podobnych”, której oskarżeni: M. Kozłowski, M. Tworkowska, J. Karpiński i M. Szpakowska dali wyraz także przed sądem, i wyodrębniający się na ich tle krytyczny stosunek K. Szymborskiego do popełnionego przestępstwa. Prokurator wniosła o wymierzenie oskarżonym kar pozbawienia wolności w wysokości:

Maciejowi Kozłowskiemu – 5 lat

Marii Tworkowskiej – 4 lata

Krzysztofowi Szymborskiemu – 4 i pół roku

Jakubowi Karpińskiemu – 4 lata

Małgorzacie Szpakowskiej – 3 lata

Po przemówieniu oskarżycieli zabrał głos obrońca oskarżonego M. Kozłowskiego, adw. Łojewski przyznając, iż przewod sądowy dostarczył ostatecznych dowodów tego, że oskarżony M. Kozłowski dopuścił się zarzuconego mu przestępstwa, prosił sąd o uwzględnienie jego młodego wieku i nieświadomości celów, do których zmierzało jego współdziałanie z paryską „Kulturą”. Na poglądach i postawie oskarżonego, który nadal prezentował na rozprawie, w sposób decydujący, zdaniem obrońcy, zaważył przebieg wydarzeń w Czechosłowacji i różnorodność ocen prasy zachodniej dotyczących tych wydarzeń, a także błędy w zakresie kształtowania prawidłowych postaw młodego pokolenia. Po zakończeniu wniosł o wymierzeniu M. Kozłowskiemu kary, która uległaby darowaniu na mocy amnestii (do lat 2) lub kary nie przekraczającej 3 lat pozbawienia wolności.

Obrońca oskarżonej M. Tworkowskiej, adw. Branicki, nie kwestionując zasadności oskarżenia i zgłoszonej przez oskarżycieli kwalifikacji prawnej, podniósł brak umiejętności oceny powiązań paryskiej „Kultury” jako obcej agentury, niewspółmierność zadań stawianych M. Tworkowskiej przez J. Giedroycia do jej możliwości intelektualnych oraz jej sytuację rodzinną (M. Tworkowska jest matką 9-letniego dziecka). Za szczególnie niebezpieczne uznał czyny tych oskarżonych, którzy mieli swój intelektualny udział (m.in. poprzez sporządzanie tekstów) w dywersyjnej działalności

„Kultury” podkreślając iż oskarżonej M. Tworkowskiej tego przypisać nie można. Mając na uwadze zastosowanie ustawy amnestyjnej, obrońca wniosł o wymierzenie oskarżonej kary pozbawienia wolności w granicach do lat 3.

Obrońca oskarżonego K. Szymborskiego, adw. Pocię, zwrócił uwagę sądu na krytyczną postawę oskarżonego wobec popełnionego przestępstwa, której wyrazem stało się m.in. szczere przyznanie się przed sądem. Przypomniiał, że na zmianę postawy politycznej K. Szymborskiego decydujący wpływ wyrwała lektura dywersyjnej instrukcji J. Giedroycia, która pozwoliła mu zrozumieć prawdziwe cele wrogiego ośrodka. Z całą mocą podkreślał, iż głównym oskarżonym w tym procesie, choć nieobecnym na sali rozpraw, jest J. Giedroyc. Wniósł o wymierzenie K. Szymborskiemu kary, której wykonanie uległoby na mocy amnestii darowaniu (do 2 lat).

Obrońca J. Karpińskiego, adw. Szczuka, znaczną część swojego przemówienia poświęcił rozważaniom nad tym, czy „Kultura” jest „obcą organizacją”. Stwierdzając że „Kultura” jako „ośrodek polski”, „wydający książki w języku polskim”, jako organ „polskiej emigracji” nie może być uznana za „obcą organizację”, na dowód powyższej tezy demagogicznie porównywał „Kulturę” do Związku Patriotów Polskich. Działalność oskarżonych, polegająca na przerzucie do Polski wydawnictw antykomunistycznych, ocenił jako „uboczny produkt polityki władz”, nie zezwalających na ich legalne rozprzestrzenianie w Polsce. Niepublikowanie w Polsce książek wrogich dla socjalizmu określił jako „potworne założenie”, jako drogę „do uwiadu myśli”. „Na taki uwiad my się zgodzić nie możemy i nie zgodzimy, bez względu na to, jak się w tym przedmiocie polityka będzie kształtowała”. Podjął próbę podważenia opinii Ośrodka Badania Stosunków Wschód-Zachód na temat funkcji „Kultury”. Sugerował, że ma on jedynie walory publicystyczne, insynuując, że autor tej opinii i dr J. Kolczyński w swej publicystyce także „zwalcza Zachód metodami dalekiego Wschodu”. Uznając, że J. Karpiński nie dopuścił się przestępstwa, adw. Szczuka wniosł o uniewinnienie oskarżonego.

Obrońca M. Szpakowskiej, adw. Ferfet, podkreślił, że w odróżnieniu od pozostałych oskarżonych jego klientka nie pozostawała w porozumieniu z paryską „Kulturą”. Przyznał, że była ona autorką licznych opracowań oraz że zajmowała się ich rozpowszechnianiem. Dowodził jednak, że nie zawierały one

falszywych wiadomości, czego wykazania wymaga przepis prawa. Domagał się przy tym przedstawienia dowodu, że kolportowana przez M. Szpakowską w jednym z opracowań „wiadomość o stosowaniu niedozwolonych metod w śledztwie” jest nieprawdziwa. Podobnie jak obrońca J. Karpińskiego adv. Ferfet wniósł o uniewinnienie oskarżonej.

W dniu 21.II.1970 roku przed Sądem Wojewódzkim dla m. st. Warszawy zabrali głos oskarżeni.

M. Kozłowski stwierdził, że – w jego mniemaniu – nie dopuścił się czynu przestępczego. Paryską „Kulturę” traktował jako instytucję polską realizującą opozycyjny, a nie obcy interesom narodowym kierunek polityczny. Toczący się proces nazwał procesem przeciwno poglądom. Określił siebie jako zwolennika polityki A. Dubczeka, którego „ideały zostaną jeszcze na jakimś zakręcie historii zrealizowane”. Odwołując się do polskich tradycji tolerancji, prosił sąd o ich zachowanie w czasie wyrokowania w jego sprawie.

M. Tworkowska oświadczyła, że przewod sądowy pozwolił jej zrozumieć prawdziwy charakter poczyniń i cele paryskiej „Kultury”. Podkreślając swą sytuację rodzinną, prosiła sąd o „łaskawy wyrok”.

K. Szymborski podkreślił – krytycznie oceniając swoją działalność na rzecz paryskiej „Kultury” – że „poniesie odpowiedzialność karną za czyny przestępcze, za konkretną działalność, a nie poglądy”. Stwierdził, że podjęciu tej działalności towarzyszył brak politycznej odpowiedzialności, którego nie będzie mógł sobie wybaczyć. Prosił sąd o wymierzenie kary, która nie przekreślałaby możliwości wykorzystania jego kwalifikacji naukowych dla społeczeństwa.

J. Karpiński oświadczył, że działania oskarżonych w tej sprawie nie miały na celu szkodenia interesom politycznym PRL. Z tego względu domagał się uniewinnienia nie tylko dla siebie, ale także dla pozostałych oskarżonych.

O uniewinnienie prosiła sąd również oskarżona M. Szpakowska, twierdząc, że nie dopuściła się przestępstwa.

W dniu 24.II.1970 roku Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy ogłosił wyrok.

Sąd uznał Macieja Kozłowskiego, Marię Tworkowską, Krzysztofa Szymborskiego i Jakuba Karpińskiego winnymi wejścia w porozumienie z Jerzym Giedroyciem w celu działania na

szkodę Państwa Polskiego i uczestnictwa w inspirowanej przez imperialistyczne ośrodki ideologiczno-dywersyjnej działalności, zmierzającej przez szkalowanie ustroju i naczelnych organów PRL do podważenia socjalistycznych zasad ustrojowych.

Oskarżoną Małgorzatę Szpakowską uznał winną opracowywania, sporządzania i kolportowania maszynopisów, tekstów i ulotek o treści szkalującej ustrój i naczelne organa PRL, m. in. pt.: „System jednopartyjny w Polsce”, „Legalna opozycja”, „Aresztowania i procesy polityczne po marcu 1968 roku”, „Nie o egalitaryzm chodziło”, „Nie ma chleba bez wolności”, „Relacja z więzienia na Rakowieckiej”, „Potrzeba wolności”.

Sąd skazał:

- Macieja Kozłowskiego na 4 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, łagodząc karę na zasadzie amnestii do 3 lat pozbawienia wolności,
- Marię Tworkowską na 3 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, łagodząc karę na zasadzie ustawy o amnestii do 1 roku i 9 miesięcy pozbawienia wolności,
- Krzysztofa Szymborskiego na 3 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, łagodząc karę na zasadzie ustawy o amnestii do 2 lat i 4 miesięcy pozbawienia wolności.
- Jakuba Karpińskiego na 4 lata pozbawienia wolności, łagodząc karę na zasadzie ustawy o amnestii do 2 lat i 8 miesięcy pozbawienia wolności,
- Małgorzatę Szpakowską na 3 lata pozbawienia wolności, łagodząc karę na zasadzie ustawy o amnestii do 2 lat pozbawienia wolności.

W uzasadnieniu wyroku sąd podniósł, że oskarżeni weszli w porozumienie z paryską „Kulturą”, która – jak dowiódł przewod sądowy – jest środkiem dywersyjno-spiegowskim, prowadzącym działalność przeciwko państwowi socjalistycznym. Podkreślił, że oskarżeni stali się najemnikami zacieklego wroga Polski Ludowej – J. Giedroycia.

Przy wymiarze kary M. Kozłowskiemu, J. Karpińskiemu i M. Szpakowskiej, jako okoliczność obciążająca, sąd wziął pod uwagę ich osobiste zaangażowanie w działalności antypaństwowej, którego wyrazem stały się także ich wystąpienia przed sądem. Wymierzając karę K. Szymborskiemu sąd uwzględnił, jako okoliczność łagodzącą, wyodrębniający się na tle pozostałych oskarżonych

jego krytyczny stosunek do popełnionego przestępstwa i wyrażoną skruchę,

Złożonych przez obrońców M. Tworkowskiej i M. Szpakowskiej, po ogłoszeniu wyroków, wniosków o uchylenie aresztu sąd postanowił nie uwzględnić, uznając, że wysoki stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu skazanych uzasadnia utrzymanie aresztu w mocy.

Ogłoszenie wyroku w sprawie przeciwko M. Kozłowskiemu i innym zgromadziło na sali rozpraw ponad stu przedstawicieli aktywu partyjnego, organizacji młodzieżowych, prasy krajowej i zagranicznej. Obecni z uwagą wysłuchali wyroku. Wymierzone poszczególnym oskarżonym kary komentowano jako sprawiedliwe i słuszne. Z uwagą podkreślano celność sformułowań zawartych w uzasadnieniu wyroku.

Podobnie jak w czasie pierwszych dni rozprawy, w pobliżu sali rozpraw stwierdzono obecność około 20 osób ze środowiska członków byłej grupy „komandosów”, m. in. J. Lipskiego, J. Szpotańskiego, B. Toruńczyk, G. Kuroniowej, S. Blumsztajna, S. Kretkowskiego, K. Robb-Narbutta, I. Szuberta, B. Blajfer i A. Smolara.

OPINIE I KOMENTARZE NA TEMAT PROCESU

Rozprawa cieszyła się dużym zainteresowaniem obecnych na niej osób. Uczestniczyli w niej obok aktywu partyjnego i organizacji młodzieżowych przedstawiciele prasy krajowej i zagranicznej. Postępowaniu przed sądem towarzyszyła atmosfera powagi. Podczas przerw w posiedzeniu sądu przebieg procesu był przedmiotem ożywionych dyskusji i komentarzy potępiających działalność oskarżonych i osób z nimi związanych na rzecz antypolskich ośrodków propagandy i dywersji.

Rozprawa wywołała również ożywienie byłej grupy uczestników wydarzeń marcowych, którzy demonstrowali swoją obecność w gmachu sądu.

Proces grupy M. Kozłowskiego wywołał zrozumiałe zainteresowanie w środowiskach osób znanych z postaw opozycyjnych.

Komentarze w tych środowiskach na temat procesu nie odbiegały w zasadzie od opinii wygłaszanych na ten temat przez Radio „Wolna Europa”.

Odnotowano na ten temat następujące wypowiedzi i komentarze:

- oskarżeni z wyjątkiem Jakuba Karpińskiego przyjęli niewłaściwą linię obrony składając obszerne wyjaśnienia o swojej działalności;
- wyroki będą małe, co oskarżeni mogą zawdzięczać „Wolnej Europie” mobilizującej w ich obronie opinię publiczną w Polsce i innych państwach oraz stosującej nacisk na skład sędziowski;
- z wyjątkiem J. Karpińskiego wszyscy sypali się nawzajem i w rezultacie cały proces oparty jest głównie na ich własnych wyjaśnieniach. Z dowodów najbardziej istotny jest list J. Giedroycia, który w środowisku wydarzeń marcowych oceniono, że „Giedroyc chyba ma sklerozę, żeby takie listy pisać”;
- zaskoczenie wywołało dopuszczenie na salę rozpraw dziennikarzy zachodnich. Fakt ten oceniono, że „nic dobrego się po tym nie można spodziewać”, dowodzi to, że władze czują się pewnie i posiadają dostateczne udokumentowanie sprawy pozwalające na rozprawienie się z paryską „Kulturą”;
- przebieg procesu działa deprawująco (stwierdził były uczestnik wydarzeń marcowych), oskarżeni nie wykazali charakteru, nie potrafili utrzymać tajemnicy swoich działań;
- proces zrobił wiele złego, wykazał brak odporności psychicznej i niepoważność inteligenckiej opozycji.

W innych środowiskach proces nie wywołał większego zainteresowania. W komentarzach podkreślano szkodliwą działalność paryskiej „Kultury”, która „bierze pieniądze z niewiadomych, źródeł i wciąga młodych ludzi nie licząc się z tragediami ludzkimi, jakie z tego wynikają”. „Oskarżonych nie można zaliczać do grona intelektualistów, chodzi tu nie o zjawisko pasjonowania się paryską „Kulturą”, a o sprawy objęte tajemnicą państwową. W takich wypadkach każda władza podejmuje kroki zabezpieczające i nasze władze też to uczyniły”.

AKCJA PROPAGANDOWA W POLSCE

Przed zakończeniem sprawy operacyjnego rozpracowania przeciwko M. Kozłowskiemu, M. Tworkowskiej i pozostałym emi-

sariuszom przewidywano przeprowadzenie akcji propagandowej. Zakładano, że akcja propagandowa winna uwzględnić:

- dywersyjną rolę ośrodków wojny psychologicznej, w tym paryskiej „Kultury”, i podporządkowania ich organom amerykańskiego wywiadu,
 - rolę Służby Bezpieczeństwa w zwalczaniu dywersji politycznej.
- W publikacjach związanych ze sprawą zakładano podkreślenie następujących zagadnień:
- służebnej roli paryskiej „Kultury” i Radia „Wolna Europa” w realizacji amerykańskich doktryn wojny psychologicznej,
 - pozostawienie paryskiej „Kultury” na żołdzie amerykańskiego wywiadu,
 - szpiegowskich funkcji paryskiej „Kultury” (poprzez wskazanie na między innymi na wywiadowcze formy działania i zakres zbieranych informacji),
 - szpiegostwa i dywersji jako celu paryskiej „Kultury” i Radia „Wolnej Europy”,
 - inspirującej roli paryskiej „Kultury” w stosunku do osób i grup prowadzących wrogą działalność w Polsce,
 - związków tych osób i grup oraz paryskiej „Kultury” i Radia „Wolnej Europy” z osobami prowadzącymi antysocjalistyczną działalność w CSRS,
 - roli „Kultury” i Radia „Wolnej Europy” w wydarzeniach marcowych w Polsce i Czechosłowacji.

Założono prowadzenie akcji propagandowej głównie w środowiskach młodzieżowych i inteligenckich, jako szczególnie narażonych na infiltrację paryskiej „Kultury”.

Zgodnie z założeniem w tygodniu poprzedzającym rozpoczęcie rozprawy sądowej zostało zorganizowane spotkanie z dziennikarzami, którzy zostali zapoznani z:

- aktem oskarżenia przeciwko M. Kozłowskiemu i pozostałym,
- orzeczeniem biegłych z Ośrodka Badania Stosunków Wschód-Zachód, dotyczącym działalności paryskiej „Kultury” i Radia „Wolna Europa”.

W przeddzień rozpoczęcia rozprawy, w dniu 8.II.1970 roku prasa, radio i telewizja podały komunikaty o rozpoczynającym się procesie. „Trybuna Ludu” z dnia 8.II.1970 roku pod wymownym tytułem „Przed procesem grupy dywersyjnej” podaje:

„Przed sądem wojewódzkim dla m. st. Warszawy rozpoczyna się w poniedziałek proces przeciwko 5-osobowej grupie, oskarżonej o

popęlnienie szeregu przestępstw godzących w dobre imię i interesy PRL oraz socjalizmu – nie tylko w naszym kraju.

Fakty i wydarzenia związane ze zdemaskowaniem tej grupy były i są od dłuższego już czasu przedmiotem oszczerczych artykułów, publikacji i audycji ze strony wrogich naszemu krajowi ośrodków dywersji politycznej i ideologicznej, przede wszystkim radiostacji „Wolna Europa” oraz grupy dywersantów ideologicznych zorganizowanych wokół tzw. „Instytutu Literackiego” „Kultury” w Paryżu – będących najbardziej zasłużonymi agendami w tym zakresie kół imperialistycznych, których nazwy w Polsce są synonimami zdrady narodowej. Ataki te, i dające się w nich odczuć wyraźne nuty zdenerwowania – są w pełni zrozumiałe, jeśli zważyć, iż rola tych ośrodków, zwłaszcza paryskiej „Kultury” i jej szefa J. Giedroycia – jest jednoznaczna w świetle ujawnienia działalności grupy, która zasiada w poniedziałek na ławie oskarżonych. Jasno bowiem wynika, iż „Kultura” – kreująca się na liberalny ośrodek emigracyjny „wymiany myśli politycznej” – ujawniona jest w roli zwykłego organizatora (a nie tylko ideologicznego inspiratora) konkretnej, dywersyjnej roboty.

Przed sądem w Warszawie staje 5 osób. Są to: 27-letni Maciej Kozłowski, 31-letnia Maria Tworkowska, 29-letni Krzysztof Szymborski, 30-letni Jakub Karpiński i 30-letnia Maria Szpakowska. (PAP)”

W tym samym dniu „Życie Warszawy” nr 33 w artykule pt. „Proces M. Kozłowskiego i innych” pióra A. Kłodzińskiej podaje: „(B) Przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie rozpocznie się 9 bm. proces przeciwko pięciosobowej grupie oskarżonej o wrogą i szkodliwą działalność przeciw naszemu krajowi. Są to: Maciej J. Kozłowski, Maria J. Tworkowska, Krzysztof Szymborski, Jakub S. Karpiński i Maria M. Szpakowska.

Aby właściwie ocenić działalność tej grupy, trzeba ujawnić ich prawdziwych inspiratorów i organizatorów dywersji: zespół „Instytutu Literackiego” z Maisons-Laffitte pod Paryżem, a przede wszystkim kierownika, Jerzego Giedroycia. Rola „Instytutu” i jego miesięcznika „Kultury” nigdy bowiem nie ogranicza się jedynie do wydawania nieprzyjanych nam publikacji i do zatrudniania „twórczo” oraz do nowych eks-obywateli PRL. Był to zawsze – i jest – ośrodek dywersyjny, a przede wszystkim wywiadowczy. Osoby przez niego inspirowane i opłacane przekazywały z kraju najróżniejsze informacje

polityczno-gospodarcze, a w razie kiedy ich brakowało – fabrykowały je na własną rękę. Właściwie też ocenił dodatkowe funkcje „Kultury” paryskiej antykomunista James Burnham, pisząc, że stała się ona pierwszorzędnym ośrodkiem wywiadu”.

Na przykładzie grupy Kozłowskiego jaskrawo uwydatniła się wywiadowcza działalność Giedroycia i jego współpracowników. Jak formułuje akt oskarżenia, szef „Instytutu Literackiego” zaopatrzył M. Kozłowskiego i innych w antypolskie wydawnictwa, aby je nielegalnie kolportowali w kraju; domagał się wciąż nowych materiałów, fałszujących polską rzeczywistość, aby móc je publikować w swoich broszurach; łudził, pouczał, sugerował współpracę z innym ośrodkiem dywersyjnym – „Wolną Europą”; a wreszcie płacił – franki, marki NRF, dolary...

Korzenie sięgają tu daleko, nawet do Tel-Awiwu. Kozłowski pisze listy do znanego nam skądinąd dobrze Zygmunta Baumana, który tam wówczas przebywał i zasięga u niego rady, jak najskuteczniej szkodzić Polsce Ludowej. Rzeczywiście, nie mógł lepiej trafić.

Jak widać z aktu oskarżenia, w licznych kontaktach z grupą Kozłowskiego paryski ośrodek dywersyjny chwycił się wszelkich posunięć, aby tylko przeprowadzić swoją antypolską robotę.”

W dniu 9.II.70 roku dzienniki, radio i telewizja podały informację z przebiegu pierwszego dnia procesu.

Redaktor A. Tarnowski w audycji Polskiego Radia po wstępie dotyczącym rozpoczęcia procesu stwierdził:

Polska Ludowa jest przedmiotem ataków ze strony wielu inspirowanych bądź kierowanych przez koła imperialistycznych zachodnich ośrodków, zmierzających przy użyciu najróżniejszych form działania do likwidacji naszego ustroju socjalistycznego. Jednym z takich ośrodków jest utworzony w 1946 roku tak zwany „Instytut Literacki” mający swoją siedzibę w Maisons Laffitte pod Paryżem. Stanowi on na równi z „Wolną Europą” i innymi centralami dywersji jedno z ogniw w systemie wojny psychologicznej skierowanej przeciwko krajom obozu socjalistycznego.

Synteza działalności dywersyjnej określona została dosadnie w amerykańskim czasopiśmie „Strategia Ameryki”. „Jeżeli zdołamy z powodzeniem – napisali w tym piśmie eksperci antykomunistyczni – wymierzyć wrogowi całą serię ciosów psychologicznych na jego własnym terenie, to zdobędziemy

choć pośrednio olbrzymie korzyści dla naszego świata. Stany Zjednoczone powinny skoncentrować się w swych wysiłkach propagandowych na samym bloku komunistycznym”. Tyle na razie z amerykańskiego czasopisma. A więc imperialiści, którzy utracili nadzieję na zwycięski konflikt militarny, zmuszeni zostali do prób rozsadzenia od wewnątrz bloku państw socjalistycznych między innymi przy pomocy dywersji ideologicznej. W działalności tej nie mała rolę odgrywa „Instytut Literacki” w Paryżu, z którym związana była grupa osób zasiadających dziś na ławie oskarżonych.

„Instytut Literacki” kierowany przez Jerzego Giedroycia niezależnie od wydawanego miesięcznika „Kultura” między innymi prowadzi aktywną działalność edytorską polegającą na publikowaniu w ramach różnych serii i wydań specjalnych najbardziej agresywnej, antypolskiej i antyradzieckiej literatury paszkwilanckiej, wykorzystując przy tym opracowania różnych renegeatów.

Znany amerykański ideolog antykomunizmu James Burnham napisał zresztą, że miesięcznik „Kultura” jest wypróbowaną i ważną operacją walki politycznej. Zdaniem tegoż autora: „Kultura” działała więcej niż agencje, na które nasz rząd, to znaczy rząd Stanów Zjednoczonych – wydaje dziesiątki milionów dolarów”.

Do faktu powiązania „Instytutu” z amerykańskimi kołami imperialistycznymi przyznaje się również sama paryska „Kultura”, nie ukrywając jednocześnie faktu, że finansowana jest przez te koła.

Jeden z czołowych publicystów „Kultury” Juliusz Mieroszewski napisał: „jako emigracja polityczna uważamy się za sojuszników Stanów Zjednoczonych. Emigracja, by spełnić swoje zadania, musi istnieć, musi mieć środki i możliwości działania. Wszyscy sojusznicy Ameryki korzystają z jej materialnej pomocy. Nie widzę powodu, pisał dalej Mieroszewski, dla którego emigracja polska miałaby sobie tej pomocy odmawiać. Obecne pieniądze nie są niczym hańbiącym – pod warunkiem, że są wypłacane jawnie i w formie daru”.

Oczywiście „Instytut Literacki” nie działał samodzielnie. Ścisłe współpracował bowiem w antypolskich akcjach z innymi ośrodkami dywersji politycznej, zwłaszcza z Radiem „Wolna Europa”. Ścisłe powiązania łączą także „Instytut Literacki” z tak zwanym „Kongresem Wolności Kultury”, który po ujawnieniu jego

związków z CIA przybrał nazwę „Międzynarodowe Stowarzyszenie Wolności Kultury”. Jeden ze współpracowników miesięcznika „Kultura” Konstanty Jeleński był jednocześnie członkiem zarządu wspomnianego Kongresu, pozostającego w całkowitej zależności od CIA.

„Instytut Literacki” wypełnia w systemie amerykańskiego aparatu dywersji ideologicznej wyraźnie określone funkcje. Nastawiony jest na penetrację i dywersję w środowiskach inteligenckich. Amerykańska doktryna określa te zadania następująco: „Stany Zjednoczone powinny dążyć do rozwoju na wielką skalę kontaktów z intelektualistami, uczonymi i przedstawicielami kół kierowniczych w orbicie komunistycznej, nie tylko dla zawodowej wymiany poglądów, ale również dla tego, aby podrywać systematycznie zaangażowanie”.

Zresztą sama „Kultura” bardzo wyraźnie definiuje sens swojej działalności: „istotą naszej postawy i w związku z tym polityki jest przeświadczenie, że gra nie jest skończona. Gdybyśmy kiedyś doszli do przekonania, że jedyną rozsądną polityką jest akomodacja w ramach bloku wschodniego wówczas zamknęlibyśmy „Kulturę”, wrócili nad Wisłę”. Redakcja „Kultury” paryskiej nie ukrywa, że miesięcznik ten jest redagowany pod kątem potrzeb propagandowo-politycznych grup antysocjalistycznych wewnątrz kraju.

Prezentowana przez „Instytut” swoista filozofia polityczna jest w swojej istocie filozofią zdrady narodowej. Przejawia się ona między innymi w kwestionowaniu tak istotnych dla narodu polskiego spraw, jak granica na Odrze i Nysie. Juliusz Mieroszewski tak odniósł się do tej kwestii: „Jeżeli uznanie granicy na Odrze i Nysie miało być równoznaczne z oficjalnym pogrzebem wielkiej nadziei wydobywania Polski spod władzy komunistycznej – to uważam, że lepiej, by granica była nie uznana”.

Ośrodek paryskiej „Kultury” podejmuje także bezpośrednią organizatorską działalność, polegającą, jak to miało miejsce wobec oskarżonych, których proces rozpoczął się dziś w Warszawie, na skupieniu wokół siebie grupy obywateli polskich, których wykorzystuje następnie do prowadzenia skierowanej przeciwko naszemu ustrojowi i innym krajom socjalistycznym akcji o charakterze nie tylko dywersji ideologicznej, lecz działalności mającej cechy wywiadowcze. Inspirowane i finansowane przez

Jerzego Giedroycia osoby zmierzały do werbowania w kraju ludzi w celu zbierania informacji i przekazywania ich nielegalną drogą do Maisons Laffitte, jak również dostarczania tą drogą do kraju wydawnictw „Instytutu Literackiego”. Działalność taka zapewnia druk literatury programowo-instrukcyjnej dla organizowania konspiracji antysocjalistycznej w kraju, jak również służy propagowaniu w kraju tak zwanej „podziemnej literatury” i stwarzaniu dla niej realnych bodźców stymulujących jej rozwój.

Tę rolę „Kultury” ocenił brytyjski „Daily Mirror” określając jej twórców mianem przemytników protestu z Maisons Laffitte, których kontrabandą jest drukowane słowo przemycane zarówno z jak i do krajów socjalistycznych.

Artykuł zamieszczony w „Sztandarze Młodych” pod wymownym tytułem „Proces renegatów spod znaku Wolnej Europy” podkreśla, że fakty i wydarzenia związane ze zdemaskowaniem grupy oskarżonych były i są od dłuższego czasu przedmiotem oszczerczych artykułów, publikacji i audycji ze strony wrogich naszemu krajowi ośrodków dywersji politycznej i ideologicznej przede wszystkim Radia „Wolna Europa” oraz grupy dywersantów ideologicznych zorganizowanych wokół „Instytutu Literackiego” w Paryżu – będących najbardziej zaufanymi agendami kół imperialistycznych, których nazwy w Polsce są synonimami zdrady narodowej. Ataki te i dające się w nich odczuć nuty zdenerwowania są w pełni zrozumiałe, jeżeli zważyć, iż zdemaskowanie roli tych ośrodków zwłaszcza paryskiej „Kultury” i szefa – J. Giedroycia jest jednoznaczne w świetle ujawnienia działalności grupy.

Celowo przytaczamy obszernie fragmenty publikacji prasowych dotyczących inspirującej roli paryskiej „Kultury”, aby wykazać, w jakim stopniu z działalnością tego ośrodka zostało zapoznane całe społeczeństwo.

Przez cały okres trwania rozprawy sądowej radio i prasa podawały informacje o przebiegu procesu grupy dywersyjnej, podkreślając następujące zagadnienia:

- współdziałanie dywersyjnej działalności między dwoma antypolskimi ośrodkami paryskiej „Kultury” i Radiem „Wolna Europa” co w całej rozciągłości potwierdził prowadzony proces,
- osobisty udział J. Giedroycia w przygotowaniu konspiracyjnej działalności oskarżonych i jego szpiegowskie zainteresowania,

- których potwierdzeniem są zeznania złożone przez oskarżonych oraz znaleziona u M. Tworkowskiej instrukcja,
- zależności finansowej i wydawniczej „Instytutu Literackiego” i paryskiej „Kultury”, których działalność jest zgodna z bieżącą taktyką polityczną i koncepcją wojny psychologicznej Stanów Zjednoczonych,
- wykazanie dywersyjno-wywiadowczego charakteru działalności oskarżonych, którzy realizowali wytyczne J. Giedroycia zawarte w jego instrukcji (badanie nastrojów w grupach społecznych, wojska, werbowanie do współpracy nowych ludzi itp.).
- związki grupy z prowadzącym wrogą działalność przeciwko Polsce Karolem Lapterem, przebywającym aktualnie w Szwecji. Bardziej szczegółowe i wnikliwe omówienie działalności grupy i ośrodków wrogiej propagandy zamieściły niektóre periodyki, np. „Prawo i Życie” nr 4 z dnia 22.II.1970 roku w artykule pt. „KULTU-ryści” poza wyżej przytoczonymi zagadnieniami zwraca uwagę na następujące sprawy:
- naświetlanie sylwetek oskarżonych i środowiska, w którym prowadzili dywersyjną działalność;
- przerzut do Polski i Czechosłowacji wydawnictw „Instytutu Literackiego” i ich kolportaż;
- inicjowanie przez „Kulturę” akcji o charakterze wywiadowczym i podjęcie przez oskarżonych określonych czynności wywiadowczo-dywersyjnych na terenie Polski, a także w innych krajach socjalistycznych;
- utworzenie w Paryżu grupy byłych obywateli polskich w celu, jak sami określali, wywołania fermentu umysłów, przygotowania gruntu do przeprowadzenia zmian instytucjonalnych w Polsce i innych krajach demokracji ludowej, powiązanie tej grupy z Z. Baumanem przebywającym w Tel-Awii;
- związki J. Giedroycia i M. Kozłowskiego z dywersyjnymi ośrodkami na terenie Czechosłowacji, inspirowanie i finansowanie rewizjonistów na terenie Czechosłowacji oraz próby aktywizowania dywersyjnej działalności w tym kraju;
- szeroki udział w procesie dziennikarzy zarówno krajowych jak i zagranicznych, m.in. przedstawicieli Agence France Presse, co srodze zawiodło proroków z rozgłośni „Freies Europa”, którzy przewidywali i zapowiadali, że proces odbędzie się przy drzwiach zamkniętych i będzie to sąd kapturowy, a prasa niczego nie ujawni;

- związki oskarżonych z wydarzeniami marcowymi na terenie kraju i próbami dalszego podniecania młodzieży do opozycyjnych wystąpień, co jednak skończyło się niepowodzeniem – „ich rozwichrzone idee nie spotkały się z poklaskiem”;
- podkreślanie zasługi Służby Bezpieczeństwa, która w stosunkowo krótkim czasie przecięła dywersyjną działalność emisariuszy J. Giedroycia i jego mocodawców: „Nasze władze bezpieczeństwa nie pozwoliły im działać zbyt długo. Ujęły ich wcześniej. Instrukcji pana Giedroycia nie zdołali jeszcze wypełnić do końca”;
- fakt, iż prasa zgodnie oceniła, że przebieg procesu udowodnił winę oskarżonych, uchylił maskę, pod którą kryje się wrogi Polsce dywersyjny ośrodek w Maisons Laffitte. Proces udowodnił także, że nasze społeczeństwo umie poznać głos fałszywych proroków.

Fragmenty z broszury W. Komorowskiego i H. Szyszkowskiego
Rozpracowanie emisariuszy paryskiej „Kultury”
 wydanej przez Departament Szkolenia i Wydawnictw MSW,
 Warszawa 1971, pod nagłówkiem „Tajne”.

Adam Hempel

Za kulisami działalności Jerzego Giedroycia

KILKA WCIELEŃ PARYSKIEGO „KSIĘCIA”

Podczas studiów Giedroycia nie interesowało zbyt zdobywanie wiedzy. Każdy rok kończył z trudem. Ostatni repetował. Ale nie ma się czemu dziwić, skoro już w 1926 roku interesowało go jedynie zrobienie kariery politycznej. W tym celu założył akademicką organizację „Myśl Mocarstwowa”, która z czasem rozbudowała się w „Związek Pracy Mocarstwowej”. Organizacja ta nie była liczna, a jej mafijną strukturę tak scharakteryzowano w skrypcie szkoleniowym dla funkcjonariuszy policji śledczej w r. 1931:

„Dla uintensywnienia prac i rozszerzenia terenu działania powołano w 1928 r. organizację o charakterze nadrzędnym „Związek Pracy Mocarstwowej” i zaczęto tworzyć wtórne organizacje. Związek jest organizacją nadrzędną i rola jego polega nie na prowadzeniu bezpośredniej akcji politycznej, lecz na nadawaniu kierunku podporządkowanym organizacjom, związanym z nim bądź statutowo, bądź tylko personalnie”.

Ideologia całej grupy, podobnie jak i ideologia jej przywódcy, nie była skryształizowana. Młodzi konserwatyści, głoszący hasła Polski mocarstwowej potrafili nawiązać kontakt z innymi ugrupowaniami. Do poszerzania tych kontaktów dążył ustawicznie Jerzy Giedroyc, pod którego decydującym wpływem pozostawał organ „Myśli Mocarstwowej” – „Bunt Młodych”. I tak np. pismo współpracowało z nacjonalistami ukraińskimi, syjonistami czy

wręcz ludźmi wyraźnie faszyzującymi, jak redaktor tygodnika „Faszysta Polski” Edward Piotrowski. W zakresie polityki „Bunt Młodych” nawoływał do ekspansji na wschód, południe i północny-wschód, głosząc wyraźnie hasła antyradzieckie i antykomunistyczne.

Pomimo otaczania się ludźmi o znacznym temperamencie i wybujałych ambicjach Jerzy Giedroyc, nazywany przez kolegów „księciem”, nigdy nie wypuszczał steru z rąk. Można by nawet powiedzieć, że był doskonałym graczem, pozostającym w cieniu i nie afiszującym się swoimi poglądami politycznymi. Wiążąc się z różnymi ludźmi, szczególnie jeśli mieli oni większe znaczenie, potrafił dzięki swym wrodzonym zdolnościom zawsze wypłynąć na wierzch, co doskonale obrazują dalsze fragmenty historii jego życia.

W roku 1929, po ukończeniu z trudem wydziału prawa Jerzy Giedroyc ubiegał się o przyjęcie na wydział humanistyczny, co wynikało nie tyle z chęci dalszego rozwoju intelektualnego, ile raczej utrzymania swoich wpływów w środowisku akademickim lub przynajmniej pozorów tych wpływów. Zresztą nie miał on obowiązku podjęcia pracy zawodowej, ponieważ mniej więcej w tym czasie został współpracownikiem Ekspozytury II, Wydział „Wschód”, Oddziału II Sztabu Głównego (wywiad), co później okazało się dla niego bardzo pomocne.

W roli zausznika Oddziału II rozpoczął działalność w życiu publicznym jako przywódca grupy politycznej, redaktor pisma i ideolog, współpracownik niektórych agend państwowych, m.in. Ministerstwa Rolnictwa. Fakt ten miał specyficzny posmak i mógł być interpretowany jako dążenie do zrobienia kariery czy majątku za wszelką cenę.

Swoją metodę działania Jerzy Giedroyc sprecyzował już w początkowym okresie aktywności publicznej i do końca pozostał jej wierny. Jest to przede wszystkim zamiłowanie do pracy typu mafijnego – z pozoru kameralnej, ograniczonej do działalności wydawniczo-publicystycznej czy odczytowej, a jednocześnie przez różnorodnego typu kontakty, przynoszącej pożądane przez niego rezultaty.

Szkolą życia dla Jerzego Giedroycia były niewątpliwie lata współpracy z II Oddziałem. System oparty na elitarności, ograniczenie współuczestnictwa do drobnych zespołów i ugruntowanie jednoosobowej decyzji przy stworzeniu pozorów istnienia szerszej

platformy kolegalnej, stosuje do dzisiaj kierując redakcją paryskiej „Kultury”. [...]

NIE ZAWIEŚĆ MOCODAWCÓW

W latach 1964-1968 paryska „Kultura” prowadziła działalność inspiracyjną wobec intelektualistów i studentów w Polsce. Szczególne jej uznanie zdobył „list 34”, będący transformacją programu IV Międzynarodówki trockistowskiej. Wówczas to Giedroyc, mimo iż nie darzył sympatią tego rodzaju ruchów, zaczął popierać program i działania lewaków dążących do wywołania rewolucji światowej. Tego rodzaju zmienność sympatii jest zresztą charakterystyczna dla Jerzego Giedroycia. Wystarczy przypomnieć jego wcześniejsze działania. I tylko jedno pozostało niezmiennie – „Kultura” wciąż popierała siły dążące do osłabienia Polski.

Inspiracyjna działalność „Kultury” trwała nieprzerwanie do wydarzeń marcowych 1968 r., którymi nie była zaskoczona, skoro w numerze 1/243-2/244 ze stycznia 1968 r. przeczytać można: „V zjazd partii, który ma odbyć się w bieżącym roku, może mieć charakter przełomowy w życiu PRL, jeśli nie nastąpią wcześniej wydarzenia przyspieszające wybuch kryzysu, czego nie można wykluczyć...”

Po wydarzeniach marcowych taktyka „Kultury” zmierzała do wykazania, że demonstracje w Warszawie i w innych miastach są formą spontanicznego buntu młodzieży. Pismo, mówiąc o działalności tzw. ruchu studenckiego, unikało wymieniania konkretnych nazwisk. Pierwsza wzmianka o grupie „komandosów” pojawia się w nim dopiero w czerwcu 1969 r.

Pomimo popularyzacji programu „ruchu studenckiego” „Kultura” potrafiła jednak wysunąć tezę, że przyczyną wydarzeń marcowych była prowokacja ze strony władz, pragnących w ten sposób rozprawić się z opozycją. Teza ta została przedstawiona w artykule Zygmunta Baumanna „O frustracji i kuglarzach”. Prezentowanie różnorodnych poglądów na łamach pisma miało na celu stworzenie wrażenia obiektywności tej publicystyki. W istocie zaś odpowiadało dokładnie wypracowanej przez lata metodzie uników i ukrywania prawdziwej twarzy Jerzego Giedroycia.

Wydarzenia z grudnia 1970 r. były dla ośrodka paryskiego zaskoczeniem. Nagle okazało się, że stawka na inteligencję twórczą i młodzież akademicką zawiodła. Stało się to powodem nowego kryzysu politycznego „Kultury”, która zaraz potem wystąpiła jednak z nowym programem – jakże różnym od poprzedniego. Przede wszystkim pismo postulowało zwiększenie oddziaływania na klasę robotniczą. W numerze 3/282 z 1971 r. nawoływało, aby „przekonać robotników, że dążyć muszą nie tylko do podwyżki płac, lecz również do zmiany ustroju.”

Ale dokładnie sformułowany program znalazł się dopiero w jubileuszowym numerze, z okazji 25-lecia istnienia pisma, w lipcu 1972 r. Za główne kierunki działania paryskiej „Kultury” uznano: doprowadzenie do powstania w Polsce grup opozycyjnych, dotarcie do inteligencji pracującej, która mogłaby zapewnić kontakt z robotnikami, wydawanie w Polsce nielegalnych, antypartyjnych materiałów.

Leszek Kołakowski w numerze 4/309 z 1973 r. pisał, że stworzenie opozycji w Polsce jest możliwe, ponieważ „są w Polsce ciągle niewyschłe łóżyska, którymi płynie tradycja dawnych formacji politycznych: socjalistycznej, endeckiej, katolickiej (...) – gotowych – w momencie gwałtownego kryzysu ujawnić się znowu.”

Świadectwem szczególnego rodzaju kontaktów utrzymywanych przez Giedroycia z krajem jest list, który napisał do Marii T. w maju 1968 roku. Oto fragmenty: „Jak wygląda aktywność PRL? Jak funkcjonuje Ośrodek Kul[tury] Polskiej w Pradze? Materiały do artykułiku o tym ośrodku. Ocena (nazwiska) polskich korespondentów w Czech[osłowacji]. Nastroje i sytuacja w wojsku. Sprawa Śląska Cieszyńskiego. Szansa dania autonomii, stworzenie sekcji polskiej w partii czeskiej”. I dalej: „podrzucić (przez Czechów najlepiej) kilka „Kultur” i książek w Ośrodku Polskim w Pradze. (...) Rozmowa z Cz. Czy podejmie się być skrzynką pocztową, to znaczy, by wysyłał materiały kierowane do niego, z kraju do mnie via Wiedeń. Czy widzi możliwość, by przemycić z Wiednia do Bratysławy i tam dalej dystrybuować nasze wydawnictwo. Czy miałby możliwość wydostania z poczty słowackiej kompletu książek telefonicznych polskich.

To bardzo ważne. Czy można zaopatrywać w druki punkty graniczne i pilnować, jak to funkcjonuje”. Oraz na końcu: „Proszę się nie przerażać ani ilością spraw, ani chaotycznością tej notatki. Może z tego niewiele da się załatwić. Ale chciałbym dać możliwie

pełny rejestr spraw, które wydają mi się ważne. I prośba, aby nie zgubić gdzieś tej notatki. To mogłoby mieć niedobre skutki."

Powyższe fragmenty listu odsłaniają całkowicie zamierzenia, plany, a także sposób działania Jerzego Giedroycia, redaktora pisma mieniącego się pismem „intelektualistów”. Są to po prostu fragmenty polecenia o charakterze wywiadowczym, świadczącego o prowadzonej na szeroką skalę działalności dywersyjnej i to nie tylko w Polsce, ale innych krajach socjalistycznych, jak np. Czechosłowacja.

W listopadzie 1974 r. „Kultura” opublikowała artykuł pt. „Polityczna opozycja w Polsce”, który miał wyraźnie programowy charakter. Po raz pierwszy sformułowany w nim został program opozycji antysocjalistycznej wraz z komentarzem interpretacyjnym. Najkrócej ujmując, program ten wykazywał, iż opozycja powinna mieć charakter antytotalitytarny i niepodległościowy. Powinna działać w sposób zakamuflowany, ale nie sprawiający wrażenia konspiracji.

W lipcu 1976 r. paryski ośrodek opublikował „Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju”, twierdząc, że przygotowany został w Polsce i jest pierwszym poważnym programem alternatywnym, jaki powstał w kraju od końca wojny. Następnie „Kultura” koncentrowała uwagę na dyskusjach nad programem PPN i na praktycznej działalności opozycji antysocjalistycznej. W numerze 4/355 z r. 1977 „Kultury” skonkretyzowano zadania – ogłoszenie przez PPN „wytycznych postępowania Polaka-patrioty” lub „kodeksu postępowania” dla poszczególnych grup społecznych:

- stosowanie sankcji przez PPN wobec tych, którzy łamią jej zalecenia. Jako najbardziej ogólną sankcję proponuje się ostracyzm społeczny; zgłaszanie na czarną listę „Kultury” lub opracowywanie i nadawanie przez Radio „Wolna Europa” protestów hańby;

- zwracanie uwagi opinii publicznej w kraju i za granicą przez PPN na wszystkie ważne wydarzenia w Polsce, np. działalność KOR itp.

Program działania, przy którym współpracował obecny szef rozgłośni polskiej RWE Zdzisław Najder, był więc bardzo elastyczny, podobnie zresztą, jak i program antysocjalistycznej działalności KSS KOR. W przypadku tego ostatniego starano się go tak zredagować, aby uniknąć podziału bazy społecznej na liczne

orientacje polityczne: rewizjonistyczne, prawicowo-klerykalne, liberalno-burżuazyjne i inne, co groziłoby odsłonięciem istotnej działalności, realizowanej według scenariusza paryskiej „Kultury”, a opartej na orientacji Jacka Kuronia i Adama Michnika. Tak więc zasadniczą sprawą dla „Kultury” i KSS KOR było nie tyle poszukiwanie programu ideowego i politycznego, ile konkretne działanie.

W styczniu 1979 r. zabrał głos na łamach „Kultury” J. Kuroń. W numerze 1/376-2/377 stwierdził on, tłumacząc koncepcję działalności praktycznej KSS KOR: „Rzecz w tym, aby całe społeczeństwo – czy w każdym razie jego znaczna część – było zorganizowane w różnorodnych ruchach społecznych i ich instytucjach (wolnych związkach zawodowych, komitecie samoobrony chłopskiej), aby do każdego docierała niezależna prasa, książki, taśmy, by wszyscy brali udział w działalności programotwórczej i samokształceniu, w dyskusjach, seminariach, wykładach. Program ten, a nazwałem go kiedyś programem trzeciej Polski ruchów społecznych, ma charakter zarazem maksimum i minimum.” I dalej: „Wiele może być różnych możliwości wyzwolenia: samoorganizacja społeczeństwa polskiego w różnych ruchach i ich jawnych samorządnych instytucjach wokół różnorodnych doraźnych i zarazem perspektywicznych celów.”

Ale działania „Kultury” i KSS KOR osiągnąć miały zamierzone efekty dopiero w lecie 1980 r.

W lipcowym numerze „Kultury” z 1980 r. wskazywano otwarcie, że w przypadku większych zaburzeń społecznych w kraju KSS KOR może odegrać rolę polityczną. Przeczytać tam można: „Spośród istotnych wydarzeń w dziedzinie pracy społecznej, a nie czysto politycznej, wielkie znaczenie ma opracowanie ogłoszonej na łamach „Robotnika” „Karty Praw Robotniczych” i jej rozpowszechnienie w stosunkowo dużym nakładzie. Dokument ten ma szansę odegrania ważnej roli w formułowaniu w przyszłości przez środowiska pracownicze swych żądań, co stwarza możliwość przekształcenia żywiołowych dotychczas samowolnych porzuceń pracy w bardziej świadome swych celów strajki. Tutaj też warto zwrócić uwagę na fakt, że w kilku strajkach, jakie miały miejsce w roku 1979, pomoc okazali działacze KOR, przekształcając je w zdyscyplinowane wystąpienia robotnicze. Ten kierunek działań społecznych jest chyba obecnie najbardziej pożądany.” („Kultura” nr 7/394-8/395, 1980 r.).

Kiedy ukazał się cytowany numer „Kultury”, pomoc organizatorska i inspiratorska KSS KOR na Wybrzeżu była już faktem. Potwierdziła to redakcja „Kultury” w październiku, pisząc w numerze 10/397, 1980: „Podziwiając dojrzałość Polskiego Sierpnia Robotniczego, trzeba pamiętać o współtworzących ją czynnikach (...), o roli opozycji, zwłaszcza KOR-u, korowskiego „Robotnika” i korowskich działaczy na Wybrzeżu”.

Centrum koncepcyjne opozycji w Polsce, którym jest ośrodek paryskiej „Kultury”, wykazuje zręczną elastyczność w dostosowywaniu się do aktualnej sytuacji. Wkrótce po sierpniu „Kultura” doradzała więc, żeby KSS KOR wycofał się oficjalnie z działalności Związku „Solidarność” motywując to w numerze 11/398 z 1980 r. jak następuje: „W tej sytuacji KOR w jakimś stopniu obciąża nowe związki zawodowe swoją własną hipoteką polityczną, a w każdym razie daje partii pretekst do walki ze związkami, jako będącymi pod wpływem KOR-u (...). KOR wywalczył sobie udział w ruchu związkowym i nikt rozumny nie może mu go odmawiać. Ale KOR nie powinien stwarzać sugestii, że odgrywa w nim rolę kierowniczą czy inspirującą, bo w sumie byłoby to ze względu na kontekst polityczny szkodliwe dla najważniejszych obecnie samorządnych związków zawodowych.”

Rady paryskiej „Kultury” były bardzo ważne, szczególnie kiedy zastanawiano się nad przyszłą rolą opozycji antysocjalistycznej w Polsce. Otóż w cytowanym wyżej artykule paryski ośrodek pouczał, iż nie KOR, a ludzie należący do tego ugrupowania „mają jeszcze do odegrania znaczną rolę”. Rolę tę upatrywano w działaniu przeciwko polskiej racji stanu. Taktyka „Kultury” zakłada jednak pewną przerwę w tej walce. W tymże samym artykule znalazło się takie stwierdzenie: „Ale rewolucja nie może być permanentna, a w Polsce powinna ona okopać się na zdobytych pozycjach, umocnić je i nie posuwać się poza granice, które wywołałyby interwencję sowiecką.” („Kultura” nr 11/398, 1980).

Za całą działalnością paryskiego ośrodka, zarówno kulturalno-publicystyczną, jak i dywersyjną czy wreszcie szpiegowską snuje się szary cień Jerzego Giedroycia – założyciela i jedynego przywódcy „Kultury”. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że właśnie on jest autorem założeń programowych tego ośrodka, a także inspiratorem jego działalności. Sam, jak zwykle, pozostaje wierny swojej metodzie pracy. Jest tylko mózgiem, „szarą

eminencją”. Działa niezmordowanie i dzisiaj w wieku prawie 77 lat. Cała redakcja tej wielkiej maszyny wydawniczo-dywersyjnej liczy 5 osób. Jerzy Giedroyc posiada władzę absolutną. W wywiadzie dla dziennikarza z „Die Welt”, którego artykuł o paryskiej „Kulturze” ukazał się w dodatku „Plus” z 24.06.1981 r. stwierdził: „Czasopismo tego typu nie może przeżyć swoich redaktorów.” Tak, bo przecież w założeniach Jerzego Giedroycia nie idea, a on sam jest zawsze zjawiskiem nadrzędnym.

Fragmety z serii artykułów Adama Hempla
zamieszczanych w tygodniku *Perspektywy*
(w nr 6 z 11 lutego 1983 r. pod tytułem: *Kilka wcieleń paryskiego „Księcia”*,
a w nr 8 z 25 lutego 1983 r. pod tytułem: *Nie zawieść mocodawców*).

III.

TEORIA I PRAKTYKA

Witold Filler

Teorie i praktyki paryskiej „Kultury”

[...] Paryska „Kultura” jest dziś synonimem pewnej filozofii politycznej. I gatunek tej filozofii zasługuje na uwagę, jak również wywodzące się z niej „postawy ideowe i moralne” oraz zalecane przez nią „wzory zachowania”. Stanowią one wymowną ilustrację działania najbardziej dynamicznych kół dywersji ideologicznej Zachodu. Działania na rzecz waszyngtońskiej idei „papierowych mostów”, na rzecz „rozmiękczenia” umysłów i doktryn, wprowadzania do obiegu „nowych” pojęć politycznych oraz rewidowania pojęć starych, jeśli socjalistyczne. Sumarycznym wykładnikiem tej działalności jest stawka na osłabienie społecznej atrakcyjności światopoglądu marksistowskiego w naszej ojczyźnie.

Rezonans, jaki poszczególnym publikacjom „Kultury” usiłuje nadać radio „Wolna Europa” (RWE) dowodzi, że w walce z Polską Ludową wyrobiła sobie ona pozycję szczególną. Tak szczególną, że niejednokrotnie może sobie pozwolić na luksus propozycji niespójnych z oficjalnym kursem tejże RWE, choć po pewnym czasie ta rzekoma suwerenność okazuje się po prostu wyższym stopniem perfidii. Nie jest bowiem „Kultura” trybuną myśli własnej, oryginalny jest tu jedynie sztafaż. Wszystko, co piszą Mieroszewski, Jeleński, Stempowski stanowi zaledwie próbę tłumaczenia znanych koncepcji Rostowa, Griffith’a, Brzezińskiego na język polskich skojarzeń, podświadomych przyzwyczajęń narodowych, polskiej aforystyki i polskiego dowcipu. A że tłumaczenie bywa częstokroć chwytlive, stąd i ów stopień perfidii wyższy niż w obliczanych na doraźną agitację komentarzach „Wolnej Europy”.

Niniejsza publikacja stanowić ma próbę prezentacji i oceny filozofii politycznej „Kultury”, sprowadzając ją do kilku jej tez sztandarowych, wokół których kłębi się wir ubocznych myśli, pomysłów i objawień. *Notabene* ta obudowa spełniać ma również określony cel psychologiczny, poprzez stwarzanie pozoru swobodnej gry sił i demokratycznego przetargu propozycji. Wir ten przecież z dziwnym uporem wydobywa na plan pierwszy stale te same tezy naczelne. Są to: wspomniana już tu idea „dogadania się” z NRF oraz pochwała „ewolucjonizmu” jako postawy, która ma Polskę wyewoluować z socjalizmu ku „demokracji”.

Zaznaczmy wreszcie z góry, iż nasza próba oceny nie wolna będzie również od akcentów polemiki; w wielu przecież wypadkach sam już beznamiętny rejestr faktów wyznaczy strategom z Maisons-Laffitte właściwe miejsce, zarówno w kategoriach myślenia politycznego, jak po prostu w kategoriach zwyczajnej polskości.

WPROWADZENIE

„Kultura” – to pismo całkowicie w swych kampaniach politycznych nacelowane na Kraj; ale jest to pismo, którego większość czytelników żyje na emigracji. Uchwycenie tej dwoistości ma zasadnicze znaczenie dla rozszyfrowania meandrow praktycznej działalności paryskiego miesięcznika. Nie można bowiem przy użyciu tych samych słów realizować dwóch (częstokroć niejednorodnych) taktyk politycznych. „Kultura” atakuje socjalizm w Polsce, ale chcąc zapewnić sobie maksymalną skuteczność ataku, musi stosować liczne zwody werbalne, gry w aluzje, dymne zasłony z dwuznacznych komplementów. Te z kolei muszą powodować pewne zniekształcenie obrazu i rozchwianie kryteriów u przeciętnego czytelnika emigracyjnego, którego lektura „Kultury” jest przecież lekturą *à la lettre*: bez dopuszczenia świadomości, że uczestniczy on na prawach kibica w skomplikowanym manewrze politycznym. Zbieg sprzeczności dla redaktorów „Kultury” – kłopotliwy, dla autora i czytelników tej publikacji – korzystny, gdyż jakże często zza szczelin owych sprzeczności wyłania się prawdziwe oblicze pisma.

Tak jest dziś, w roku 1968. Jak to się stało, że spośród periodyków emigracyjnych, z których wiele nosi sławne tytuły (np.

„Wiadomości” Grydzewskiego, „Robotnik” Ciołkosza), właśnie „Kultura” dopracowała się tej pozycji szczególnej, że właśnie jest synonimem filozofii zdrady? By na powyższe pytanie – choćby pobieżnie – odpowiedzieć, niezbędna jest wycieczka w niedawną przeszłość, kiedy wraz z zakończeniem II wojny światowej narodziło się zjawisko, określone umownym mianem emigracji londyńskiej. Od roku 1945 przytłaczająca większość tej emigracji nastawiana była antykomunistycznie, choć antykomunizm ten cechowała bierność. Demonstrował się głównie w samej decyzji niewracania do Polski, a na praktyczną motywację tej decyzji składały się w znacznym stopniu racje emocjonalne. Przykładów na poparcie takiej hipotezy jest wiele. Pomińmy enuncjacje publicystyczne z owego okresu, choć tu sam ich styl emfaticzny byłby już argumentem, a wybierzmy jako dowód powieść prozaika emigracyjnego, Mariana Czuchnowskiego, pt. *Czarna koronka*, ten właśnie okres opisującą. Bohater powieści, por. Andrzej Morzysarna – postać niewątpliwie reprezentatywna dla młodej inteligencji emigracyjnej – odrzuca myśl o repatriacji po wysłuchaniu następującego wykładu: „Kto pana zaprosił do kraju? (...) Że gwarantują przebaczenie? Ale co panu przebaczą? Komunistą pan nie był, w Berezie pan nie siedział, nie spalili pana Niemcy w Oświęcimiu, nie splamił się pan nawet najdrobniejszym śladem politycznego myślenia, w żadnym więzieniu nie spędził pan pół dnia, był pan lojalny wobec każdej władzy, więc co, do diabła, panu przebaczą?! ” (*Czarna koronka*, Londyn 1966, s. 276). I to wystarczy. Argumenty nie przekraczają progu uczuciowej demagogii, racje intelektualne okazują się zbędne wobec temperatury serc. Andrzeja Morzysarny i innych „czekanie na białego konia” było więc decyzją bytową, sztandarem patriotycznym i programem politycznym zarazem. Że był to program bez praktycznych perspektyw, skłonny jest przyznać nawet czołowy ideolog londyńskich „Wiadomości”, Tymon Terlecki. Jakże bowiem inaczej interpretować jego słowa: „Emigracja jest z istoty swojej romantyczna, idealistyczna. Emigracja sięga poza istniejącą rzeczywistość, aspiruje do rzeczywistości innej. Odporna na pokusy łatwizny, zdolna do przezwycięzania lęku, solidarna – solidarnością wyznawców – taka emigracja i tylko taka. Zdolna jest spełniać swoje zadania” („Wiadomości” nr 64/1947). A zadaniem było przetrwać i tylko przetrwać. W pierwszych latach powojennych

ten kapitał gorzkich emocji procentował wystarczająco dla ówczesnej strategii politycznej Zachodu. Oddziaływał poprzez sam fakt liczebności emigracji. Bierny protest miliona ludzi stanowił dostatecznie efektowny argument we wstępnej grze propagandowej; ekscytował wyobraźnię przeciętnych obywateli Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii, Kanady. Nie należy zaś zapominać, że w tych latach propaganda imperialistyczna nastawiona była w pierwszym rzędzie na pospieszną reedukację własnych obywateli, którym należało wytłumaczyć, iż wczorajszy sojusznik ze Wschodu okazał się zdradliwym spadkobiercą wczorajszego wroga. Kiedy o zakończeniu procesu reedukacji obwieścili salwy artyleryjskie na froncie Korei, w sferze dywersji ideologicznej Zachodu zanosilo się już na nowy etap: bezpośredniej penetracji politycznej wśród społeczeństw krajów socjalistycznych, m.in. Polski. Założenia tego nowego etapu miał skonkretyzować John F. Kennedy: „Nie ma sensu zajmować się dyskusjami o zmasowanym odwiecie, w ten sposób umacniamy jedynie czerwony blok. Obecnie należy szukać metod zdeintegrowania tego bloku” (*The Strategy of Peace*, New York 1960). I tu przydatność londyńskiej emigracji okazała się znikoma. Deklaracje kombatanckich wieców, wstępniaki w „Orle Białym” miały oczywiście wymowę jednoznaczną, ale ich ofensywna skuteczność była raczej iluzoryczna. Kraj odgrodził się od nich murem wzdorliwego milczenia, szansa na przerzucenie „papierowych mostów” nie istniała. Co więcej, polski Londyn nie okazał zainteresowania wobec nowych form aktywności, do jakiej rada go była namówić CIA. Swą polityczną obecność zaznaczał na deptaku przed Brompton Oratory i na procesjach u O.O.Ksawerianów: postawa logiczna wypływająca z decyzji *anno domini* 1945. Jakikolwiek uczestniczenie (nawet na prawach dywersji ideowej) w grze sił politycznych w Kraju mogło bowiem grozić zarzutem odstąpienia od najwyższego kryterium: „aspiracji do rzeczywistości innej”, oznaczałoby pośrednie uznanie socjalistycznego statutu Polski. Jeszcze w roku 1958 (czyli w dwa lata po Październiku!) pisał w „Wiadomościach” Adam Pragier, że każda próba włączenia się do spraw krajowych, „ograniczona do poprawiania komunizmu grozi przeobrażeniem się sprawy Polski za naszym własnym przyzwoleniem w wewnętrzną sprawę bloku sowieckiego” („Wiadomości”, nr 660/1958).

Brak miejsca nie pozwala na szersze udokumentowanie tego zjawiska, które Cat-Mackiewicz określił zjadliwym mianem „emigranckiego snu o propagandzie, wywodzącego się z tych samych mesjanistycznych źródeł, z tych samych fałszywych urojeń, ze złud co do rzeczywistych sprężyn rządzących polityką świata”. (*Londyniszczanie*, Warszawa 1957, s. 108). Koła opiniotwórcze londyńskiej emigracji stale nie chciały bowiem dopuścić do swej świadomości myśli o nieodwracalności zmian, jakie przyniósł Europie rok 1945. Aby sztucznie wspierać mit dawnego układu sił, we wszystkich swych rozumowaniach, operowano pojęciami *ancien régime*’u. Jako znamienity przykład podajmy praktyczną nieobecność tematyki krajowej w twórczości pisarzy „londyńskich”, choćby w wersjach satyrycznych, paszkwilanckich, propagandowo-użytkowych; za to istny zalew wspomnień z kresowych dworów! Nawet ceniący tylko konkrety Czesław Miłosz musiał spłacić tej modzie daninę swoją *Doliną Issy*.

I w tym właśnie momencie – są to lata pięćdziesiąte – zaczyna się wielka kariera paryskiej „Kultury”. Jej kariera mała datuje się od roku 1946, kiedy to pod protektorem szefa sztabu 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, gen. Kazimierza Wiśniowskiego (oraz dzięki wysokiej dotacji tzw. Funduszu Społecznego tegoż korpusu), powstał w Rzymie Instytut Literacki – *Casa Editorica Lettere*. W lipcu roku 1947 zszedł z maszyn rzymskiej drukarni Oggi pierwszy numer miesięcznika społeczno-literackiego „Kultura”, który firmowało trzech ludzi: Jerzy Giedroyc, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński. Wszyscy trzej wywodzili się ze sfer ziemiańskich, choć ostatniemu tytuł ten przysługiwał nieco na wyrost: majątek Skrzeleszyce w woj. kieleckim wszedł w posiadanie rodziny Herlingów stosunkowo niedawno, na fali modnej wśród żydowskiej plutokracji zabawy w dziedziców. Wszyscy trzej przeżyli wojnę w szeregach 2 Korpusu, choć i tu ich losy kształtowały się nieco odmiennie. Czapski i Herling-Grudziński po klęsce wrześniowej znaleźli się w ZSRR, skąd Czapski awansował na szefa Oddziału Propagandy 2 Korpusu, a Herling-Grudziński pozostał w służbie liniowej. Giedroyc miał życiorys najbujniejszy: urzędnik Ambasady RP w Bukareszcie (tam oskarżony o sprzedaż paszportów dyplomatycznych po paskarskich cenach Polakom uciekającym przez Rumunię na Zachód), naczelnik wydziału w Ministerstwie

Spraw Wewnętrznych Rządu RP we Francji (stanowiska tego nie objął, gdyż obawiając się aresztowania za aferę bukareszteńską wyjechał do Palestyny), ekspedient w kantine żołnierskiej w Brygadzie Karpackiej, oficer w Oddziale Prasy 2 Korpusu. Oto sylwetki twórców. Wydaje się, że początki ich dzieła ocenić można po prostu jako prozaiczną chęć zabezpieczenia własnej egzystencji w chaosie pierwszych miesięcy pokoju. Nie był to *notabene* pomysł unikalny. Bezpośrednio po wojnie ukazywało się na Zachodzie kilkaset (!) gazet i pism polskich (m.in. „Polska Wierna” w Paryżu, „Na szlaku Kresowej” we Włoszech, „Nasza Emigracja” w Regensburgu, „Nowiny Polskie” w Salzburgu, „Wolna Polska” w Lyonie, „Kronika” we Frankfurcie), których zapleczem były z reguły zgrupowania ex-żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, tzw. Oddziały Wartownicze etc. Tyle, że gdy większość tych efemeryd kończyła żywot po kilku czy kilkunastu numerach, „Kulturze” udało się przetrwać. W październiku 1947 roku przenosi się Instytut Literacki z Rzymu do podparyskiego osiedla Maisons-Laffitte.

Okres 1947–1953 przeżywa „Kultura” na drugim planie życia emigracyjnego: centrum to Londyn. Sny o dworkach, pole bitwy o fikcyjny rząd dusz, swarliwe piekielko, w którym wycenia się wzajemne grzechy z przedwczoraj. Anders, Raczkiewicz, Zaleski, Mackiewicz, Rowmund Piłsudski, Ciołkosz, Wasiutyński, Wańkowicz, Terlecki, Zaremba – „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, „Orzeł Biały”, satyryczne „Pokrzywy”, egzaltowany „Lwów i Wilno” oraz „Wiadomości”. Ostatnie z wymienionych scharakteryzował trafnie Witold Gombrowicz, a ocenę londyńskiego pisma można chyba przenieść na cały polski Londyn: „Kapliczka, muzeum, stowarzyszenie wzajemnej adoracji, katalog, album zasuszonych pamiątek, cmentarz, herbarz, kącik filatelistów czy też bilardzistów, anegdota, gawęda, snobizm” (*Dziennik*, Paryż 1957, s. 172).

Wiele z tej atmosfery przeniknęło i do pierwszych roczników „Kultury”. Sławoj-Składkowski drukuje tu swoje *Opowieści administracyjne czyli pamiętnik niebohaterski*, Michał Sokolnicki wspomina czasy, gdy był w służbie Komendanta. Rozpamiętują przeszłość dawni dyplomaci (Józef Marlewski), urzędnicy ministerialni (Kajetan Morawski), generałowie (Ludomir Rayski). Można przecież z numeru na numer zaobserwować kształtowanie się w piśmie ducha swoistej opozycji wobec Londynu. Zdaje

się on jeszcze nie wypływać z konsekwentnych przymysłów kolektywu redakcyjnego, z prób ustalenia czegoś, co można by nazwać programem pisma. Przeczyłyby takiemu pōsądzeniu jawne sprzeczności w merytorycznej wymowie poszczególnych publikacji, z owego ducha opozycji poczętych. Znaleźć też bowiem można i przekorny panegiryk na cześć dalekowzroczności politycznej Becka (Michał Sokolnicki *Sprawa Józefa Becka*) i potępienie wyjątkowo sugestywne Berezny Kartuskiej (Ludwik Monigwill – *Przyczynki do Berezny*). Motorem owej opozycyjności wydaje się więc być raczej zwykły kompleks ludzi z drugiego planu, a do tego prozaiczna walka o powszechniejszą uwagę czytelnika. Redaktorów „Kultury” poczynają też drażnić bezproduktywne sny o dworkach; co więcej – wyczuwają, iż sny te uspiły również szarego emigranta. Giedroyc znajduje sposób, aby go obudzić. Była nim polemika na temat obozu karnego w Shinafoot. Do tej szkockiej mieściny wysyłano w latach wojny oficerów I Korpusu, podejrzanych o brak „lojalności politycznej”. Sprawa była wstydliva, skrzętnie tajona, wmieszanych w nią było szereg eminentnych osobistości. „Kultura” przypominała w roku 1953 historię Shinafoot, wywołując ujawnieniem sensacyjnych materiałów o obozie wielkie podniecenie wśród mas emigracyjnych oraz zalew sprzecznych wyjaśnień i kontrwyjaśnień (zabierali głos m.in. Marian Kukiel, arcybiskup Józef Gawlina, Władysław Diamand). Polemika toczyła się prawie półtora roku i odbiła się szerokim echem w większości pism emigracyjnych. Podobnych fajerwerków publicystycznych miało być jeszcze kilka. „Kultura” zaczynała być pismem, o którym się mówi, z którego opinią muszą się liczyć matadorzy londyńskiej polityki. Kompleks ludzi z drugiego planu ustąpił przed szyderczą wyższością ludzi młodszych, którzy przekroczyli strefy milczenia starszożyny. Na razie przekroczyli je, co prawda, tylko w planie iluzji: w grę wchodziły jedynie spory w *diasporze*. Znamienny jest ten brak istotnych sporów pomiędzy „Kulturą” a konkurentami londyńskimi o Kraj. Już choćby o weryfikację strategii, jeśli już nie o weryfikację reakcyjnego, przedwrześniowego światopoglądu. Co nie oznacza, iż z zestawu zainteresowań ówczesnej „Kultury” nie wynika pośrednio wniosek o odmienności w wycenie i hierarchizowaniu pewnych postaw społecznych. „Kultura” nie pisywała o kresowych dworkach, a co ważniejsze – w odróżnieniu od pism londyńskich – względna tylko wagę przywiązywała do opisów polskiego czynu orężnego.

w latach II wojny światowej. Suma tych dwóch, tak różnych, odmienności pozwala mówić o zaprogramowanej ofensywności „Kultury”, która nie chciała swej siły ataku obciążać bagażem spraw wczorajszych. Jakichkolwiek, nawet tych, co mogły stanowić powód do chluby. Chociaż tu potrzebna znamienita korekta. Na łamach „Kultury” toczyły się dwie wielkie dyskusje na tematy okupacyjne: obie dotyczyły przecież nie militarnego, lecz ideowego aspektu niedawnej przeszłości. Pierwszą zainicjował artykuł Stefana Korbońskiego *Pierwsze władze Polski Podziemnej* (1949), drugą artykuł Stefana Żochowskiego *Narodowe Sity Zbrojne* (1950). I znów łączy dwie dyskusje klimat finalnych wniosków: ofensywność „Kultury” miała być coraz bardziej antykomunistyczna.

Wszystko to razem miało również przynieść pismu skutki prozaiczne. Pomagało w zdobyciu czytelników. I w zdobyciu autorów... W początku lat pięćdziesiątych systematycznie rozszerza się lista nazwisk współpracowników „Kultury”. Są wśród nich ludzie z różnych pokoleń, z odległych ośrodków geograficznych. Publicyści: Gustaw Herling-Grudziński, Juliusz Mieroszewski, Konstanty Jeleński, Jerzy Stempowski-Hostowiec, Zbigniew Jordan, Kazimierz Okulicz, Wacław A. Zbyszewski, Władysław Kozłowski, Aleksander Hertz, Juliusz Horzelski; prozaicy – Witold Gombrowicz, Tadeusz Nowakowski, Józef i Maria Czapski, Józef Mackiewicz, Andrzej Bobkowski, Czesław Straszewski; poeci – Kazimierz Wierzyński, Józef Łobodowski, Józef Wittlin, Jan Brzękowski, Tadeusz Sułkowski, Jerzy Pietrkiewicz, Wacław Iwaniuk, Jan Winczakiewicz.

Sporadycznie pojawiały się na łamach „Kultury” nazwiska Marii Kuncewiczowej, Wacława Lednickiego, Władysława Pobóg-Malinowskiego, Kazimierza Iranka-Osmeckiego, Stanisława Vincenza, Aleksandra Janty, Alfreda Zaubermana, Ryszarda Wragi, Melchiora Wańkowicza, Stanisława Cat-Mackiewicza, Aleksandra Kawalkowskiego i innych.

Wielu z tych ludzi traktowało „Kulturę” jedynie jako miejsce druku, nie wdając się w analizowanie materiałów, z którymi ich teksty będą sąsiadować. Taką postawę zdawał się początkowo zajmować przede wszystkim Witold Gombrowicz, którego od środowiska londyńskich wspominkarzy odtrącał jego zmysł ironii. Olimpijski spokój cechował szkice sędziwego Wittlina (w wydany przez paryski Instytut Literacki jego tomie pt.

Orfeusz w piekle XX wieku miał się również znaleźć serdeczny rozdział o komunistycznym poecie, Witoldzie Wandurskim) oraz Kuncewiczowej, przemysłiwającej już zapewne o kontaktach z Krajem. Młodzi poeci z londyńskiej grupy „Kontynentów” (Śmieja, Taborski, Sito, Ihnatowicz) współpracowali z kolei z „Kulturą” tak długo, dopóki nie zorientowali się we właściwym obliczu politycznym pisma. Podobna różnorodność autorskich nazwisk i niejednorodność autorskich stanowisk dodawała „Kulturze” barwności, ekscytowała wyobraźnię czytelników, na krystalizowanie się generalnej linii pisma nie wywarła przecież zasadniczego wpływu. Ta pozostawała wewnętrzną sprawą kilku zaledwie osób: Giedroycia, Herling-Grudzińskiego, Mieroszewskiego, Stempowskiego, Jeleńskiego. W roku 1951 dopisuje się do tej listy, zdradzając kraj, ówczesny radca Ambasady PRL w Paryżu, poeta i eseista, Czesław Miłosz. Twórczość publicystyczna Miłosza na łamach „Kultury” stanowi dodatkowy dowód, że w sprawie kluczowej przy jakiegokolwiek ocenie politycznej środowisk emigracyjnych, tj. w sprawie stosunku do Polski Ludowej, nie istniały w owych latach zasadnicze sprzeczności pomiędzy grupą „Kultury” a ortodoksami z Londynu. I tu i tam był to stosunek zdecydowanie krytyczny, negatywny, wrogi. Natomiast jedynie poglądy Miłosza się wyróżniały: zawierał się w nich załączek koncepcji **politycznego działania**.

Przed wszystkim więc Miłosz postulował rewizję samego pojęcia polskości, w jej tradycyjnym rozumieniu widząc przeszkodę przy praktycznym dopracowywaniu się kształtu Polski jutra. Nie ukrywał też swej pogardy dla ludzi, których raz mieni: „polonocentrystami” (*Człowiek wśród skorpionów*), raz – „wyznawcami idei Narodu” (*Rodzinna Europa*). Personalne przykłady owych postaw wymieniał najchętniej w czasie przeszłym, podkreślając, że właśnie mitotwórstwu „wyznawców” zawdzięcza Polska swój brak trwalszej stabilizacji w przeciągu dziejów. Szczególnie ostro atakował mesjanizm jako „robiący wrażenie nieartykułowanego bełkotu, który wpajając mylne poglądy na historię, sprowadzoną do zderzeń demonizmu z anielstwem, sprzyjał nałogom dla każdej zdrowości szkodliwym. Błogosławieństwo niebios zastępować miało dotykalne i możliwe do przewidzenia następstwo czynów” (*Człowiek wśród skorpionów*, Paryż 1962, s. 109). Pogląd morderczy dla londyńczyków, którzy

z mickiewiczowskiego mesjanizmu uczynili sobie sztandar, hasło swej idei przetrwania. A zarazem pogląd, który prowokował do dalszego ustalenia – i „czynów”, i „następstw”. Odrzucając „polonocentryzm”, głosił tu Miłosz ideę paneuropeizmu. Miał to być do tego paneuropeizm wojujący: przeciwnik był na wschodzie. Do ludzi radzieckich żywił Miłosz już nie niechęć, a pogardę, której nie skrywa nawet, gdy w grę wchodzi drobne realia czy sposób bycia. Do rangi symbolu urasta „odstawiony, na znak dobrych manier, mały palec u sowieckiego oficera, rodem z Tyflisu, kiedy pije herbatę.” (*Rodzinna Europa*, Paryż 1959, str. 9). Pogarda jest jedyną według Miłosza formą obrony Europejczyka przed agresywną obcością, którą Wschód zieleje ku Europie. Obcością, która jest nie do usunięcia, wynika bowiem z samej istoty zjawiska. „Rewolucjoniści rosyjscy, marząc o *tabula rasa*, kłamali samym sobie. Usadowiwszy swych wodzów na Kremlu, mogli budować z tego tylko materiału ludzi, przyzwyczajęń, obyczajów, jaki znaleźli pod ręką, „a co gorsze sami byli materiałem ulepionym przez ducha ich ziemi” (*ibid.*).

PanEuropa, oddzielona przepaścią od Kraju Rad, to było przecież dopiero „następstwo”. Jaki czyn miał ją przybliżyć? Będąc bardziej egocentrykiem niż człowiekiem społecznym, bardziej poetą niż politykiem – Miłosz czynów z imienia nie nazywał. Zwrócił przecież uwagę emigracyjnych polityków na marksizm jako instrument, przeobrażenie którego może pociągnąć za sobą praktyczne konsekwencje społeczne. W zaciśniętych londyńskich dworcach marksizm był raczej słowem niż pojęciem. Ironizował Gombrowicz, że „nasi myśliciele nie sprostiliby tu egzaminowi studenta na II roku filozofii w kraju” (*op. cit.*, str. 193).

W rozważaniach Miłosza marksizm obecny był stale. Jest to obecność szczególna. Widać, że byt interesuje Miłosza jedynie jako jeden ze sposobów kształtowania myśli, a dialektyka bliższa mu jest niż materializm: „Od wczesnej młodości pociągali mnie marksiści, bo odgadywałem w nich coś żywego, wzmacniającego. Zarazem odpychali mnie przez swoje doktrynerstwo” (*Rodzinna Europa*), str. 220). Ten kierunek przeciwstawień *pointe*uje niezmiennie wszystkie sytuacje, w których Miłosz wspomina ideologię, obowiązującą w jego byłej ojczyźnie. Poświęcając np. w *Rodzinnej Europie* cały rozdział osobie prof. Tadeusza Krońskiego, będzie się starał wpoić w czytelnika przekonanie,

że naukowa wartość dorobku Krońskiego rozpoczynała się w momencie narastania u uczonego wątpliwości wobec samej istoty marksizmu. W *Człowieku wśród skorpionów* zjawi się z kolei sympatyczna próba przeciwstawienia sobie dzieł starego i młodego Marksa, prowadząca do finalnego wniosku o antynomii człowieka i natury... Obie wspomniane tu książki pochodzą *notabene* z lat późniejszych. Ale pamfletem na marksizm i marksistów był już przede wszystkim wydany w roku 1951 *Umysł zniewolony* – ironiczny podręcznik indoktrynacji, którą Miłosz uznał za produkt Wschodu, ale którą żarliwie zalecał swojej Europie.

Miłosz był więc tym, który odpowiedział „Kulturze” myśl, że hasło rewidowania marksizmu może stać się formułą działania. Polski Londyn hasłem wzgardził, tym większa była okazja, by „Kultura” zyskała osobowość własną, by jej ofensywność zdobyła sobie ujście, zdobyła program. W zaraniu lat pięćdziesiątych program ów miał co prawda podstawową wadę: nie było komu nim służyć. Zimnowojennym sloganom Stanów Zjednoczonych o „żelaznej kurtynie”, która miała szczelnie odgradzać Zachód od socjalizmu, odpowiadała raczej ortodoksja „Wiadomości” i „Orla Białego”. Aż okazało się wreszcie, że kolumbowy trud Miłosza nie jest daremny. Jego Amerykę odkryli w końcu sami Amerykanie.

W wydanej w roku 1953 książce *Powstrzymanie czy wyzwolenie* pisał James Burnham: „Można uważać za bezsporne, że strategia, która miałaby swe ognisko geopolityczne w Europie Wschodniej byłaby dla celów Stanów Zjednoczonych najkorzystniejsza (...) Zastosowanie tej strategii oznacza użycie sił antyradzieckich wewnątrz bazy przeciwnika, poza jego liniami, poza jego frontem. Nacisk zastosowany wewnątrz głównej bazy komunistycznej, nawet na jej zewnętrznych odcinkach, wywołuje największy efekt, bo im bliżej mózgu tym większy skutek uderzenia. Nawet niewielkie wydarzenie wewnątrz bazy może zmusić przeciwnika do wycofania sił z większej kampanii zewnętrznej (...) Akcja wewnętrzna na wielką skalę może przeciwnika obalić, to znaczy zlikwidować ustrój radziecki w sposób najbardziej skuteczny, a przy tym stosunkowo tani”. Z wszystkiego tego, co powyżej, nie należy wysnuwać wniosków, jakoby Czesław Miłosz był tym, kto wymyślił nową doktrynę dywersyjną dla Stanów Zjednoczonych. Za jej ojca trudno uznać również Jamesa Burnhama, którego książka zbiegła się z pracami innych sowietologów: Griffith’a, Rostowa, Bromke, a wszyscy

oni działali po prostu na zamówienie określonych kół finansjery amerykańskiej. Sargent Shriver zamknął istotę tego zamówienia w eleganckiej formule: „Wobec narodów znajdujących się pod komunizmem możemy wykorzystać siłę nowych idei filozoficznych i kulturalnych, aby poprzeć pokojowe przeobrażenia wewnątrz komunistycznego imperium” (*Point of the Lance* New York 1964). Więc nie dla Stanów Zjednoczonych był Miłosz suflerem. Ale swoje spostrzeżenie podsuflował on grupie polskich emigrantów, skupionych wokół „Kultury” – sprawił, iż właśnie to pismo stało się najbardziej gotowe do propagowania nowych doktryn, wówczas gdy nowy układ sił w świecie kazał Stanom Zjednoczonym te nowe doktryny zastosować w wojnie psychologicznej, skierowanej przeciw społeczeństwom krajów socjalistycznych.

W roku 1955 redakcja „Kultury” nabyła w Maisons-Laffitte dom, gdzie poza wydawnictwem mieścić się będzie biblioteka i galeria obrazów. Do tych dóbr materialnych dochodzi ona w sytuacji, kiedy na wydanie tomu *Poezji zebranych* Kazimierza Wierzyńskiego złożyć się musi kilka tysięcy subskrybentów. Dochodzi w sytuacji, kiedy reprezentujące podobne do niej „zainteresowania” marksizmem pisma Europy („Der Monat”, „Encounter”, „Preuves”, „Tempo presente”*, „Nouvelle Revue Française”) nie tają specjalnie faktu, iż są subsydiowane przez tzw. Kongres Wolności Kultury. Pozostawmy domyślności czytelnika odpowiedź na pytanie, kto subsydiuje z kolei ów Kongres, we władzach którego znajdują się znani reneżaci ruchu robotniczego (Artur Koestler, Ignazio Silone), znani reprezentanci filozofii wojującego imperializmu (James Burnham), a także członek kolegium „Kultury”, Konstanty Jeleński. [...]

EWOLUCJONIZM OD PAŹDZIERNIKA DO MARCA

[...] Rejestrując poszczególne akcje i kampanie „Kultury”, charakteryzując różniące je odcienie w stylu realizacji – nie wolno przecież zapominać o rzeczy nadrzędnej, wyznaczającej kolejnym przedsięwzięciom „Kultury” ich rzeczywistą hierarchię: ważniejszym było to, co boleśniej uderzało w Partię. Stąd szczególna uwaga Maisons-Laffitte koncentruje się na działalności

* Chodzi o jedno pismo pt. „Tempo presente” – Red.

tej grupy partyjnych filozofów, ekonomistów i socjologów, których rewizjonistyczna postawa miała się zdekonspirować do końca dopiero w pamiętnych dniach marcowych. Na razie Bauman, Kołakowski, Brus, Pomian domagają się jeszcze dla siebie nazwy marksistów; mianują „naukowym obowiązkiem” swoją predykcję do rewidowania podstawowych tez marksizmu-leninizmu. Potrafią zmylić wielu w Polsce, nie przejawiają też większego zainteresowania nimi specjalistyczne periodyki Zachodu. „Poza Zbigniewem Jordanem na łamach „Kultury” – żalił się Mieroszewski – nikt nie podjął dyskusji rewizjonistycznej. Dyskusję taką, gdyby się toczyła, śledziliby z uwagą rewizjoniści w krajach Europy wschodniej i nie tylko rewizjoniści. Przecież rewizjonizm oferuje pokojowe ewolucyjne przejście od totalizmu do demokracji”. Za to aktywność samej „Kultury” w propagowaniu wschodnioeuropejskiego rewizjonizmu była istotnie imponująca. Tu doktryna „rozmiękczenia” miała wyrazić się najpełniej, obiektem natarcia było przecież centrum newralgiczne całego atakowanego systemu: idea Marksza, Engelsa, Lenina. Idea, której wspomniany tu już Zbigniew Jordan, komentator filozoficzny „Kultury”, odmawiał prawa nawet do nazwy nauki. „Jedną z tez podstawowych marksizmu-leninizmu – pisał – było zniesienie różnicy między światopoglądem i filozofią. Filozofia, a także nauka są w marksizmie-leninizmie podporządkowane światopoglądowi. Najogólniejsze i sporne przekonania o świecie, człowieku, społeczeństwie, życiu, jakie stanowią dziedzinę wiedzy o najbardziej wątpliwej wartości poznawczej, marksizm-leninizm traktuje jako wiedzę najpewniejszą i ostateczną, punkt wyjścia i kanon oceny wszelkiej filozofii i każdej nauki”. („Kultura” nr 141/1957).

Publikacje dzieł Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczko, Adama Schaffa stawały się w tej sytuacji ważkimi argumentami. Podobny był to zakres wątpliwości, podobna niechęć do „monizmu ideologicznego”. Jordan ogłasza więc „filozoficzną antropologię” Kołakowskiego za „próbę rozwinięcia marksizmu bez polityki”, podkreśla też z uznaniem wartość polskich prac o alienacji jednostki w społeczeństwie socjalistycznym. Bowiem „w państwach komunistycznych, zgodnie z tezą Feuerbacha – zdetronizowano wprawdzie Boga, lecz bynajmniej nie zdetronizowano człowieka. Intronizowano nieomylną partię. Zmieniono system własności rozkuwając robotnika z kajdan

kapitalizmu. Lecz równocześnie ową wolność od kapitalizmu skrepowano taką ilością nakazów i zakazów, że nikt nie poczuł się wolniejszy (...) Obalenie systemu kapitalistycznego nie niweczy automatycznie alienacji we wszystkich jej przejawach" („Kultura” nr 204/1964). Recenzując poszczególne publikacje krajowe, za każdym razem akcentuje się w nich takie rzekome pozytywy, które w podtekście niosą przeświadczenie o uwiądzie marksizmu jako nauki; z kolei w pracach polemizujących z rewizjonizmem podkreśla się rzekomą drugorzędność elementów poznawczych w stosunku do politycznego utylitaryzmu, narzuconego jakoby filozofii marksistowskiej przez rządy i partie. Za inicjatora takiego „wyrodnienia” marksizmu uznany został sam Lenin, który „zamiast czekać na stopniowy, naturalny rozwój bytu społecznego, na dojrzewanie bytu, chciał ten proces świadomie przyspieszyć w sposób sztuczny” (Wiktor Sukiennicki, *Kolumbowy błąd*, Paryż 1959). Takie zainteresowanie rewizjonizmem filozoficznym posiadało, jak widać, całkowicie prozaiczny sens: przydawało argumentów do rewizjonizmu politycznego. Ostatni termin wołał co prawda Juliusz Mieroszewski określać bardziej umownym mianem – ewolucjonizmu. Taki też tytuł nosi jego podstawowe studium polityczne.

„Ewolucjonizm”... Nauka prosta, choć Mieroszewski starał się ozdobić ją sztafażem historiozoficznych naddatków i myślowej ornamentyki. Nie te ornamenty przecież decydowały o jej oryginalności, lecz właśnie instruktażowa zwięzłość generalnego wyводу: brak nadziei na zwycięski konflikt militarny każe szukać innych dróg zniszczenia bloku państw socjalistycznych. Skoro władzę w tych państwach sprawują partie komunistyczne, należy zainicjować proces rozsadzenia tych partii od wewnątrz. Wykorzystując istnienie w partii (dopuszczalnych w myśl zasad demokracji wewnątrzpartyjnej) pewnych różnic poglądów, należy doprowadzić do ich intensyfikacji, by w sztucznie wyolbrzymionej atmosferze waśni doprowadzić do, choćby częściowej, światopoglądowej dezintegracji partii. W dyskusjach wewnątrzpartyjnych należy popierać grupy najmniej pryncypialne, należy stawiać na rzeczników walki z dogmatami, na skłonną – z natury – do nieprzemyślanej buntowniczości młodzież, te siły rokuja – zdaniem Mieroszewskiego – największe nadzieje na stopniową ewolucję charakteru władzy, na odchodzenie od założeń marksizmu-leninizmu, na uleganie magii pseudodemokratycznych

frazesów, a w konsekwencji mogą nawet doprowadzić do roztopienia się kierowniczej funkcji partii...

Aż nadszedł marzec 1968 roku. Zespolony wokół partii, naród polski przekreślił jeszcze raz rachuby ewolucjonistów z Maisons-Laffitte. Mieroszewskiemu do jego westchnień nad niedoszłym do skutku sojuszem Warszawy i Bonn doszedł nowy wątek: „Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przeceniliśmy polskich rewizjonistów marksistowskich (...) Tak rewizjoniści jak i opozycja niemarksistowska nie mieli żadnego programu. Program miał tylko Gomułka i jego ludzie”. („Kultura” nr 246/1968).

KRAJ RYNSZTOKIEM PŁYNĄCY

Epilog wydarzeń marcowych w Polsce był kolejnym krachem nadziei i koncepcji „Kultury”. Gdybyśmy przecież ograniczyli się do tego stwierdzenia, przyznalibyśmy tym samym pośrednio rację publicystom emigracyjnego Londynu (np. Ciołkoszowi, Pragierowi, Zarembie), którzy od lat polemizowali z „Kulturą”, zarzucając jej polityczną krótkowzroczność, przecenianie wpływów rewizjonistycznych, niebezpieczeństwo wchodzenia w alianse z jakimikolwiek siłami w Kraju etc. Nam zaś idzie nie o udokumentowanie subiektywnych błędów w taktyce „Kultury”, lecz o zdefiniowanie jej obiektywnej funkcji ideowej. Funkcji szkodliwej nie tylko dla socjalizmu w Polsce, ale również dla samej Polski, jeśli w takim sylogizmie można by uznać Polskę za wartość nadrzędną. Otóż, właściwy charakter ideowy funkcji „Kultury” staje się oczywisty, jeżeli opisywany dotąd mechanizm zabiegów, stosowany wobec potencjalnego czytelnika w kraju, zestawimy z mechanizmem zabiegów, których przedmiotem miał być czytelnik emigracyjny. Wraca zatem do naszych rozważań, zasygnalizowany na początku książki, problem dwóch adresatów, tak przecież zróżnicowanych politycznie, środowiskowo, psychologicznie. Oczywiście, „Kultura” stara się o zachowanie pozoru janusowej jednolitości. Istnieje przecież kompleks spraw, gdzie taka jednolitość jest praktycznie niemożliwa i gdzie redakcja zdecydowała się na jeden wyraźny adres czytelniczy. Pobudki takiej decyzji staną się zrozumiałe,

gdy nazwiemy ów kompleks: to, poddany obróbce literackiej fikcji, obraz współczesnej Polski. Tutaj trudno godzić wymogi rzetelności opisu (które by go uwierzytelniały w oczach czytelnika krajowego) z wymogami propagandowego oddziaływania na czytelnika emigracyjnego (który opis „Kultury” konfrontować może jedynie ze wspomnieniami sprzed lat). Potrzeby propagandy na własne podwórko przeważyły, gdyż i racje tej propagandy zdawały się górować: od Października wznagał się na emigracji proces „bezkrytycznego solidaryzowania się na odległość ze zmianami, zachodzącymi w kraju” („Wiadomości”, nr 635, 1958). „Kultura” mogła różnić się od Andersa, Ciołkosza, Zaremby swą taktyką, ideologia obu grup była przecież wspólna. I „Kultura”, nie zaprzestając swej taktycznej kokieterii wobec kraju, zaczyna go jednocześnie atakować wprost, poprzez fabrykowanie na swych łamach obrazu rzekomej Polski współczesnej.

Człowiekiem, który w księgozbiorze Instytutu Literackiego obraz tej Polski miał kształtować, stał się przede wszystkim Marek Hłasko. Dla emigrantów – rzecznik prawdy, bo świadek wydarzeń; dla ewentualnego czytelnika krajowego – pisarz owiany wspomnieniem *Pierwszego kroku w chmurach*; dla samego wreszcie Giedroycia – partner idealny, bo i bez skrupułów, i bez przekonań. Do tego ostatniego Hłasko przyznaje się zresztą otwarcie: „Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko *commies*. Tak długo, jak oni popełniają świństwa, a ja mogę o tym pisać – wszystko jest dla mnie o.k. Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia: sprawa jest dla mnie obojętna, byleby proces był ciekawy. To wszystko. Życie, które mi dano, jest tylko opowieścią, ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa. Jedynie o to mi chodzi”. (*Piękni, dwudziestoletni*, Paryż 1966, s. 13).

Mamy zatem motto hłaskowej opowieści o Polsce, równie prosty jest tej opowieści mechanizm. Najłatwiej uchwytny jest on właśnie w *Pięknych, dwudziestoltenich*, gdzie pozór fabularyzowanego pamiętnika pozwala Hłasce spletać prawdę z fałszem w węzeł niemal idealny. Podaje daty, imiona, nazwiska, podbudowuje je informacją, kto z kim i za ile. Ta powaga, z jaką autor celebrował swoją grę w pozory, osiąga momentami wymiar groteski: „miliant, który mnie przesłuchiwał w bazie samochodowej, nazywał się”... „na bokserki mecz wszedłem na gapę dnia...” Groteska ma przecież cel bardziej serio, miliant zamienia się w partyjnego działacza, mecz w redakcyjną

konferencję. Jeśli pierwsze informacje brzmiały prawdziwie, trudno niby wątpić w prawdę drugich: Putrament staje się więc głupawym propagandzistą, Wilhelm Mach skalany łózkową plotką, Broniewski – sprowadzony do rozmiarów genialnego maniaka, którego nie obchodziło życie, bo ładniej mu się pisało o legendach. Jeśli w *Pięknych, dwudziestoltenich* ogranicza się przy tym Hłasko do rozrachunków z własnymi kompleksami środowiskowymi, to w pozostałych swoich książkach: *Cmentarzach*, *Sowie*, *córce piekarza* występuje z totalną wizją Polski pod rządami komunistów. Jest to wizja istotnie przerażająca. Zakłada bowiem powszechny zanik norm moralnych. Oczywiście jest to wizja zakłamaną, co przyznają nawet niektórzy emigrancyjni recenzenci książek Hłaski, ale nie o to chodzi. Jest ona wystarczająco sugestywna i zaspokaja określone oczekiwania. Stanowi dokument wiedzy o Polsce, który obowiązuje na emigracji. Obowiązuje, ponieważ poza zaufaniem do rzekomych faktów gra na jego korzyść również stara zasada irracjonalnego podziwu, jaki zawsze odczuwał spokojny *bourgeois* do autora – awanturnika. Zwłaszcza, jeśli awanturnik daje do zrozumienia, że nie są mu obce i wyższe ideały. Ten dar ma zaś Hłasko w stopniu tak doskonałym, że nie boi się nawet własnego cynizmu: „Poszedłem do konsulatu amerykańskiego w Palermo, kiedy zaczęli się kotłować w Wietnamie i poprosiłem o prawo wstąpienia do armii amerykańskiej i wysłanie mnie na wojnę. Wyjaśniono mi, że mogę pojechać tylko w jednym wypadku: jeśli dostanę wizę emigracyjną i wstąpię do armii amerykańskiej na terenie USA. Chciałem dać tylko swoją krew, ale i ta nie była dość dobra dla gwiazdzonego sztandaru” (*Ibidem*, s. 98).

Czytelnik emigracyjny skłonny jest połowę faktów, opowiadanych przez Hłaskę, zapisać na karb bujnej imaginacji pisarza; drugiej połowie zaczyna wierzyć. I zaczyna wierzyć nastrojowi, który doń przesiąka z kart książki. Że w Polsce za opowiadanie dowcipów grozi kara zsyłki, że ludzie idą spać niepokorni, czy nie obudzi ich nocna rewizja, że jedyną chwilę wytchnienia gwarantuje im knajpa i wizyta u prostytutki. Swoistym dopełnieniem prozy Marka Hłaski są memuary drugiego z tych, co „obrali wolność”, Leopolda Tyrmanda, raczącego swych czytelników sensacyjkami o nihilizmie i degrengoladzie polskich środowisk inteligenckich. Swoistym dopełnieniem jest powieść Tomasza Stalińskiego *Widziane z góry*, karykaturująca obraz życia politycznego w Polsce, pełna paszkwilanckich ataków na niektórych przywódców

naszego kraju. Staliński kreśli kafkowską wręcz wizję mechanizmu rządzenia, w którym faktyczna władza, oddanie sprawom Polski i socjalizmu nie mają żadnej wartości; wszystkim rządzi fałsz, donos, intryga. Jest to przy tym kafkowski mechanizm, sterowany przez małych ludzi, którzy nawet intrygi partaczą, a donosy piszą z błędami ortograficznymi. Znamienne *notabene*, że w opisie polskiej „nowej klasy wyzyskiwaczy” nie zapomina Staliński o barwach cieplejszych dla grupki „światłych opozycjonistów”, próbujących podjąć beznadziejną walkę z immanentnie złym systemem. A jako że powieść *Widziane z góry* skonstruowana jest na dość przejrzystej zasadzie „opowieści z kluczem”, wśród tych „sympatycznych opozycjonistów” łatwo można odgadnąć kilka eks-prominentów, których marcowe wydarzenia zmiotły z areny życia politycznego Polski. Polski, która dla Stalińskiego jawi się jako partackie repetytorium z Kafki, dla Hłaski jako zapijaczony rymszok, dla Tyrmanda jako rozplotkowany dom publiczny.

Listę tych powieściowych obrazków można by mnożyć: jest jeszcze przecież George J. Flemming (Jerzy Działak) autor *Polski mało znanej* oraz *Czym to się je?*, jest Piotr Guzy, autor *Stanu wyjątkowego* oraz *Krótkiego życia bohatera pozytywnego*, są przeróżne, pomniejsze Grube Maćki (anonimowy autor opowiadania *Plaża*, zamieszczonego w 246 numerze „Kultury”). Opisywanie tych utworów byłoby przecież czynnością bez sensu: jednolita czerń barw obowiązuje wszędzie, cieniowana jedynie mniejszym lub bardzo małym talentem poszczególnych autorów. Bez sensu byłoby również mówienie o samych autorach: jeden z nich uciekł z Polski, zostawiając żonę bez środków do życia, drugi zmaltwersował społeczne pieniądze. Po cóż przecież penetrować życiorysy grafomanów? Ich nieistniejący talent jest i tak elementem wtórnym w całej grze, w której liczy się wyłącznie określony nacisk na podświadomość czytelnika; celem tego „pisarstwa” jest budzenie odruchów warunkowych, nie ambicja kreowania artystycznej metafory. O intelektualne ambicje posądzać, wśród tych opisywaczy *quasi*-Polski, można było jedynie Miłosza, gdy 1951 roku opublikował swój *Umysł zniewolony*.

Był to perfidny donos na ojczyznę, ale donos wykaligrafowany artystycznie. Nie należy przecież zapominać o jednej zasadzie odmienności sytuacyjnej: stawka w całej grze. Stawką była osobista pozycja Miłosza, którą chciał wywalczyć sobie na

Zachodzie. Książką tą rozpoczynał swoją karierę zdrajcy. Karierę zdrajcy, który odmiennie niż Światło czy Tykociński mógł handlować u obcych jednym tylko towarem: własnym talentem. Jego *Umysł zniewolony* to paszkwilanka biografia czterech, czołowych wówczas pisarzy polskich. Nie było w niej przecież nic z uwierzytelniających przewód plotek, nie było nawet nazwisk bohaterów, a polskość opisywanych sytuacji zredukowana została do wymiarów mglistego tła. Czesław Miłosz rozpoczął swój handel *va banque*. Plotki czyniłyby zeń tuzinkowego skarżypytę; on chciał pozostać pisarzem-moralistą; nadmierny akcent na polskość mógł sugerować moralistę lokalnego; on marzył o pozycji europejskiej; rozszyfrowanie wreszcie nazwisk owych *Alfy, Bety, Gammy i Delt*y określałoby *Umysł zniewolony* jako książkę o nich, a miała to być książka zupełnie o kim innym. Nie o czterech konformistach, ale o jednym bohaterze. Nie o Andrzejewskim, Borowskim, Putramencie, Gałczyńskim, lecz o Czesławie Miłoszu, o sprawiedliwym, który się nie poddał; o samotnym, który podjął walkę przeciw totalnemu zakłamaniu. Bo pamiętajmy: w 1951 roku nie ogłosił Waszyngton jeszcze swej dyspensy dla rewizjonistów. Szansą dla zdrajców była nie sama umiejętność w opluwaniu eks-rodaków, lecz raczej – udowodnienie własnych praw do miejsca w zachodnim systemie cywilizacyjnym. *Umysł zniewolony* ogłosił Miłosz po szwedzku z przedmową Karla Jaspersa. Potem ukazały się edycje: angielska, amerykańska, kanadyjska, zachodnioniemiecka, francuska i włoska. Dopiero wśród nich polska, nakładem „Kultury”. *Notabene* druga emigracyjna książka Miłosza *La grande tentation. Le drame des intellectuels dans les démocraties populaires* wychodzi w 1951 roku jedynie po francusku, bez wersji polskiej!

Odmienność stylu antypolskich książek Miłosza wypływa zatem z odmienności sytuacji, w jakich one powstają. I ta odmiennność nie wywyższa Miłosza, ona po prostu jeszcze bardziej poniża tych, którzy dla celów antynarodowej, codziennej agitacji rezygnują już nie tylko z poczucia patriotyzmu, nie tylko z obowiązującej artystę wierności wobec prawdy, ale nawet z pisarskich ambicji, jakich np. Markowi Hłasce w początkach jego kariery odmówić było nie sposób.

Publicyści „Kultury” lubią powtarzać, że celem działalności ich pisma jest dobro Polski. Że – co więcej – potrafią ocenić obiektywnie te poczynania władzy ludowej, które owo dobro

pomnażają. W roku 1953 rozpisali nawet ankietę pt.: „Które z przemian w Polsce są nieodwracalne?”, gdzie opowiedzieli się za reformą rolną i nacjonalizacją kluczowych gałęzi przemysłu, zaakceptowali dorobek rządów socjalistycznych w zakresie urbanizacji i industrializacji kraju. Po latach komentował cel i skutki tej ankiety Juliusz Mieroszewski: „W owym okresie, dzięki niezmiernie licznym spotkaniom z Polakami krajowymi, zdaliśmy sobie sprawę ze zmian w postawie społeczeństwa polskiego (...) Jest oczywiste, że proces przekształcania kraju rolniczego w kraj przemysłowo-rolniczy – niezależnie od ideologii i polityki – powodować musi różnorakie przemiany w postawach ludzkich. Ponieważ Polacy na emigracji nie brali udziału w tym procesie – ich postawy nie uległy zmianie. Stąd hasło obowiązujące do dziś, że «Polacy się nie zmienili». Polacy jako naród i społeczeństwo zmienili się znacznie. W pewnych dziedzinach na lepsze, w pewnych dziedzinach na gorsze” („Kultura”, nr 246, 1968). Stwierdzić wypada, że w tym najbardziej sugestywnym zapisie faktów, jakim jest literatura, autorzy „Kultury” przekazali swoim czytelnikom jedynie połowę tej prawdy, którą sami uznali przecież za własną; wypadły im z pola widzenia owe „zmiany na lepsze”. Skłamali nawet sobie samym, namalowali posępną karykaturę w miejsce Ojczyzny.

Cóż, Polsce Hłasko nie zaszkodzi, nie jest również w stanie oduczyć polskiego społeczeństwa postawy patriotycznej. Stawką w tej żalosnej grze są, co najwyżej, jednostki.

W tymże numerze „Kultury”, w którym Mieroszewski tłumaczy się z dawnej ankiety, znajduje się relacja Andrzeja Lubelskiego pt.: *Konsument to ja*. Autor, jakoby urzędnik Zarządu Miejskiego w Radomiu, uwierzył, że żyje w Polsce namalowanej wokół niego przez Marka Hłasko. Poprosił o azyl w Niemczech zachodnich, ma niemiecką żonę, niemiecki sklep z towarami kolonialnymi, kupił sobie bazaltowy grobowiec na niemieckim cmentarzu. I pisze: „Tutaj za Boga nie ożeniłbym się z Polką, za granicą to koniec. Człowiek staje się obcy dla otoczenia, wchodzi w polski kocioł, z którego nie ma wyjścia. Na co mu to potrzebne? Przecież ci ludzie bez przerwy się kłócą, nawet w swoim własnym piśmie; rozsyłają je za darmo, bo nikt by nie kupił. Drętwe, jakby się bali, że od wesołego słowa ich orłu korona z głowy spadnie. Na co dzień ci patrioci handlują zegarkami, a w niedzielę bawią się w nieuznawanie rzeczywistości – z podobnym wynikiem. Żyją

myślą powrotu do Polski; kiedy się zmienia, oczywiście. To bezsens ustawić całe swoje życie pod kątem tak mało prawdopodobnej możliwości. Nie rozumieją, że negacja rzeczywistości to negacja życia. Nie potrafią się przystosować – biedni ludzie.

U nas w domu nie rozmawiamy po polsku ani moje dzieci nie uczą się polskiego. Szkoda czasu, ten język nikomu niepotrzebny. Nasze nazwisko przerobiłem na łatwiej wymawialne, bo mamy stale kłopoty, a to taka drobnostka. Staram się też nie przypominać, że Polacy to Słowianie, ta nazwa budzi niekorzystne skojarzenie w językach europejskich. Za to do Polski bardzo chętnie jeździmy, oczywiście od czasu, kiedy dostałem niemieckie obywatelstwo.

Czekałem na nie z niecierpliwością; latami pobytu i uczciwej pracy wysłużyłem sobie miejscówkę w nowym społeczeństwie. Trochę mi przykro, że zostałem akurat niemieckim obywatelem – tak się złożyło, nie miałem wyboru. Za to wreszcie przestałem być człowiekiem z poczekalni, w końcu gdzieś należę.”

Opowieść rzekomego Andrzeja Lubelskiego to przecież nic więcej niż relacja o karykaturalnym odzwiedleniu na pisarstwo Hłasków. To niezamierzona *pointe* dla działalności całej „Kultury”. W tym ciągu faktów (zdrada kraju – mała stabilizacja – zdrada własnego człowieczeństwa) konkretyzuje się praktyczny model życia, ku któremu steruje jej „filozofia polityczna”. Nie wykluczam, że steruje nie w całej pełni świadoma kształtu swego ideału. W polityce przecież liczą się jedynie fakty, a w filozofii fakty podporządkowuje ponadto beznamietna logika.

Fragmenty z broszury Witolda Fillera *Teorie i praktyki paryskiej „Kultury”*, wydanej przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1968.

Edward Modzelewski

Import kontrewolucji

PARYSKA „KULTURA” A KSS-KOR

[...] Otóż lektura rozmaitych druków wydawanych przez KSS-KOR jeszcze przed sierpniem 1980 r. oraz wydawnictw ośrodków dywersji ideologicznej na Zachodzie ujawnia zadziwiającą zbieżność zawartych tam treści ideologicznych i politycznych skierowanych przeciwko ustrojowi socjalistycznemu w naszym kraju. Przy czym zbieżność ta polega nie tylko na podobieństwie ogólnych założeń walki z socjalizmem, lecz i na identycznym niemal formułowaniu nawet bardzo szczegółowych dyrektyw metodologicznych i praktycznych.

Jest to szczególnie widoczne wówczas, gdy porównuje się teksty programowe KSS-KOR i publicystykę paryskiej „Kultury” z ostatnich dziesięciu lat. Porównanie wyklucza, przynajmniej w większości wypadków, tzw. kongenialność, czyli przypadkową zbieżność ich treści, ponieważ można udowodnić związek czasowy sugerujący zależność przyczynowo-skutkową. Inaczej mówiąc, najpierw ukazywały się pewne pomysły teoretyczne, a nawet szczegółowe zalecenia praktyczne na łamach paryskiej „Kultury”, a dopiero potem – w publikacjach i wypowiedziach czołowych przedstawicieli KSS-KOR. Oczywiście, przemilczali oni, ze względów czysto taktycznych, rzeczywiste źródło swoich poglądów, jakim był „dorobek teoretyczny” zespołu redakcyjno-publicystycznego paryskiej „Kultury”, zespołu grupującego w swoim gronie wytrawnych antykomunistów i polakożerców. Nie w rzekomym nowatorstwie „konkretnych wskazań programowych” należy

zatem szukać przyczyn zawilości językowych autorów tychże wskazań, lecz raczej w trudnościach pojawiających się przy kompilacji bardzo bogatego materiału ich ideowych nauczycieli.

Warto ponadto dodać, że paryska „Kultura” nie była jedynym zagranicznym źródłem inspiracji ideowej i teoretycznej dla KSS-KOR. Jak wiadomo, podobną, choć bardziej doraźną funkcję spełniało w tym względzie np. Radio „Wolna Europa”. Nie jedynym, albowiem „Kultura” jest zaledwie fragmentem wierzchołka góry rozbudowanego systemu dywersji ideologicznej przeciwko krajom socjalistycznym. Służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych i rozmaite przybudówki tych służb, realizujące strategiczne cele amerykańskiej polityki zagranicznej, są ostatecznym animatorem działań zarówno „Kultury”, jak i jej „uczniów” w kraju.

Rozpocznę zatem swe rozważania od wspomnianej wyżej ogólnej platformy ideologicznej i politycznej tego miesięcznika. Na czym ona polega? Nie ma tu miejsca na szczegółowe omówienie wszystkich jej aspektów, skupię się więc tylko na kilku, które w zasadzie zostały w całości i bardzo gorliwie przejęte przez ideologów KSS-KOR.

Obsesyjny antykomunizm paryskiej „Kultury” ujawnia się np. w swoistej ambiwalencji wobec miejsca i roli Kościoła katolickiego w Polsce Ludowej. Ogólnie rzecz biorąc, silna pozycja Kościoła w naszym kraju jest przez publicystów „Kultury” akceptowana. Akceptacja ta wynika z dwóch względów: po pierwsze, Kościół jest ich zdaniem „ciałem obcym” w socjalistycznej strukturze społeczeństwa (por. paryska „Kultura” nr 6, 1978, s. 12 - cytuję ją dalej jako „K” z podaniem roku wydania i numeru) i, po drugie, stać się on może – według ich oczekiwań – czynnikiem sprzyjającym ruchom opozycyjnym („K” nr 11, 1974, s. 15).

Wspomniana akceptacja przejawia się m.in. w podkreślaniu szczególnej roli Kościoła w rozwoju kultury narodowej, w walce o niepodległość Polski, w kształtowaniu oblicza moralnego społeczeństwa itd. Celowi temu służą też liczne artykuły, eseje i wspomnienia. Inną formą wyrażania aprobaty dla Kościoła w Polsce Ludowej jest publikowanie wielu wypowiedzi członków

Episkopatu na tematy polskie. Wybór tych wypowiedzi, a zwłaszcza selektywne ich przytaczanie, czyli inaczej mówiąc – swoiste ich cenzurowanie – każą przypuszczać, że „Kultura” nie wykracza jednak poza wytyczone granice wyrażania swojej aprobaty dla Kościoła w Polsce. Toteż na łamy „Kultury” dostają się tylko te fragmenty wypowiedzi przedstawicieli hierarchii kościelnej, które były bądź krytyczne, bądź polemiczne wobec określonych zjawisk w Polsce Ludowej. Nadawano im, oczywiście, odpowiedni wydźwięk propagandowy przez sugerowanie czytelnikom, że mają one charakter jawnie antysocjalistyczny. Natomiast te wypowiedzi, które zawierały aprobatę, a nawet poparcie dla poczynań władzy, dyskretnie przemilczano i nie podejmowano z nimi (przynajmniej do roku 1981) bezpośredniej, otwartej polemiki.

Nie znaczy to, że takiej polemiki nie było w ogóle. Oczywiście była, ale nie miała charakteru personalnego, lecz raczej „ogólnoteoretyczny”. Wynikała z jednej podstawowej przesłanki: „Kultura” obawiała się, że konstruktywne działanie Kościoła w społeczeństwie socjalistycznym może wpłynąć negatywnie na proces konsolidowania się sił antysocjalistycznych w Polsce. Dał temu wyraz A. Zabrzewski w artykule pt. „Patologia opozycji”. „Kościół w Polsce wbrew swojej woli – pisał on – stał się czynnikiem, który w sytuacjach kryzysowych zdaje się ratować reżim. Będąc bezsprzecznie przeciwnikiem ustroju – podlega [...] zasadom kolaboracji. Nie ma powodu wyjaśniać, dlaczego taka sytuacja sprzyja rozkładaniu opozycji. Można wyrazić tylko przypuszczenie, że przewyciężenie tej fatalnej kombinacji Kościół – reżim dałoby z miejsca pożądane skutki w postaci skutecznych osiągnięć opozycji. Pozostaje oczywiście kwestią do dyskusji, jak to należy zrobić” („K” nr 3, 1972, s. 30).

Zawtórował mu także J. Mieroszewski, nieżyjący już dziś publicysta „Kultury”: „Faryzeuszostwo Kościoła rzymskiego polega na tym – pisał – że gotów jest zawsze sprzymierzyć się z władzą państwową przeciwko myśli niezależnej i liberalnej, pod warunkiem, że doktryna katolicka korzystać będzie w pełni ze swobody i przywilejów. [...] Kościół nigdy nie był za wolnością, ponieważ nie pragnął wolności dla innych, tylko zawsze domagał się wolności dla siebie” („K” nr 11, 1973, s. 33).

Jak więc widać, paryska „Kultura” ma ściśle sprecyzowaną granicę akceptacji roli Kościoła katolickiego w Polsce. Granicę tę

wyznacza po prostu dość prymitywnie pojmowany antykomunizm: wszystko to, co ma ze strony Kościoła choćby cień aprobaty dla ustroju socjalistycznego w naszym kraju, jest bezwzględnie zwalczane.

Nie chodzi tu tylko o Kościół jako instytucję, ale także o świecki katolicki ruch społeczny. Pomijając już PAX, który w opiniach „Kultury” był zawsze „agenturą Moskwy”, także i inne ugrupowania katolickie są przedmiotem niewybrednych napaści. Przykładem mogą być ataki na wicepremiera J. Ozdowskiego, którego określa się mianem „popiecznika reżimu”. Wszelki dialog między partią, Kościołem i wierzącymi ujmuje się po prostu w kategoriach zdrady narodowej. Niezwykle klarownie i przejrzyście wyraził tę „szczytną ideę” D. Morawski: „Dialog [...] pomiędzy katolikami i marksistami w dzisiejszych warunkach zamrożenia wszelkiej swobodnej publicznej dyskusji służyć może jedynie partii dla bałamucenia nieuświadomionej części opinii społecznej...” („K” nr 4, 1973, s. 45).

Do roku 1981 paryska „Kultura” nie podejmowała, na co wskazywałem, otwartych dyskusji personalnych z przedstawicielami Kościoła. Kardynał S. Wyszyński, Episkopat i księża polscy nie byli bezpośrednio atakowani. Dopiero po złożonym w 1980 r. oświadczeniu księdza A. Orszulika, dyrektora Biura Prasowego Episkopatu, w którym potępił on działalność KSS-KOR jako wzywającą publicznie do „obalenia systemu konstytucyjnego” w Polsce, „Kultura” zaatakowała prymasa S. Wyszyńskiego i Episkopat. Cytuję: „Kościół – powtarzamy to przy każdej sposobności – odegrał ogromną rolę w okresie powojennym, stał się najwyższym autorytetem moralnym, uznawanym przez znakomitą większość wolnych Polaków zarówno wierzących, jak i niewierzących. Teraz jednak po raz pierwszy, po trzydziestu pięciu latach moralnego i duchowego ochraniań i podtrzymywania społeczeństwa, nabrał, zdaje się, ochoty do zastępowania go we wszystkim w myśl zasady, że najlepiej wie, jak postępować z rządem. Kościół usiłuje to robić w sposób paternalistyczny, trochę w duchu Pétaina, sędziwego bohatera narodowego, pewnego, że jedyny posiadał sekret załatwiania sprawy z wrogiem w dobrze przez siebie wyłącznie rozumianym interesie narodu francuskiego. Polityka prymasa i jego otoczenia naraża na szwank autorytet Kościoła, grozi wywołaniem głębokich rozdzźwięków i w społeczeństwie, i w samym Kościele. Jeśli pojawią się rysy na

że wypowiedź dyrektora Biura Prasowego Episkopatu Polski Ludowej dezinformuje polską oraz zagraniczną opinię publiczną na temat działań KSS-KOR i fałszuje wypowiedź Jacka Kuronia, sprzyja plotkom i wzmacnia napięcie społeczne, przeciwko czemu zawsze wypowiadał się Episkopat i cała polska opinia publiczna" („K” nr 1-2, 1981, s. 5). Można powiedzieć, że uczniowie przerosli mistrza.

Uporczywa antykomunistyczna obsesja paryskiej „Kultury” ujawniła się również w stosunku do niektórych osób i kręgów polskiej emigracji politycznej.

Zasada przy tym była taka: jeśli pewne kręgi, zwłaszcza starszej emigracji, zajmują się nadal groteskowymi awansami wojskowymi, wręczaniem dawno już nieważnych odznaczeń, poświęcaniem wyblakłych już sztandarów, a sześćdziesięcioletni i siedemdziesięcioletni „pułkownicy” i „generałowie” marzą o krucjacie przeciwko „komunistycznemu reżimowi w Polsce” – to redakcja „Kultury” spogląda na to bardzo życzliwie, choć z pewną pobłażliwością. Niech się starzy bawią – zdaje się argumentować – im samym to nie zaszkodzi, a wśród członków młodego pokolenia owe w gruncie rzeczy antykomunistyczne rytuały podnieść mogą ducha bojowego. Jeśli natomiast ktokolwiek z emigracji próbuje wyjść poza stare schematy patrzenia na Polskę i zdobyć się choćby na najmniejszą dozę obiektywizmu, reakcja jest natychmiastowa.

W jednym z numerów „Kultury” z roku 1974 zamieszczone zostały dwa artykuły opatrzone wspólnym tytułem: „Tu nie ma dyskusji”. Jeden artykuł był autorstwa A. Bromkego, drugi – polemicznie do niego ustosunkowany – J. Mieroszewskiego. Kim jest A. Bromke? Jest profesorem nauk politycznych, autorem wielu publikacji na temat najnowszej historii Polski; drukowanych również w paryskiej „Kulturze”. Trudno posądzać prof. Bromkego o jakieś szczególne sympatie dla komunizmu, a pobieżny przegląd jego artykułów przekonuje, że w wielu opiniach na temat naszych najnowszych dziejów po prostu się myli. Jednak i on przyjmuje do wiadomości pewne realia polityczne w Polsce, czego dowodem jest m.in. stwierdzenie: „[...] Polacy zamieszkują dziś zjednoczone i zwarte terytorium. Polska jest etnograficznie prawie całkowicie

jednolita. Nigdy też nie było tylu Polaków co dzisiaj. Świadomość narodowa we współczesnej Polsce jest zjawiskiem powszechnym – obejmuje ona szerokie warstwy robotników i chłopów. Wreszcie istnieje państwo polskie w sojuszu z Rosją. [...] Oczywiście po trzydziestu latach istnienia PRL proces legitymizacji ustroju komunistycznego w Polsce poczynił znaczne postępy. Wyłoniły się poważne siły społeczne stanowiące jego zaplecze. W Polsce powstała również wpływowa nowa klasa złożona z dzieci robotników i chłopów, którzy zdobyli wykształcenie i stanowiska w nowym systemie i czują się z nim mocno związani. Robotnicy traktują poważnie (aż czasem za poważnie dla przywódców partii) swoją kierowniczą rolę w kraju. Najmłodsze pokolenie, urodzone i wychowane już w nowej rzeczywistości, w dużej mierze uważa ją za naturalną. Generalnie więc socjalizm nie jest dziś w Polsce kwestionowany [...] Więcej, po trzydziestu latach systemu *de facto* monopartyjnego i przy nie zawsze najlepszych tradycjach parlamentarnych, niewielu Polaków myśli poważnie o wprowadzeniu demokracji typu zachodniego. Chcieliby oni widzieć zmiany w kierunku demokratyzacji i pluralizmu politycznego, ale nie na drodze obalenia partii komunistycznej” („K” nr 11, 1974, s. 37).

Warto tu zaznaczyć, że powyższe uwagi poczynił prof. Bromke przy oświetlaniu sytuacji geopolitycznej Polski, gdzie sformułował kilka, zresztą kontrowersyjnych, ocen. Miał jednak dobre przeczucie, gdy w ostatnim zdaniu, niejako w „postscriptum”, napisał, że spodziewa się, jaka będzie reakcja różnych starszych panów na emigracji: „Ależ! – wykrzykną zgorzeleni – oznacza to uznanie reżimu warszawskiego! Po pierwsze, bez względu na to, czy się nam to podoba, rząd komunistyczny w Warszawie jest uznany jako *de facto* sprawujący władzę w Polsce przez cały świat i, co najważniejsze, przez Polaków w kraju” (tamże, s. 46).

Istotnie, prof. Bromke nie pomylił się. Reakcja J. Mieroszewskiego była jednoznaczna i możliwa do przewidzenia. Nie warto przytaczać tu całej polemiki, jest ona bowiem pełna inwektyw i demagogicznych chwytów. Ważne jest samo jej zakończenie, a brzmi ono tak: „Na zakończenie należy stwierdzić, co następuje. Niniejszy artykuł nie jest otwarciem dyskusji, lecz jej zakończeniem. Prof. Bromke swoją działalnością i publikacjami wyłączył się z wolnościowego i niepodległościowego

nurtu emigracji i tym samym opuścił krąg ludzi, którym udzielamy gościnę na łamach „Kultury” (tamże, s. 55).

Oto jak rozumiał wolność słowa, pluralizm poglądów i „prawdziwą demokrację” J. Mieroszewski. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że były to tylko osobiste, niejako prywatne poglądy tego publicysty. Było to stanowisko całej redakcji, a echa tej polemiki długo jeszcze nie schodziły z łamów paryskiej „Kultury”, ich wydźwięk zaś charakteryzował się jednoznacznym potępieniem „satanicznych” tez profesora Bromke. W rok później na przykład niejaki Tadeusz Wyrwa stwierdził: „Polityczne ambicje p. Bromke wydają mi się szkodliwe nie dlatego nawet, że są sprzeczne z podstawowymi zadaniami, jakie winna spełniać emigracja polityczna, ale z uwagi na fakt, że w wytworzonej na emigracji sytuacji polityka p. Bromke mogłaby się stać jedyną polityką Polaków za granicą i wówczas przyniosłaby ogromną szkodę sprawie polskiej” („K” nr 7-8, 1975, s. 67).

Próby politycznej i moralnej dyskredytacji wszystkich tych przedstawicieli emigracji, którzy usiłowali wychylić się poza zbudowany przez redakcję paryskiej „Kultury” mur obskurantkiego antykomunizmu, nie były i nie są zresztą odosobnione. Przykładem mogą być nieprzerwane ataki na polskie środowiska emigracyjne skupione wokół pism „Narodowiec” i „Myśl Polska”, które podawały w wątpliwość autentyczność (tzn. krajowe pochodzenie) niektórych dokumentów programowych KSS-KOR i miały pewne zastrzeżenia co do szczerości intencji politycznej oraz czystości moralnej jej liderów. Reakcja „Kultury” na tego rodzaju sugestie była również zdecydowana. Oto próbka: „[...] Dziwić się należy – czytamy w „Kulturze” – że wiadome ośrodki emigracyjne połykają tak beztrósco haczyk oficjalnej propagandy, pomawiając tych, którzy bronią Naród przed atakami rozpaczy, o propagowanie zrywów awanturniczych. Świadomie czy nieświadomie wyrządzają [...] nieobliczalne szkody. Oskarżając Komitet Obrony Robotników (KOR) o polityczne dywersje, nie tylko mijają się z prawdą, ale krzywdzą ludzi mających dość odwagi i rozeznania, żeby stanąć w obronie więźniów politycznych, nie przekraczając granicy praworządności” („K” nr 5, 1977, s. 16).

KSS-KOR natomiast właściwie nie wypowiadał się na temat swoich przeciwników w środowiskach emigracyjnych. Trudno się temu dziwić, wszelka bowiem polemika z licznymi głosami krytycznymi na temat działalności i szczerości intencji KSS-KOR

byłaby dla niego obosieczna. Społeczeństwo w kraju mogłoby się przy okazji dowiedzieć o wielu faktach, które to ugrupowanie stawiają w fatalnym świetle. Robiły to więc za KSS-KOR „Kultura” i Radio „Wolna Europa”.

Polityczny i moralny obskurantyzm paryskiej „Kultury” daje o sobie znać w jeszcze jednej płaszczyźnie. Nie ma takich osób (nawet najbardziej zasłużonych dla kultury polskiej), które by oszczędzano, jeśli kiedykolwiek wyraziły nawet w kilku słowach aprobatę dla naszych władz, dla naszej socjalistycznej rzeczywistości. „Co myśleć o Grotowskim z wszystkimi jego zasługami dla naszej kultury – pisał z nie ukrywanym żalem jeden z publicystów – gdy w Ameryce na pytanie dziennikarzy, czy wybierze wolność, odpowiedział: wybieram wracając do Polski” („K” nr 11, 1974, s. 19).

W innym artykule dostało się także Adamowi Hanuszkiewiczowi i Andrzejowi Wajdzie. Gustaw Herling-Grudziński, korespondent „Kultury” we Włoszech, określił ich jako producentów „syntetycznej gumy ideologiczno-kulturalnej” („K” nr 11, 1975, s. 21).

I my zadajemy pytania:

Co sądzić o niewybrednych atakach na różne akcje polonijne organizowane w naszym kraju, a także o atakach na uczestników tych akcji? Co sądzić o oskarżeniach Polaków o rzekomy zanik aspiracji narodowych i brak kultury politycznej? Czy nie zasadne jest zatem twierdzenie, że paryska „Kultura” uprawia działalność antypolską?

Okazuje się raz jeszcze, że nie interesy naszej kultury narodowej, nie polityczne interesy naszego państwa są wytyczną dla publicystyki „Kultury”, lecz prymitywny, nieprzejeđnany antykomunizm.

Tę „wytyczną” paryskiej „Kultury” znakomicie realizowali liderzy KSS-KOR. Bo co sądzić o znanym wywiadzie dla „Der Spiegel”, w którym Kuroń określił Lecha Wałęsę jako „sierżanta w okopach”? Co sądzić o wywiadzie udzielonym „Paris Match”, gdzie sformułował opinię, że „społeczeństwo polskie i polska klasa robotnicza nie posiadają wystarczającej kultury politycznej”? Jak można zaakceptować wynurzenia Michnika

(również dla „Der Spiegel”), że „kwestia polskiej narodowości Ślązaków dla ludzi z innych rejonów świata była (tzn. w pierwszych latach po wojnie – E.M.) otwarta”, albo „by do rozmów o wymianie gospodarczej (z Polską – E.M.) zdecydowanie włączyć problematykę praw człowieka jako ich warunek”? Co można sądzić o J.J. Lipskim, który w głośnym artykule zamieszczonym we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” usiłował frymarzyć naszymi ziemiami zachodnimi?

Czy nie jest uzasadniony zarzut, kierowany pod adresem KSS-KOR także przez inne ugrupowania antysocjalistyczne, że uprawiał on działalność antypolską?

•

Szczególnym przypadkiem obsesyjnego antykomunizmu redakcji „Kultury” był jej stosunek do przebiegu i dorobku Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Przyjęcie tam wspólnego oświadczenia i związane z tym nadzieje narodów Europy i całego świata na odprężenie potraktowane zostały przez ten szczytujący się „umiłowaniem pokoju” miesięcznik zgodnie z zimnowojennymi zasadami. Oto fragment znamienego oświadczenia „Kultury” w tej sprawie, noszącego równie znamienity tytuł: „Pieczęć”. „Na naszym, wschodnioeuropejskim, odcinku – czytamy tam – pieczęć Genewy i Helsinek przygniotła z trzaskiem i definitywnie resztki złudzeń, które coraz słabiej wprawdzie, lecz kołatały się jeszcze na przekór nowym wciąż faktom [...] Stawka na Zachód i Amerykę została nieodwołalnie pogrzebana [...] Pozostaje rachuba na procesy zmian w ZSRR, na ruch oporu w metropolii. [...] Rachuba, która od lat wytycza linię działaczy »Kultury«. Kto widzi w niej nadzieję wątlą i długodystansową, niech wskaże inną. Dziś, po przybiciu pieczęci genewskiej jest jedyną. W pracy zmierzającej do złamania tej pieczęci wschodni Europejczycy, wolni Rosjanie, mieszkańcy republik sowieckich mają odtąd dodatkowego, zdeklarowanego na piśmie przeciwnika: tzw. wolny świat z Ameryką na czele” („K” nr 9, 1975, s. 4-5).

Jak widać, smutek, a nawet przerażenie wyziera z powyższego tekstu. Tyle roboty i wszystko na nic – zdaje się wołać redaktor naczelny – pozostaje już tylko rozsądzenie Związku Radzieckiego od środka. Niedobry „wolny świat” z Ameryką na czele zakpił

sobie ze szlachetnych wysiłków „Kultury” – a tak się przecież starała!

Smutek jednakże nie trwał długo, a przerażenie poczęło powoli ustępować iskierkom nadziei. Gerald Ford przegrał wybory prezydenckie, przyszedł Jimmy Carter i rozpoczął urzędowanie od hałaśliwej kampanii w obronie praw człowieka, kampanii w swojej politycznej wymowie skierowanej wyłącznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom socjalistycznym. Paryska „Kultura” wyraźnie odżyła i natychmiast stanęła w pierwszym szeregu obrońców praw człowieka. W publicystyce „Kultury” Cartera (jak żadnego dotychczas prezydenta USA) zaczęto prezentować jako męża opatrnościowego, peany na jego cześć i na cześć jego twardego kursu wobec krajów socjalistycznych były stałymi ozdobnikami przeróżnych publikacji.

Jest tajemnicą poliszynela, że właśnie „Kulturze”, a także rozgłoszom Radia „Swoboda” i „Wolna Europa” przydzielono specjalne zadania w tym „dziejowym posłannictwie” obrony praw człowieka. „Kultura” nie bardzo chce się do tego przyznać. Ujawnianie faktu, że jest się na garnuszku wywiadu amerykańskiego, może bowiem w Polsce, i nie tylko w Polsce, budzić niepotrzebną nieufność. Dlatego też stara się ona stworzyć wrażenie, że zainteresowanie Stanów Zjednoczonych aktywizacją jej dywersyjnej działalności wynika niejako z logiki sytuacji międzynarodowej, a nie z logiki strategicznych celów Ameryki.

Przykładem tego typu pokrętnej kazuistyki politycznej paryskiej „Kultury” może być artykuł poświęcony obradom połączonych komisji Izby Reprezentantów, na których opracowano projekt ustawy powołującej do życia (finansowany przez Kongres USA) Instytut Praw i Swobód Człowieka. Projekt zakładał, że naczelnym zadaniem tego Instytutu, tworzonego dla „nadania wyrazu zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w sprawę praw człowieka i podstawowych swobód”, będzie udzielanie jawnej (!) pomocy organizacjom, ugrupowaniom i jednostkom, które w innych krajach zajmują się obroną poszanowania tych praw i swobód.

W owym artykule „Kultura” usiłowała radzić Izbie Reprezentantów, jakie kierunki działalności powinien przyjąć nowo powołany Instytut. Oczywiście, tylko naiwni mogą sądzić, że członkowie Izby Reprezentantów posłuchali usługowych rad „strategów” z Maisons-Laffitte. Było, rzecz jasna, przeciwnie,

amerykańscy mocodawcy uchylili zapewne rąbka tajemnicy swoim podwładnym na temat projektowanych kierunków działania tej instytucji z zaleceniem, aby ci ostatni poprzedzili całe przedsięwzięcie akcją propagandową. Chodziło o stworzenie wrażenia, że program działania Instytutu jest odpowiedzią na spontaniczne i oddolne inicjatywy płynące z ośrodków „obrońców praw człowieka” w zachodniej Europie.

Oto kierunki działania sugerowane przez „Kulturę” komisjom Izby Reprezentantów:

Po pierwsze, objęcie dywersyjnym oddziaływaniem ideologicznym Besarabii, Mołdawii, Kurdystanu i Laosu, a także innych terenów, które zostały dotychczas „zapomniane”.

Po drugie, koncentrowanie tego oddziaływania przede wszystkim tam, gdzie może być ono wspomagane presją międzynarodowej opinii publicznej.

Po trzecie, „koncentrowanie się na krajach, gdzie istnieje odpowiednia baza społeczna. Skoro celem Instytutu jest pomaganie jednostkom i ugrupowaniom broniącym swobód i praw ludzkich, musi on zajmować się zwłaszcza tymi krajami, gdzie takie jednostki i ugrupowania obecnie działają. Popieranie inicjatyw już istniejących zdaje się bardziej sensowne niż poszukiwanie nowych – ponieważ sukcesy ruchu w obronie praw człowieka w jednym kraju będą najlepszą zachętą do ich obrony w innych krajach. Formy działania Instytutu, który nie ma być placówką dobroczynną, ale moralno-intelektualną, nadaje się szczególnie dla krajów o rozwiniętej warstwie inteligencji i wysokim stopniu kulturalno-ideowej samowiedzy. Sądę, że byłoby błędem rozpraszać siły i funduszy na kraje zacofane, którym potrzebna jest raczej masowa pomoc ekonomiczno-administracyjna dla uzyskania stabilizacji i ogólnych warunków społeczno-politycznych, sprzyjających rozwojowi demokratycznych form rządzenia” („K” nr 6, 1978, s. 115).

Po czwarte – instruje „Kultura” – interesowanie się bliżej „krajami, z którymi Stany Zjednoczone posiadają szczególnie silne związki. Chociaż Instytut ma mieć ogólnoświatowy zakres działania, jego amerykańskość nakłada nań specjalne obowiązki wobec narodów bliżej z USA historycznie i ludnościowo związanych. Dotyczy to przede wszystkim krajów, z których napłynęła przez Ocean wielka liczba imigrantów; na pierwszym planie trzeba tu postawić kraje Europy Środkowo-Wschodniej” (tamże).

Co wynika z powyższych uwag? – pyta „chytrze” publicysta „Kultury”, ukryty za inicjałami W.R., i zaskakuje nas rewelacyjnymi wnioskami, na które zapewne nikt by nie wpadł: „Z powyższych uwag, opartych na przesłankach zarówno teoretycznych, jak i praktycznych, wynikałoby, że Polska winna należeć do krajów szczególnej troski Instytutu [...]. Przemawiają za tym argumenty nie emocjonalne, ale czysto rzeczowe i obiektywne. Także i ten argument, że Polska stanowiłaby dla działalności Instytutu teren podwójnie ważny i ciekawy: jako kraj, gdzie prawa człowieka i obywatela bywają nagminnie gwałcone – i jako kraj, którego mieszkańcy z heroicznym uporem wypracowują nowe i śmiałe modele walki o te prawa” (tamże, s. 115-116).

To, że autor tak „troszczy się” o interesy Polski, można jakoś zrozumieć. Ale czemu ani słowem nie wspomina o Chile, Haiti czy innych krajach Ameryki Łacińskiej i Azji? Wydaje się, że ów Instytut znalazłby tam tereny i „podwójnie ważne”, i „podwójnie ciekawe”.

Polityczny serwilizm „Kultury” wobec swoich mocodawców stał się w ostatnich latach wręcz natrętny, chociaż jej publicyści starają się nadal sprawiać wrażenie, że w akcji obrony praw człowieka działają całkowicie spontanicznie, a nawet są jej autentycznymi inspiratorami. Na przykład w wywiadzie Jana Nowaka (ma on symbolizować stanowisko osób z kraju) na pytanie: „Na czym polegać ma pomoc emigracji poza dostarczaniem środków finansowych?” – pada następująca odpowiedź: „Mobilizowanie i informowanie opinii zachodniej – w pierwszym rzędzie środków masowego przekazu i rządu USA” („K” nr 3, 1979, s. 51). Nic dodać, nic ująć – Ameryka jest dobra na wszystko!

Ten polityczny serwilizm (zapewne sowicie wynagradzany) udzielił się natychmiast niektórym przywódcom KSS-KOR, a „raj amerykańskiej demokracji” stał się dla nich wzorem prawdziwie „wolnościowego społeczeństwa”. W jednym z wywiadów, właśnie dla paryskiej „Kultury”, A. Michnik stwierdził: „[...] przestałem cenić mit społeczeństwa bezklasowego. Myślę, że najważniejsze dla naszych krajów będzie, aby odrodzić dobrze funkcjonującą konfliktowość społeczną. Zresztą nie tylko ja tak myślę: ludzie kiedyś głęboko zaangażowani w marksizm, jak Władysław Bieńkowski czy Leszek Kołakowski, na pewno już nigdy do marksizmu nie wrócą” („K” nr 5, 1978, s. 13).

Na pytanie o program działania odpowiedź znalazł prostą: „Ogólnie mówiąc, myślę, że należy rewindykować prawa człowieka; są one stopniowalne i można działać etapami. Prezydent Carter w imieniu Zachodu przejął tu inicjatywę ideologiczną, trzeba z tego wyciągnąć wnioski” (tamże, s. 14).

Jeśli ktoś czytając tę wypowiedź Michnika ma jeszcze wątpliwości, czy idea powołania KSS-KOR narodziła się w kraju, czy też poza jego granicami, to po prostu nie chce przyjąć oczywistych faktów do wiadomości. Widać przecież wyraźnie, że punktem odniesienia, moralną busolą działalności Michnika i jego kolegów z KSS-KOR był nie nasz polski narodowy interes, nie nasze polskie, nierzadko bolesne i trudne do rozwiązania sprawy, lecz „inicjatywa ideologiczna” Cartera. Tam, w Stanach Zjednoczonych, w kraju, który odpowiedzialny jest m.in. za okrutną wojnę w Wietnamie, za zbrodnie w Chile, znalazł Michnik obrońcę polskiej racji stanu! [...]

Jak więc widać, seria artykułów paryskiej „Kultury” na temat opozycji antysocjalistycznej w Polsce układała się w pewien logiczny ciąg. Rozpoczęła się od „postawienia problemu”, czego dokonał Kołakowski w artykule „Tezy o nadziei i beznadziejności”. Artykuł Drewnowskiego był tylko próbą konkretyzacji tego „problemu”, ale na płaszczyźnie raczej jeszcze metodologicznej niż praktycznej. Z kolei dwie ostatnie publikacje (zwłaszcza artykuł Zabrzęskiego) zawierały już wyraźne propozycje. Został w nich sformułowany katalog celów oraz niektórych metod i środków działania opozycji politycznej w Polsce.

Warto również zająć się szerzej artykułem zatytułowanym „Polityczna opozycja w Polsce”, zamieszczonym w 1974 r. w listopadowym numerze „Kultury”. Zamyka on pewien etap dyskusji, etap precyzowania celów, metod i środków działania. Zawarte w nim główne idee pojawiły się następnie, niemal w dosłownym brzmieniu, w wypowiedziach i materiałach programowych KSS-KOR.

We wstępnej części tego artykułu, zatytułowanej „Warunki społeczne i cele ideowe”, napotykamy pierwsze niejako określenie opozycji antysocjalistycznej w Polsce. Przez opozycję jego autor

rozumie tych ludzi, „którzy czynnie, w sposób zamierzony, przeciwstawiają się podstawowym zasadom ustroju narzuconego przez władzę państwową. Jest ich tak wielu i tak znaczące miejsce zajmują w społeczeństwie, że można mówić o ruchu opozycji politycznej jako trwałym elemencie życia kraju” („K” nr 11, 1974, s. 3).

Jest tam również określenie głównych zasad ideowych. Wynikają one, jak stwierdził autor artykułu, z ogólnej definicji opozycji. „Definiując formację określoną tu jako polska opozycja polityczna odwołaliśmy się do jej przeciwnika – do koncepcji ustroju zrealizowanej przez władzę państwową. W ten sposób musimy postąpić i teraz formułując cele ideowe tego ruchu” (tamże, s. 4). Jakże więc powinny być, zdaniem autora, owe główne cele ideowe? Odpowiedź jest jednoznaczna: opozycja polityczna w Polsce „musi być [...] antytotalitarna i niepodległościowa” (tamże). Te dwie naczelnne idee są z sobą nierozzerwalnie związane. Ustrój socjalistyczny w Polsce (określany w artykule totalitaryzmem) zmierza bowiem rzekomo do „zniewolenia wszystkich”, a narodził się i istnieje tylko i wyłącznie dzięki obecności ZSRR. Dlatego opozycja polityczna nie może być tylko „antytotalitarna” lub tylko „niepodległościowa”, ponieważ są to, zdaniem autora, dwie strony tego samego zagadnienia. Błędem opozycji politycznej po roku 1956 było położenie nacisku na pierwszą z tych zasad. Po wydarzeniach w Czechosłowacji – czytamy w artykule – „zmarły naturalną śmiercią nadzieje na odnowę ruchu komunistycznego, a wraz z nią rewizjonizm jako ideologia tego nurtu opozycji, w którym akceptowano jakąś część czy jakiś aspekt komunistycznej tradycji” (tamże, s. 8). Błędem ideologii rewizjonistycznej było właśnie to, że nie wykazywała ona należytego zrozumienia dla problematyki niepodległościowej.

W drugiej części omawianego artykułu, zatytułowanej „Program działania”, znajdujemy takie oto wskazania: „Centralnym problemem, który już na wstępie musi rozwiązać wszelka polityczna opozycja, jest wybór między częściową choćby i wymuszoną akceptacją systemu, w którym działa, a jego zasadniczą negacją. W zależności od decyzji ruch opozycyjny albo stara się oddziaływać na decyzje władzy państwowej i kontrolować ich realizację, albo przeciwnie – przeciwdziałać polityce władzy” (tamże, s. 9). Postawiona tu została alternatywa: albo uczestniczyć w systemie, albo konspirować i walczyć zbrojnie.

Autorowi oba rozwiązania wydają się nie do przyjęcia i proponuje „trzecią drogę”. Za punkt wyjścia przyjmuje dwie podstawowe przesłanki: po pierwsze, „system totalitarny” nie może tolerować żadnych ośrodków inicjatywy społecznej, mogą one zatem istnieć i działać tylko przeciw niemu; po drugie, ponieważ zagrożony jest byt narodu jako wspólnoty kulturowej, ten fakt przede wszystkim powinien wyznaczać program działania opozycji.

Trzecia część artykułu poświęcona jest sposobem działania opozycji. Może ich być wiele. Jednym z nich powinno być wykorzystywanie legalnego piśmiennictwa. Liczne artykuły publikowane nawet w czasopiśmie podlegających cenzurze, np. na temat prawa do odmiennego stylu życia, głoszenia swoich poglądów, obrony prześladowanych, uniwersalizmu itp., mogą, jak krople wody, drążyć i rozkładać podstawy systemu. Oczywiście, takie działanie, najczęściej cząstkowe, nie dopowiedziane, nie wystarczy do krystalizowania się ideowej wspólnoty opozycji. Należy więc sięgnąć do instytucji, które swoim istnieniem mogą wzmacniać działania opozycyjne. Są to: Kościół, różne środowiska, przede wszystkim intelektualne, oraz emigracja, a właściwie jej wydawnictwa.

Kościółowi poświęca autor niewiele uwagi, za to szczególnie interesują go dwie pozostałe instytucje: emigracja i owe środowiska. Ogromne zasługi ma – jego zdaniem – „Wolna Europa”. „Ale przyznajmy to uczciwie – pisał – wszyscy ludzie polskiej opozycji wychowali się na książkach Instytutu Literackiego w Paryżu” (tamże, s. 16). Paryska „Kultura” również została pochwalona.

Zdaniem autora działalność opozycyjną należy organizować także wokół elit, „ludzi-instytucji”, wybitnych twórców, ludzi cenionych za odwagę, postawę moralną itd. „Ale dla powstania środowiska – czytamy tam – nie potrzeba wcale szczególnych ludzi ani instytucji. Wystarczy, że ktoś myślący *pro publico bono* zacznie szukać wokół siebie innych sobie podobnych. Zaraz też okazuje się, że jest ich wielu i bardzo wiele mogą zdziałać. Same rozmowy w niektórych środowiskach przekształcają się w systematyczne samokształcenie czy seminaria, a nawet całe programy badawcze” (tamże, s. 17).

Ostatnią część artykułu poświęca autor technice działania opozycyjnego, a właściwie stara się zakreslić jej granicę. Píše: „Prawda, że ci młodzi ludzie, którzy decydują się podłożyć bombę

czy podpalić, to najlepsi z najlepszych” (tamże, s. 20). Takich działań jednak, generalnie rzecz biorąc, nie uznaje za główną formę walki przeciwko socjalizmowi. Być może, są one potrzebne, gdyż „organizują” emocje społeczne wokół danej sprawy, lecz przyszłość należy do przedsięwzięć właściwie legalnych: „Chcesz walczyć, to czytaj, dużo czytaj! Rozmawiaj, dużo rozmawiaj, pisz i występuj na zebraniach i szukaj, szukaj podobnych sobie. Żądaj od krewnych i znajomych książek z zagranicy i pożyczaj je. A przede wszystkim kup sobie kodeks karny i nigdy go nie przekraczaj” (tamże, s. 21).

Wnioski, jakie dałoby się wyprowadzić z omawianego artykułu, sprowadzają się do następujących tez:

- za opozycję uznaje się tych wszystkich, którzy czynnie przeciwstawiają się podstawowym zasadom panującego w Polsce ustroju;

- opozycja powinna być „niepodległościowa” i „antytotalitarna”;

- podstawą programu działania powinna być praca zmierzająca do utrwalenia sformułowanych przezeń „zasad ideowych”;

- droga do tego celu powinna wieść przez organizowanie samorządnych grup inicjatywnych, które będą załącznikiem pluralizmu politycznego;

- opozycja powinna działać na zasadach formalnej legalności (zgodnie z hasłem: „Kodeks karny w rękę!”).

Tych pięć ogólnych zasad sformułowanych w roku 1974 na łamach paryskiej „Kultury” nie uległo właściwie większej modyfikacji aż do roku 1981. Jedna tylko kwestia została później dodatkowo wyakcentowana (zwłaszcza po 1976 r.), a mianowicie konieczność większej penetracji środowisk robotniczych.

Artykuły na temat opozycji ukazywały się nadal w „Kulturze”, ale nie wносиły nowych treści do tego, co zostało już skonkretyzowane. Na początku roku 1975 w „Kulturze” wprowadzono nową rubrykę zatytułowaną „Co robić?”, w której zamierzano kontynuować dyskusję na temat opozycji politycznej w Polsce. Prezentowane w niej polemiki wokół tego tematu dotyczyły jednakże kwestii z reguły drugorzędnych. Wydaje się, że redakcja „Kultury” miała już wówczas sprecyzowane stanowisko w tej sprawie, a owa polemiczna wymiana zdań potrzebna była raczej tylko „ku pokrzepieniu serc” w kraju.

Toczyły się więc dyskusje niekiedy wokół samych tylko pojęć: jedni opowiadali się na przykład za terminem „opozycja”, inni

- za zwrotem „ruch oporu”; jedni nawotywali do bojkotowania wyborów do Sejmu, inni - do organizowania rocznicowych manifestacji itd. Wielokrotnie omawiano te wątki, które pojawiły się już wcześniej, choć można było znaleźć wśród nich także kilka nowych. Na przykład, jeśli we wcześniejszych artykułach mówiło się o konieczności budowy „prawdziwego socjalizmu” albo „socjalizmu z ludzką twarzą”, to w niektórych późniejszych artykułach wystąpił już wątek totalnej negacji socjalizmu. „Nie można przyjmować jako pewnik czy nawet roboczą hipotezę - pisał np. M. Ross - że opozycja ma *a priori* nie przeciwstawiać się socjalizmowi, bo wielu z przeciwników socjalizmu się bardzo to słowo szanuje. Wydaje się, że tak jak musimy się zdobyć na czyn, musimy też pozbyć się lęku słów, nawet gdyby to miało zakrawać dla niektórych na świętokradztwo” („K” nr 11, 1975, s. 48). Coraz silniej podkreślano też rolę emigracji politycznej, a zwłaszcza samej „Kultury”, jako zaplecza teoretycznego dla krajowej opozycji politycznej.

Swego rodzaju przełom, a raczej nowy ton artykułów przeznaczonych dla przeciwników socjalizmu w Polsce obserwujemy dopiero po lipcowych i sierpniowych strajkach, szczególnie po powstaniu NSZZ „Solidarność”. Publicyści „Kultury” skupili wówczas cały swój wysiłek na podpowiadaniu KOR, jak ma się on „ustawić” wobec „Solidarności” i wobec przemian zachodzących w kraju. Nie szczędzili także „życzliwych” rad samej „Solidarności”.

Tak więc, po pierwsze, redakcję „Kultury” niepokoił każdy, nawet najmniejszy objaw stabilizacji w kraju. „Mam wrażenie - pisał z żalem w styczniu 1981 r. T. Klempski - że naród znalazł się teraz w takim stanie przesilenia: niby jeszcze impet trwa, jeszcze poczucie wielkiego zrywu nie wygasło, ale przycicha, przygasa, błędnie w sytuacji wytworzenia się pewnej szarej codzienności, ale w końcu chodzi o to samo, o pewne zawiśnięcie w jakiejś nieokreślonej sytuacji” („K” nr 1-2, 1981, s. 59).

Po drugie, całą nadzieję pokładała „Kultura” w aktywizacji opozycji antysocjalistycznej. „W moim przekonaniu - twierdził ten sam autor - powinna ona (opozycja - E.M.) działać nadal na tej samej niedookreślonej prawnie... płaszczyźnie półoficjalności. Podobnie nie powinny przestać się ukazywać druki nieoficjalne” (tamże, s. 65).

T. Klempski „podpowiada” KSS-KOR taktykę działania wobec „Solidarności”. „Opozycja polityczna - pisał - nie powinna

jednoczyć się z „Solidarnością” na planie oficjalnym, bowiem wyrządzi jej tym krzywdę [...], trzeba odrobinę trzeźwości, by poprzez swoje dotychczas nie w pełni zaspokojone marzenia i apetyty dostrzec ogólny plan rzeczywistości. Z drugiej zaś strony, opozycja w tejże sytuacji jest nadal niezbędnie konieczna i niechże ona nie wytraca tej szansy działania półoficjalnego pod całkowicie oficjalnym parasolem poparcia społecznego. Wyjście z półoficjalności i jakakolwiek fuzja czy alians z „Solidarnością” są nie tylko niepotrzebne, ale w największym stopniu niebezpieczne dla obu stron. W ramach umowy społecznej «Solidarność» winna być apolityczna, a tymczasem dla celów reedukacji społeczeństwa niezbędna jest działalność polityczna tak w sferze praktycznej, jak też - może bardziej jeszcze - ideowej” (tamże, s. 66).

Te „dobre rady” Klempskiego uzupełnił inny publicysta, M. Poleski: „Nakaz nieprzekraczania statutowych ram «Solidarności» [...] każe nadal rozwijać opozycję niejawną. Wprawdzie opozycja jest wreszcie u siebie, ale partia komunistyczna jest także tu i teraz. Powstanie «Solidarności» nakłada na grupy opozycyjne obowiązek penetracji w głąb, a często rewizji utrwalonych schematów myślenia” (tamże, s. 77). Mamy więc już program nakreślony precyzyjnie i bez żadnych niedomówień.

Jak wspominałem, po powstaniu KOR „Kultura” uznała go za własne „ideowe dziecko” i wyraźnie faworyzowała, rozpisując się szeroko o jego poczynaniach. Wprawdzie pisała również o ROPCiO i KPN, a nawet publikowała ich rozmaite oświadczenia, ale absolutną sympatią darzyła tylko KOR.

Jeszcze w 1975 r. na łamach „Kultury” można było znaleźć taki oto apel: „Nacisk w obecnej sytuacji położony być winien nie na to, co nas dzieli (a na pewno dzieli), a na te elementy, zasady i cele, które nas łączą, aby jasne były dla każdego przesłanki, podstawy i treści wypracowanego aktualnie programu, co robić” („K” nr 11, 1975, s. 49). Nieco później, po powstaniu i umocnieniu się KOR, „Kultura” osłabiła znacznie swoje działania na rzecz integracji ruchu opozycyjnego w Polsce. Chwaliła przede wszystkim KSS-KOR, a czyniła to różnymi sposobami, czasem za pomocą półoficjalnych oświadczeń, innym razem za pomocą zręcznie napisanych artykułów. Ta druga metoda miała na celu pozyskanie przede wszystkim młodzieży. Taka była m.in. intencja „psychologicznej” reklamy członków KSS-KOR, których „Kultura” zaprezentowała w atmosferze

tajemniczości, konspiracyjności, elitarności i ekskluzywności, traktując to jako zachętę dla młodzieży do podejmowania działań opozycyjnych.

Oto próbka takiej reklamy: „Środowisko warszawskiej opozycji jest jawne, stosunkowo otwarte, kontakt z nim nie jest trudny, a jednocześnie panuje w nim atmosfera podziemnej ekskluzywności. Dominującymi postaciami i animatorami towarzyskimi tego środowiska są ludzie ze stażem więziennym [...] Wyrok skazujący lub co najmniej areszt [...] są, jak wdzięk, zaletą towarzyską. Grupą wciąż największą są marcowcy. Część wyemigrowała z Polski. Ale wokół skazanych w procesie komandosów, jak Michnik, Lityński, Toruńczyk i Blumsztajn, pozostaje duża ilość utrzymujących ze sobą choćby luźne kontakty, spotykających się na tłumnych przyjęciach imieninowych i innych towarzyskich okazjach” („K” nr 1-2, 1977, s. 4).

Oczywiście, pod skrzydła KOR można było trafić nie tylko wtedy, gdy miało się na swojej hipotece politycznej „zasługi” w walce z socjalizmem w Polsce. KOR był w stanie przygarnąć każdego, kto miał jakiegokolwiek powody, aby socjalizmu nie lubić. Była to wyraźna zachęta dla tych, którzy „chcieliby – a boją się”. „Zdarzają się ludzie pojedynczy bez politycznej przeszłości – pisze, zachęcając, niejaki Sulik – których do środowiska doprowadziły dramaty osobiste. Na przykład chłopiec zakochany w zachodniej kulturze młodzieżowej nie może otrzymać paszportu i wpada w obsesyjną klaustrofobię. Schwytany przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy czesko-austriackiej idzie do więzienia i traci szansę ukończenia studiów. Po wyjściu na wolność trafia do opozycji, której sposób bycia pasuje do jego subiektywnie podziemnej egzystencji” (tamże, s. 5).

„Kultura” starała się przedstawiać ludzi z KOR jako osoby nadzwyczajne, niemal obdarzone jakimś specjalnym darem. Na przykład Jacek Kuroń – pisze w uniesieniu Sulik – to „Jacek Święty Apostoł” (tamże, s. 6). Podobne, aczkolwiek nieco zróżnicowane oceny otrzymują inni „apostołowie” – Michnik, Karpiński, Blajfer, Blumsztajn, Lityński itd.

Oczywiście, wszyscy wiedzą, i redaktorzy „Kultury” również, że każdy taki przesłodzony obraz może wywołać podejrzenie, iż jest nieprawdziwy, przeto dla równowagi ukazuje się tych „apostołów” także jako ludzi „normalnych”. I tak np. o Kuroniu „Kultura” pisała: „We wspomnieniu jawi mi się jako postać

fizycznie ogromna, a przecież wiem, że to nieprawda. W gruncie rzeczy jest średni, niższy ode mnie, choć zwalistej postawy. Po prostu jest nabrzmiały treścią. Rozsadza go energia moralna, energia uczuć i energia intelektu, zbełtane razem w przedziwnie nerwową, wybuchową mieszaninę. Jacek nie ma w niczym umiaru, pochłania wszystko. Nie jest żartkiem, ale cokolwiek znajdzie na półmisku, zmiata do ostatniej kruszyny. Nie jest pijakiem, ale każdą nalaną mu szklankę wypija do dna. Z taką samą zachłannością atakuje napotkane problemy, przeżywa sprawy publiczne i rozlicza je z samym sobą” (tamże). Pijakiem natomiast jest Szpotański: „Kiedy dorwie się do wódki, atakuje. Najpierw natarczywie domaga się odpowiedzi na pytania, na które zwykle odpowiedzi nie ma, potem lży nieobecnych, jeszcze później – obecnych. I na ogół uchodzi mu to na sucho albo małym kosztem, bo Szpot jest maskotką warszawskiej opozycji” (tamże, s. 9).

Warto dodać, że owa „energia intelektualna” Kuronia ujawniła się również w sposób niezbyt chlubny, mianowicie napisana przez niego rozprawa doktorska nie znalazła, niestety, w kraju (ze względu na niski poziom naukowy) chętnego promotora, mimo iż lata siedemdziesiąte nie były zbyt trudnym okresem dla ludzi jego pokroju. Mało tego, praca ta, przesłana na Zachód, przewędrowała kilka wydawnictw emigracyjnych (w tym również paryską „Kulturę”), bardzo chętnie przecież wydających nawet mierne prace krajowych „opozycjonistów”, i wylądowała prawdopodobnie w koszu, albowiem słuch o niej zaginął.

Aby jednak ktoś nie pomyślał, że opozycja warszawska (czytaj: KSS-KOR) składa się z rozmaitego rodzaju niedobitków życiowych, autor artykułu pt. „Obleźni” natychmiast go uspokaja: „Ogólnie biorąc, środowisko opozycyjne jest przy całej swej różnorodności temperamentów i typów ludzkich supernormalne. Na pewno pojedynczy ludzie, którzy to środowisko tworzą i którzy do niego przyłączyli się, pod względem wrodzonych zdolności, inteligencji, wydolności w pracy, energii, siły przebiccia są znacznie powyżej krajowej przeciętnej” (tamże, s. 10).

Wnioski, jakie młody czytelnik mógł wyciągnąć z takiej prezentacji „opozycji warszawskiej”, narzucały się same: był to krąg ludzi serdecznych, którzy każdego przygarnęli i każdemu pomogli, jeśli znalazł się w życiowych tarapatkach lub wszedł w kolizję z prawem, albo po prostu nie lubił socjalizmu. Byli to zatem ludzie, z jednej strony, wyrastający ponad przeciętność, z

drugiej zaś – normalni, tzn. lubiący sobie popić, pojeść, pohulać. W ogóle w ich gronie było trochę elitarnie i trochę ekskluzywnie, a przede wszystkim tajemniczo: „Zimą 1975/1976 za Adamem Michnikiem, krok w krok, gdziekolwiek się ruszył, jeździły dwa czarne mercedesy” – informuje Sulik (tamże, s. 11).

Podobną reklamę, może już nie tak „wysublimowaną”, miało na łamach „Kultury” także PPN (Polskie Porozumienie Niepodległościowe), którego ideowe związki z KSS-KOR były aż nadto widoczne i których nie wypierali się ani jedni, ani drudzy.

Znacznie gorszą „prasę” miały ROPCiO i KPN, a zwłaszcza ich inicjator – Leszek Moczulski. „Sam Moczulski – pisał w artykule wstępnym Socjusz – jest zwolennikiem tendencji niepodległościowej, która wybija na plan pierwszy funkcje państwa narodowego jako formy zorganizowania świadomego swych celów społeczeństwa. Można się tutaj doszukiwać wyrazu skłonności dyscyplinarnych; można się obawiać, że dobro państwa będzie zbyt silnie przeciwstawiane dobru jego obywateli [...] Niektórzy twierdzą, że w praktycznym postępowaniu Moczulskiego ujawniają się istotnie owe niebezpieczne skłonności autorytatywne” („K” nr 6, 1978, s. 5).

W rok później Socjusz sformułował ocenę KPN w jeszcze ostrzejszym tonie: „Nie zamierzam, jak to się często robi, kwestionować czystości intencji twórców KPN. Chcę zwrócić tylko uwagę, że zaproponowany przez nich sposób działania ma w sobie wiele z aktorstwa, a nie rokuje odpowiedniej skuteczności [...] Wszystkie wątpliwości można streścić w jednym zdaniu: KPN stawia sobie cele zbyt na dziś wygórowane i na własnej drodze do tych celów gromadzi niepotrzebne przeszkody ułatwiając zadanie przeciwnikowi” („K” nr 7-8, 1980, s. 129-130).

Moczulski przestał być po prostu potrzebny, stał się bowiem – z uwagi na swoje koncepcje – groźny, gdyż mógł odebrać KSS-KOR monopol na wywrotową działalność. Na „cenzurowanym” znalazła się nie tylko KPN, ale także jej młodzieżowa przybudówka – Ruch Młodej Polski.

Na zakończenie warto przypomnieć pokrótce główne założenia ideowe KSS-KOR oraz sformułowane przezeń koncepcje metod

i środków działania. Ułatwi to pokazanie jednoznacznych związków teoretycznych zachodzących między tezami głoszonymi przez „Kulturę” a wypowiedziami programowymi przedstawicieli KSS-KOR. Ilustracją niech będą obszernie cytaty pracy Kuronia pt. „Zasady ideowe”.

„Za pozycję polityczną – pisał Kuroń – uważają się w naszym kraju ludzie o różnych rodowodach ideowych, różnych światopoglądach, poglądach politycznych, pomysłach programowych itp. Łącznie można ich scharakteryzować tylko przez wskazanie wspólnego dla nas przeciwnika: systemu społeczno-politycznego panującego w naszym kraju”.

W innym miejscu stwierdził: „Za opozycję polityczną uważam tych wszystkich ludzi, którzy świadomie i czynnie przeciwstawiają się totalitaryzmowi walcząc o suwerenność Narodu i Państwa Polskiego. Natomiast nie uważam za opozycjonistów ludzi, którzy zmierzają do suwerenności państwa, nie przeciwstawiając się czynnie totalitaryzmowi”.

Skąd my to znamy? Wystarczy porównać owo rozumowanie z poglądami zawartymi we wcześniej cytowanych artykułach „Kultury”. Od razu da się zauważyć, że stamtąd została „pożyczona” nie tylko definicja opozycji, ale również jej zasady ideowe.

W dalszej części „Zasad” czytamy: „Pluralizm jest na przykład zasadą ideową, której wartość nadrzędną stanowi suwerenność człowieka, zaś formę realizacji stanowi program wielości stronnictw, ugrupowań, partii, za pośrednictwem których jednostka może realizować swoje dążenia”. Podobna myśl wyrażona została w innym fragmencie: „[...] aby realizować tworzenie jako wartość nadrzędną, trzeba położyć nacisk na suwerenną twórczość jednostki – sformułować zasadę ideową podmiotowości człowieka i w związku z tym jego grup społecznych”. Również i tu zbieżność treści z cytowanymi uprzednio publikacjami paryskiej „Kultury” jest aż nadto widoczna.

Kolejny fragment owego dokumentu programowego KSS-KOR dotyczy tym razem techniki działania: „Opowiadam się – czytamy w uwagach o strukturze ruchu demokratycznego – za działaniem jawnym, w ruchu społecznym tworzoną we współdziałaniu samodzielnych i samorządnych grup. Stopień zaangażowania każdego członka takiej grupy w jej działanie zależy od gotowości

do narażania się na represje [...] Opowiadał się za jawnym działaniem, ponieważ tylko tą drogą można tworzyć masowy ruch społeczny i jego instytucje. Działanie tego rodzaju zmienia system już tu i teraz, tworząc sferę niezależności społeczeństw i zmuszając władzę do respektowania praw człowieka i obywatela". To także już wiemy: takiej koncepcji dopracowała się właśnie paryska „Kultura”.

Owa kompilacja, stale uprawiana przez Kurońa, wykazała niezbicie, że wiele głównych idei programowych KSS-KOR, nie tylko tych, które zawarł Kuroń w „Zasadach ideowych”, zostało „żywem” przepisanych z artykułów paryskiej „Kultury” i książek wydanych przez paryski Instytut.

Jest oczywiste, ponad wszelką wątpliwość, że KSS-KOR przejął od „Kultury” nie tylko główną platformę ideologiczną i polityczną – obsesyjny antykomunizm – nie tylko zapożyczył swoje zasady programowo-ideowe, lecz także wykorzystał w swojej działalności wiele innych, często propagandowych pomysłów.

Pisałem już wcześniej o głoszonej przez „Kulturę” -idei tzw. niereformowalności ustroju socjalistycznego i jej krytyce dokonanej przez L.Kołakowskiego. Stwierdziłem, że koncepcja reformowalności socjalistycznego systemu społecznego zaproponowana przez niego miała właściwie znaczenie tylko taktyczne, ponieważ dawała jakąś nadzieję przeciwnikom socjalizmu w Polsce w trudnych dla nich czasach (połowa 1971 r.). Ponadto, choć może to brzmieć paradoksalnie, była ona faktycznie tezą o niereformowalności systemu (w znaczeniu przyjętym później przez KSS-KOR), albowiem proces reformowania systemu miał doprowadzić w rezultacie do jego zniesienia.

Przywódcy KSS-KOR uczynili z tezy Kołakowskiego dość sprawne narzędzie ideologiczne. Spełniało ono dwie ważne funkcje propagandowe. Po pierwsze, wyrażało strategiczne cele KSS-KOR, albowiem jeśli socjalizm nie daje się reformować, to wcześniej czy później należy go obalić. Po drugie, wyrażało bieżące cele taktyczne: a) jeżeli system jest niereformowalny, to wszelkie reformy społeczne (niezależność związków zawodowych, ograniczenie cenzury, wzrost samorządności społeczeństwa itd.) są „pozasystemowe”, czyli nie mogą być uznane za efekt działania wewnętrznych sił systemu; b) jeżeli system jest niereformowalny, to partia (jako podstawowy element tego systemu) nie odgrywa żadnej roli w procesie odnowy.

Łatwo zauważyć, że tak rozumiana teza o niereformowalności systemu nie sugeruje wniosku, iż niczego w Polsce nie można zmienić, lecz poddaje myśl, że wszelkie zmiany mogą się odbywać wyłącznie wbrew socjalistycznym zasadom ustrojowym. Z tego chyba względu nie znajdziemy w wypowiedziach przedstawicieli KSS-KOR żadnych uwag na temat struktury partii, ewolucji jej roli politycznej itd. Inaczej mówiąc, partia ich nie interesuje, ponieważ jest ona fundamentem rzekomo niereformowalnego systemu. KSS-KOR chciał określną propagandową drogą przekonać społeczeństwo, że jest ona głównym i jedynym przeciwnikiem odnowy.

Oczywiście, tak interpretowana teza o niereformowalności socjalizmu może mieć tylko znaczenie pseudopropagandowe. Jest ona pozornie nie do obalenia, tzn. każdy argument przeciw niej może być zinterpretowany na jej korzyść. Mówiąc prościej, jeśli ktoś powiada, że socjalizm może być jednak reformowalny, ponieważ np. pogłębiają się procesy demokratyzacyjne, to zwolennik tezy o niereformowalności stwierdzi, że demokratyzacja ta jest elementem obcym socjalizmowi itd.

Od „Kultury” przejął także KSS-KOR metody zwalczania swoich dawnych sojuszników (np. ROPCio), metody organizowania się wokół elit intelektualnych, czyli „ludzi-instytucji”, technikę działania mafijnego itd.

Innym propagandowym pomysłem podrzuconym KSS-KOR przez paryską „Kulturę” była eliminacja ze słownika politycznego pojęcia „socjalizm”. Rzeczywiście KSS-KOR całkowicie zrezygnował z tego pojęcia.

Przyczyny wydają się zupełnie oczywiste: Skoro KSS-KOR zrezygnował, za namową „Kultury”, z rewizjonistycznej drogi obalenia socjalizmu, to należało – aby nie tworzyć niepotrzebnych skojarzeń – zrezygnować też i z samego pojęcia. Zastąpiono je zatem innym terminem, który ani nie budził podejrzeń zwolenników socjalizmu, ani nie drażnił przeciwników. Tym terminem, równieź podpowiedzianym przez „Kulturę”, jest pojęcie „pluralizm”. [...]

Fragmenty rozdziału z broszury Edwarda Modzelewskiego
Import kontrewolucji. Teoria i praktyka KSS-KOR
wydanej przez Książkę i Wiedzę, Warszawa 1982, w serii „Interpretacje”

Janusz Kolczyński

Dywersonja

„KULTURA” NAPRAWDĘ W CUDZYSŁOWIE

Bez wątpienia pod względem ilościowym *Kultura* nie może równać się np. z Radio „Wolna Europa” – z jego wielkim, rozbudowanym aparatem redakcyjno-propagandowym i technicznym. Zasięg oddziaływania *Kultury* – w samym założeniu – jest zresztą bez porównania węższy. Jednakże wszelkie tego typu porównania byłyby ryzykowne i prowadziłyby do pochopnych wniosków. Trzeba bowiem także brać pod uwagę, że *Kultura* wypełniać ma inne, niż Radio „Wolna Europa”, funkcje w systemie dywersji ideologicznej. O ile RWE służy celom masowej propagandy (a ściślej: dywersyjnej dezinformacji) – inna to rzecz, że osiągnięte rezultaty są tu nieproporcjonalnie skromne – o tyle *Kultura* wypełnia funkcje ośrodka oddziaływania na stosunkowo elitarne kręgi inteligenckie, zwłaszcza na środowiska intelektualne. W samym założeniu zatem zakres i zasięg działalności *Kultury* jest węższy niż w przypadku RWE.

Ten swoisty elitaryzm funkcji nie powinien wszakże mylić, prowadzić do wniosku o mniejszym potencjale niebezpieczeństwa, który reprezentuje *Kultura*. Wręcz przeciwnie, elitaryzm ten po pierwsze – stwarza możliwości lepszej koncentracji tematycznej, a co za tym idzie – głębszego penetrowania wybranych środowisk. Po wtóre – oznacza on, że *Kultura* koncentruje swą dywersyjną działalność na jednym z najbardziej newralgicznych odcinków frontu ideologicznego – na kadrach tego frontu.

Jeśli jesteśmy już przy porównaniach, to nie można także pominąć i tego faktu, że formy i metody działania *Kultury* są o wiele bardziej subtelne, a nawet wyrafinowane niż te, dalekie od doskonałości, które stosuje RWE (być może, w znacznym stopniu związane jest to także z elitaryzmem – koniecznością liczenia się z wysokim poziomem potencjalnego adresata).

Trzeba chyba zatem zgodzić się z Jamesem Burnhamem, któremu przecież nie można odmówić kompetencji w zakresie problematyki „wojny psychologicznej” i propagandy antykomunistycznej, gdy ocenia on *Kulturę* jako „wypróbowaną i ważną operację walki politycznej, jakich w rzeczy samej jest niewiele w jej kategorii”, gdy wskazuje, że w odróżnieniu od wielu innych grup antykomunistycznych jej „poziom jakościowy i techniczny jest wysoki” (por. artykuł w *National Review*).

Nie chodzi tu, rzecz prosta, o jakieś obiektywistyczne, formalne uznania dla techniki działania *Kultury*. Istota rzeczy polega na tym, by uświadomić sobie, że te taktyczno-formalne walory czynią *Kulturę* szczególnie wytrawnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Oceny Burnhama, ranga, jaką przydaje on temu ośrodkowi jako jednemu z ogniw „wojny psychologicznej”, warto chyba odczytać również i w takim kontekście.

To, co piszę, nie jest sprawą bez znaczenia, tym bardziej, że można spotkać się – co tu ukrywać – z opiniami pomniejszającymi lub nawet neglżującymi dywersyjno-ideologiczną funkcję *Kultury*.

Tutaj dochodzimy do najbardziej chyba interesującego tematu – profilu, koncepcji i linii taktycznej *Kultury*.

Pierwsza sprawa, na którą warto zwrócić uwagę – zespół *Kultury* od samego początku zabiega o to, by wokół pisma skupić krąg poważnych autorów, cieszących się autorytetem, posiadających pewną rangę intelektualną i polityczną – elitę antykomunistycznego frontu ideologicznego. W parze z tym idzie dość wysoki poziom formalny publikacji zamieszczanych w piśmie. Przykładem – wiele pozycji Tadeusza Nowakowskiego. Dysponując takimi możliwościami, *Kultura* stara się je wszechstronnie wykorzystać w swej taktyce redakcyjnej.

Nie sposób nie zauważyć, że generalny kierunek polityczny pisma kształtuje się zawsze zgodnie z aktualną linią polityki Stanów Zjednoczonych i przechodzi dokładnie wszystkie te ewolucje, które były udziałem amerykańskiej strategii „wojny psychologicznej”. Jednakże linia taktyczna *Kultury* jest znacznie

bogatsza i bardziej elastyczna niż taktyka wielu innych ośrodków antykomunistycznych.

Tak np. *Kultura* potrafi odcinać się od ekstremistycznie obskuranckich przejawów antykomunizmu. Nie zabrakło również na jej łamach krytyki skrajnie reakcyjnego skrzydła emigracji i reprezentowanej przez nie postawy totalnej negacji przemian, które zaszły w Polsce.

Zespół *Kultury* stara się zaprezentować jako reprezentacja liberalno-demokratycznego skrzydła emigracji, któremu nieobca jest „otwarta” postawa wobec reform socjalnych, a jednocześnie krytyczny dystans wobec „twardogłowego” antykomunizmu. Na łamy *Kultury* dopuszcza się publikacje, w których zawarte są akcenty pozytywnej oceny niektórych reform, które wprowadził w Polsce socjalizm, ba, nawet i nuty uznania dla osiągnięć Polski Ludowej.

Taktyka taka czerpie inspirację z określonego źródła, z określonej koncepcji strategicznej. Linia *Kultury* jest bowiem – jak wskazuje wiele faktów – najbliższa tym ośrodkom amerykańskim, które stawiają na strategię „erozi komunizmu” i „zbliżenie” dwu systemów, o czym pisałem w pierwszym rozdziale. Ta linia wyjaśnia sens wielu koncepcji, kolejno lansowanych przez *Kulturę*. Najpierw była koncepcja zakładająca, że w Polsce, w drodze ewolucji wykrystalizuje się system, który będzie stanowić unowocześnione wydanie demokracji burżuazyjnej; uznającej niektóre elementy socjalistyczne (likwidacja obszarnictwa, częściowa nacjonalizacja przemysłu, industrializacja, uprawnienia socjalno-kulturalne ludzi pracy). Później przez pewien okres *Kultura* zajęła szczególnie „otwartą” postawę wobec „narodowego komunizmu” i innych przejawów rewizjonizmu. I w zasadzie ta linia – stawka na rewizjonizm do dziś określa taktykę *Kultury*. Oczywiście, w szczegółowych rozwiązaniach taktycznych linia ta ulega różnym modyfikacjom, w zależności od zmian w taktyce polityki amerykańskiej wobec Polski.

Trzeba wszakże zdać sobie sprawę, czego zresztą nie ukrywają eksponowani przedstawiciele *Kultury*, że ta „otwarta” postawa wobec rewizjonizmu podporządkowana jest jasno sprecyzowanemu celowi strategicznemu. „Istotą naszej postawy i w związku z tym polityki jest przeświadczenie, że gra nie jest skończona” – pisze Juliusz Mieroszewski (*Kultura*, nr 133 z 1958 r.). Stawiając następnie wyraźnie kropkę nad i, stwierdza on, że

gdyby *Kultura* doszła do przekonania, że „(...) jedyną rozsądną polityką jest akomodacja w ramach bloku wschodniego – wówczas zamknęlibyśmy „Kulturę” i wrócili nad Wisłę”.

W ostatnim okresie stanowisko to nie tylko nie ulega zmianie, ale wręcz zostaje wyostrzone. Tenże Mieroszewski, notabene czołowy ideolog *Kultury*, w swych wypowiedziach publicystycznych, zamieszczanych na łamach *Kultury* w 1963 r. stawia sprawę bardzo otwarcie i jasno. Krytykuje on np. niezwykle ostro koncepcję pokojowego współistnienia jako polityki utrzymania status quo, wypowiadając się za rozbudową siły militarnej Zachodu (pisze on wprost, że kontynuowanie polityki rokowań musi być wsparte, wymaga „wielkiej rozbudowy i koncentracji sił w Europie zachodniej”).

„Nowy system międzynarodowy może być zbudowany tylko konwencjonalnymi metodami, a więc w oparciu o konwencjonalną, tradycyjną politykę siły. Brzmi to reakcyjnie, ale obiektywna prawda, nawet gdy brzmi ona reakcyjnie, nie przestaje być prawdą” – pisze Mieroszewski. „Długofalowym celem polityki amerykańskiej w skali globalnej musi być zastąpienie obecnej równowagi – przewagą” – taki jest końcowy wniosek czołowego publicysty *Kultury* (por. nr 1/183, 2/184, 3/185 z 1963 r.).

Nie miejsce tu na szerszą, rozbudowaną analizę koncepcji polityczno-międzynarodowych, lansowanych przez *Kulturę* (choć zapewne analiza taka, obnażająca ich klasowo-imperialistyczną treść, byłaby pożyteczna i warto by ją podjąć; jest to jednak temat sam dla siebie). W tym szkicu stawiającym sobie o wiele skromniejszy cel – przedstawienie oblicza programowego *Kultury* – wydaje się wystarczający zaprezentowany wyżej materiał. Nie sposób zaś nie zwrócić uwagi – rzuca się to wprost w oczy – na idealną wprost synchronizację tez politycznych, lansowanych przez *Kulturę* z koncepcjami tzw. planu Rostowa.

Krystalizuje się zatem wyraźny obraz. Stawka na rewizjonizm – to nie tyle i nie tylko sprawa poglądów zespołu *Kultury*, lecz kwestia wyboru taktyki penetracji i dywersji ideologicznej. Mówiąc prościej rewizjonizm – to punkt wyjściowy i przewodnik taktyki „zmiękczenia”, przygotowania gruntu dla infiltracji ideologii antykomunistycznej do określonych środowisk w kraju. *Kultura* stawia sprawę otwarcie: mimo że jesteśmy przekonani antykomunistami, uważamy, że „(...) narodowy komunizm – może

Polsce w pewnym określonym okresie historycznym oddać duże usługi" (nr 110). A w innej enuncjacji czytamy:

"To nie okazja historyczna wyczekuje na rewizjonistów, lecz przeciwnie, rewizjoniści winni oczekiwać okazji (...) Gdy nadejdzie odpowiedni moment, trzeba będzie utworzyć opozycyjną partię polityczną" (nr 133 z 1958 r.).

W związku z tym warto też chyba zwrócić uwagę na charakterystyczny szczegół w ewolucji taktycznej linii *Kultury*. Mianowicie, gdy zawiodły przesadnie rozbudzone nadzieje na rozwój ośrodków rewizjonistycznych w kraju, *Kultura* próbuje innej, wręcz już prowokacyjnej drogi, która zrekompensować miałaby dotychczasową nikłość rezultatów dywersyjnej infiltracji ideologicznej do Polski. W 1958 r. Mieroszewski występuje z postulatem stworzenia na Zachodzie warunków, umożliwiających dezercję rewizjonistów z Polski, krytykując przy okazji „twardogłowych” – zawodowych antykomunistów, którzy „zrobili wszystko, by taką emigrację uniemożliwić”. „I w moim przekonaniu – pisze on – jest to największy błąd, jaki do tej pory popełnili zachodni stratedzy «wojny psychologiczne». Winni oni zdać sobie sprawę z faktu, że jeden rewizjonista na Zachodzie więcej wart jest niż stu maccartystów wschodnioeuropejskiego pochodzenia” (*Kultura*, nr 132 z 1958 r.).

W innym zaś miejscu pisze ten sam autor: „Proponowałem utworzenie frontu niezależnej lewicy, to jest organizacji, która skupiałaby w pierwszym rzędzie młodzież emigracyjną, solidaryzującą się w rewizjonistami. Polska emigracja na Zachodzie w przeciągu roku mogłaby stać się „większą emigracją” – gdyby nasze szeregi powiększyły się o 10 czy 15 wybitnych pisarzy z kraju. Dopóki w kraju nie można zorganizować jawnie opozycyjnej partii socjalistycznej (...) dopóty musi istnieć za granicą emigracja nie jako azyl i schron dla siedmiu z „Puszczyka” – lecz jako ośrodek działania i twórczości (...)” (*Kultura* nr 129-130 z 1958 r.).

Trudno chyba o bardziej wyraźne sformułowanie, bardziej szczerze postawienie sprawy. Warto zaś zwrócić uwagę zwłaszcza na dwa aspekty tych interesujących wynurzeń. Po pierwsze – na nie ukrywaną deklarację, że *Kultura* pretenduje do roli głównego ośrodka opozycyjnego wobec rządów socjalistycznych w Polsce, ośrodka, który choć aktualnie musi znajdować się za granicą, ma jednak ambicje inspirowania poglądów i nastrojów opozycyjnych w kraju. Ośrodka, który zamierza stać się trzonem

opozycyjnej partii, gdyby tylko nadarzyła się „sprzyjająca okazja”. Stąd właśnie biorą się gorączkowe zabiegi – uwieńczone zresztą mizernymi osiągnięciami – by docierać do kraju, nawiązywać kontakty z ludźmi, którzy przybywają z Polski do krajów zachodnich, próby włączania się do krajowych dyskusji z własnym, tendencyjnym komentarzem itp.

Druga sprawa – to prowokatorski, godny „dwójkarzy” pomysł organizowania dezercji z Polski, ściślej – stworzenia materialnych warunków, które zachęcałyby do tej dezercji. Skądinąd – z punktu widzenia politycznych interesów, które reprezentuje *Kultura* – inicjatywa ta była zupełnie logiczna. Giedroyc czy Mieroszewski doskonale zdają sobie sprawę z propagandowej wartości takiego przedsięwzięcia, gdyby się ono udało. Trafnie też przeczuwają, że warunki rozwojowe Polski Ludowej obiektywnie usuwają grunt spod nóg rewizjonizmowi, że kurczy się jego baza społeczna, że nawet ludzie ulegający poglądom rewizjonistycznym w tych warunkach zaczynają się wyzwać od tego balastu. Zachęcanie do dezercji stanowi zatem swoistą próbę „zakonserwowania”, utrzymania „kadry” rewizjonistycznej.

Pomysł ten zbankrutował, jak wiele innych, które zrodziły się w głowie „kulturalnych” dywersantów z Maisons Laffitte. Na palcach można bowiem policzyć te przypadki, gdy udało się skaptować dezertów. Zawiodły wszelkie wyliczenia co do zasięgu wpływów *Kultury*. Ale pozostał widomy dowód, że paryski miesięcznik idzie na jawną dywersję; jeśli by kto powątpiewał, że przymiotnik „dywersyjny” rzeczywiście charakteryzuje tę instytucję, to w świetle opisanego tu przedsięwzięcia może pozbyć się wszelkich wątpliwości.

Mimo kompletnego fiaska swej koncepcji Mieroszewski jest nadal uparty i nie chce wycofać się ze swego dywersanckiego pomysłu. Po paru latach znów wraca do niego, pisząc: „Osobiście nie wierzę już dziś, by pisarze w kraju stawili dostateczny opór. Lecz być może, gdyby istniały stypendia umożliwiające zorganizowanie sobie życia przez rok czy półtora za granicą – znaleźliby się tacy, którzy skorzystaliby z tej sposobności” (*Kultura*, nr 1/195 – 2/196 z 1964 r.).

Komentować tego chyba nie potrzeba.

Antykomunizm – jak już pisałem – przemycany jest w *Kulturze* w bardziej atrakcyjnym opakowaniu, przy tym powleczone jest

pokostem intelektualnym, niejednokrotnie ubierany w pozory „politycznego obiektywizmu”.

Wśród materiałów publikowanych w *Kulturze*, wśród wydawanych przez nią pozycji książkowych jest też sporo takich pozycji, które nie mają bezpośrednio antykomunistycznego ostrza, w tym sensie, że nie angażują się wprost w ataki przeciwko systemowi socjalistycznemu. Ich antykomunistyczna funkcja jest bardziej ukryta, pośrednia, polega na pozytywnej – jeśli tak rzec można – prezentacji burżuazyjnych koncepcji ideologicznych. Zaliczyć tu trzeba przede wszystkim te pozycje, które jednostronnie akcentują „zachodnią” perspektywę polskiej kultury, apologetyzują burżuazyjne stosunki społeczno- i polityczno-ustrojowe itp.

A nie brak było i takich pozycji, które znalazły się w seriach wydawniczych *Kultury* po to tylko, by nadać im wyższą rangę intelektualną; są to nieraz – nawet przy swej dyskusyjności – oryginalne i wartościowe pozycje. To również stanowi bardzo swoistą formę kamuflażu.

Ale jeśli wrócić do wspomnianego „obiektywizmu” – pojedyncze fakty pozytywnego stosunku do polskiej rzeczywistości, zachowanie pewnego umiaru w tonie krytyki, dystans wobec „twardogłowych” antykomunistów – to też w istocie rzeczy tylko kamuflaż, obliczony na stworzenie pozorów – pozorów swoistej „drogi pośredniej”, „pomostu” między emigracją i krajem, które potrzebne są po to, by dotrzeć do pewnych środowisk w kraju. Kamuflaż ten wynika z całej linii taktycznej *Kultury*, która reprezentuje bardziej elastyczny kurs antykomunistycznej propagandy.

Kierownicy *Kultury* zdają sobie prawdopodobnie sprawę z faktu, że antykomunizm w tradycyjnej, „twardogłowej” formie poniósł fiasko jako metoda penetracji ideologicznej. Zwłaszcza w odniesieniu do tych grup i środowisk, które nie w pełni są ukształtowane ideologicznie, a o nie przecież głównie chodzi w tej grze. Tradycyjna forma antykomunizmu, zasadzająca się na obsesyjnej negacji wszystkiego tego, co kształtuje socjalizm, nie wytrzymuje próby w konfrontacji z realnymi faktami. *Kultura* stara się wyciągać wnioski z obiektywnego faktu, że w świadomości przyniatającej większości społeczeństwa polskiego na trwałe wykształciła się akceptacja podstawowych zasad ustrojowych socjalizmu. A z drugiej strony – na emigracji, która stanowi drugi front, także ważny, postępuje również

proces bardziej trzeźwego spojrzenia na krajowe stosunki, na osiągnięcia Polski pod rządami socjalizmu, proces obejmujący przede wszystkim szeregową emigrację.

Dlatego też *Kultura* czyni wiele, aby odróżnić się od brutalnego antykomunizmu „twardogłowych”. W treści swych publikacji stara się akcentować swój „rewizjonistyczny” charakter, podając go w takiej formie, która sugerować ma, że jest on czymś odrębnym, różnym od antykomunizmu.

Warto może także zwrócić uwagę na charakterystyczną zbieżność w tej linii taktycznej między *Kulturą* a pismami często tu już wymienianego Kongresu Wolności Kultury: paryskim *Preuves*, londyńskim *Encounter*, zachodnio-berlińskim *Der Monat* czy wiedeńskim *Forum*. W tych pismach, spełniających podobną co *Kultura* rolę (tyle, że ostrzem swym skierowana jest ta dywersja przeciwko komunistycznemu i innym lewicowym wpływom w środowiskach intelektualnych na Zachodzie), równie chętnie kamufluje się antykomunistyczną linię pojedynczymi enuncjacjami, mającymi stwarzać pozory postępowości.

Ów „rewizjonistyczny” profil *Kultury* spełniać ma co najmniej dwie istotne funkcje.

Po pierwsze – jest on podporządkowany generalnej strategii „zmiekczenia”, wytyczającej obecnie kurs ideologicznej penetracji Zachodu w krajach socjalistycznych. Jawny antykomunizm znajdowałby nader mizerny punkt zaczepienia, jedynym punktem zaczepienia pozostaje zatem tylko ta szczelina, którą tworzy rewizjonizm. Jeśli można użyć tego porównania, „rewizjonizm” *Kultury* jest tu zatem swego rodzaju koniem trojańskim antykomunizmu.

Po drugie – rewizjonistyczne deklaracje *Kultury* czynią łatwiejszym dotarcie do określonych środowisk w Polsce, pomagają im w tworzeniu swego alibi moralnego; rewizjonizm jest strawny, ba, stanowi nieraz wyznacznik wiary, w przeświadczeniu niektórych godzi się całkowicie z postawą, w której jest miejsce dla akceptacji zasad socjalistycznych. Wspomniane alibi ułatwia zatem kontakty, bezpośrednie dotarcie do poszczególnych ludzi i środowisk, bez czego trudno marzyć o efektach ideologicznej penetracji.

Oto sens „rewizjonistycznej” deklaracji *Kultury*, która oznacza nic innego, jak stawkę na tę koncepcję strategiczną, która przewiduje, że „rewizjonizm oferuje pokojowe, ewolucyjne przejście od totalizmu do demokracji”, to jest – jeśli oczyścimy

tę formułę z zafałszowanej terminologii antykomunistycznej – restaurację kapitalizmu.

Istotę działalności *Kultury* rozszyfrował zresztą wyraźnie Adam Pragier. W artykule, poświęconym *Kulturze*, charakteryzując taktykę tego pisma, pisze on, że reprezentowany przez nią „rewizjonizm nieortodoksyjny” ma służyć określönemu celowi dywersyjno-propagandowemu: wpływaniu na ewolucję systemu socjalistycznego w Polsce.

„Taki rodzaj rewizjonizmu – pisze z całą otwartością, a przy tym i z ironią Pragier – jak każdy inny zresztą, rządzący komuniści nazwaliby po prostu antykomunizmem. Ale to byłoby zbyt proste, a także może, nadto odstrasające. Więc lepiej jest mówić o «rewizjonizmie nieortodoksyjnym»: bo dąży się przecie nie do obalenia komunizmu, ale do jego ewolucji w pożądanym kierunku”. (*Dziwaczny Rewizjonizm, Dziennik Polski – Detroit* z 24.IX.1962 r.).

Pragierowi, który reprezentuje tradycyjne stanowisko, nie trafia do przekonania taka recepta *Kultury*, zakładająca, że „w bardziej machiavelleskim ujęciu, mielibyśmy udawać, że jesteśmy komunistami, żeby nawracać komunistów”. Jego poglądy, bardziej ortodoksyjnie antykomunistyczne, zakładają inne możliwości działania. W tym sensie Pragier nie potrafi wyzwolić się ze schematów myślowych, które każą mu nie dostrzegać przemian, jakie zaszły w kraju. Ale bez wątpienia w swej ocenie taktyki *Kultury*, w ocenie nie pozbawionej zresztą póbłażliwej, acz zaprawionej ironią, życzliwości, rozszyfrował istotę sprawy, nazwał rzeczy po imieniu. Wam też chodzi o antykomunizm, ale nie łudźcie się, panowie, że skuteczna jest ta jego forma, którą wyrażacie w eufemistycznej formule „rewizjonizmu nieortodoksyjnego” – taki jest sens jego rozważań. A zatem spór o metody tylko, a nie zasadę.

Nie tylko zresztą na oceny Pragiera warto zwrócić uwagę. Znamienne są także pod wieloma względami opinie o *Kulturze* Jamesa Burnhama, przedstawione w cytowanym już tu artykule.

„Artykuły i książki *Kultury*, idee, które one wyrażają – pisze on – stanowią aktywną siłę w Europie Wschodniej (...)”.

Jak zaś w oczach Burnhama przedstawia się koncepcja polityczna *Kultury*? Nie ma on co do tego żadnych wątpliwości. „Widzą oni – charakteryzuje Burnham zespół *Kultury* – przyszłość wolnej Polski jako części Federacji Wschodnio-Europejskiej, która

będzie częścią sfederowanej Europy”. Jakże dokładnie współbrzmi ta burnhamowska charakterystyka oblicza programowego *Kultury* z wynurzeniami innego specjalisty od antykomunizmu, Zbigniewa Brzezińskiego, który w wywiadzie dla *US News and World Report* osądził, że jedynie prezydent de Gaulle usiłował określić zarysy nowej długofalowej polityki Zachodu. „Jego bardzo płynne i wprowadzające w błąd hasło o „Europie sięgającej po Ural” nie jest jeszcze polityką, ale przynajmniej zarysem wskazującym, dokąd mógłby on zmierzać w przyszłości” – oświadczył Brzeziński w tym wywiadzie. Wyjaśniając tę tezę, dodał on następnie, że to, co de Gaulle ma na myśli, jest bardzo długofalowym, historycznym procesem, w toku którego kształtowałyby się warunki, w których przed ZSRR pojawiłaby się jedna tylko droga wyboru: połączenie się z zachodnią Europą.

Koneksje perspektywicznych założeń politycznych *Kultury*, o których pisze Burnham, z koncepcjami lansowanymi – zresztą od wielu lat – przez Brzezińskiego można zresztą łatwo ustalić przy lekturze artykułów *Kultury*. Lansowany przez Brzezińskiego program „erozji” obozu socjalistycznego, o którym pisze on np. w *Foreign Affairs* z kwietnia 1963 r. współbrzmi idealnie z tezami czołowych publicystów *Kultury*. „Federalistyczne” idee określają – i w jednym, i w drugim przypadku – kierunek „pochłonięcia” przez Zachód w drodze „pokojoyej” krajów socjalistycznych.

Takie jest miejsce *Kultury* w systemie dywersyjnej penetracji ideologicznej Zachodu, wycelowanej na Polskę. O tych sprawach nie sposób byłoby nie pisać, zwłaszcza jeśli wiadomo, że nieodosobnione są iluzje co do możliwości „dialogu” z *Kulturą*, potrzebie kontaktów itp. Mogła np. „Wolna Europa” w audycji z 10.II.1962 r. stwierdzić, nie bez satysfakcji, że „gdybyśmy zechcieli wyliczyć wszystkie osoby, przyjeżdżające z Polski, które odwiedziły „Kulturę” i jej redaktora Giedroycia, to znalazłaby się na tej liście niemalże cała polska elita intelektualna wszystkich obozów i orientacji (...)”. Opinia ta jest, jak zwykle, wielce przesadzona, ale przecież tkwi w niej ziarno prawdy. Nie jest wszak tajemnicą, że w pewnych środowiskach kontakty z *Kulturą* należą niemal do dobrego tonu i traktowane są jako świadectwo „otwartej” postawy w dyskusji ideologicznej.

Można żywić obawy, że nader często dochodzi do takich stanów na tle swoistego pomieszania pojęć, przenoszenia form i metod właściwych dla dyskusji ideologicznej na zupełnie

inną płaszczyznę. Wiadomo przecież, iż w kontaktach tych idzie paryskim kontrahentem nie tyle o dyskusję, ile o wynajdywanie kanałów przemycania do kraju produkowanej przez nich literatury antykomunistycznej oraz o zbieranie informacji niezbędnych dla planowania i przeprowadzania kampanii dywersyjno-propagandowych. Nieprzypadkowo też mógł Burnham w cytowanym tu artykule stwierdzić, że *Kultura* – co jest jednym z jej „ubocznych produktów” – „stała się pierwszorzędnym ośrodkiem wywiadu”.

W jednym z ostatnich numerów *Kultury* (1/183) „Londyńczyk” postarał się uchylić nieco rąbka tajemnicy i zaprezentował najbardziej autentyczne informacje o działalności swego pisma, które rzucają charakterystyczne światło na te potrzeby. Oto najciekawsze wynurzenie „Londyńczyka”:

„*Kultura* w swoich barwnych okładkach robi wrażenie starannie i trochę staroświecko wydawanego pisma. Jej szata graficzna jest niezmiernie spokojna i konwencjonalna. Trudno się domyślić, że za tą tak konwencjonalną fasadą kryje się jakże niekonwencjonalna działalność.

W serii „Dokumenty” wydaliśmy tom 11 pt. „6 lat temu” – o czym wspominałem w poprzedniej kronice. Zdobycie tego typu materiałów wymaga zachodów, starań, często całych „strategicznych operacji” i funduszy. Nie wszystko można załatwić legalnie”.

„Londyńczyk” przyznaje dalej wprost, że gdyby *Kultura* nie miała szerokich kontaktów w krajach Europy środkowo-wschodniej „nie byłaby tym, czym jest”. Natomiast dzięki temu „(...) *Kultura* jest uważnie czytana przez specjalistów od spraw Europy środkowo-wschodniej i wiele informacji przez nas zdobytych ukazało się w czołowych pismach francuskich, brytyjskich i amerykańskich”.

„O owej zakulisowej i niekonwencjonalnej działalności jest bardzo trudno pisać, a jeszcze trudniej podać jakieś szczegóły (...) – ciągnie dalej „Londyńczyk”. Ale właśnie „(...) owa zakulisowa polityczna działalność decyduje nie tylko o jakości, ale i o roli pisma”.

Należałoby się zastanowić, czym podyktowane zostały te aluzyjne wprowadzie, ale bądź co bądź wiele mówiące i ujawniające wynurzenia. Postawiłbym hipotezę, że szło tu głównie o dwie kwestie: po pierwsze – enuncjacje „Londyńczyka” są jeszcze

jednym apelem, uzasadnieniem rosnących postulatów finansowych pisma pod adresem ośrodków subwencjonujących. Po wtóre zaś – szło tu chyba także o odpowiednie zaprezentowanie się przed tymi środowiskami, na które stawia *Kultura* w swej działalności, o podtrzymanie ich nadziei – poprzez reklamę dynamizmu i możliwości ośrodka przy Maisons Laffitte.

Niedawno Juliusz Mieroszewski, w jednej ze swych *Kronik londyńskich*, które podpisuje jako „Londyńczyk” – skarcił brukową stylistykę jakiegoś dziennikarza emigracyjnego z Londynu. Wtedy to „Londyńczyk”, cytując płaskie epitety swego kolegi napisał: „Czytelnikowi nie obznajmionemu z intelektualnym Olimpem londyńskim – nigdy nie przyszłoby do głowy, że owe „obłapki” i „posikiwania” spłynęły spod pióra jednego z najbardziej wykształconych i inteligentnych ludzi na emigracji. Miłość przez wielkie M często ogłupia i zaślepia, lecz nie uordynarnia. Nienawiść przez wielkie N jest zawsze brutalna i ordynarna”.

Swoją notatkę „Londyńczyk” zatytułował *Czy można nienawidzić kulturalnie*. Monitując swego kolegę Mieroszewski wskazywał w podtekście tytułu, że pismo, z którym współpracuje, tj. *Kultura*, także od lat nienawidzi, ale potrafi to czynić „kulturalnie”.

Przenosząc tę myśl do swych rozważań, dochodzę do wniosku, że jednak trudne to przedsięwzięcie: naprawdę nienawidzić i czynić to naprawdę kulturalnie. Wniosek ten wypływa właśnie z dziejów samej *Kultury*. W końcu nienawiść musi wziąć górę. [...]

Fragmenty rozdziału „*Kultura*” – *naprawdę w cudzysłowie*
z książki Janusza Kolczyńskiego *Dywersja*,
wydanej przez Iskry, Warszawa 1965.

Inspiracja

Na początku lat sześćdziesiątych paryska „Kultura” przyjmuje oficjalnie funkcję polskiego ośrodka politycznego na Zachodzie. Funkcję tę określiła następująco: „...ludzie w Polsce oczekują od nas nie tylko obiektywnych informacji i analiz, lecz i rad. Oczekują od nas, że jako polskie pismo, które nie podlega cenzurze, kontynuować będzie intelektualny i polityczny ferment, który w Polsce jest dławiony (...). „Kultura” jest polskim ośrodkiem politycznym reprezentującym naszych politycznych powinowatych w kraju, których musi być sporo”^{*}.

Koncepcje polityczne paryskiej „Kultury” obliczone są na działania długofalowe. Zakładały bowiem stworzenie w Polsce opozycji politycznej, głównie w środowiskach polskiej inteligencji. W roku 1963 „Kultura” popełniła niedyskrecję stwierdzając, iż jej działania na polską inteligencję nie ograniczają się wyłącznie do propagandy. Stwierdzono w nim wprost, że: „Nikt poza „Kulturą” nie dysponuje równie rozgałęzionymi stosunkami wśród intelektualistów polskich i nikt nie zna tego problemu w całej rozciągłości równie dobrze, jak redakcja paryskiej „Kultury”. Wykorzystywała ona również inteligencję polską do tzw. zbierania informacji (czytaj – szpiegostwa, np. Z. Najder).

Redakcja paryskiej „Kultury” nie ma kolegium oraz dużego zespołu redakcyjnego. Cała jej działalność prowadzona jest przez kilka osób, którym przewodzi dyrektor Instytutu Literackiego i jednocześnie redaktor naczelny. (Jerzy Giedroyc – dyr. Instytutu i red. nacz., Gustaw Herling-Grudziński, Jarosław Chilecki, Dominik Morawski, Leopold Unger).

^{*} „Kultura” nr 10/1968.

System pracy paryskiego ośrodka oparty jest na pracy korespondentów, którzy są stałymi współpracownikami „Kultury” oraz na liczonym gronie współpracowników, wywodzących się ze starej i nowej emigracji politycznej. Również działacze opozycji politycznej w Polsce wspomagają pismo w materiały, artykuły i książki pisane w kraju.

W działalności paryskiej „Kultury” w zakresie dywersji ideologiczno-politycznej, skierowanej przeciwko Polsce, można wyodrębnić następujące etapy:

ETAP I /1947-1955/

W tym okresie paryska „Kultura” koncentrowała swoją działalność na dwóch płaszczyznach: zdobyciu popularności wśród polskiej emigracji politycznej i zajęciu odpowiedniego miejsca w organizującym się na Zachodzie systemie antykomunistycznym.

Na początku 1953 r. pismo zajęło poczesne miejsce w amerykańskim aparacie wojny psychologicznej. Potwierdził to w kilka lat później ówczesny ideolog USA – J. Burnham, dowodząc, iż „Kultura” otrzymywała pomoc finansową ze źródeł amerykańskich: Komitetu Wolnej Europy, Kongresu Wolności Kultury* (obie instytucje subwencjonowane przez CIA), Fundacji Forda i Rockefellera.

W tym czasie kształtował się program działania paryskiej „Kultury”, głównie w formułowaniu aktywnej linii politycznej wobec kraju. Opowiedziano się wtedy za drogą ewolucji w Polsce, która miała doprowadzić do restauracji ustroju burżuazyjnego.

Program stawiał głównie na rewizjonizm i tendencje opozycyjne, które z czasem miały doprowadzić do procesów rozsądzania socjalizmu od wewnątrz.

ETAP II /1956-1970/

Zasadniczym punktem w kształtowaniu politycznej linii paryskiej „Kultury” wobec Polski były wydarzenia październikowe 1956 r. Redakcja „Kultury” opowiedziała się wtedy za tzw.

^{*} Kongres Wolności Kultury miał za zadanie oddziaływać na intelektualistów w krajach socjalistycznych. Jego ścisłe związki z CIA ujawniono w 1967 r.

komunizmem narodowym i rewizjonizmem w Polsce, twierdząc, że komunizm narodowy „...może Polsce w pewnym okresie historycznym oddać duże usługi”. Lansowała także grupę „Po prostu” określając ją jako „awangardę polskiej rewolucji”.

Po wydarzeniach październikowych paryska „Kultura” próbowała budować nową taktykę, obliczoną na tzw. drugi etap października: „Jesteśmy gotowi nadal mobilizować opinię na Zachodzie – jesteśmy gotowi tłumaczyć Amerykanom, że należy udzielić rządowi Gomułki wydatnej pomocy gospodarczej – ale pod warunkiem nawrotu do Października”.

W styczniu 1958 r. paryska „Kultura” zaproponowała utworzenie za granicą „...niezależnego ośrodka rewolucyjnego, który kontynuowałby studia, dyskusje, koncepcje i plany zapoczątkowane przez rewizjonistów w dniach Października”.

Również ośrodek paryski lansował koncepcję obrony ludzi skompromitowanych politycznie w kraju. W myśl tej koncepcji – ludziom tym należało umożliwić emigrację na Zachód. W tym celu „Kultura” agitowała za dezercją oraz sprzyjała renegatom polskiego ruchu robotniczego. Argumentacja w tej kwestii była następująca: „Komunizm nie dyskwalifikuje moralnie pod warunkiem, że się go porzuci. Komunista, który nie popełnił zbrodni, czy nadużyć – może zawsze przejść na naszą stronę z podniesioną głową”.

„Kultura” nawoływała także do opozycji wobec partii i ustroju socjalistycznego. Był to już wówczas program długofalowy, obliczony na systematyczne oddziaływanie na poglądy środowisk twórczych oraz grup rewizjonistycznych w kraju. Szczególnie podnoszono znaczenie inteligencji polskiej sugerując, iż „komunizm upadnie, względnie się zreformuje, gdy straci poparcie wśród intelektualistów, bo to jest warstwa, z której rekrutuje się aparat i hierarchia”. „Kultura” żądała od inteligencji zajęcia postawy „godnej Polaka”. Proponowała albo systematyczny opór, albo przeniknięcie do organizacji partyjnych, by móc wywierać wpływ na politykę partii i jej ewolucję. Inna postawa była naganna – „Kultura” nazywała ją kolaboracją.

W wyniku wydarzeń 1968 r. paryska „Kultura” stała się trybuną ruchu marcowego, stwierdzając, że jest to przyszłościowy kierunek rozwoju opozycji. Popularyzowała program kontestacyjnego „ruchu studenckiego”, ale równocześnie ostro krytykowała go za brak hasła wobec klasy robotniczej, pisząc: „...sojusz studentów z

inteligencją jest zrozumiały, cenny, lecz niewystarczający. Tylko ścisły sojusz inteligencji z robotnikami może zapewnić zwycięstwo tak inteligentom, jak i robotnikom. Młodzież studencka winna stanowić społecznie uświadomioną awangardę klasy robotniczej”.

ETAP III /GRUDZIEŃ 1970-1980/

Wydarzenia grudniowe 1970 r. zaskoczyły ośrodek paryski. Lansowana dotąd koncepcja dywersji politycznej na Polskę, której stawka na inteligencję twórczą i młodzież akademicką zawiodła, zmusiła ośrodek do zrewidowania jej założeń. Ośrodek paryski zaczął postulować konieczność zwiększonego oddziaływania na klasę robotniczą przez specjalnie zredagowaną literaturę polityczną. Zadaniem jej było przekonać robotników do wysuwania żądań ekonomicznych oraz inspirować działalność polityczną, zmierzającą do zmiany ustroju. Paryska „Kultura” zapoczątkowała nurt dyskusji na temat „zreformowania” socjalizmu w Polsce i przygotowania gruntu do ofensywy sił antysocjalistycznych w naszym kraju. Dyskusję rozpoczął Leszek Kołakowski artykułem „Tezy o nadziei i beznadziejności”*, w którym wyłożył program „pokojujowej” kontrrewolucji w Polsce.

W lipcu 1972 r. ośrodek paryski wydał jubileuszowy numer „Kultury” z okazji 25-lecia istnienia, który zawierał wyraźnie programowy charakter. Zaprezentowano w nim określone kierunki działania:

- doprowadzenie do powstania w Polsce grup opozycyjnych;
- dotarcie do inteligencji, która mogłaby zapewnić kontakt i wpływ na robotników;
- „upolitycznienie” klasy robotniczej;
- doprowadzenie do wydawania nielegalnych antypartyjnych i antysocjalistycznych wydawnictw.

W latach 1973-1974 paryska „Kultura” stymulowała powstanie tendencji opozycyjnych w Polsce, realizowanych później przez KOR. Temat ten znalazł się w artykule pt. „Polityczna opozycja w Polsce” w 1974 r. Po raz pierwszy pismo nakreśliło program opozycji politycznej, wg którego opozycja:

- winna mieć charakter antysocjalistyczny i niepodległościowy;

* „Kultura” nr 3/1971.

– powinna działać w sposób na wpół konspiracyjny.

Również w 1975 r. paryska „Kultura” kontynuowała tematykę opozycji politycznej w Polsce w cyklu artykułów pt. „Co robić”, dążąc do opracowania dla niej długofalowego programu działania.

Z chwilą powstania w Polsce KOR-u paryska „Kultura” popularyzowała jego działalność w kraju. Zamieszczała w dziale „Dokumenty” oświadczenia i komunikaty KOR-u oraz dokumenty programowe, jak np. „Myśli o programie działania” czy „Drogi i podziały” Jacka Kuronia.

W lipcowym numerze paryskiej „Kultury” z 1980 r. wskazywano otwarcie, że w przypadku większych zaburzeń społecznych w kraju KOR może odegrać znaczącą rolę polityczną. Kiedy doszło do wydarzeń sierpniowych – pomoc inspiratorska i organizatorska KOR-u stała się faktem. Potwierdziła to „Kultura” w dziesiątym numerze z 1980 r., pisząc: „...podziwiałac dojrzałość Polskiego Sierpnia Robotniczego, trzeba pamiętać o współtworzących ją czynnikach, o roli opozycji, zwłaszcza KOR, korowskiego „Robotnika” i korowskich działaczy...”

ETAP IV /SIERPIEŃ 1980 – 13 GRUDZIEŃ 1981/

W tym okresie ośrodek paryski w sposób elastyczny dostosowywał swoją działalność do aktualnej sytuacji w Polsce. Instruował, aby grupy antysocjalistyczne nie prowadziły swoich działań w sposób jawny. Pouczano, iż łączenie się „Solidarności” z KOR-em daje władzy pretekst do zwalczania nowego ruchu związkowego, a poza tym KOR „...nie powinien stwarzać sugestii, że odgrywa w nim rolę kierowniczą”. Stwierdzano jednocześnie, iż KOR ma jeszcze do odegrania w przyszłości znaczną rolę.

Wykorzystując autentyczny ruch społeczny w Polsce – ośrodek paryskiej „Kultury” przekazywał jesienią 1980 r. kolejne rady dla grup antysocjalistycznych w Polsce. Brzmiały one następująco:

- przerwać walkę z władzą ludową w celu przegrupowania sił;
- utrzymać i umocnić osiągniętą pozycję polityczną wśród mas związkowych;
- nie posuwać się w swoich działaniach poza granice, które mogłyby wywołać interwencję ZSRR.

W 1981 r. ośrodek paryski skoncentrował się na rozważaniach dotyczących nowej roli opozycji politycznej w Polsce. Wynikało

to z faktu, że „Solidarność” systematycznie nabierała charakteru opozycji politycznej. Tę problematykę poruszają artykuły zamieszczone w styczniowym numerze „Kultury” z 1981 r. Wśród wielu można wymienić: „Pomiędzy euforią a zgrozą” Tymoteusza Klempskiego, „Spółkę Scylla i Charybda” Socjusza (ps. Z. Najder – obecny dyr. sekcji polskiej RWE), „Umowę i znowę społeczną” Macieja Poleskiego.

W pierwszej połowie 1981 r. paryska „Kultura” podejmowała dyskusję nad koniecznością istnienia opozycji politycznej. Na jej łamach toczono spór o jawny, bądź też zakonspirowany charakter opozycji. Przyczyną sporu była wątpliwość co do dalszego istnienia KOR-u. Udowodniano, że funkcję tę z powodzeniem pełni „Solidarność”. Należy podkreślić, że paryska „Kultura” opowiedziała się za zakonspirowaną formą opozycji.

W końcu września 1981 r. (podczas drugiej tury I Zjazdu „Solidarności”) ogłoszono rozwiązanie KOR-u. Na tę decyzję znaczny wpływ wywarła paryska „Kultura”, która nie widziała możliwości nakłonienia KOR-u do realizmu, umiaru i utajnienia jego działalności. Ośrodek paryski uznał, iż KOR nie myśli perspektywicznie i nie potrafi realnie ocenić aktualnej sytuacji politycznej w kraju.

W październiku 1981 r. paryska „Kultura” wysunęła kolejne koncepcje w odniesieniu do sytuacji politycznej w Polsce. Zaproponowała więc utworzenie klubów myśli politycznej i społecznej (KMPiS). Kluby te miały podjąć działalność koncepcyjno-teoretyczną w celu wypracowania politycznego modelu dla Polski, argumentując, że „Solidarność” takiego zadania nie może wykonać.

W listopadzie paryska „Kultura” zmieniła taktykę. Poinformowała opozycję w Polsce, że likwiduje dla niej wszystkie fundusze pomocy i tworzy jeden ogólny Krajowy Fundusz Wydawniczy dla wspierania nielegalnej działalności wydawniczej. Ten krok „Kultura” argumentowała tym, że narasta chwiejność organizacyjna grup opozycyjnych, a „Solidarność” posiada inne liczne źródła i formy pomocy zagranicznej.

Decyzje redakcji paryskiej „Kultury” wynikały z podpisania w październiku 1981 r. umowy między Instytutem Literackim w Paryżu a (nielegalną) Niezależną Oficyną Wydawniczą w Warszawie. Umowa ta cedowała prawa wydawnicze i autorskie na

wydawnictwo „NOWA” oraz upoważniała je do reprezentowania „Kultury” na terenie Polski.

ETAP V /OD 13 GRUDNIA 1981 R. DO 22 LIPCA 1983 R./

Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce paryska „Kultura” dokonała analizy aktualnej sytuacji w kraju, poszukując odpowiedzi na pytanie: Jak do tego doszło?

Analiza krytyczna przyczyn nieudania się w Polsce kontrrewolucji odnosiła się do oceny władzy ludowej, „Solidarności” i opozycji oraz inteligencji polskiej. Zdaniem kierownictwa paryskiej „Kultury” niepowodzenia sił antysocjalistycznych w Polsce tkwią w wymienionych imponderabiliach.

Władzy ludowej paryska „Kultura” przypisuje główną winę za rozwój sytuacji politycznej w kraju. Lansowano pogląd, iż władza rzekomo zaprzepaściła szansę opanowania kryzysu polityczno-ekonomicznego, odrzucając kompromis z „Solidarnością” i całym narodem. Miesięcznik ubolewał również nad tym, iż do partii, wojska i sił bezpieczeństwa nie przeniknęły elementy opozycyjne. Stwierdza wprost, że aparat bezpieczeństwa i wojsko pozostały nietknięte przez „proces odnowy, zachowując pełną siłę uderzenia”.

„Solidarność” – zdaniem „Kultury” – wykazała następujące błędy:

- nieprzygotowanie do konfrontacji siłowej i ryzyka ofiar;
- megalomanię, upojenie iluzją własnej siły, a jednocześnie zlekceważenie możliwości władzy;
- demagogia, spory wewnętrzne, nadmierne współzawodnictwo w licytowaniu się z władzami o nowe koncesje;
- brak konkretnej pracy nad formowaniem i utrwalaniem struktury organizacyjnej.

Opozycję polityczną paryska „Kultura” krytykowała jednoznacznie twierdząc, że „...działając pod osłoną puklerza «Solidarności» grupy i organizacje polityczne zabawiały się w planowanie gruntownej przebudowy ustroju – a nawet układu sił w naszej części Europy”. Zarzucano jej ujawnienie swoich struktur i składów personalnych, niezabezpieczenie odwodów itp.

Inteligencję paryska „Kultura” oceniła niejednoznacznie. Z jednej strony „Kultura” krytykuje ją za błędy, z drugiej zaś, w obawie

przed jej rozgoryczeniem próbuje ją zjednywać dla antysocjalistycznych działań. Główny zarzut pod adresem inteligencji brzmi: „...zawiedli jako doradcy i przywódcy intelektualni, biorąc się za sprawy globalne, a nie cząstkowe – konkretne”.

Paryska „Kultura” w oparciu o przeprowadzoną analizę sytuacji w Polsce sformułowała na początku 1982 r. kolejny program działania, adresując go do: związków zawodowych, stowarzyszeń twórczych i naukowych na Zachodzie, polskiej emigracji politycznej oraz opozycji politycznej w kraju.

W zadaniach dla kraju „Kultura” radziła konieczność rozwinięcia zakonspirowanych działań opozycji politycznej. W tym zakresie ośrodek paryski sugerował podjęcie działalności w oparciu o proponowany przez niego tzw. program minimum, tj. doprowadzenie do wznowienia statutowej działalności NSZZ „Solidarność”; utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej w formie zaproponowanej przez Prymasa oraz „Solidarność”; wreszcie przeprowadzenie tzw. wolnych wyborów do samorządów lokalnych.

Na łamach „Kultury” (w marcu 1982 r.) zabrał głos również Z. Najder, formułując zadania dla sił antysocjalistycznych w Polsce. Sprowadzały się one do: niedopuszczenia, aby stan wojenny w Polsce i podziemna działalność opozycji traktowane były jako wewnętrzna sprawa PRL; nakłaniania środowisk naukowych i kulturalnych do nieuczestniczenia w procesie odnowy i współpracy z władzą oraz ścisłego powiązania antysocjalistycznych postaw intelektualistów i robotników.

Jak z powyższego wynika, paryska „Kultura” szybko przeszła od krytyki do projektowania zadań dla opozycji, podkreślając, iż od nowa trzeba zacząć pracę organizacyjną i koncepcyjną.

Przejrzystość tych programów i zaleceń ośrodka paryskiego była jednoznaczna – zmuszenie władz do pertraktacji z „Solidarnością” i nadanie kontekstu międzynarodowego wydarzeniom w Polsce.

W 1982 r. uwaga paryskiego ośrodka skupiała się na doraźnych zaleceniach i wskazówkach. U podstaw tej koncepcji znalazła się ocena sytuacji w Polsce. Miesięcznik konstatawał, że dwa ostatnie miesiące 1982 r. zmieniły polityczną atmosferę w kraju: „...zmniejszyły się publiczne objawy oporu wobec władzy. Osłabła aktywność podziemnych struktur «Solidarności»”.

Po licznych próbach opracowania nowych koncepcji walki z socjalizmem w Polsce paryska „Kultura” na początku

1983 r. przedstawiła swój całościowy pogląd na ten temat*. W materiale sygnowanym „Od Redakcji” „Kultura” wyłożyła nową, długofalową taktyczną koncepcję działania:

1. Emigracja polityczna powinna pełnić rolę rzecznika opozycji w Polsce wobec Zachodu oraz dostarczać jej obok pomocy materialnej i moralnej, koncepcje walki politycznej z socjalistycznym państwem;

2. Uporządkować struktury „Solidarności” na Zachodzie. Wskazując, że w strukturach tych do głosu dochodzą spory na tle ambicji personalnych i spraw dostępu do środków finansowych;

3. Zorganizować system łączności, informacji i oddziaływania na kraj, w którym główną rolę mieliby spełniać publicyści i eksperci z najnowszej prosolidarnościowej emigracji.

Nowa koncepcja paryskiej „Kultury” zakładająca zintensyfikowanie oddziaływania na kraj w zakresie długofalowym jest systematycznie popularyzowana na łamach miesięcznika i stopniowo rozwijana.

Przykładem tego jest zamieszczenie w paryskiej „Kulturze” kolejnych artykułów zawierających dywagacje na temat podziemia politycznego. Wymowa ich tytułów jest jednoznaczna: „Podziemie wczoraj i dziś”, „Konspiracja, podziemie, opór społeczny”**. Z treści tych artykułów wynika, że stabilizacja sytuacji w Polsce oraz nieskuteczność dotychczasowych działań podziemia politycznego zrodziły wśród ich autorów zwątpienie. Stefan Korboński pisze na ten temat m.in.: „...w obecnych warunkach, mogących trwać kilka czy kilkanaście lat, podziemie – należące do kategorii masowych – nie ma szans przetrwania”. Natomiast Tomasz Mianowicz stwierdza: „...choć opowiadam się za konspiracyjną formułą działań, nie będę ukrywał, że szanse zasadniczych zmian realiów politycznych Polski w bliskiej perspektywie jednego pokolenia wydają mi się znikome”.

Przyznając się do porażki ten sam autor stwierdza, iż: „Polityczna porażka «Solidarności» w jesieni ubiegłego roku umożliwiła władzom podjęcie inicjatywy i przyspieszenie procesu normalizacji”.

W majowym numerze z br. „Kultura” zamieściła artykuł Macieja Poleskiego zatytułowany „Program i organizacja”. Autor

w obszernym elaboracie podejmuje ocenę aktualnego stanu podziemia w Polsce, skupiając się głównie na dylemacie: Czy impas, w jakim znalazło się podziemie jest spowodowany brakiem programu politycznego, czy też brakiem organizacji. W odpowiedzi zawarta jest również krytyka przywódców nielegalnych struktur: „W wołaniu o program tkwi zadufanie w sobie, jakiego przywódcy «Solidarności» nauczyli się w ciągu naszych Pięciuset Dni: dajcie tylko program, a my już go zrealizujemy. Sądzę, że nie brak nam ani wizji, ani programu. Brak natomiast organizacji zdolnej do realizacji tych celów politycznych, których jesteśmy już świadomi”.

Przechodząc do zadań dla podziemia, autor formułuje je następująco: „Musimy zbudować organizację odpowiadającą naszym celom (...), a zadania na dziś? Można bez trudu je wymienić: łączność, mały sabotaż, koła samokształceniowe, biblioteki, komórki wywiadu, porządkujące informacje o planach władzy, dywersja psychologiczna skierowana przeciw partii, pomoc ruchom opozycyjnym wewnątrz wojska i milicji”.

Ośrodek paryski po zniesieniu stanu wojennego formułuje kolejne zalecenia programowe. Noszą one znamiona inspiracji do działań opozycyjnych w Polsce*. Sprowadzają się one do:

– apelowania pod adresem opozycji i emigracji politycznej na Zachodzie, wskazując, iż winny „...przestać liczyć na cud i na mężów opatrznościowych, którzy wszystko za nas załatwią”. Przypomina się w tym miejscu wypowiedź J. Piłsudskiego, że: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale bardzo kosztownym”. Jest to otwarte nawoływanie do walki z socjalizmem w Polsce, do konfrontacji wewnętrznej;

– nawoływania do walki z ustrojem socjalistycznym, które winny być prowadzone stopniowo, ale konsekwentnie na bazie tzw. społeczeństwa podziemnego. Jest to koncepcja długofalowej walki z państwem socjalistycznym, określana „długim marszem”**. Autorzy tej koncepcji wskazują również na bliższe zadania. Jest nim m.in. walka o uwolnienie przywódców „Solidarności” i KOR-u;

* „Kultura” nr 1-2/1983.

** S. Korboński, T. Mianowicz, „Kultura” nr 4/1983.

* Od redakcji, „Kultura” nr 9/1983.

** A. Michnik, Analiza perspektyw, „Kultura” nr 7-8/1983.

– lansowanie koncepcji sojuszu i współpracy opozycji w Polsce z tzw. dysydentami w krajach socjalistycznych, wskazując, iż są to dla niej naturalni polityczni sojusznicy.

W intencji ośrodka paryskiego leży sformowanie szerokiego frontu sił antysocjalistycznych, obejmujących swym zasięgiem obszar wspólnoty socjalistycznej w Europie. W aktualnej sytuacji międzynarodowej tego rodzaju koncepcje mają jednoznaczną wymowę. Chodzi o wykorzystanie wszelkich płaszczyzn działania, które by działały destabilizująco na kraje socjalistyczne.

Na temat miejsca i roli Kościoła w aktualnej sytuacji politycznej w kraju paryska „Kultura” wypowiada się dwuznacznie. Stwierdza ona, iż „Kościół jest nieocenionym sojusznikiem, ale realizuje przede wszystkim swoje cele i zadania, które nie zawsze pokrywają się z interesami Polski...”.

Temat ten został rozwinięty w artykule Gustawa Herling-Grudzińskiego*. Autor przedstawił negatywnie ocenę wizyty papieża w Polsce i na tym tle wyraził krytyczny stosunek do Kościoła. Zdaniem Grudzińskiego – wizyta ta wzmocniła wprawdzie instytucjonalnie Kościół, ale dała także legitymację władzy.

Nurt krytyki i pouczeń Kościoła jest w „Kulturze” kontynuowany. T. Klempski w artykule „Pielgrzymka i pielgrzymstwo”** dokonując bilansu ostatniej wizyty papieża w Polsce, zawarł w nim intencje ośrodka paryskiego. Obliczone są one na takie usytuowanie polityczne Kościoła w Polsce, by mógł on być mocną podporą i sojusznikiem sił antysocjalistycznych w kraju. W tym celu autor krytycznie odnosi się do rzekomego niezdecydowania Kościoła w stosunku do władz także w aspekcie rewindykacji jego pozycji politycznej i społecznej w państwie.

Z myślą o aktywnej, politycznej roli Kościoła z masami wiernych i nie tylko, autor stwierdza, iż „Ewangelizacja społeczna to wejście pomiędzy ludzi, a nie wywyższanie się ponad nich nadmiarem luksusów (...), gdy obok tych nowych czy starych kościołów wznosi się plebanie ogromniaste i garażyste, mogące nieraz śmiało konkurować z daczami prominentów gierkowskiej epoki.”

Jednocześnie autor artykułu poucza Kościół, by ten nie szedł w swych działaniach na współpracę z władzą i nie włączał się w nurt porozumienia społecznego. Jego zdaniem: „Kościół ma tylko

dać świadectwo prawdzie”. Akceptując odstąpienie Kościoła od tworzenia własnej partii politycznej (chadeckiej), autor przyznaje, iż „...Kościołowi wystarczy działanie opiniotwórcze – formułowanie opinii publicznej.”

Paryska „Kultura” w każdym ze swych numerów usiłowała przemycić swoje intencje pod postacią nowych instruktaży pod adresem podziemia politycznego w kraju. W numerze październikowym z br. m.in. zaleca chwilowo, ze względów taktycznych, odstąpienie od antypaństwowych manifestacji ulicznych, gdyż – jak stwierdza – „...te rezerwujemy od wielkiego dzwonu, by nie dać zapomnieć, że jednak wciąż jesteśmy”. Równocześnie postuluje nękać władzę różnymi formami opozycyjnego działania: „Należy przygotowywać i wprowadzać w życie coraz to nowe formy protestu (...), włoskie strajki, manifestacyjne bojkotowanie prasy i komunikacji państwowej to zaledwie – jak dowodzi – próbki z ogromnego wachlarza możliwości”.

Jednym słowem w naszym kraju ma utrzymać się zarzewie niepokoju społecznego i mają istnieć permanentne przesłanki do nowej konfrontacji z państwem socjalistycznym.

Należy przewidywać, iż „koryfeusze” z paryskiego ośrodka, wykorzystując aktualną sytuację antyodprężeniową na świecie i toczącą się ostrą walkę polityczną w kraju będą nadal lansować na łamach „Kultury” program kontynuowania ideologicznej i antystrojowej walki z Polską Ludową. Czy „mamy uznać wszystko za stracone”? – pytają w siedzibie „Kultury”. Ośrodek paryski – który przez 36 lat pozostaje w służbie zachodnich służb dywersyjnych – znajduje natychmiast receptę: „Na emigracji należy wzmacniać i tworzyć nowe ośrodki oddziaływania politycznego na Polskę, skłaniać rządy zachodnie do bojkotu ekonomicznego naszego kraju, tłumacząc im, że taka polityka jest na dłuższą metę korzystną dla samego Zachodu”. Mniejsza o los Polaków i ich kłopoty ekonomiczne. W Polsce – instruuje „Kultura” należy „...podjąć – nową pracę organizacyjną i koncepcyjną. Trzeba od początku uczyć się działań niejawnych...”. Oto credo wydawców paryskiej „Kultury” i ich finansowych i ideologicznych mocodawców. Liczą oni najwyraźniej znowu na naiwnych i zagubionych na manowcach „wewnętrznej emigracji”, na ludzi, których wyprowadzono w pole.

* „Kultura” nr 10/1983.

** „Kultura” nr 9/1983.

Ośrodek paryskiej „Kultury” w bliższej i dalszej perspektywie będzie nadal usiłował odgrywać rolę centrum koncepcyjnego i inspiratorskiego dla grup antysocjalistycznych w Polsce. Jego koncepcje, obliczone na długofalowe działania dywersyjne będą koncentrować się prawdopodobnie na: oddziaływaniu na środowiska inteligencji i młodzież w celu kształtowania wśród nich postaw antysocjalistycznych; formułowaniu strategicznych i taktycznych celów dla sił antysocjalistycznych, pouczeniu Kościoła, w jaki sposób ma spełniać funkcję opozycyjną wobec państwa socjalistycznego i wreszcie – przekonywaniu społeczeństwa polskiego o celowości kwestionowania ustalonego w Jałcie porządku prawnego w Europie, a więc i granic Polski, co miałyby służyć systematycznemu „podgrzewaniu” nastrojów antyradzieckich w Polsce.

W ten sposób paryska „Kultura” wiedzona celami kosmopolitycznymi i antysocjalistycznymi poświęca żywotne interesy naszego narodu klasowym celom kapitalizmu. [...]

Fragment z broszury *Inspiratorska rola paryskiej „Kultury” w formułowaniu celów i zadań wobec sił antysocjalistycznych w Polsce (1947-1983)* wydanej przez Główny Zarząd Polityczny WP, Zarząd Propagandy i Agitacji, jako Informacja nr 4/84, Warszawa, styczeń 1984, z nadrukiem: „do użytku służbowego”.

Julian Wilczyński

Antypolskość

W okresie tworzenia się Instytutu jego organizacja i kierownictwo zostały powierzone hrabiemu Józefowi Hutten-Czapskiemu i obecnemu naczelnemu redaktorowi i wydawcy – Jerzemu Giedroycowi. Giedroyc był znany ze swej działalności politycznej już w Polsce międzywojennej, gdzie rozwijał znaczną aktywność w Myśli Mocarstwowej, charakteryzowanej jako „organizacja prawicowych pilsudczyków”.

Wkrótce po rozpoczęciu działalności przez Instytut Giedroyc popadł w konflikt z gen. Władysławem Andersem i utracił wsparcie finansowe polskiej emigracji politycznej. Przyjął wówczas pomoc fundacji amerykańskiej, finansowanej – jak się później okazało – przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA). Fundacja ta była znana pod nazwą „Kongres Wolności Kultury”, o której tygodnik „Time” tak pisał: „CIA pomaga w finansowaniu antykomunistycznego Kongresu Wolności Kultury i za jego pośrednictwem kilku pism intelektualnych”^{*}.

Bardziej otwarcie o działalność paryskiej „Kultury” mówił znany amerykański teoretyk antykomunizmu, James Burnham, który stwierdził: „„Kultura” działała o wiele więcej niż agencje, na które nasz rząd wydaje dziesiątki milionów dolarów (...). „Kultura” stała się pierwszorzędnym ośrodkiem wywiadu”^{**}. Powiązania z Burnhamem potwierdził sam Jerzy Giedroyc w

^{*} „Time”, 19 V 1967 r.

^{**} *The Third World War – Cold War Opportunity*, „National Review”, 23 IX 1981 r.

wywiadzie udzielonym nielegalnie wydawanemu w Polsce pismo „Respublika”. „Mielśmy parę razy wpłaty z innych źródeł. Dzięki Jamesowi Burnhamowi (...) dostaliśmy raz bardzo dużą dotację i z tego wydaliśmy „Archiwum Rewolucji””^{*}.

Charakteryzując działalność paryskiej „Kultury” autor ukrywający się pod pseudonimem „Londyńczyk” tak pisał: „Staramy się o możliwie szerokie kontakty z krajami Europy Środkowo-Wschodniej. (...) Rozbudowujemy stale naszą własną sieć informacyjną. O owej zakulisowej działalności jest bardzo trudno pisać, a jeszcze trudniej podać jakieś szczegóły – owa zakulisowa działalność decyduje nie tylko o jakości, ale i roli pisma”^{**}.

Zestawienie tych wypowiedzi nie pozostawia większych wątpliwości co do roli paryskiej „Kultury” jako „pierwszorzędnego ośrodka wywiadu” czy też jej „zakulisowej działalności”, o której tak trudno jest pisać „Londyńczykowi”. Wiadomo bowiem, że żaden ośrodek propagandy antykomunistycznej lub antypolskiej na Zachodzie nie ujawnia swych wywiadowczych powiązań w sposób otwarty, ponieważ nie chce się narażać na kompromitację zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie.

Wydawany przez Instytut Literacki miesięcznik „Kultura” ma charakter polityczny, podobnie jak i inne jego wydawnictwa. Jest on adresowany nie tylko do emigracji politycznej na Zachodzie, ale także do inteligencji w Polsce. Na łamach paryskiej „Kultury” były i są dyskutowane programy i metody antypaństwowej działalności, zmierzające w swych strategicznych założeniach do obalenia władzy ustroju socjalistycznego w Polsce.

Nakładem paryskiej „Kultury” ukazały się m.in.: „Kościół, lewica, dialog” Adama Michnika; „Zasady ideowe” Jacka Kuronia; „Drogi wyjścia” oraz „Motory i hamulce socjalizmu” Władysława Bieńkowskiego i „Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego. Są to publikacje usiłujące dyskredytować filozoficzne i polityczne podstawy ustroju socjalistycznego, wewnętrzną i zagraniczną politykę władz polskich oraz inspirować działalność antypaństwową na terenie Polski.

Aktywna linia polityczna ośrodka paryskiej „Kultury” wobec Polski zaczęła się kształtować w 1954 r., kiedy to redakcja

^{*} „Respublika” nr 8, 1981 r.

^{**} „Kultura” nr 1 (...), 1969 r.

zaczęła zamieszczać materiały nawołujące do „ewolucyjnych” zmian ustroju socjalistycznego w naszym kraju. Postulowano utworzenie państwa o ustroju demokratyczno-burżuazyjnym, jednakże z zachowaniem niektórych przemian typowych dla ustroju socjalistycznego, jak: industrializacja i nacjonalizacja. W 1956 r. paryska „Kultura” opowiadała się już za „komunizmem narodowym”, co w rzeczywistości także sprowadzało się do ustroju demokratyczno-burżuazyjnego, przy jednoczesnym wyrażnym wyeksponowaniu elementów antyradzieckich. W styczniu 1958 r. paryska „Kultura” wystąpiła z planami utworzenia na Zachodzie „niezależnego ośrodka rewolucyjnego”, który „kontynuowałby studia, dyskusje, wypracowanie koncepcji i planów zapoczątkowanych przez rewizjonistów w dniach Października”. „Kultura” wychodziła z założenia, że „myśl niepodległościowa w kraju wiąże się z rewolucyjnym rewizjonizmem”^{**}.

W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych paryska „Kultura” zaczyna coraz bardziej stawiać na środowiska intelektualistów w Polsce. Wzywa pisarzy i naukowców do zbiorowych wystąpień przeciwko polityce władz, do stosowania permanentnego oporu, do przenikania do organizacji i władz partyjnych, by „móc wywierać wpływ na ich politykę i ewolucję”. Inne postawy określano jako wysoce naganne i nazywano je „kolaboracją”^{**}.

Aktywność ośrodka paryskiej „Kultury” w inspirowaniu działalności antysocjalistycznej ujawniła się szczególnie ostro w 1968 r. Jego kierownictwo doszło bowiem do wniosku, że o powodzeniu działalności antypaństwowej w Polsce zadecyduje pozyskanie dla niej polskiej klasy robotniczej. Pisano wówczas: „Studenci winni domagać się przywrócenia rad robotniczych i odbudowy niezależnych związków zawodowych oraz poprawy stopy życiowej. Młodzież uniwersytecka winna stanowić społecznie uświadomioną i rewolucyjną awangardę klasy robotniczej”^{***}.

Po 1970 r. paryska „Kultura” odeszła od koncepcji dokonywania antysocjalistycznych przemian w Polsce poprzez „ewolucję”. W dyskusji, którą na łamach tego pisma zapoczątkował Leszek Kołakowski, opowiedziano się za „pokojową kontrrewolucją”. Lansując hasło „nie ma chleba bez wolności”, „Kultura” pisała:

^{*} „Kultura” nr 1 (23), 1958 r.

^{**} „Kultura” nr 5 (109), 1964 r.

^{***} „Kultura” nr 2 (246), 1968 r.

„(...) Demokratyzacja socjalizmu leży w rękach klasy robotniczej, która poprzez strajki może stopniowo demokratyzować system (...). W Polsce każdy strajk jest strajkiem politycznym, ponieważ wymierzony jest przeciwko kierownictwu partii, które odpowiada za decyzje gospodarcze”^{*}.

Pod koniec 1973 r. paryska „Kultura” skonkretyzowała swą „nową taktykę” oddziaływania na kraj, której głównym celem stało się doprowadzenie do powstania w Polsce grup opozycyjnych. Ich zadaniem miało być: zapewnienie sobie „choćby częściowego kontaktu z robotnikami”, rozpoczęcie procesu „upolityczniania klasy robotniczej” oraz „nielegalne wydawanie materiałów antypartyjnych”. Możliwość powodzenia tej taktyki następująco charakteryzował Leszek Kołakowski: „(...) Stworzenie opozycji politycznej w Polsce jest możliwe, ponieważ są w Polsce ciągle niewyschłe łożyska, którymi płynie tradycja dawnych formacji politycznych: socjalistycznej, endeckiej, katolickiej (...) gotowych w momencie gwałtownego kryzysu ujawnić się znowu”^{**}.

Względnie całociśowy program utworzenia i działalności opozycji politycznej w Polsce pojawił się na łamach paryskiej „Kultury” dopiero w 1974 r. Zakładał on, że opozycja powinna mieć charakter „niepodległościowy” i „antytotalitarny”, działać w sposób „zakamuflowany”, ale „nie sprawiający wrażenia konspiracji”^{***}.

PARYSKA „KULTURA” JAKO ZAPLECZE KONCEPCYJNE DZIAŁALNOŚCI ANTYSOCJALISTYCZNEJ W POLSCE

Pojawienie się na polskiej scenie politycznej w 1976 r. „KOR”-u, przemianowanego później na KSS-„KOR”, oznaczało, że polityczne koncepcje opozycji w Polsce trafiły na podatny grunt. KSS-„KOR” określał się jako organizacja „niepodległościowa” i „antytotalitarna”, prowadził działalność w sposób zakamuflowany, a jednocześnie na tyle jawny, że nie można było mu zarzucić konspiracji. Realizował też pojawiające się przez

^{*} „Kultura” nr 9 (288), 1971 r.

^{**} „Kultura” nr 4 (309), 1973 r.

^{***} „Kultura” nr 11 (328), 1974 r.

wiele lat w publikacjach „Kultury” założenia – poszukiwania i nawiązywania kontaktów z klasą robotniczą oraz pozyskiwania jej do realizowania politycznych celów opozycji antysocjalistycznej.

Bez względu na stosowany przez KSS-„KOR” i paryską „Kulturę” sztafaż propagandowy, organizacja ta była właśnie tą, której oczekiwały ośrodki antykomunistyczne na Zachodzie, w tym także ośrodek paryskiej „Kultury”. Od samego początku działalności KSS-„KOR” ośrodek paryski postawił do dyspozycji tej organizacji wszystkie swoje wydawnictwa. Drukowano na łamach paryskiej „Kultury” lub wydawano drukiem wszystkie komunikaty KSS-„KOR”, opracowywane przez niektórych członków jego kierownictwa artykuły oraz publikacje książkowe.

Ośrodek paryskiej „Kultury” świadczył na rzecz KSS-„KOR”, obok politycznego, także wsparcie materialne. Wszystkie wpłaty, jakie wpłynęły na Fundusz „Kultury” w okresie od czerwca do grudnia 1976 r., zostały przekazane do kraju do dyspozycji KSS-„KOR”. Od stycznia 1977 r. paryska „Kultura” rozpoczęła oficjalną zbiórkę pieniędzy na działalność opozycyjną w Polsce i zgodnie z poleceniem KSS-„KOR” wpłacała je na konto Irving Trust Company, 36-38 Cornhill, London, E.C.1 Account No 80-1829, z którego już we własnym zakresie pobierał te pieniądze KSS-„KOR”^{*}.

Na podstawie ogłaszanych przez paryską „Kulturę” comiesięcznie zebranych sum pieniędzy na działalność opozycyjną w kraju można wyliczyć, że w okresie od stycznia 1977 do grudnia 1981 r. przekazano na konto KSS-„KOR” w Londynie we frankach francuskich: dla KSS-„KOR” – 199.160; na Fundusz Pomocy Naukowej Towarzystwa Kursów Naukowych (agenda KSS-„KOR”) – 50.299; na działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej (agenda KSS-„KOR”) – 37.738 oraz dla redakcji niezależnego pisma „Robotnik” (także związanego z KSS-„KOR”) – 3.110. Wpływy na pomoc dla innych organizacji opozycyjnych (PPN, KPN) i ich wydawnictw były znikome.

W listopadzie 1981 r. paryska „Kultura” opublikowała list do czytelników, w którym poinformowała, że likwiduje wszystkie fundusze pomocy dla grup opozycyjnych w kraju i tworzy jeden ogólny Krajowy Fundusz Wydawniczy. Pieniądze wpłacane na ten fundusz mają być w całości przeznaczone na

^{*} „Kultura” nr 3 (363), 1977 r.

„pozacenzuralną, niezależną działalność wydawniczą” w Polsce. Równocześnie redakcja wyjaśniała, że wychodzące nielegalnie pisma w Polsce borykają się z ogromnymi trudnościami, ale „muszą być utrzymywane” *.

Dyskusje i polemiki prowadzone na łamach paryskiej „Kultury” miały przede wszystkim powodować ferment w środowiskach intelektualnych w Polsce, wywoływać zainteresowanie działalnością opozycyjną i tworzyć dla niej poparcie. Szeroko rozbudowana dyskusja miała w istocie rzeczy stanowić także zastłonę dymną maskującą prawdziwe dążenia ośrodka paryskiej „Kultury” i klasowy charakter przemian, jakich usiłowano w Polsce dokonać. Zwolennicy tych przemian nie mogli przecież otwarcie nawoływać do restaurowania w Polsce kapitalizmu i ustroju wzorowanego na państwach kapitalistycznych. Takie dążenia nie znalazłyby poparcia u adresatów, do których zwracała się paryska „Kultura”. Postanowiono więc pozorować ciągle poszukiwania programowe, symulować pluralizm myślenia i postaw, udając jednocześnie, iż starają się znaleźć najbardziej demokratyczne rozwiązania ustrojowe dla przyszłej Polski.

Centrum koncepcyjne skupione wokół ośrodka paryskiej „Kultury”, zawsze wykazywało dużą przebiegłość i zręczność w dostosowywaniu się do sytuacji i rozwoju wydarzeń w kraju. Tak więc już w listopadzie 1980 r., w okresie organizowania się byłego NSZZ „Solidarność” paryska „Kultura” zalecała KSS-„KOR” unikanie afiszowania się: „„KOR” wywalczył sobie udział w ruchu związkowym i nikt rozumny nie może mu tego odmawiać. Ale „KOR” nie powinien stwarzać sugestii, że odgrywa w nim rolę kierowniczą czy inspirującą, bo w sumie byłoby to ze względu na kontekst polityczny szkodliwe dla najważniejszych obecnie samorządnych związków zawodowych”**.

Jak wiadomo, KSS-„KOR” nie chciał prawdopodobnie i nie mógł zrezygnować na razie ze swej inspiracyjno-organizacyjnej roli w tworzeniu NSZZ „Solidarność” oraz posiadanych wpływów w jej kierownictwie. Chcąc jednak dostosować się do taktycznych zaleceń swych mocodawców i opiekunów na Zachodzie, podjął decyzję o rozwiązaniu się. Po wtopieniu się KSS-„KOR” w „Solidarność” i rozwinięciu przez jego członków działalności w

związku – z nazwy „niezależnym, samorządnym i zawodowym” – istnienie KSS-„KOR” było już i tak w zasadzie fikcją, a całokształt działalności KSS-„KOR” i powiązania tej organizacji z ośrodkami antykomunistycznymi na Zachodzie byłyby natomiast kompromitujące dla „Solidarności”.

POSZUKIWANIA PROGRAMU I NOWEJ TAKTYKI WALKI OPOZYCJI

Ośrodek paryskiej „Kultury” podobnie zresztą jak i Radio „Wolna Europa”, między którymi istnieją różne powiązania, koordynacja przedsięwzięć, a nawet współpraca w oddziaływaniu na Polskę, zakładał, że KSS-„KOR”, działając w NSZZ „Solidarność” będzie całkowicie panował nad sytuacją. Liczono, że – w zależności od rozwoju wydarzeń w kraju, we wspólnocie państw socjalistycznych oraz na forum międzynarodowym – będzie ukierunkowywał, wyhamowywał lub przyspieszał aktywność wszystkich struktur „Solidarności”. Sprawa okazała się jednak bardziej skomplikowana, niż przewidywano. Masowe, nie kontrolowane przez kierownictwo „Solidarności” strajki anarchizowały nie tylko gospodarkę. Anarchia dawała o sobie znać także w strukturach samej „Solidarności” i groziła powstaniem totalnego zamętu w kraju, a nawet wybuchem walk bratobójczych.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce sytuacja również nie rozwijała się po myśli paryskiej „Kultury”. Oczekiwano bowiem, że ideologiczni i polityczni przeciwnicy ustroju socjalistycznego w Polsce okażą się – zgodnie ze swoimi zapewnieniami – silniejsi i bardziej zdeterminowani do walki. Liczono, że opozycja polityczna w Polsce ma wypracowane odpowiednie modele działania i taktykę walki, które zastosuje w okresie stanu wojennego i po jego zniesieniu. Okazało się jednak, że na taki rozwój wydarzeń opozycja nie była absolutnie przygotowana i nie miała na dodatek właściwego rozeznania nastrojów i dążeń polskiego społeczeństwa.

Już pierwsze tygodnie po wprowadzeniu stanu wojennego uświadomiły tę sytuację ośrodkowi paryskiej „Kultury”. Zamiast myśleć o nowej taktyce walki, musiał się koncentrować na wypracowywaniu taktyki ratowania tych, którzy tę walkę mieli prowadzić, czyli „Solidarności”. Tak więc dla paryskiej „Kultury”

* „Kultura” nr 11 (410), 1980 r.

** „Kultura” nr 11 (398), 1980 r.

nie było problemem ostateczne rozprawienie się z socjalizmem, ale uratowanie istnienia „Solidarności”.

W grudniu 1982 r. paryska „Kultura” wystawia bardzo niską ocenę działalności podziemnych struktur „Solidarności” w Polsce oraz agend tego związku na Zachodzie. Ukazuje równocześnie merytoryczne słabości zaplecza koncepcyjnego „Solidarności” i nie widzi w nim dla siebie partnera do realizowania przemian kontrrewolucyjnych w Polsce. Redakcja uznaje się więc zmuszona do zrewidowania swoich nadziei pokładanych wcześniej w „Solidarności” i rozpoczyna formułowanie nowego, długofalowego programu działalności opozycyjnej.

W 1983 r. „Kultura” zwraca się do TKK „Solidarności” zalecając podjęcie prac nad długofalowym programem „społeczeństwa suwerennego” w miejsce dotychczas propagowanego „społeczeństwa podziemnego”. Instruuje, że program ten powinien być obliczony oficjalnie na działalność metodami legalnymi lub półlegalnymi, z położeniem głównego akcentu na kształtowanie świadomości społeczeństwa: „(...) za najważniejsze uważamy dziś informowanie, kształcenie, wychowywanie i pobudzanie do myślenia politycznego. Do tego są potrzebne podziemne wydawnictwa, gazety, książki. W tej działalności – jak od dawna – „Kultura” jest zawsze gotowa służyć pomocą”^{*}.

Żaden z popularyzowanych przez ośrodek paryskiej „Kultury” programów nie był jednoznacznie i całkowicie sprecyzowany. Jeżeli taktyka walki zawierała jeszcze jakieś konkretne wskazania, to cel walki określany był bardzo mgliście. Analiza licznych publikacji „Kultury” sugeruje, że koncepcję „państwa podziemnego”, „społeczeństwa podziemnego” czy „społeczeństwa suwerennego” należałoby rozumieć jako etap przejściowy o znaczeniu taktycznym. Osiągnięcie tego etapu miałoby pozwolić opozycji na spowodowanie dużej polityzacji polskiego społeczeństwa, która polegałaby na wytworzeniu powszechnego i głębokiego zniechęcenia do socjalistycznych rozwiązań ustrojowych oraz przekonania o potrzebie solidarnego i zdeterminowanego działania w celu obalenia tego ustroju.

Z tych też względów powraca się niejako do „pracy od podstaw” o bardziej masowym zasięgu niż udało się to w przeszłości rozwinąć KSS-„KOR”. Polityczne przygotowanie na

ewentualność nowej konfrontacji powinno więc być solidniejsze, a klasa robotnicza powinna być zdecydowana na przyjęcie burżuazyjnego, kapitalistycznego modelu rozwiązań ustrojowych. Wówczas dopiero opozycja w kraju i ośrodek paryskiej „Kultury” mogłyby otwarcie mówić o swoich programach i wizjach przyszłej Polski.

Zanim jednak taki stan rzeczy będzie osiągnięty, paryska „Kultura” zaleca wzorowanie się na doświadczeniach KSS-„KOR”, co ma dotyczyć wszystkich ugrupowań opozycyjnych. Głównym celem – jak bowiem należy rozumieć – jest przygotowanie społeczeństwa do walki o obalenie ustroju i osiągnięciem tego celu powinny być jednakowo zainteresowane wszystkie ośrodki opozycji politycznej w kraju i za granicą. „Kultura” ostrzega, że wcześniejsze ujawnianie i nadawanie znaczenia istniejącym różnicom politycznym, światopoglądowym czy nawet pokoleniowym zdezintegruje lub skłóci opozycję i osłabi jej siły.

Niezależnie od tak formułowanych koncepcji przygotowywania społeczeństwa na moment ewentualnej konfrontacji politycznej w Polsce, „Kultura” nakazuje również systematyczne działania w celu stopniowego osłabiania politycznej, społecznej i gospodarczej wydolności państwa. Bierny opór, nieposłuszeństwo wobec władzy i prawa, bojkot wszelkich inicjatyw podejmowanych przez władze, totalna negacja ich polityki i zdolności przywódczych, niska wydajność pracy w zakładach państwowych i spółdzielczych oraz popieranie sektora prywatnego powinny – według paryskiej „Kultury” – być tymi działaniami, które – nagminnie stosowane – będą stabilizować i powiększać rozłam między władzami a społeczeństwem oraz włączać nawet najbardziej bierne grupy ludności do działalności opozycyjnej.

Harmonijna realizacja tak wytyczanych celów działalności opozycyjnej w Polsce jest przez paryską „Kulturę” oceniana jako wielce problematyczna. „Kultura” krytycznie ocenia działalność podziemia „Solidarności”, postawy niektórych środowisk opozycyjnych w kraju oraz przedstawicielstw „Solidarności” na Zachodzie. W ich poglądach dopatruje się przywiązywania zbyt dużego znaczenia do eksponowania partykularnych interesów oraz oczekiwania na pomoc z zewnątrz. Pomoc taka mogłaby – zdaniem „Kultury” – nadejść tylko w przypadku „umiędzynarodowienia sprawy polskiej”, a to z kolei może nastąpić tylko w wyniku zmiany świadomości ludności w Polsce i podjęcia na szeroką skalę tworze-

^{*} „Kultura” nr 1 (424), 1983 r.

nia „społeczeństwa suwerennego”, stopniowo uniezależniającego się od polityki władz.

Działania takie powinny zakładać także pozyskanie sympatii społeczeństw w innych państwach socjalistycznych. Paryska „Kultura” tak o tym pisze: „Trzeba pamiętać o tym, że jesteśmy na świecie sami, zupełnie sami, i jeśli naprawdę możemy na kogo liczyć, to tylko na te inne uciśnione narody bloku sowieckiego (...). Nie wierzy my mocnym, nie wierzy my bogatym, w naszej sprawie nie kiwną nawet palcem, jeśli nie będzie to po linii ich interesów”^{*}.

Osobny problem dla paryskiej „Kultury” stanowi postawa i polityka Kościoła katolickiego w Polsce. Rzecznicy antysocjalistycznych przemian w Polsce spod znaku paryskiej „Kultury”, a także niektórzy przedstawiciele opozycji politycznej w kraju bardzo krytycznie oceniają postępowanie hierarchii kościelnej po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. „Kultura” wręcz oskarża Kościół o „zawarcie tajnego porozumienia z PZPR”, pisząc: „(...) czy Kościół polski miał prawo, miał społeczny mandat, dokonywać jakichś przetargów, które wykraczają daleko poza sprawy czysto kościelne, czysto religijne (...). Niech Kościół pertraktuje o nasze dusze, a nie o nasze ciała, i niech pertraktuje z Panem Bogiem”^{**}.

Takich ataków na Kościół katolicki w Polsce, na prymasa Polski i papieża było stosunkowo dużo na przestrzeni 1983 r. Analiza całokształtu publikacji paryskiej „Kultury” w ostatnich pięciu latach pozwala na postawienie hipotezy, że realizujący amerykańską politykę wobec Polski ośrodek paryskiej „Kultury” podejrzewa, iż Kościół ma negatywny stosunek do KSS-„KOR” i jego polityki, a tym samym i do naśladowanego czy realizującego jego koncepcje podziemia politycznego.

Podobny pogląd wyraża organ emigracyjnego Stronnictwa Narodowego „Myśl Polska”, który często krytykował za to „Kulturę”: „Krytyka Kościoła w ujęciu „Kultury” sprowadza się do tego, że Kościół nie powinien niczego czynić bez porozumienia się z redakcją tego pisma (...). „Kultura” była i jest przytułkiem „komandosów korowych” wyspecjalizowanych w dobrej szkole agresywności, ataków i uników (...) potrafią kokietować i uwodzić Rodaków i nacjonalizm polski, by z kolei, gdy ma potrzebę,

^{*} „Kultura” nr 1 (424), 1983 r.

^{**} Tamże.

przejsć do ataków. Od intelektualnej dyskusji do urągania, drwin, insynuacji i kłamstw, potrafią zmieniać kolor jak kameleon”^{*}.

W ostatnich miesiącach paryska „Kultura” wyciszyła nieznacznie ataki na hierarchię Kościoła katolickiego oraz krytyczne uwagi pod adresem podziemia politycznego. Nadal poszukuje nowych, bardziej atrakcyjnych programów dla opozycji politycznej w Polsce, nowej taktyki walki i form organizacyjnych. W myśl planów ośrodka paryskiej „Kultury” najlepiej byłoby, gdyby w Polsce nadal mogło się tlić zarzewie niepokojów, doprowadzając od czasu do czasu do większych wybuchów niezadowolenia. Taka jest strategia „długiego marszu” i budowy „społeczeństwa suwerennego”, czyli kształtowania „niezależnej świadomości”.

Fragmenty broszury Juliana Wilczyńskiego *Antypolska działalność radia „Wolna Europa”, paryskiej „Kultury” i kwartalnika „Aneks”* wydanej przez Redakcję Publikacji Wydziału Ideologicznego KC PZPR, Warszawa 1984, w ramach Biblioteki Lektora i Wykładowcy.

^{*} „Myśl Polska” nr 926 (929), 1983 r.

IV.

ZMIERZCH BOGÓW

Krzysztof Majchrowski

Zmierzch bogów

[...] Nic dziwnego, że na „Kulturę”, bardziej niż na inne agendy „londyńskiej” emigracji, zwróciła swą uwagę sławna CIA. „Kultura” stała się elementem szeroko zakrojonej akcji zwanej „Kongres Wolności Kultury” kierowany przez Konstantego Jeleńskiego. Kongres miał na celu przyciągnięcie polityczne i finansowanie intelektualistów z krajów socjalistycznych.

Działalność tego „Kongresu Wolności Kultury” karykaturalnie i ze swoistego punktu widzenia gorzko, opisał mieszkający w Monachium, pracujący w Radio Wolnej Europy – Tadeusz Nowakowski, w opowiadaniu „Piknik Wolności”. Opowiadanie opublikowano w połowie lat pięćdziesiątych. Treść tego opowiadania jest dość prosta. Z Czech do Bawarii chce uciec przez granicę pewien dysydent. Już stoi na pasie granicznym, już za chwilę będzie w Bawarii, gdy oto nagle od bawarskiej strony wybuchają „piknik wolności”, orkiestry, magnetofony, mające demonstrować niewolnym w socjalizmie, jaka to wolność i radość jest w kapitalizmie. Te race wolności oświełają sylwetkę uciekiniera tak wyraźnie, że strzał straży granicznej może być celny... Wymowa tego opowiadania jest dla „Kongresu Wolności Kultury” całkowicie kompromitująca. Nic tedy dziwnego, iż „Kongres Wolności Kultury” niebawem okazał się efemerydą, niewypałem. Ale „Kultura”, której wydawca Giedroyc i której czołowy publicysta Mieroszewski byli jednak mądrzejsi, przetrwała dłużej. Do dziś.

Ulokowany w podparyskim małym miasteczku Maisons Laffitte „Instytut Literacki” rozrósł się w trzy kanały edytorskie: „Kultura”, „Zeszyty Historyczne” oraz książki. To właśnie w „Instytucie Literackim” swe książki publikował Czesław Miłosz – polityczne, poetyckie i eseistyczne, niektóre wartościowe a inne bardzo wywrotowe, niektóre mądre jak ta o Brzozowskim, inne naiwne i mało trafne jak „Zniewolony umysł”. Były to lata, w których emigracja londyńska oskarżała Miłosza o to, że jest tajnym agentem wysłanym z kraju, aby rozpoznawać i rozbijać tę emigrację. Były to lata, kiedy – z drugiej strony – w Warszawie Kazimierz Brandys opublikował swe opowiadania – paszkwil na Miłosza „Zanim będzie zapamiętany”*, zarzucając mu, że zdradził swój kraj. Giedroyc zawierzył Miłoszowi – i po latach okazało się, że Miłosz, laureat Nobla, okazał się trafioną inwestycją polityczną.

J. Giedroyc, jego „Kultura”, „Zeszyty Historyczne” i wydawnictwa książkowe publikując wiele materiałów, głównie historycznych, dbając o poziom literacki swych książek i pism, otwierając swe wrota dla każdego, kto przyjeżdżał z kraju, a chciał coś czasem mniej, albo czasem bardziej wartościowego opublikować – siłą rzeczy profitował też na błędach polityki kulturalnej popełnianych w Polsce Ludowej. Gdy w Polsce polityka edytorska zahamowała na pewien okres wydanie na przykład „Apelacji” Jerzego Andrzejewskiego – Giedroyc wydał ją natychmiast. Tylko potem Jerzy Andrzejewski skarżył się, że gdy opublikował książkę swoją w Polsce, w Warszawie – wydawcy z całego świata zgłaszali się po opcję na tłumaczenie, gdy „Apelację” wydał w Paryżu – nie zechciał jej nikt tłumaczyć. Dlatego też kolejna książka Andrzejewskiego „Miazga” wzbudzała takie zainteresowanie, że przez kilka lat dyskutowana była sprawa wydania jej w Polsce. Niemniej „Kultura” żywiła się tym, co w Polsce natrafiało na trudności wydawnicze. Była ona funkcją naszych uwikłań wydawniczych.

Toteż Giedroyc najbardziej na przykład lękał się tego, aby książki Witolda Gombrowicza nie zaczęły w Polsce wychodzić. Wydał więc nakładem „Kultury” 10 tomów pism Gombrowicza

* Poprawny tytuł: „Nim będzie zapomniany” – Red.

i finansowo zależało mu na tym, aby to jego egzemplarze przenikały do kraju. Największym ciosem dla „Kultury” – ciosem finansowym i prestiżowym – było to, gdy nowa, proklamowana na IX Zjeździe PZPR otwarta polityka kulturalna dopuściła do Polski książki Miłosza, gdy przygotowuje się pełne wydanie Gombrowicza, gdy ukazała się „Miazga” Andrzejewskiego i gdy dla „Kultury” pozostaje już tylko i wyłącznie najbardziej trywialna literatura agitacyjno-polityczna.

Toteż ostatnie lata, te od 1982, zasadniczo zmieniły profil „Instytutu Literackiego”. Zaczął się czas prymitywnych książek agitacyjnych. [...]

Teza owych „letnich” rozmów Rymkiewicza jest w tej chwili tezą „Kultury” Giedroycia. W 1980 „Kultura” zademonstrowała wielkie oburzenie na Jerzego Andrzejewskiego, gdy ten wprowadził do tekstu swojej „Miazgi” pewne autorskie poprawki, przekonany, iż są one w interesie książki i czytelnika – „Kultura” była oburzona, gdyż jej zdaniem poprawki te łagodziły ofensywną polityczność powieści. Oburzenie „Kultury” i na Andrzejewskiego i na Prymasa Polski Józefa Glempa i Episkopat polski obecnie, bierze się z tych samych przesłanek: w Polsce należy podsycać stan niepokoju wewnętrznego – podsycać za każdą cenę. Wszystko co służy politycznej awanturze jest dobre, co służy patriotycznemu uspokajaniu jest złe. Pod tym względem „Kultura” jest bardzo od lat konsekwentna. Jej artykuły są niemal instruktażem dla awanturników politycznych, dla struktur tak zwanych podziemnych, dla wszystkich tych, którzy chcą siać ziarna niepokoju. W odniesieniu do literatury i środowisk twórczych, program ten był już sformułowany dziesięć lat temu, gdy w 1974 zapowiedziano, że Ośrodek w Maisons Laffitte użyje wszystkich swoich wpływów (a zaznaczono, iż są one niemałe), by wyprowadzić na rynki zagraniczne autorów „zrewoltowanych” wobec władzy państwowej, by im właśnie zapewnić zagraniczne edycje, zaproszenia, stypendia, zaś pisarzy innych, ideowo i rozumowo przywiązujących wagę do spokoju i kondycji państwa polskiego, szyskanować na wszelkie sposoby oraz blokować im drogę w szeroki, pisarski świat międzynarodowy.

Od tego czasu w „Kulturze” program ten realizowany jest konsekwentnie. „Kultura” szermując argumentami politycznymi, stosując w swej publicystyce wyłącznie kryteria polityczne – musi

się liczyć z tym, iż takie same kryteria będą i do niej stosowane. Do niej i do jej autorów, którym to pismo, takie jakie jest, najwyraźniej odpowiada.

Cały rocznik „Kultury” z 1984 i pierwsze numery z rocznika 1985 to jedno pasmo artykułów podpisywanych w przeważającej większości pseudonimami – bądź to przysłanych z kraju jak np. „Paweł Morga”, „Jerzy Hamlet”, „Józef Szrot”, bądź fingujących krajowe pochodzenie. Stefan Kisielewski jest nielicznym autorem publikującym z odsłoniętą przyłbicą – idącym w ślady poprzednika Zdzisława Najdera, który też w latach siedemdziesiątych jako „Poleski”^{**}, „Socjusz” itp. stałe zaopatrywał „Kulturę” w analizy politycznej sytuacji w Polsce. Teraz jednak już nie idzie o analizy. Teraz wszyscy autorzy formułują wskazania bitewne. Idzie bowiem im o to do czego jawnie wzywa w numerze 1/84 „M. Waran” (pseudonim), aby społeczeństwo polskie poderwać do ostrej, jaskrawej, najczynniejszej walki z rządem polskim. O możliwie najdalszą destabilizację kraju. O stworzenie w Polsce permanentnego ogniska walki wewnętrznej – z całą świadomością również i ofiar w poziomie życia ludności, jakie będą nieuchronnym rezultatem takiej destabilizacji.

„Waran” ma za złe „Solidarności”, że próbowała pertraktować zamiast uderzać. Jakiś anonim „XZWYUTSRP” zapewnia, że Polskę można destabilizować bezkarnie, że nikt z zewnątrz nie przyjdzie rządowi z pomocą. Pretensje do „Solidarności” i do robotników, że nazbyt oszczędzali to swoje „nadopiekuńcze państwo”, pretensje do ośrodków profesorskich, że nazbyt uspokajają młodzież studencką. „Kultura” w 1956 wzywała – pamiętamy – do budowania państwa polskiego na zasadach, jakie chciała by były jej zasadami. „Kultura” obecna wzywa do burzenia tego państwa per fas et nefas, gdyż już pojęła, że to państwo nie będzie jej państwem, więc lepiej niech Polski – jak to głoszą wigierscy rozmówcy J.M. Rymkiewicza, nie będzie wcale. Po nas – potop! Potop! Za każdą cenę!

* Poprawnie: Szrett.

** Jako Poleski pisał Czesław Bielecki, nie Najder.

Za cenę w pierwszym rzędzie kultury i literatury – tej autentycznej, gdyż czytanej i przeżywanej, odbieranej przez miliony Polaków w kraju. Pod tym względem „Kultura” w ostatnich latach przejawia całkowitą obojętność. Interesuje ją to co w Polsce dzieje się w politycznym podziemiu – nie interesuje jej życie kulturalne kraju. Nie ma żadnej myśli programowej kulturalnej. I nie próbuje nawet jej tworzyć – co byłoby może zrozumiałe w piśmie nastawionym wyłącznie na sprawy asymilującej się, starej emigracji, ale co może być dziwne w piśmie programowo głoszącym zainteresowanie dla spraw kraju i noszącym taki akurat tytuł.

Cały bowiem „program”, jaki „Kultura” ofiarowuje i propaguje krajowi, sprowadza się do jednego hasła: „bojkotu obiegu oficjalnego”, do zejścia literatury w podziemie tak zwanego „drugiego obiegu”, czyli do maleńkich, tajnych oficynek, które w sumie przez kilka lat wyprodukowały wprawdzie kilkaset tytułów maleńkich, źle czytelnych książeczek (ich spis zajmuje kilka stron „Kultury”), ale obieg praktyczny tych książeczek jest tak minimalny, że każdy pisarz żyjący w kraju, szuka możliwości wydawniczych u normalnych, jawnych wydawców. Zresztą te podziemne książeczki są to przeważnie broszury par excellence polityczne albo przedruki książek już dawno jawnie wydanych i w sumie nie stanowią one żadnej alternatywy dla normalnego ruchu edytorskiego. Bojkot wydawnictw oficjalnych, tak jak i przedtem bojkot telewizji nie przyniósł żadnych rezultatów, skończył się fiaskiem. Tylko dwóch pisarzy – Zbigniew Herbert i Tadeusz Konwicki – bojkot ten próbowało realizować – obaj byli pisarzami już z wyrobionymi pozycjami, którzy sobie mogli pozwolić na gesty, które ich w praktyce nic nie kosztowały – ich stare dzieła są w oficynach państwowych i tak za ich zgodą wznawiane, w warszawskim teatrze idzie recital z poezji Herberta, zespół filmowy przystąpił do kręcenia powieści Konwickiego – a skierowanie nowej książki Konwickiego tylko do „obiegu drugiego” doskonale służy rozpropagowaniu jej za granicą, tyle że polski czytelnik niemal jej nie zna. Ten wątpliwy zysk z „obiegu drugiego” spowodował, że programowy bojkot legalnego życia kulturalnego właściwie nie istnieje.

Nie pomagają tu nawet i „czarne listy” ukazujące się od pewnego czasu w „Kulturze” właśnie. Kiedyś i „Kultura” i jej krajowi wielbiciele wściekali się przy każdej okazji, gdy tylko ktoś szepnął,

że jakoby istnieją jakieś „czarne listy”, na których figurują na przykład pisarze nastawieni opozycyjnie do tak zwanego „reżimu”. Listy te w świetle praktyki krajowej okazały się fikcją – natomiast teraz tę fikcję realizuje konkretnie właśnie „Kultura”. Co parę numerów w roczniku 1984 ukazywały się, pod tytułem „Czarna lista”, zestawienia nazwisk malarzy, pisarzy, działaczy krajowych, którym nie należy podawać ręki, którym należy palić mieszkania, których należy zwalczać, gdyż są to ci, którzy we własnym kraju chcą mieć spokój.

„Kultura” idzie na całego. Przymiotnik „literacki” w nazwie Instytutu nigdy nie oznaczał li tylko literatury pięknej i prawdziwej. Zawsze oznaczał walkę polityczną, prowadzoną jawnie za pośrednictwem słowa drukowanego – niekoniecznie literackiego. Teraz oznacza to w trójnasób. Książki Marka Nowakowskiego, Jarosława M. Rymkiewicza – są książkami najbardziej czystej, lepszej lub gorszej agitacji politycznej. Także inna książka: „Rozmowy niekontrolowane”, w której anonimowy „Alfa” rozmawia z szesnastoma, oznaczonymi literami alfabetu greckiego, intelektualistami polskimi. Trudno zaprzeczyć – niektóre partie tych dialogów są interesujące, gorzkie, inteligentne, nawet docieklive (charakterystyczne są niezwykle silne oskarżenia pod adresem „Solidarności”, Kuronia, Wałęsy, Mazowieckiego, a szczególnie Gwiazdy), ostatecznie łatwo odczytać imiona i nazwiska prawdziwe, skrywane greckimi literami. Góruje jednak nad nimi publicystyczna i mocno demagogiczna dezynwoltura, która przywodzi na myśl temperament dziennikarski Stefana Bratkowskiego i Ewy Berberyusz i która właściwie sprowadza się do paru nader woluntarystycznych recept na uzdrowienie Polski, zapisywanych przez besserwissera, którymi są niektórzy, lecz nie chcą być nimi inni – rozmówcy „pani Alfy”.

Są to pozornie recepty na uzdrowienie sytuacji w państwie polskim – w rzeczywistości są to recepty na destabilizację społeczeństwa. Tak samo zresztą w innej książce wydanej w Paryżu, w „Tekstach cywilnych” Leopolda (pseudonim Romana Zimanda), zawierających artykuły publikowane w prasie nielegalnej w latach przed- i „posierpniowych”, przed- i „pogrudniowych”, aż po 1983 (niektórzy rozmówcy „Alfy”) i Leopolda, którym jest Zimand, i Leopold Unger czyli Brukselczyk, dawny sekretarz „Życia Warszawy” i bardzo agresywny członek partii, i Kazimierz Brandys ze swoimi

kolejnymi cyklami „Miesiące” (z tych wszystkich książek „Kultury” na pewno odznaczających się najwyższymi walorami pisarskimi, dużą trafnością w charakterystyce spraw niepolskich i zdumiewającą, jak na autora „Listów do pani Z.” infantylnością ocen w sprawach kraju, w którym tak stosunkowo niedawno żył i pisał) – wszyscy oni mają jeden wspólny mianownik: i Unger i Zimand i Brandys (w najmniejszym stopniu Bratkowski, co wynika z wieku) nie tylko należeli do partii przecież komunistycznej, ale w okresie tak zwanego „kultu jednostki” oni właśnie z całym oddaniem realizowali to co im ówczesne kierownictwo partii zlecało (byli aktywniejsi od innych). A skoro nie potrafili urządzić Polski według wizji z drugiej połowy lat czterdziestych i pierwszej pięćdziesiątych – obrazili się na Polskę w ogóle. Chcieli mieć Polskę, która nazywają „stalinowską”. Nie osiągnąwszy swego celu – „wzięli zabawki” i „wyszli do drugiego pokoju”, a w rzeczywistości, razem z Jackiem Kuroniem (w jednej z „Rozmów niekontrolowanych” uznanym za złego ducha „Solidarności”), przystąpili do rozbijania państwa polskiego od środka. Człowiek przytomny, próbujący rozumieć bieg wydarzeń, zaczyna się pytać: no, dobrze, a gdyby Kuroniowi i tym paru pisarzom, a i innym również, udało się w 1955 na przykład realizować Polskę, o jaką wtedy walczyli, to...

Kto myśli logicznie, może sam znajdzie odpowiedź. Oni poszukali innej. Poszukali innych sojuszników – i w rezultacie wszyscy ci wydawani przez Giedroycia, który o każdym z nich – a oni o nim również! – pisał jako o zdrajcach.

A teraz... [...]

Fragment artykułu Krzysztofa Majchrowskiego *Zmierzch bogów* opublikowanego w *Życiu Literackim*, nr 16 z 7-14 kwietnia 1985.

Krzysztof Majchrowski

Niech będzie potop

[...] Przepraszam za tak obszerne streszczenie artykułu Orlińskiego, ale właśnie ten tekst, ogłoszony w połowie ubiegłego roku, w trakcie wydarzeń przeobrażających z różnych stron polskie, krajowe życie polityczne – i od strony partii i od strony Solidarności, od strony strajków i od strony plenów KC – określał to, co należy uznać za linię „Kultury”. Im gorzej – tym lepiej! Oto pręt wsadzony w szprychy kręcących się kół.

A gdy już jesienią 1988 w kraju zaczęła zdecydowanie zwyciężać linia porozumienia i rozpoczęła się, nie bez trudności, konkretyzować koncepcja „okrągłego stołu” to natychmiast „Kultura” (nr 11, 1988) zareagowała w artykule jawnie podpisanym „Redakcja”. I regularnie zaczęła straszyć swoich czytelników, i tych zagranicznych, i tych krajowych, iż niezbywalnym składnikiem politycznej tożsamości rządu w Polsce jest „nakaz niedopuszczenia w żadnym przypadku do rzeczywistego pluralizmu politycznego”. Dla „Kultury” było oczywiste, że do rozmów przy „okrągłym stole” dojdzie tylko wtedy, gdy Solidarność zrezygnuje z warunku legalizacji; „jeżeli znajdzie się jakaś mętna i wieloznaczna formuła, która pozwoli twierdzić, że władza uznała Solidarność, a władzy głosić coś wręcz przeciwnego”. I dalej: „Z rozmowami «okrągłego stołu» nie warto w istniejącym klimacie łączyć poważniejszych nadziei”.

„Kultura” straszyla i przepowiadała z niezmierną pewnością siebie. Z jaką trafnością, to dziś już łatwo można ocenić. Czy potrafi to ocenić i sama „Kultura”? Warszawska „Gazeta Wyborcza” musiała skonstatować coś wręcz przeciwnego.

W grudniu ub.r. redakcja „Kultury” pisze w swoim wstępnym „Obserwatorium”: „Solidarność nie odniosła w sierpniu nawet symbolicznego zwycięstwa i rząd nie zamierza się z nią liczyć”. Jakież to trafne i prawdziwe spostrzeżenie, prawda? I ciągle w grudniu ub.r. „Kultura” ocenia, iż wypowiedzi Lecha Wałęsy „przeczące sobie nawzajem świadczyły o zaskoczeniu i dezorientacji”. Upiera się, że jak długo pozostanie ten sam rząd „tak długo rozmowy z Solidarnością nie wejdą na porządek dzienny”. I dalej redakcja „Kultury”, która zawsze krytykowała rząd polski za nieumiejętność ekonomicznego gospodarowania, tym razem bez mrugnięcia okiem stwierdza, iż „decyzja o likwidacji Stoczni jest przedłużeniem polityki 13 grudnia 1981 roku”. Ma również pretensję do Wałęsy, że zgodził się na telewizyjną rozmowę z Miodowiczem. I konstatacja, iż Wałęsa znowu przyjął zaproszenie na rozmowę, z których nic nie wyszło.

Z rozmów Wałęsy z przedstawicielami rządu nic nie wyszło? Ejże! To się nazywa mieć i dobrych informatorów w Warszawie i mądrych komentatorów w Paryżu!

Wszystko to przytaczam nie dlatego, żeby kpić z publicystów, którzy się omylili, nie tylko oni jedni się mylą! W Polsce rozmaici publicyści również się mylili, i to dość gruntownie. Intencje „Kultury” były – i są – jednak jasne: najgorszymi perspektywami chciała ona po prostu sterroryzować swoich czytelników. Chciała sprowokować – i to zostało na koniec powiedziane zupełnie dosłownie – wojnę domową. Po prostu i zwyczajnie: wojnę domową! Jak o tym mieli się zaraz przekonać czytelnicy „Kultury”.

W tym samym grudniowym numerze pisma paryskiego Wojciech Giełżyński – tak czynny obecnie w „Gazecie Wyborczej” – napisał, że na Solidarność warszawską „już nie ma co liczyć. Warszawę możemy skreślić jako organizację, są to obecnie grupki inteligencji skłócone ze sobą. „Mazowszanka” nie istnieje...”. Giełżyński zadaje drastyczne pytanie: „czy Solidarność ma współdziałać z reformą typu rynkowego, która doprowadzi do zamykania fabryk, do wzrostu bezrobocia, do poszerzenia marginesu nędzy czy też Solidarność ma bronić swych członków przed skutkami reformy?”.

I na to pytanie Giełżyński sam sobie daje odpowiedź raczej rozumną: Solidarność winna wypracować jakiś pośredni model reformy, który próbowałby godzić tendencje wolnorynkowe z zaletami interwencji państwa. Tylko że gdy tego rodzaju program

wypracowywany jest w tej chwili przez rząd polski i dyskutowany przy „okrągłym stole”, to natychmiast i sam Giełżyński, i redakcja „Kultury” podnoszą larum, nawołują do sprzeciwu i oporu, przywołują Kornela Morawieckiego oraz KPN.

Aż wreszcie „Kultura” ogłasza w tym samym 12 numerze artykuł Marka Zielińskiego dosłownie wzywający do akcji zbrojnej. Muszę znowu cytować, aby nie być posądzonym o kłamstwo: „...najprawdopodobniej bez długotrwałych działań i bez przygotowania się na wszystko także i na walkę manu militari (określenie „Kultury” – przyp. K. M.), kiedy się to okaże konieczne (...) istotniejsze jest przekonanie społeczeństwa, a nade wszystko siebie samych, że jesteście zdolni do ostatecznych decyzji, do złożenia ofiary z własnego życia, do walki na śmierć i na zwycięstwo”. I dalej: „Ponieważ wszystko w ostatecznym sensie sprowadza się do tego, kto kogo i kto będzie silniejszy, musimy być silni, musimy tę siłę tworzyć, nade wszystko zaś winniśmy mieć świadomość, że bez walki niczego nie uzyskamy, bez walki, a może nawet i bez wojny o globalnym charakterze (...) nie możemy jej wykluczyć z horyzontu naszych politycznych działań”.

Trudno o bardziej jednoznaczną, bardziej jasną deklarację. Od której redakcja „Kultury” ani się nie odcina, ani niczym jej nie dezawuuje, najwyraźniej całkowicie ją akceptując. Jasne! Nie powinniśmy się cofać przed wojną choćby najkrwawszą – oto głos paryskiej „Kultury”. A zostało to ogłoszone w chwili, gdy w Warszawie zbliżały się obrady „okrągłego stołu”.

A gdy ten „stół” już się niemal rozpoczynał, Jerzy Giedroyc w 1-2 numerze tegorocznym „Kultury” znowu drukuje atak na ekspertów Solidarności, na prasę „drugiego obiegu”, na Solidarność inteligencji, przeciwstawiając im Solidarność klasy robotniczej. Maciej Janowski, spawacz pracujący w służbach technicznych Uniwersytetu Warszawskiego w specjalnym wywiadzie ostro zwalcza Solidarność ekspertów oraz inteligencji, warszawskiej głównie. Uważa on, iż Solidarność przestała być związkiem zawodowym, oddaliła się od robotników. Intencja wywiadu jest jasna: „bezpośredni głos robotników”, a nie „okrągły stół”.

„Kultura” jest konsekwentna: jeżeli się propaguje wojnę domową, krwawą i pełną ofiar, nie można namawiać do rozmów przy „okrągłym stole”. Jakaś pani Elżbieta Mika (znów pseudonim?) ostrzega, żeby nie wierzyć rządowi, gdy daje

paszporty, gdy tak istotnie zmniejsza zakres cenzury, gdy zmienia system polityczny – nie wierzyć! Nie organizować „wolnego związku zawodowego – woła Elżbieta Mika – bo co może on zdziałać, gdy wmontowany jest w struktury realnego socjalizmu?” Nie podobały się jej nawet strajki, gdyż „przypominały raczej walkę rozproszonych, pozbawionych dowództwa, niż element zorganizowanego działania”. Pani Mika skarży: „po stronie opozycji zadziałały te same mechanizmy jak po stronie władzy. W znaczeniu procedur politycznych i demokratycznych umożliwiających wpływ na i mówią jedni i drudzy. Pani Mika zarzuca opozycji, że nie chce wyjść poza protest, który władza może bardziej czy mniej spokojnie zlekceważyć. Żąda nieustannej walki, nacisku w sprawach gospodarczych. Kropkę nad „i” miesiąc wcześniej postawił Marek Zieliński: wojna domowa!

Nic tedy dziwnego, że w numerze 1-2 1989 „Kultury” „biała Rosjanka” Natalia Gorbaniewska wystawia wspinały pomnik Kornelowi Morawieckiemu, rzecznikowi właśnie wojny domowej. A w numerze 3, 1989 r. gdy już nad Wisłą „okrągły stół” zbliża się do swojego pozytywnego finału, nad Sekwaną francuski publicysta Alain Besançon nader odważnie (Paryż jest w bezpiecznej odległości od Warszawy) wzywa Polaków, by zerwali z taktyką małych kroków i przeszli do walki ofensywnej. A Krzysztof Gawlikowski ostrzega, że legalizacja Solidarności może ją narazić na gniew młodych robotników. I również w tym samym trzecim numerze znany działacz dawnej Solidarności Zbigniew Romaszewski w artykule „Minimalizm radykalny” oświadcza, iż Solidarność płaci zbyt wysoką cenę za swój udział w rozmowach „okrągłego stołu”. Romaszewski powtarza owe naiwne i jałowe żądanie, aby reforma gospodarcza obyła się bez jakichkolwiek ofiar ze strony społeczeństwa i ostrzega Solidarność przed układami z władzą.

Program „Kultury” jest zatem całkowicie wyrazisty: raczej wojna domowa aniżeli porozumienie narodowe! Raczej wojna domowa niż jakiejkolwiek reformy polityczne bądź gospodarcze! Lepiej wojna domowa... lepiej krach gospodarczy.

Sądzę, że wszyscy, a szczególnie polska inteligencja, powinna sobie dokładnie zdawać sprawę z politycznego programu paryskiej „Kultury”, dzisiaj będącej – jak widać jasno – publicystyczną tubą Solidarności Walczącej oraz KPN-u. Paryska „Kultura” pragnie

Polskę wtrącić w odmet krwawej i ostrej wojny domowej. Niech będzie potop.

Należy to sobie uświadomić w chwili, gdy paryska „Kultura” wydała swój numer pięćsetny.

Fragment artykułu Krzysztofa Majchrowskiego *Niech będzie potop*
opublikowanego w Życiu Literackim z 2 lipca 1989.

V. PARTIA

Edward Rusek

„Kultura” (Paryż)

[...] Jeśli chodzi o miesięcznik „Kultura”, to w pierwszym okresie swojego istnienia był on czasopismem polskiej emigracji na Zachodzie. Jednak stopniowo pod wpływem różnych czynników, m.in. finansowych, jego profil uległ znacznej ewolucji, co przede wszystkim wynikało z faktu, że miesięcznik „Kultura”, podobnie jak cały Instytut Literacki, wiązał się coraz bardziej z ośrodkami propagandowymi i służbami specjalnymi Stanów Zjednoczonych Ameryki, realizując faktycznie ich politykę.

Od połowy lat pięćdziesiątych miesięcznik „Kultura” stał się już czasopismem politycznym oraz ważnym ośrodkiem antysocjalistycznej dywersji realizowanej przeważnie w dwóch głównych płaszczyznach.

Pierwsza z nich, to formułowanie oraz dyskutowanie programów, a także metod działalności antypaństwowej zmierzającej do obalenia ustroju socjalistycznego w Polsce. Materiały dotyczące tej formy działalności, redagowane przeważnie na przyzwoitym poziomie intelektualnym, skierowane bywają z reguły do niechętnych socjalizmowi środowisk twórczych czy inteligenckich, zarówno w kraju, jak i na emigracji. Drugą płaszczyzną jest natomiast adresowana raczej do szerszego grona czytelników dywersja ideologiczna oraz propaganda antysocjalistyczna, polegająca m.in. na umniejszaniu sukcesów naszego kraju, a równocześnie wyolbrzymianiu jego trudności, na nawoływaniu do opozycji i oporu wobec konstytucyjnych władz, a także do formułowania oraz rozpowszechniania świadomie wypaczonych,

sfalsyfikowanych opinii i ocen dotyczących PZPR, Polski Ludowej czy funkcjonowania całego socjalistycznego systemu politycznego.

Szpalty miesięcznika „Kultura” wypełniają materiały przedstawicieli różnych środowisk, ale przede wszystkim starszej lub nowej współczesnej emigracji polskiej, np. Jerzego Giedroycia, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Leszka Kołakowskiego, Dominika Morawskiego, Włodzimierza Brusa, Włodzimierza Smolara*, Zdzisława Najdera oraz autorów zamieszkałych w Polsce, m.in. Jacka Kuronia, Adama Michnika, Stefana Bratkowskiego, Stefana Kisielewskiego i innych, ukrywających się niekiedy pod pseudonimami.

PROBLEMATYKA PODEJMOWANA NA ŁAMACH „KULTURY” W PIERWSZEJ POŁOWIE LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

W omawianym okresie na łamach miesięcznika „Kultura” zdecydowanie dominowała różnorodna polska problematyka – od politycznej poprzez kulturalną do ekonomicznej. Autorzy podejmowali m.in. próby analizy ważniejszych wydarzeń w naszym kraju, w tym przyczyn kryzysu politycznego i gospodarczego, wprowadzenia stanu wojennego oraz jego konsekwencji na przyszłość. Począwszy od 1982 r. ważne miejsce zajęła analiza działalności b. „Solidarności” oraz dyskusja nad programem, strategią i taktyką opozycji antysocjalistycznej w Polsce**.

Zagadnienia związane z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, jej polityką oraz rolę jaką odgrywa w socjalistycznym systemie politycznym nie były w tym okresie częstym przedmiotem bezpośrednich rozważań. Przewijały się jednak w znacznej części prezentowanych materiałów, przy czym dominowało charakterystyczne, jednostronne spojrzenie autorów „Kultury” na tę problematykę. Unikali bowiem najczęściej rzetelnych ocen, merytorycznych dyskusji czy konstruktywnej krytyki, a eksponowali w oderwaniu od rzeczywistości, wypaczone opinie i oceny, posługując się na dodatek wątpliwej wartości argumentacją.

* Chodzi o Aleksandra Smolara – Red.

** Por. też: J. Wilczyński, *Antypolska działalność Radia „Wolna Europa”, paryskiej „Kultury” i kwartalnika „Aneks”*. Warszawa 1984; E. Modzelewski, *Import kontrrewolucji. Teoria i praktyka KSS-KOR*, Warszawa 1982.

Z analizy materiałów zamieszczonych na łamach paryskiej „Kultury” w latach 1980-1985 wynika np., że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przedstawiana była najczęściej jako organizacja polityczna obca polskiemu społeczeństwu i stojąca przede wszystkim na straży obcych, tzn. nie polskich interesów, a jej głównym celem – jest rzekomo utrzymanie władzy państwowej za wszelką cenę i przy pomocy wszystkich dostępnych środków*. Konsekwencją takich, prezentowanych poglądów jest szerzenie, nie popartych merytorycznymi argumentami opinii i oskarżeń, jakoby postawa partii spychała systematycznie Polskę do rzędu państw „Trzeciego Świata”, determinowała dezorganizację życia politycznego i gospodarczego, umożliwiała szerzenie się korupcji, demoralizacji oraz degradację kulturalną.

Podejmując analizę przyczyn i mechanizmów owego negatywnego wpływu PZPR na kondycję państwa i społeczeństwa, publicyści „Kultury” dochodzą niekiedy do zaskakujących wniosków. Prezentują mianowicie pogląd, że główną winę za ten stan rzeczy ponosi nieliczny aparat partyjny, przede wszystkim średniego szczebla, który wykorzystując ogromną władzę, jaką skoncentrował w swoich rękach, używa jej do realizacji własnych partykularnych interesów, bez oglądania się na interesy państwa czy społeczeństwa**. Zresztą częstym przedmiotem falsyfikacyjnych zabiegów „Kultury” jest także sam system doboru kadr partyjnych, przy czym warto zapewne zauważyć, że autorzy wspomnianych zabiegów z reguły ignorują zmiany, jakie w tej dziedzinie nastąpiły po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR. Słabość systemu doboru kadr partyjnych dostrzega się m.in. w tym, iż rzekomo system ten premiuje osoby przeciętne lub w ogóle nie spełniające warunków wymaganych od pracownika politycznego, a eliminuje ludzi zdolnych i rzutkich. Konsekwencją takiej błędnej polityki kadrowej jest – zdaniem tego emigracyjnego czasopisma – fakt, że ważne dla partii i państwa stanowiska zajmują ludzie mierni, o ciasnych lub wręcz wstecznych poglądach. System doboru kadr wydobywa na powierchnię nie najzdolniejszych, ale najbardziej sprytnych i bezwzględnych w działaniu.

* M. Poleski, *Program i organizacja*, „Kultura” nr 3/1985, s. 4; Leopolda, *Wśród ptaków wielkie poruszenie*, „Kultura” nr 5/1985, s. 4; Socjusz, *Przy zasadach stojmy*, „Kultura” nr 3/1982, s. 7.

** W. Bieńkowski, *Polskiego dramatu ciąg dalszy*, „Kultura” nr 5/1984, s. 24; Socjusz, art. cyt., s. 10.

Stąd też, jak pisze jeden z częściej publikujących na łamach „Kultury” autorów, Tymoteusz Klempski, współczesna PZPR to: „zbiorowisko twardogłowych, wstecznicstwa, bezwzględności i obłudy rządzącego aparatu, który w obawie przed utratą swoich wpływów i przywilejów torpeduje każdą próbę reformy, każdą próbę umocnienia w parti i państwie demokracji, torpeduje każdą decyzję, która mogłaby w konsekwencji przyczynić się do wyprowadzenia partii i państwa z kryzysu”^{*}.

„Można teoretycznie założyć – pisze dalej wspomniany autor – chociaż w praktyce jest to raczej niemożliwe, że na wierzchołku partii znajdzie się kiedyś człowiek o prawdziwej moralności i poczuciu obowiązku wobec własnego narodu. Nawet gdyby się tak mogło wydarzyć – konkluduje. Klempski – to i tak nie przyniosłoby to żadnych trwałych rezultatów, (albowiem) partia poprzez swój aparat przede wszystkim średniego szczebla szybko otrząśnie się z każdego marzyciela”^{**}. W latach 1980-1985 zamieszczano materiały, które bezpośrednio lub pośrednio dotyczyły mechanizmów funkcjonowania PZPR lub zawierały informacje na temat aktualnej kondycji partii. W większości przypadków były to jednak materiały opierające się na wycinkowych informacjach, pozbawione głębszych analiz, lub nie uwzględniające zmian zachodzących po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, które redakcja – wbrew oczywistym faktom – starała się uogólniać. Ignorując uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR oraz proces przywracania mechanizmów demokracji wewnątrzpartyjnej, jaki nastąpił po IX Zjeździe PZPR, twierdzono z uporem, że wbrew słownym deklaracjom, wbrew statutowym zapisom, w PZPR nigdy nie funkcjonowała i nie funkcjonuje, także obecnie, demokracja wewnętrzna. W mniej lub bardziej obszernych materiałach dominowały informacje o nieustannym zmniejszaniu się liczby członków i kandydatów PZPR, o masowym oddawaniu legitymacji partyjnych oraz braku kandydatów, o postępującym wewnętrznym rozkładzie partii, a także tezy wskazujące na załamanie się realizowanej we wcześniejszym okresie koncepcji partii asowej, reprezentującej wszystkie warstwy społeczeństwa. Jak pisze np. Grażyna Pomian: „PZPR, która ciągle podkreśla

swój robotniczy charakter oraz twierdziła, że reprezentuje interesy jeśli nie całego to zdecydowanej większości społeczeństwa, na początku lat osiemdziesiątych rozspadała się stając się w coraz większym stopniu partią podstarzałych urzędników i notabli”^{*}.

Na uwagę zasługują również informacje i oceny o działaniach zmierzających do odbudowy i skonsolidowania PZPR, podejmowanych po 13 grudnia 1981 r. Zdaniem „Kultury”, pierwszym krokiem do odbudowy autorytetu partii były czołgi na ulicach, obozy internowania oraz oddziały ZOMO, poprzez które kierownictwo partii usiłowało pokazać nie tylko społeczeństwu, ale i własnym członkom, że dysponuje środkami przemocy oraz, że nie zawaha się przed ich użyciem w każdej sytuacji, którą uzna za niebezpieczną. Tak więc – zdaniem „Kultury” – wstępem do odbudowy i konsolidacji PZPR miał rzekomo być strach członków partii przed przemocą fizyczną i zmuszenie ich tym sposobem do postępowania zgodnie z wolą kierownictwa^{**}.

W materiałach zamieszczanych na łamach „Kultury” przyznaje się na ogół, że po 13 grudnia 1981 r. z partii usunięto niektórych członków, ale dominują również poglądy, że byli to przeważnie członkowie „Solidarności” lub ci, którzy zbyt ostentacyjnie wypowiadali się za odnową w PZPR lub przywróceniem zasad demokratycznych w funkcjonowaniu systemu politycznego. Fakt, że z PZPR usunięto niewiele osób ponoszących winę za kryzys polityczny i ekonomiczny, a także obciążonych wykroczeniami przeciwko prawu, za – zdaniem „Kultury” – wskazywać na słabość partii, która w obawie przed drastycznym spadkiem liczby członków toleruje w swoich szeregach osoby nieudolne i skorumpowane.

O słabości partii ma także – zdaniem „Kultury” – świadczyć bierność jej członków i ujawniający się niekiedy opór wobec polityki kierownictwa, np. w kwestii wstępowania do nowych związków zawodowych. Dowodzić tego mają rzekomo takie zjawiska, jak zawężanie dyscypliny partyjnej do płacenia składek, uczestnictwa w zebraniach i głosowania za polityką rządzącego kierownictwa, podejmowane na dużą skalę różnorodne szkolenia partyjne czy wreszcie próby „rozmnażania” szeregów partyjnych poprzez naciski, obietnice lub groźby wywierane na obywateli. Jak pisze się na łamach „Kultury”: charakterystyczną cechą obecnej

^{*} T. Klempski, *Widziane z bliska*, „Kultura” nr 1-2/1983, s. 12.

^{**} Tamże, s. 13.

^{*} G. Pomian, *Jest taka partia: PZPR*, „Kultura” nr 5/1985, s. 50.

^{**} Tamże.

akcji naboru do PZPR jest brak odwoływania się do ideologii a eksponowanie nacisków, obietnic i gróźb w związku z czym do partii wstępują ludzie o najróżniejszym światopoglądzie oraz moralności. Dopiero po upływie pewnego czasu kierownictwo ma nadzieję nagiąć nowych członków do obowiązujących w partii norm.

Przedmiotem szczególnie częstych zabiegów falsyfikacyjnych miesięcznika „Kultura” stały się teoretyczne założenia oraz pełnienie przez PZPR kierowniczej roli w państwie. Z uporem powtarza się, że praktycznie realizacja kierowniczej roli partii oznacza narzucanie przez aparat partyjny pozostałym elementom tworzącym system polityczny arbitralnych, często nie przemyślanych decyzji. Władysław Bienkowski pisze np., że w latach siedemdziesiątych PZPR podjęła próbę usankcjonowania pod względem prawnym swojej decydującej roli w PL, a celowi temu służyć miało wprowadzenie do Konstytucji klauzuli o pełnieniu przez partię przewodniej roli w państwie. Poddając krytyce wspomniany zapis autor dochodzi do wniosku, że jest on sprzeczny z duchem i literą ustawy zasadniczej naszego kraju, w związku z czym nie daje podstaw do odgrywania przez PZPR kierowniczej roli, a umożliwia co najwyżej uznanie partii za instytucję wyższej użyteczności*.

Problemy funkcjonowania socjalistycznego systemu politycznego oraz demokracji socjalistycznej w naszym kraju należą do częstych zagadnień podejmowanych na łamach „Kultury”. Generalnie rzecz biorąc czasopismo stoi na stanowisku, że zasady demokracji nie są w Polsce przestrzegane, a praktyka życia politycznego stoi w jawnej sprzeczności z obowiązującą Konstytucją. Dominują poglądy, że wprowadzie ustala ona ustrój republikańsko-demokratyczny, w którym najwyższą władzę stanowi Sejm, a obywatelom przyznaje wszystkie prawa i swobody, jakie wymyślono od czasów Rewolucji Francuskiej, to jednak w ustawie zasadniczej naszego kraju brak jakiegokolwiek śladu, który pozwoliłby się domyślać, że faktycznie istnieje inny ośrodek władzy, tzn. PZPR. „W ten sposób – według „Kultury” – Konstytucja stała się parawanem, za którym ukrywa się rzeczywisty, autorytarny i nie kontrolowany przez żaden czynnik społeczny ustrój, a wszystkie przewidziane Konstytucją

formy demokratyczne stały się narzędziem podporządkowania społeczeństwa władzy. Paradoksem – stwierdza się – jest fakt, że dyktatorska władza PZPR jest w świetle obowiązującego prawa władzą nielegalną i stoi poza prawem”.

Wynikiem takiej sytuacji – pisze m.in. wspomniany już Tymoteusz Klempski – jest fakt, że „organy władzy państwowej np. Sejm, nie realizują faktycznie przypisanych im Konstytucją uprawnień, ale stanowią jedynie parawan dla działania rzeczywistego ośrodka sprawującego rządy a ośrodkiem tym jest PZPR”***. Sytuację taką ułatwia zresztą fakt, że w Sejmie i Radach Narodowych zasiadają działacze partyjni oraz posłuszni partii bezpartyjni, którzy chętnie realizują wytyczne PZPR.

Podobnie zresztą paryski miesięcznik z reguły określa stosunki pomiędzy PZPR a innymi instytucjami tworzącymi socjalistyczny system polityczny, np. związkami zawodowymi. Czasopismo stoi na stanowisku, że po rozwiązaniu „Solidarności” nowe związki zawodowe nie posiadają swojej podmiotowości, albowiem nie wyrażają interesów ludzi pracy, a stanowią jedynie środek, przy pomocy którego PZPR narzuca swoją wolę robotnikom. Zresztą w opinii „Kultury”, sama przyjęta ostatnio w Polsce ustawa o związkach zawodowych ma rzekomo być bezprawna w świetle ratyfikowanych przez PRL konwencji MOP.

Negatywnej oceny miesięcznika doczekała się także zarówno koncepcja Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, jak i jego rola w polskim systemie politycznym. Publicysta „Kultury” pisze m.in., że PRON również spełnia rolę fasadową dla rządzącej PZPR, a sama koncepcja ruchu nie daje jasnej odpowiedzi na pytanie: kto z kim ma się porozumiewać? Zdaniem pisma, dobór partnerów spoza PZPR jest mało reprezentatywny, w rezultacie czego PRON ma rzekomo stanowić coś na kształt byłego Frontu Jedności Narodu. „Nic też dziwnego – czytamy – że społeczeństwo mało jest tą inicjatywą zainteresowane”***.

Szczególnie dużo miejsca na łamach „Kultury” zajmuje problematyka Kościoła katolickiego w Polsce oraz stosunki PZPR-Kościół. Publicyści „Kultury” nader często przypominają, że dzięki wieloletniej, nieugiętej postawie Kościoła rzymskokatolicki

* W. Bienkowski, art. cyt.

* Tamże.

** T. Klempski, art. cyt.

*** W. Bienkowski, art. cyt., s. 23.

w Polsce zdołał obronić swoją niezależną pozycję. Fakt powyższy umożliwia Kościołowi nie tylko sprawowanie „rządu dusz”, ale także wywierania istotnego wpływu na bieg spraw społecznych. Stąd też – co wielokrotnie akcentuje „Kultura” – PZPR chcąc czy nie chcąc musi się liczyć z opiniami Kościoła katolickiego, a nawet zabiegać o jego poparcie w wielu sprawach.

Należy jednak stwierdzić, że postawa Kościoła katolickiego w Polsce, a zwłaszcza części Episkopatu z prymasem na czele, bywa niekiedy przedmiotem ostrej krytyki, ze strony „Kultury”, dążącej zapewne do wywołania konfliktu między Kościołem a PZPR. Prymasowi oraz części hierarchii kościelnej zarzuca się przede wszystkim nadmierną ugodowość wobec PZPR, unikanie zajmowania bardziej zdecydowanego stanowiska w wielu sprawach społecznych, z obawy przed pogorszeniem stosunków z partią. W skrajnych przypadkach autorzy publikujący na łamach miesięcznika „Kultura” obwiniają prymasa Glempa i część Episkopatu o zawarcie porozumienia z PZPR kosztem polskich katolików oraz społeczeństwa. Zdarzają się także przypadki niewybrednych ataków na Kościół i Episkopat, np. rozpisywanie się o nieskutecznej polityce Kościoła wobec partii, dużej nieporadności językowej prymasa, trudnościach w formułowaniu przezeń jasnych opinii i tez*, co przynajmniej częściowo może być powodem irytacji „Kultury” ostrożną polityką polskiej hierarchii kościelnej.

Omawiając problematykę prezentowaną na łamach paryskiej „Kultury” w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, należy również stwierdzić, że czasopismo nie ogranicza się tylko do deprecjacji roli i polityki PZPR oraz falsyfikowania zagadnień bieżących lub przeszłości. Poważną pozycję zajmują bowiem materiały usiłujące prezentować wizję polityki PZPR w przyszłości, przy czym przyszłość ta przedstawiana bywa z reguły w ciemnych barwach. Wspomniany już W. Bieńkowski pisze np., że w przyszłości należy oczekiwać dalszego ograniczania demokracji w Polsce oraz wprowadzenia zwyczajnej dyktatury PZPR, który to krok ma być rezultatem pogarszającej się sytuacji gospodarczej kraju oraz narastających napięć społecznych**. Inną nieco wizję prezentuje Leszek Kołakowski, który stoi na

stanowisku, że skoro nie udało się przenieść na grunt polski systemu radzieckiego i skoro nawet siła nie spełnia swoich funkcji, to należy spodziewać się polityki chwiejnej, próbującej bezradnie przekakiwać od zastraszania do prób ugłaskiwania społeczeństwa*. W tej kwestii wypowiada się także na łamach „Kultury” Stefan Bratkowski, który m.in. stwierdza, że nie sądzi, aby intencją obecnych władz było rządzenie przy pomocy siły. Ma to – zdaniem autora – wprawdzie tę dobrą stronę, że pozwala paraliżować opór społeczeństwa. Autor wyraża jednak wątpliwość, czy taki sposób sprawowania rządów pozwoli na wprowadzenie nowoczesnej gospodarki i czy stworzy szanse na zmobilizowanie społeczeństwa np. do stawienia czoła kryzysowi gospodarczemu**.

UWAGI KOŃCOWE

Omawiając publikacje miesięcznika „Kultura” w latach 1980-1985 należy stwierdzić, że chociaż problematyka polska dominowała w tym okresie na łamach „Kultury”, to jednak zagadnienia dotyczące bezpośrednio PZPR, jej roli, miejsca i polityki w niewielu tylko przypadkach stanowiły centralny punkt zainteresowań licznych analiz, artykułów czy opracowań. Przypuszczalnym powodem takiego stanu rzeczy były nie tyle brak zainteresowania czasopisma wspomnianą problematyką, czy trudności w uzyskaniu obszerniejszych informacji na ten temat – na co często powoływali się zresztą zarówno autorzy, jak i sama redakcja – ale raczej zadania przyświecające czasopismu. Celem miesięcznika „Kultura” nie jest bowiem rzetelne prezentowanie problematyki związanej z PZPR, jej rolą i miejscem w polskim, socjalistycznym systemie politycznym, dokonywanie rzetelnych, merytorycznych ocen czy chociażby konstruktywna krytyka niedostatków w tym względzie, ale dywersja polityczno-ideologiczna obliczona na negowanie kierowniczej roli PZPR w naszym kraju, podważenie zaufania społeczeństwa do partii oraz pogłębienie istniejących trudności. Dążąc do osiągnięcia wspomnianych

* T. Klempski, art. cyt., s. 15.

** W. Bieńkowski, art. cyt., s. 24.

* L. Kołakowski, *Pałka i teoria*, „Kultura” nr 3/1983, s. 8.

** S. Bratkowski, *Polska: życie na zakneblowanym wulkanie*, „Kultura” nr 1-2/1983, s. 112.

celów paryska „Kultura” posługuje się mało skomplikowanym schematem fałszowania rzeczywistego obrazu miejsca, roli i polityki PZPR, który można określić w kilku następujących punktach:

1. Prezentuje PZPR jako eksponenta obcych interesów, nie znajdującego poparcia w polskim społeczeństwie.
 2. Politykę partii łączy przede wszystkim z obcymi interesami oraz interesami wąskiej elity rządzącej, przeciwstawiając je polskim dążeniom narodowym i państwowym.
 3. Akcentuje wyizolowanie PZPR ze społeczeństwa.
 4. Zwraca uwagę na dyktatorskie jakoby rządy aparatu w partii, a partii w państwie, podkreślając brak perspektyw na zmianę tej niekorzystnej sytuacji.
 5. Stoi na stanowisku, że w warunkach dyktatorskiej władzy PZPR brak jest perspektyw wypracowania spójnego programu wyjścia państwa z kryzysu politycznego i ekonomicznego, w związku z czym Polsce grozi degradacja do rzędu państw „Trzeciego Świata”, a także polityczna, gospodarcza i kulturalna degeneracja.
 6. Jedynym wyjściem z tej skomplikowanej sytuacji jest obalenie dyktatorskiej władzy PZPR, wprowadzenie rządów demokratycznych, które kierować się będą państwowymi i narodowymi interesami Polaków.
- Schemat powyższy jest faktycznie niezmienny od początku istnienia czasopisma, a wynika przede wszystkim z celów politycznych stojących przed miesięcznikiem „Kultura”. Trudno w związku z tym oczekiwać, by uległ on zmianie w przyszłości.

Fragment artykułu Edwarda Ruska: „Kultura” (Paryż) zamieszczonego w książce *Burżuazyjne i emigracyjne próby deprecjacji roli i polityki PZPR (1980-1985)*, wydanej przez Akademię Nauk Społecznych, Instytut Nauki o Partii Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Warszawa 1986, pod red. Tadeusza Iwińskiego.

Aktualne zagadnienia walki klasowej

[...] Odpowiednio „dobranym” zespołem redakcyjnym dysponuje również paryska „Kultura”. Należą do niego Jerzy Giedroyc, Zofia i Zygmunt Hertz, a spośród stałych korespondentów wymienić trzeba Gustawa Herling-Grudzińskiego, Bogdana Brodzińskiego (który zastąpił zmarłego w 1976 r. J. Mieroszewskiego), Wacława Iwaniuka oraz całą plejadę współpracowników, których liczba znacznie wzrosła po emigracji z Polski po 1968 r. Są wśród nich wspomniani już Zygmunt Bauman i Maria Hirszowicz oraz Włodzimierz Brus, Witold Wirpsza, Adam Bromberg, Witold Jedlicki, Henryk Cajnberg*, Zbigniew Byrski.

Uzupełniają ten zespół Leszek Kołakowski, któremu z nadmiaru wrogości do socjalistycznej Polski wystarcza siła i energia, aby zapełniać szpalty „Kultury” antypolskimi artykułami oraz występować przed mikrofonami „Wolnej Europy”, jak również Stefan Michnik, były sędzia sądu wojskowego w Polsce Ludowej, piszący w „Kulturze” pod pseudonimem Szwedowicz.

Wszyscy ci ludzie, jak i inni, nie wymienieni, są ściśle powiązani z różnymi ośrodkami antykomunistycznymi i syjonistycznymi, a łączy ich zapiekła nienawiść do socjalizmu. Narzędziem ich jest fałsz, kłamstwo, obłuda, a codziennym chlebem – cynizm polityczny lub postawa dobitnie potwierdza prawdę, że ci, którzy występują przeciwko socjalizmowi, nieuchronnie schodzą na pozycje antypolskie, szkodzą interesom kraju i narodu.

* Prawdopodobnie chodzi o Henryka Grynberga – Red.

Członkowie partii powinni mieć świadomość tego faktu, skąd pochodzą i jakim celom służą kolportowane przez ośrodki dywersji, różnorakie pseudoprawdy, dezinformacje, plotki i jakie jest prawdziwe oblicze tych, którzy to robią. [...]

Urywek z broszury (bez autora) *Aktualne zagadnienia walki klasowej* (Materiał pomocniczy na zebrania POP, zajęcia szkoleniowe i lektorskie) wydanej przez Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR, Warszawa, styczeń 1987, z nadrukiem: „do użytku wewnętrznego”

Adam Koseski

Kierunki i treści

[...] Na łamach paryskiej „Kultury” zabrali głos „starzy” emigracyjni antykomuniści m.in. Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Dominik Morawski, „nowi”: Władysław Bienkowski, Włodzimierz Brus, Leszek Kołakowski, Zdzisław Najder, Włodzimierz Smolar* oraz Jacek Kuroń, Adam Michnik, Stefan Bratkowski, Stefan Kisielewski, Czesław Bielecki. W artykułach tych autorów PZPR jawiła się jako twór całkowicie sterowany z zewnątrz, tj. z Moskwy, rozdzierany walkami frakcyjnymi, odpowiedzialny za chaos i anarchię, stłumienie przy pomocy wojska i SB „wolnościowego zrywu narodu”**. Problematykę PZPR i polskiego systemu społeczno-politycznego poddawali totalnej negacji, oprócz wyżej wymienionych, również m.in. Czesław Miłosz i Edward Lipiński na łamach „Aneksu” i innych wydawnictw emigracyjnych.

Z krytyką roli PZPR w procesie budownictwa socjalistycznego ściśle związane są próby zafałszowania dziejów Polski Ludowej. Antykomuniści, niezależnie od przynależności do „prawego” lub „lewego” skrzydła burżuazyjnej historiografii, jednogłośnie twierdzą, że partia naruszyła jakoby zasady demokracji bezpośrednio po przejściu władzy, ustanowiła dyktaturę, wyobcowwała się ze społeczeństwa. Jej kierownicza rola stanowi –

* Aleksander Smolar – Red.

** Por. S. Bratkowski, *Polska i życie na zakneblowanym wulkanie*, „Kultura” nr 1-2/1983; Wł. Bienkowski, *Polskiego dramatu ciąg dalszy*, „Kultura” nr 5/1984; L. Kołakowski, *Partia i teoria*, „Kultura” nr 3/1983; J. Kuroń, *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia*, „Kultura” nr 5/1982

ich zdaniem – dzisiaj w stopniu większym niż przed laty, przeszkodę w społeczno-politycznej aktywności mas. Wydarzenia w Polsce i rzeczywistość społeczno-gospodarcza w innych krajach socjalistycznych wykazują bezzasadność i polityczną wrogość teoretycznych koncepcji burżuazyjnych ideologów w kwestii roli i miejsca klasy robotniczej i jej partii w państwie socjalistycznym.

Burżuazyjni ideolodzy głoszą, że kierownicza rola partii była uzasadniona w początkowym okresie Polski Ludowej, kiedy klasę robotniczą cechowała niska świadomość celów i zadań. W warunkach industrializacji robotnicy, mając dobre przygotowanie polityczne, ideologiczne i zawodowe, mogą obejść się bez partii. W ten sposób miałyby rzekomo realizować się Marksowska idea hegemonii proletariatu. Twierdzenia te nie wytrzymują krytyki. Faktem jest awans polityczny i kulturalny ludzi pracy w Polsce. Partia skupia najbardziej świadomą, zahartowaną i odporną w walce część robotników, chłopów i inteligentów. Swój autorytet kierownika politycznego PZPR odzyskuje powoli, lecz skutecznie. Stanowi decydujący w obecnych warunkach czynnik realizacji celów nakreślonych w partyjnych dokumentach. Trzeba przy tym pamiętać, jak pisał Lenin, że zdobycie władzy politycznej i jej utrzymanie jest łatwiejsze niż zorganizowanie „sprawy rządzenia”^{*}.

Urywek z artykułu Adama Koseckiego *Kierunki i treści antykomunistycznych falsyfikacji kierowniczej roli PZPR (1980-1985)* opublikowanego w „Myśli Marksistowskiej” nr 3/1986.

^{*} W. Lenin, *Najbliższe zadania Władzy Radzieckiej*, Dzieła, t. 27. s.246-247.

Ewa Rokicka

Ośrodek „Kultura”

[...] Organizatorami, a następnie przywódcami Instytutu Literackiego zostali Jerzy Giedroyc i hrabia Józef Hutten-Czapski. Wkrótce po rozpoczęciu działalności przez Instytut utracili oni poparcie finansowe emigracji (na skutek konfliktu z gen. W. Andersem) i skorzystali z finansowej pomocy kilku fundacji amerykańskich, finansowanych przez Centralną Agencję Wywiadowczą Stanów Zjednoczonych. Od tej pory równolegle z działalnością wydawniczą Instytut Literacki zaczął prowadzić działalność wywiadowczą, stając się jednym z ośrodków dywersji ideologicznej i politycznej na Zachodzie, finansowanym przez Stany Zjednoczone.

Jednym z głównych zadań przywódców Instytutu Literackiego jest oddziaływanie na elity intelektualne w Polsce w kierunku kształtowania postaw i nastrojów antykomunistycznych oraz inspirowania działalności antyustrojowej. W realizacji tego celu zasadniczą rolę odgrywa miesięcznik „Kultura”, którego redaktorem naczelnym jest Jerzy Giedroyc. Od początku lat sześćdziesiątych pismo pretenduje do roli ośrodka programowego dla opozycji politycznej w Polsce. W latach siedemdziesiątych „Kultura” odgrywała znaczącą rolę w kształtowaniu programów powstających w kraju grup antysocjalistycznych, a zwłaszcza KSS-„KOR”. Nie ograniczała się przy tym do pełnienia wyłącznie funkcji inspiracyjnych, organizując zaplecze finansowe dla działalności opozycyjnej w Polsce. Te dwa kierunki działania w odniesieniu do kraju – inspiracja programowa i pomoc finansowa dla opozycji antyustrojowej – są niezmiennie realizowane do

dnia dzisiejszego. Niemniej jednak redakcja „Kultury” nigdy nie precyzuje ostatecznie celu, jaki miałyby być zrealizowany przez wprowadzanie proponowanych przez nią założeń programowych (wprowadzenie ustroju kapitalistycznego na wzór demokracji burżuazyjnych), operując mglistymi sformułowaniami w tej dziedzinie, a dostarczając precyzyjnych danych odnośnie do metod i taktyki działania.

W swojej działalności wydawniczej, przeznaczonej zarówno dla Polski, jak i środowisk emigracyjnych na Zachodzie, Instytut Literacki oferuje także program w zakresie polskiej polityki zagranicznej. Podobnie jak większość ośrodków polskiej emigracji kierownictwo Instytutu opowiada się za zerwaniem sojuszy ze Związkiem Radzieckim, upatrując w ZSRR największego wroga naszego kraju. Z tego też względu propaguje koncepcję utworzenia niezależnego państwa ukraińskiego, które miałyby być „buforem” między Polską a ZSRR. Równolegle stoi ono na stanowisku wyraźnie prozachodnioniemieckim, wypowiadając się zgodnie z tezami zachodnioniemieckiego rewizjonizmu w sprawie zjednoczenia Niemiec i Europy. Bezpieczeństwo zaś zachodniej granicy Polski – według przywódców Instytutu Literackiego – ma Polsce zapewnić utworzenie federacji Europy.

Urywek z broszury Ewy Rokickiej *Antypolska działalność głównych ośrodków polskiej emigracji politycznej na Zachodzie* wydanej przez Redakcję Publikacji Wydziału Ideologicznego KC PZPR Biblioteka Lektora i Wykładowcy, Książka i Wiedza, Warszawa 1985.

VI. PRL

Adam Batorowicz

Paryska „Kultura”

PARYSKA „KULTURA” WOBEC INTERESÓW PRL W STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH

Paryska „Kultura” od pierwszych lat swego istnienia poświęcała wiele uwagi polskiej polityce zagranicznej, a zwłaszcza spekulacjom co do miejsca Polski w świecie. Już na początku lat pięćdziesiątych „Kultura” głosiła koncepcję federalizmu, widząc w jej realizacji drogę do „wyzwolenia” Polski w ramach zjednoczonej Europy. Natomiast w 1957 roku pismo wysunęło nową koncepcję „pasa neutralnego” dla krajów Europy wschodniej.

U podstaw wszystkich koncepcji politycznych paryskiej „Kultury” leży problem niemiecki. W latach 1959-1961 pismo zastanawiało się nad „możliwościami powrotu Niemców na Wschód”, wysuwając sprawę konieczności i celowości zbliżenia polsko-zachodnioniemieckiego. J. Burnham, omawiając w 1961 roku koncepcję polityczną „Kultury” i jej stosunki z Niemcami, pisał w miesięczniku amerykańskim „National Review” m.in.: „Giedroyć i jego współpracownicy z „Kultury” od początku odrzucili szowinizm, który był tradycyjną plagą wschodniej Europy. Widzą oni przyszłość Wolnej Polski jako części federacji wschodnioeuropejskiej, która byłaby częścią sfederowanej Europy. Dlatego zawsze współpracowali oni z innymi (niepolskimi) uchodźcami ze wschodniej Europy, a w szczególności utrzymywali ścisłe stosunki z Ukraińcami, Czechami, Jugosłowianami i Niemcami”^{*}.

^{*} National Review 23 IX 1961

„Kultura” zawsze realizowała zamaskowaną orientację proniemiecką, kładła nacisk na współpracę polsko-zachodnioniemiecką, identyfikowała swoje poglądy z polityką wschodnią RFN i popierała zjednoczenie Europy z hegemonią RFN. Rewizjonizm zachodnioniemiecki „Kultura” sprowadzała jedynie do roli elementu przetargowego w polityce Związku Radzieckiego.

Koncepcje paryskiej „Kultury” zaczęły ulegać zmianom w 1969 roku. Procesy odprężenia w Europie, a także projekt zwołania KBWE zmusiły niejako paryski ośrodek do nowych ocen. Generalnie „Kultura” przyjęła orientację antyodprężeniową, forsując ideę „niepodległości” Polski: „Służymy tylko jednemu celowi, którym jest niepodległość Polski. Ten cel wyznacza polityczną linię ”Kultury””^{*}.

Paryski ośrodek coraz częściej zaczyna łączyć interesy PRL w stosunkach międzynarodowych z kwestiami opozycji antysocjalistycznej w Polsce: „Wskrzесиć sprawę polską na arenie międzynarodowej mogą tylko Polacy w kraju – dowodziła ”Kultura” – (...) Naród w kraju, a przede wszystkim inteligencja muszą przestać być wielką niemową – ponieważ dziś na Zachodzie nikt nie wierzy w to, że Polacy krajowi milczą, ponieważ muszą”.

W antykomunistycznej kampanii „w obronie praw człowieka i obywatela” „Kultura” znalazła poparcie swojej linii propagandowej. Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz Akt Końcowy „Kultura” oceniła jako „pieczęć” potwierdzającą utratę resztki nadziei na „wyzwolenie” krajów socjalistycznych. W 1976 roku przedstawiciele „Kultury” razem z innymi delegatami z emigracji innych krajów socjalistycznych wystosowali apel do prezydenta Cartera, w którym m.in. pisano: „Oczekujemy od Cartera jasnego i niedwuznacznego sformułowania innej linii politycznej, wolnej od pieczęci Helsinek (...) Linii politycznej, która mogłaby dopomóc do rzeczywistego uwolnienia Europy wschodniej”^{**}. [...]

Interesujące jest, że PPN używa haseł europejskich, by w ten sposób stworzyć parawan dla zjednoczenia Niemiec. Natomiast paryska „Kultura” ukrywa swoją orientację proniemiecką za szyldem Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Orientacja ta jest uzupełniana szeroką propagandą antyradziecką.

^{*} „Kultura” nr 5/332, 1975

^{**} „Kultura” nr 11/350, 1976

KIEROWNICTWO PARYSKIEJ „KULTURY”

Redakcja paryskiej „Kultury” nie ma ani kolegium redakcyjnego, ani też dużego zespołu redakcyjnego. Cała działalność ośrodka prowadzona jest przez kilka osób, którym przewodzi statutowy dyrektor i redaktor naczelny, Jerzy Giedroyc. Jest on ideologicznym przywódcą ośrodka i głównym organizatorem całości. System pracy paryskiego ośrodka oparty jest na pracy korespondentów, którzy są stałymi współpracownikami „Kultury” oraz na licznym gronie współpracowników rekrutujących się ze starej i nowej emigracji politycznej. Dość zasadniczą rolę w prowadzeniu działalności „Kultury” odgrywają przywódcy opozycji antysocjalistycznej w Polsce, którzy wspomagają pismo w materiały, artykuły i książki pisane w kraju.

Kim jest Jerzy Giedroyc? Urodził się 27 VII 1906 roku w Warszawie. Przed wojną należał do grupy tzw. Młodych Konserwatystów. Wydawał „Bunt Młodych” i „Politykę”. Był jednym z czołowych działaczy sanacyjnej organizacji Liga Mocarstwowa. W czasie wojny był oficerem II Korpusu.

Rolę J. Giedroycia charakteryzował emigracyjny publicysta, B. Osadczuk, następująco: „Nastąpiło gdzieś na początku lat pięćdziesiątych moje spotkanie z ”Kulturą”. Konkretnie z redaktorem Jerzym Giedroyciem i jego ówczesnym towarzyszem pancernym Józefem Czapskim. Giedroyc do owej chwili był dla mnie postacią anonimowo-mityczną. Czytałem jako szczeniak wypożyczony od sprzedawcy gazet w Pińczowie, garbusa-filozofa żydowskiego ”Bunt Młodych”, a potem ”Politykę” (...) Giedroyc, ten dziwny człowiek, który połączył twardy upór litewskich przodków z polską fantazją, jest – przynajmniej dla mnie – podobnym fenomenem, jak Piłsudski, Cat-Mackiewicz, czy nawet Feliks Dzierżyński (...) ten małomówny i krótkie listy piszący Polak-Litwin, czuwający nad całym podparyskim folwarkiem wolności, działa nie sam. Naturalnie to on był i jest organizatorem, architektem i nadzorcą wszystkiego”^{*}.

Współredaktorem „Kultury” jest również Gustaw Herling-Grudziński, krytyk literacki i prozaik. Urodził się w 1919 roku w Kielcach. W 1937 roku rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Był kierownikiem literackim

^{*} „Kultura” nr 7/358-8/359, 1977

tygodnika „Orka na ugorze”. Publikował przed wojną pierwsze utwory.

Podczas wojny był w ZSRR, wstąpił do armii Andersa, z którą przeszedł na Bliski Wschód, a następnie uczestniczył w kampanii włoskiej, między innymi w bitwie pod Monte Cassino. Po wojnie był działaczem emigracyjnego WRN.

W latach 1945-1947 był członkiem redakcji, a następnie kierownikiem literackim tygodnika „Orzeł Biały”. W latach 1948-1952 mieszkał w Londynie pisując do „Wiadomości”, a następnie podjął stałą współpracę z radiem „Wolna Europa”. Od 1955 roku mieszka w Neapolu, współpracuje stale z miesięcznikiem włoskim „Tempo presente”, a od 1970 roku jest członkiem komitetu redakcyjnego rzymskiego miesięcznika „Settanta”, poświęconego kulturze, polityce i ekonomii, a obecnie także zespołu redakcyjnego kwartalnika „Kontynenty”.

Gustaw Herling-Grudziński publikuje bardzo dużo. Są to artykuły, eseje literackie i powieści – głównie zamieszczane w prasie emigracyjnej i wydawnictwach emigracji polskiej. Wielokrotnie był wyróżniany nagrodami emigracyjnymi, m.in. otrzymał nagrodę pisarską SPK za *Inny świat* (1951), „Kultury” za *Wieżę* (1958), Fundacji Jurzykowskiego (1964) i Fundacji Kościelskich (1966). W 1965 roku wyróżniony za całokształt twórczości nagrodą Emigracyjnego Związku Pisarzy Polskich.

Na początku lat siedemdziesiątych Gustaw Herling-Grudziński aktywnie włączył się w kampanie propagandowe prowadzone przez koła polskiej emigracji politycznej, skierowane przeciwko Polsce. I tak np. w maju 1977 roku uczestniczył w przesłuchaniach Komisji Helsińskiej Kongresu USA. Interpretował przed komisją tezy opracowane przez A. Michnika oraz oceniał sytuację w Polsce i działalność opozycji antysocjalistycznej. Był sygnatariuszem apelu skierowanego do opinii publicznej Zachodu nt. „Nieposzanowania praw człowieka w ZSRR i krajach Europy Wschodniej” (1977 r.).

Gustaw Herling-Grudziński jest jednym z „mężów zaufania” Polskiego Porozumienia Niepodległościowego na Zachodzie.

Stałym współpracownikiem paryskiej „Kultury” jest Andrzej Jarosław Cholecki, dziennikarz, korespondent z terenu Republiki Federalnej Niemiec.

Urodzony w 1935 roku. Studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. W okresie października 1956 roku był jednym

z założycieli i członków Rady Rewolucyjnej Młodzi w Zakopanem. W 1959 roku wyjechał z wycieczką „Orbisu” do Austrii; uzyskał tam status uchodźcy politycznego.

Na Zachodzie nawiązał współpracę z radiem „Wolna Europa” i Szymonem Wiesenthalem, dyrektorem tzw. Wiedeńskiego Centrum Dokumentacji. Pracował dla wywiadów amerykańskiego i zachodnioniemieckiego – został skazany przez sąd warszawski zaocznie za działalność szpiegowską, skierowaną przeciwko PRL, na 10 lat więzienia.

Od 1969 roku przebywa stale w Kolonii. Jest bardzo aktywnym publicystą; głównie publikuje w prasie emigracyjnej. Specjalizuje się w problematyce niemieckiej, deklarując się jako zwolennik „pojednania” polsko-zachodnioniemieckiego oraz zjednoczenia Niemiec. Jako stały korespondent paryskiej „Kultury” prowadzi rubrykę „Kronika niemiecka”.

Innym współpracownikiem „Kultury” jest Dominik Morawski, dziennikarz, stały korespondent z Rzymu.

Urodził się w 1922 roku w Poznaniu. Ukończył wydział prawa UJ. W latach 1945-1947 był sekretarzem prezesa Stronnictwa Pracy, współzałożycielem Klubu Inteligencji Katolickiej (1956).

Polskę opuścił w 1963 roku i zamieszkał na stałe w Rzymie. Od 1973 roku współpracuje z paryską „Kulturą”. Specjalizuje się w problematyce stosunków państwo-Kościół w krajach socjalistycznych, a szczególnie w Polsce. Jest redaktorem stałej rubryki „Korespondencje z Rzymu”.

Poza publicystyką Morawski jest aktywnym działaczem społeczno-chrześcijańskim; wygłasza odczyty, bierze udział w sympozjach i konferencjach antykomunistycznych na Zachodzie (np. w 1976 roku w Paryżu brał udział w tzw. „Kolokwium 56”).

W 1977 roku wystąpił z emigracyjnego Stronnictwa Pracy.

Leopold Unger (pseudonimy: Pol Mathil, Brukselczyk), dziennikarz, jest stałym korespondentem paryskiej „Kultury” w Brukseli.

Były długoletni dziennikarz „Życia Warszawy”. Początkowo pełnił funkcję sekretarza redakcji, a następnie został korespondentem tego pisma w Hawanie. W 1968 roku wyjechał z Polski i osiedlił się w Belgii.

Jest publicystą dziennika „Le Soir” w Brukseli. Współpracuje z brukselskim radiem i telewizją. Znany jest na Zachodzie jako ekspert do spraw polskich i krajów socjalistycznych.

Od 1970 roku pisze regularnie polityczne felietony pt. „Widziane z Brukseli”.

L. Unger w 1977 roku otrzymał nagrodę „Kultury” za felietony polityczne.

Urywki z broszury Adama Batorowicza *Paryska „Kultura”* opublikowanej przez Redakcję Publikacji Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR, Książka i Wiedza, Warszawa 1981.

Aleksander Lam

Paryska „Kultura” rozszerza swoje usługi

Przed kilku tygodniami wspomnieliśmy na naszych łamach o kontaktach emisariusza KOR-u A. Michnika z szefem paryskiej „Kultury” J. Giedroyciem podczas podróży „studyjnej” Michnika do Włoch. Ostatnio giedroyciowi protektorzy KOR i „obrońcy robotników” prezentują sami swoje oblicza i cele w myśl przysłowia: „uderz w stół, nożyce się odezwą”.

W europejskiej edycji tygodnika „Newsweek” z 22 lutego br. znajdujemy na stronie 10 reportaż pióra Jill Smolowe i Scotta Sullivana z Paryża pt. „Poland: Keeping Dissent Alive”, co w przybliżeniu oznacza „Podtrzymywanie ruchu dysydenckiego w Polsce”. Reportaż dotyczy paryskiej „Kultury” i rzuca snop światła na rolę tego dywersyjnego ośrodka w antypolskiej i w antysocjalistycznej działalności propagandowej. Jak wynika z reportażu kierownik tego ośrodka Jerzy Giedroyc i ponoć potomek książęcej rodziny, oprócz 10-tysięcznego nakładu miesięcznika „Kultura”, adresowanego głównie do ex-Polaków na emigracji wydaje miesięcznie ok. 2,5 tysiąca miniaturowych kopii paryskiej „Kultury”; drukowanych na bibułce i przemycanych do Polski. Poza tą zbożną działalnością – wszak o „wolną, polską” kulturę chodzi – pan Giedroyc wraz ze swą ekipą podjął się dodatkowych „patriotycznych” (wg autorów) zadań w postaci obsługi wydawniczej artykułów i broszur dysydenckich intelektualistów, których napływ z Polski wzrósł znacznie w ostatnim okresie.

Elaboraty te po wydrukowaniu są często wkładane do paczek wysyłanych do Polski. Jak twierdzą nostalgicznie autorzy reportażu, wydawnictwa te nie zawsze docierają do adresatów i często zdarza się, że zamiast druków, znajdują oni karteczki urzędu celnego informujące, że „z paczki zabrano broszurkę o wadze...”. Można by rzec szkoda, bo według „Newsweeka” droga tych rękopisów do kultury nie jest łatwa. Ba, z relacji wieje nawet grozą: „*Rękopisy przychodzą często poplamione i w strzępach. Autorzy i kurierzy - ryzykują więzienie, usiłując przechytrzyć i zmylić uwagę skrupulatnych celników polskich*”. Aktywność ta znacznie się wzmożyła po 13 grudnia ub.r. Przytoczmy tu odpowiednie wyjaśnienie autorów: „*Gdy «Solidarność» wygrywała reformę za reformą, niezależne wydawnictwa publikowano masowo w kraju. Od czasu wprowadzenia stanu wojennego, można je tylko drukować za granicą*”. Szlak przemycanych rękopisów wiedzie zatem do „wiejskiej rezydencji z czerwonej cegły pod Paryżem, ukrytej dyskretnie za kamiennym murem”. Tam właśnie mieści się instytut wydawniczy p. Giedroycia, a faktycznie ośrodek dywersji oraz punkt zborny dla wszelkiej maści dysydentów, farbowanych lisów i renegatów.

Zdaniem cytowanego źródła paryska „Kultura” spełnia jeszcze inną, wartą odnotowania funkcję polityczną. Wyraża się ona m.in. w „*konsekwentnym przeciwdziałaniu nacjonalistycznym tendencjom w sprawie ponownego przyłączenia do Polski Ukrainy, Litwy i Białorusi*”(?!) i oczywiście „*w walce z przejawami antysemityzmu*”. Jednym z czołowych autorytetów w tej walce jest – wg autorów – niejaki *Constantin Jelenski „historyk”*, od pewnego czasu rezydujący w Paryżu.

Ostatnio przybył zespołowi Giedroycia nowy cel polityczny: walka o przywrócenie stanu sprzed 13 grudnia 1981 r., tj. w ich rozumieniu pełnej swobody działania sił opozycyjnych, w tym także sił wręcz wrogich.

Zdaniem cytowanych reporterów paryska „Kultura” „*kroczy dziś do celu z pochodnią zapaloną przez uciszonych obecnie robotników z Polski*” (zapewne tych z KOR). Jednocześnie przyznając, że „*kierownictwo «Solidarności» zostało pozbawione głowy*”, niejako w zastępstwie – paryska „Kultura” wzywa robotników, aby „*nauczyli się działalności podziemnej*”. Z kolei chwiejnym i „*zdemoralizowanym (porażką) liderom «Solidarności»*

radzi się brać przykład z zespołu paryskiej «Kultury», który od 34 lat ani na chwilę nie przerwał walki”.

I tak czarno na białym, dzięki rzetelności reporterów z „Newsweeka” uwiadamia się zbieżność celów politycznych paryskiej „Kultury” z działalnością różnych grup antysocjalistycznych w naszym kraju, łącznie z określonymi liderami w „Solidarności”. Zdumiewać jednak może arogancja i obłuda burżuazyjnych frustratów i besserwisserów spod znaku Giedroycia, kiedy w fałszywym opakowaniu troszczą się o dobro polskich robotników, nie szczędzą im „przyjacielskich” rad.

W istocie zaś paryska „Kultura” wspomagając antysocjalistyczne, nacjonalistyczne i anarcho-syndykalistyczne siły w kraju próbuje rozmaitymi środkami realizować swe zadania w ramach nasilonej ostatnio kampanii propagandowej i psychologicznej przeciwko Polsce.

Artykuł Aleksandra Lama Paryska „Kultura” rozszerza swoje usługi
opublikowany w „Żołnierzu Wolności” nr 69 z 23 marca 1982.

Jerzy Bronisławski

„Trybiki” propagandy – paryska „Kultura”

O ile w systemie amerykańskiej propagandy „Wolna Europa” jest uważana jako narzędzie, za pomocą którego można docierać do prostaków, o tyle paryskiej „Kulturze” z upływem lat wyznaczono funkcję urabiania inteligencji i środowisk do niej zbliżonych.

Zespół miesięcznika rozpoczął działalność jeszcze w 1946 roku jako Instytut Literacki przy II Korpusie generała Andersa we Włoszech. Jego zadaniem było zniechęcanie polskich żołnierzy do powrotu do kraju. Zgodnie bowiem z założeniami polskich polityków emigracyjnych oraz ich protektorów z USA, rychło miała wybuchnąć trzecia wojna światowa, a w niej – tradycyjnym już dla imperialistycznych strategów zwyczajem – potrzebne było również polskie „mięso armatnie”.

W roku 1947 instytut został przeniesiony do Paryża, skąd miał lepsze możliwości oddziaływania na środowiska polonijne i kombatanów we Francji, Belgii, Wielkiej Brytanii i w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. Właśnie dla tych środowisk wydawać zaczęto „Kulturę” oraz powołano Ośrodek Badań i Studiów Krajowych, który w stosunkowo krótkim czasie skompletował bogatą bibliotekę i archiwum. Znalazły się w nim również komplety wydawanych w powojennej Polsce czasopism.

W początkowym okresie istnienia redakcja miesięcznika uzurpować zaczęła sobie prawa – na wzór niegdysiejszej Wielkiej Emigracji – wyłączności reprezentowania polskiej kultury na

zewnątrz. Dorobek twórców krajowych traktowano natomiast jako rezultat działań „sowieckiej agentury”. Zmiany na tym odcinku następowały wraz z metamorfozami amerykańskiej myśli politycznej i obowiązujących w USA doktryn. Redaktorem naczelnym i wydawcą „Kultury” został Jerzy Giedroyc, w okresie międzywojennym członek grupy „Młodych Konserwatystów” oraz działacz sanacyjnej Ligi Mocarstwowej. Przed wojną był redaktorem kilku pism w Polsce, które reprezentowały skrajnie antykomunistyczny profil. W czasie wojny służył w armii Andersa.

Współpracownikiem Giedroycia został Józef Czapski, b. adiutant Andersa, malarz z zawodu i literat. W okresie międzywojennym był Czapski znany w Polsce z liberalno-mieszczańskich poglądów. W wojnę nastąpiła jednak wyraźna ewolucja jego zapatrywań, co zaprowadziło go do skrajnego antykomunizmu. Prawdopodobnie nie miały wpływu na to służba Czapskiego w „dwójce” (wywiadzie) II Korpusu, skąd trafił prosto do „Kultury”.

Konstantemu Jeleńskiemu, literatowi, krytykowi i publicyście, w redakcji powierzone zostały sprawy wydawnicze, a to ze względu na jego dobre stosunki z przedstawicielami amerykańskiego kapitału i kierownictwem Kongresu Wolności Kultury USA. Nie bez wpływu pozostawało to na późniejsze finansowanie „Kultury”, które początkowo – podobnie zresztą jak „Wolna Europa” – uchodziła za instytucję „prywatną” i utrzymującą się z danin pieniężnych od osób rozsianych po całym świecie.

Naczelnym ideologiem miesięcznika został Juliusz Mieroszewski, który na łamach „Kultury” swoje materiały sygnował też jako „Londyńczyk”. Mieroszewski był współpracownikiem przedwojennego „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” wydawanego w Krakowie, zwanego popularnie „Ikacem”. Na jego łamach publikował swoje rozważania, w których nie ukrywał własnych sympatii do Niemiec hitlerowskich. Zresztą z jego powojennej publicystyki również wielokrotnie przebijał nieuzasadniony sentyment do zachodnoniemieckich rewizjonistów.

Poza wymienioną ścisłą czołówką zespołowi „Kultury” udało się przyciągnąć do współpracy: dawnego działacza socjalistycznej prawicy i emigracyjnej WRN – Gustawa Herling-Grudzińskiego; emigracyjnego działacza – Zbigniewa Jordana; członka najwyższych władz sanacyjnego Obozu Narodowo-Radykalnego i administratora dóbr Radziwiłłów, który w czasie wojny utrzymywał podejrzone kontakty z hitlerowską Abwehrą –

Władysława Kozłowskiego; Jerzego Stempowskiego, który często podpisywał swoje artykuły nazwiskiem Paweł Hostowiec, a to ze względu na nawoływanie polskich środowisk emigracyjnych do pojednania z grupami rewizjonistyczno-odwętowymi w RFN; Józefa Łobodowskiego – komentatora radia Madryt, i innych.

Zmieniali się również współpracownicy miesięcznika. W latach późniejszych pisywać zaczęli doń: Leopold Unger, były sekretarz redakcji „Życia Warszawy” ukrywający się pod pseudonimem „Brukselczyk”; Antoni Gutowski, który do 1968 roku współpracował z warszawską „Polityką”; byli obywatele PRL: Roman Karst, Adam Bromberg i Stanisław Wygodzki; Wiktor Jedlicki* – autor książki „Chamy i Żydy”; Jerzy Kosiński – twórca antypolskiego paszkwilu „Malowany ptak”; Henryk Grynberg – autor „dzieła” o podobnym profilu pt. „Wojna żydowska”; Alicja Wetz-Zawadzka, warszawska publicystka; Alicja Lisiecka, która w kręgach emigracji lat siedemdziesiątych uchodziła jako wszytkowiedząca o „reżimie”; Grażyna Nowak legitymującą się „kolaboracją z warszawskim PAX-em” itp.

Łamy „Kultury” były udostępniane także profesorowi Leszkowi Kołakowskiemu, zaś ostatnimi laty gościł na nich inny „etyk” i „wychowawca młodzieży”, który w latach siedemdziesiątych współpracując z krakowskim „Studentem” i opluwając swoich przeciwników politycznych ukrywał się za pseudonimem Szczęsnego Dzierżankiewicza. Zdemaskowany przez czytelników, zaniechał procederu, próbując jako „obrońca robotników” w KSS-KOR. Ostatnio słyszeć go też można często na falach eteru, w pasmach zarezerwowanych dla RWE – nazwisko jego Stanisław Barańczak.

Z paryską „Kulturą” współpracowało również kilku krajowych literatów, w tym paru z zarządu nieistniejącego (zdelegalizowanego) ZLP. Jeden z nich, używający pseudonimu Tomasz Staliński (będzie jeszcze o nim mowa przy innej okazji) był szczególnie aktywny. Niezależnie od stałej współpracy z jednym z krakowskich tygodników, wydał w Paryżu aż sześć książek, które przed wojną określono by z niemiecka jako *Hintentreppenliteratur* (literatura dla kucharek). Żeby „się ukryć” i uchodzić wobec Giedroycia i spółki za „przeciwnika reżimu” styl i formę nawet zmieniał. A oto próbka tego intelektualnego bełkotu: „...Z czego

żyli perypatetycy? Ano kiedyś żyli sobie dobrze, dziś niektórzy kiepsko, demonstracyjnie kiepsko, jak twierdzili z byle czego czy z niczego, może z zagranicznych paczek, wtedy gość był dość mocny, a może z pożyczek – polskim inteligentom do istnienia potrzeba niewiele...” Rzeczywiście autor miał tutaj być może rację, skoro owi inteligenci rzucali się na płody myśli jak powyższe. A warto przypomnieć, iż w pewnych kręgach Warszawy lat siedemdziesiątych i początku obecnej dekady, mimo uszu puszczano wszelkie krajowe publikacje, zaś szczytem nietaktu była nieznanomość tego, co publikowała paryska „Kultura”. Po prostu taki był szpan!

Różnymi drogami do kraju napływały też takie dzieła jak: „Krucjata bez krzyża” – Koestlera; „Nowa klasa” – Dżilasza; „Król jest nagi” – Tasta; „Człowiek wśród skorpionów” – Miłosza; „Rok 1984” – Orwella i inne. Wszystko oczywiście jako rezultat „rozkwitu wolności”, „dialogu” i współpracy z Zachodem. Jednak prawdziwa bomba wybuchła wówczas, gdy chorujący na wielkość Giedroyc zakupił dla Instytutu Kultury w Paryżu posiadłość Maisons Laffitte za bagatelą sumę – dziesięciu milionów franków. Wówczas każdy na swój sposób zaczął dociekać skąd wzięły się na to pieniądze. Wmawianie, iż z „Kultury”, wydawanej w liczbie około czterech tysięcy egzemplarzy, z których poważna część była i jest rozdawana chętnym jako „antykomunistyczna reklamówka”, mogło przekonać tylko naiwnych. Publikowane na okładkach kwoty i nazwiska „ofiarodawców”, były tak niewielkie, iż nie starczałyby nawet na opłacenie technicznego personelu redakcji. W Polsce i międzynarodowe koła burżuazji demokratycznej – jak próbował tłumaczyć Giedroyc – nikt nie wierzył.

Prawdę obnażyli Amerykanie z kowbojską wprost szczerością, pisząc, iż źródłem finansowania paryskiego miesięcznika jest Amerykański Kongres Kultury i ...”Wolna Europa”! James Burnham, publicysta i działacz polityczny uzupełnił to słowami: „...”Kultura” zdziałała więcej niż agencje, na które nasz rząd wydaje dziesiątki milionów dolarów...”. Niestety (dla paryskich redaktorów) szły parami, bo oto w roku 1969 kończył się przed warszawskim sądem proces grupy osób, na czele której stała Maria T. – zaufana osoba Giedroycia. Oskarżeni oni byli o przemycanie do Polski – via Czechosłowacja – stąd popularnie zwano ich „taternikami”, antysocjalistycznej literatury. Nie tylko zresztą. Na sędziowskim stole znalazła się napisana odręcznie

* Witold, nie Wiktor – Red.

przez Jerzego Giedroycia instrukcja, a w niej takie zalecenia jak:
„...Ustalić jaka jednostka wojskowa stacjonuje w G...” – lub –
„...Gdzie i jakie oddziały armii rosyjskiej znajdują się w Polsce...”.

Zagęszczając się atmosferę wokół paryskiej „Kultury” Juliusz Mieroszewski starał się tłumaczyć pokrętnie w miesięczniku:
„...Jako emigracja polityczna uważamy się za sojuszników USA
(...) Emigracja, aby mogła spełniać swoje zadanie, musi istnieć
– musi mieć środki i możliwości działania, wszyscy sojusznicy
Ameryki korzystają z takiej materialnej pomocy. Nie widzę
powodu, dla którego emigracja polska miałaby sobie takiej
pomocy odmawiać...”. Słowa te wywołały wrzenie w kołach
polskiej emigracji na Zachodzie, a kiedy fala emocji zaczęła
opadać, dysponenci – Amerykanie zachowali się znowu jak
przysłowiowy słoń w składzie porcelany.

Wspomniany już James Burnham napisał: „...”Kultura” –
co jest jednym z jej ”ubocznych produktów” – stała się
pierwszorzędnym ośrodkiem wywiadu amerykańskiego...”

Powiedziane twardo, ale przynajmniej szczerze!

Artykuł Jerzego Bronisławskiego (Kudasia)
„Trybiki” propagandy – paryska „Kultura”
opublikowanego w Sztandarze Młodych z 10-12 lutego 1984,
jako dziesiąty odcinek serii: „Mistrzowie kłamstwa”.

Ignacy Krasicki

Jak zadbał o losy Polski belgijski „Le Soir”?

[...] Na pytanie powyższe, przynajmniej częściowej odpowiedzi
udziela nazwisko, albo raczej pseudonim, autora cytowanej
publikacji. Brzmi ono Pol Mathil, albo jak głosi nie tylko w
Brukseli tak zwana tajemnica poliszynela, Leopold Unger. Ów, do
marca 1968 r. udający Polaka dziennikarz warszawski, od lat pieni
się na Zachodzie, gdzie wyemigrował z kraju, ślepą nienawiścią
do współczesnej Polski. Cóż złego wyrządził mu kraj, któremu
zawdzięcza wykształcenie, pozycję i zawodowe nazwisko? Tego nie
wiemy. Faktem jest jednak, że to właśnie Pol Mathil vel Leopold
Unger nie przebiera w środkach, by na łamach m.in. „Le Soir”,
nie mówiąc już o RWE czy paryskiej „Kulturze”, oczerniać swoją
byłą ojczyznę, kłaść rodzime gniazdo, a najczęściej przedstawiać
Polaków jako prymitywnych ciotków i politycznych analfabetów.

Próbkę tej ostatniej kwalifikacji naszego społeczeństwa dał
p. Pol Mathil w przytoczonym artykule z „Le Soir”, gdy
sugerował jakoby sami Polacy nie akceptowali powojennych granic
zachodnich swego państwa. [...]

Urywek z artykułu Ignacego Krasickiego
Jak zadbał o losy Polski belgijski „Le Soir”
opublikowanego w „Trybunie Ludu” nr 32 z 8 lutego 1983.

Wacław Szafrński

Szymona Wiesenthala dywersja przeciw ZSRR

[...] Gdy mowa na przykład o współpracujących z Ośrodkiem wiedeńskim z Włoch publicystach emigracyjnych raz jeszcze wspomnieć należy oczywiście o członku redakcji paryskiej „Kultury”, Herlingu-Grudzińskim (zamieszkałym od lat stale w Neapolu) oraz Włodzimierzu Sznarbachowskim z Turynu.

O ile pierwszy współdziałał z Ośrodkiem Dokumentacji fabrykując rzekomo przemycane z ZSRR oświadczenia „prześladowanych” pisarzy, artystów lub innych „opozycjonistów”, o tyle ten drugi jest wysokoopłacanym przez Wiesenthala „ekspertem” od ruchu społecznie postępowych katolików polskich zrzeszonych w Stowarzyszeniu PAX. [...]

Urywek z artykułu Wacława Szafrńskiego (Ignacego Krasickiego)
Szymona Wiesenthala dywersja przeciw ZSRR
opublikowanego w „Życiu Literackim” z 6 czerwca 1971.

Marcin Kowalski

Literaci i literatura w antysocjalistycznej opozycji

STAN WOJENNY, NOWY ETAP WALKI O RZĄD DUSZ

[...] Strategia postępowania Zarządu Głównego mieści się całkowicie w regułach programowych tworzonych przez paryską „Kulturę”. Utrzymać ZLP jako instytucję tzw. kultury niezależnej, zdolną do profilowania i aktualizowania ideologii sił antysocjalistycznych w Polsce Ludowej, a szczególnie w środowiskach twórczych lub doprowadzić do likwidacji ZLP, aby stworzyć możliwość wzmożenia ataków na politykę kulturalną PRL. Stabilizacja i normalizacja ma być jakby wizualnie utożsamiana z tłumieniem rozwoju kulturalnego, z „kneblowaniem wulkanu”, etatyzacją literatury. Dlatego też negocjatorzy z ramienia ZG ZLP okazali tyle twardości i hartu w niemodyfikowaniu jakiegokolwiek elementu własnego stanowiska.

Im organizacja literacka nie jest potrzebna, przez cały czas sprawowania władzy związkowej zajmowali się polityką, a nie działaniami na rzecz poprawy sytuacji socjalnej pisarza polskiego. Tym, którzy odezwaliby się ze słowami wyrzutu, opowiedzą o walce o wolność twórczą, o demokrację i wielu naiwnym to wystarczy. Tymczasem sami z żelazną logiką realizują płynące z eteru wezwania do niezłomności, a panie z Wolnej Europy – Krystyna Miłotwska i Alina Grabowska – podziwiają obronę tej ostatniej twierdzy wolności i swobód demokratycznych oraz udzielają duchowego wsparcia. Działa również mecenat zachodni – mógłby nam o tym opowiedzieć p. Andrzej Szczypiorski, dobrze

znający zasady jego funkcjonowania w Szwajcarii (przywiózł stamtąd niedawno 3500 dolarów, których wwóz zadeklarował), i mogliby o tym mówić panowie Juliusz Żuławski, Artur Międzyrzecki, Andrzej Szczypiorski, Jan Józef Szczepański, Władysław Bartoszewski i inni promineneci Klubu Polskiego PEN, którzy dobrze wiedzą, ile to funtów, guldenów holenderskich, marek zachodnich i koron szwedzkich wpłynęło na londyńskie konto Klubu. A może zechcieliby objaśnić ten fragment raportu Funduszu Opieki, referowanego 18 listopada 1982 r. przez jej przewodniczącego p. A. den Doolarda, który analizując sytuację pisarzy polskich mówił m.in. „...Jak zaznaczył Pan Michel Scamell istnieje realna szansa uwolnienia większości pisarzy, ale fakt ten nie oznacza koniecznie ich powrotu do zajęć wykonywanych przed więzieniem. Oto dowód, dla którego ciągle potrzebują oni pomocy. Pieniądze nie wystarczają. To czego potrzebują to towary, których nie można znaleźć w Polsce. Na szczęście znalazła się fundacja „Ariton” mająca siedzibę w Wiedniu, która kierowana jest przez filantropa i wspaniałego biznesmena w jednej osobie. ŻFirma ta otworzyła w Warszawie sklepy, w których można kupić wszystkie towary, których nie ma na polskim rynku (poza mydłem i mięsem, które są do nabycia). Fundacja Funduszu Opieki PEN przekazała na konto holenderskiej filii „Ariton” pieniądze, dzięki którym znajdujący się w potrzebie pisarze mogą w jej warszawskich sklepach nabywać najbardziej potrzebne im towary. Zaopatrywanie się w potrzebne towary odbywa się według listy pisarzy, dostarczanej przez przewodniczącego polskiego PEN, Juliusza Żuławskiego”.

Mniemać wszakże należy, iż to jest raczej prowokacja pana A. den Doolarda; pisarze polscy z opozycji demokratycznej są bowiem przede wszystkim bojownikami, namiestnikami uciemionego ludu, bojownikami o tożsamość narodową w duchu prawdy i sprawiedliwości, tropicielami nieprawości i prominenckich przywilejów. Czyżby ascetyczni nowocześni „dominicanes”, „psy Pana” jak mówili o sobie zakonnicy reguły św. Dominika, ścigający kacerzy i heretyków, oni tępiący nieprawości i niezasłużone przywileje zdradzili ideały równości i braterstwa, tracąc tożsamość z walczącymi o demokrację podczas odbierania darów dla uprzywilejowanych? Wierzyć się nie chce, ale duch wionie kędy chce.

TERAŹNIEJSZOŚĆ: „PO OWOCACH ICH – POZNACIE JE”

Tedy nie zmarnieje nam demokratyczna opozycja literacka dzięki elitarnym wyposażeniom, stypendiom i nagrodom, którym zapewne ze zdziwieniem patronują Herder i Lenau, widząc, że nie zawsze sumki okrągłe w ręce prawdziwych artystów pióra się dostają, a trafiają w kieszeń znakomitych komiwojażerów idei demokratyczno-opozycyjnej. Nie zmarnieje, choć zatrudniona zostanie w ciężkiej służbie: trzeba budować na gwałt ośrodki polskiej literatury na emigracji, bo – jak oświadcza Kazimierz Brandys, były piłsudczyk, były komunista, a obecnie człowiek demokratycznie niezależny jako stypendysta Departamentu Stanu oraz najemny pracownik wolnej wyższej uczelni amerykańskiej, gdzie uchodzi za cenionego sławistę – twórczość na emigracji jest przeznaczeniem polskiej literatury (w wywiadzie dla „Nowego Dziennika”, w Głosie Ameryki z dn. 29.I.1983 r.). Literatura – co prawda – powstała też w kraju, ale wielka i największa na wygnaniu, na Zachodzie. Stamtąd szła myśl ożywcza, także w złych latach pięćdziesiątych, kiedy to „Kulturę”, książki Miłosza i Herlinga-Grudzińskiego przemycano przez granicę, jak dzieła Mickiewicza i Słowackiego. Na tej myśli wychowała się młoda opozycja polska, ale czy chował się na niej również Kazimierz Brandys lub czy mu wystarczyły nauki pobierane w Filarecji oraz Legionie Młodych – o tym nie wspomina, a z lektury „Miasta niepokonanego”, „Obywateli” oraz referatów ustawiających Związek Literatów Polskich do działalności zgodnej z kanonem realizmu socjalistycznego, z myślą Żdanowa, żadna wiedza na temat działania „myśli ożywczej” czy to Miłosza czy Herlinga-Grudzińskiego nie wynika.

W każdym razie teraz – po kolejnej iluminacji, która dawnego Szawła w Pawła nowych prądów demokratycznych zmieniła – Kazimierz Brandys w pełni podziela koncepcję Giedroycia i jego zespołu, iż emigracja musi być odnowiona i stanowić „pomoc duchową i intelektualną” niezbędną dla kraju. W tym też celu autor „Ronda” krząta się wraz w Pomianami, Giedroyciami, Najderami, Chojeckimi, Miłoszami (tak to napiszmy, choć to lekceważenie idola i narodowej świętości szarganie), Kołakowskimi, Pomianowskimi i młodymi a zdolnymi uczniami Apostołów opozycji demokratycznej wokół uruchomienia i intelektualnego usprawnienia nowo założonych pism, jak

„Puls”, „Zapis”, „Zeszyty Literackie” oraz oficyn wydawniczych jak „Nowa”, Instytut Literacki „Kultura”, „Libella” czy „Pallotinum”. Wszakże idzie to jak z kamienia – dawna elita emigracyjna podlega nieuchronnej gerontyzacji, a nowe źródła nie biją wysoko talentami. Wielki conradysta i nieoczekiwane odkrycie (rzekomo) zachodnich służb specjalnych, Zdzisław Najder, bardzo w Wolnej Europie zajęty. Stanisław Barańczak w profesory poszedł na samym Harvardzie i terenu amerykańskiego pilnuje, uprawiając działalność antysocjalistyczną i antynarodową z poznańską pilnością i determinacją intelektualnego Bartka Zwycięzcy. Władysław Bartoszewski dwoi się i troi, wygłasza i odczytuje, udziela wywiadów i pisze artykuły, ale skala zadań przekracza siły nawet tak oddanego idei demokratycznej opozycji apostoła i rzecznika.

Z nadzieją spogląda się przeto na kraj i na tkwiące w nim rezerwy. Powstaje przeto Komitet Pomocy Niezależnej Kulturze w Kraju, sprawnie organizowany przez Czesława Miłosza i Wojciecha Karpińskiego, wyposażony w ponad sto tysięcy dolarów na honoraria autorskie dla pisarzy, którzy kontakty z emigracyjnymi centrami wydawniczymi zawrą i uzyskają pozytywną ocenę ekspertów dla opozycji demokratycznej, nie za darmo pracujących. W języku polityki nazywa się to wyprowadzeniem literatury polskiej na emigrację, kupczeniem nią i kulturalną dywersją, mającą na celu potwierdzenie niemożności wydawania w kraju, podważania zasady otwartości naszej polityki wydawniczej itd.

Teraz nikt nie bije na alarm i nie krzyczy o ratunek dla zagrożonej, cynicznie krajanej i przekupywanej literatury polskiej. O tym nie chce mówić Zarząd Główny i traktuje ten postulat władz jako obcy sobie i narzucony. Bo to jest fragment działań w ramach budowanego frontu odmowy, który Maciej Poleski w „Kulturze” nazywa „jednym z naszych największych sukcesów propagandowych”. Bo to jest pozytywna odpowiedź na apel skierowany przez zespół do spraw kultury podziemnej „Solidarności” ogłoszony przez Radio Wolna Europa w dniu 21 maja 1983 roku. Czytamy w nim: „...gdyby bojkot i protesty zakończyły się cichą kapitulacją, nawet na warunkach, które w tej chwili wydawałyby się korzystne, oznaczałoby to, że polscy twórcy kultury raz jeszcze przystępują do spółki z władzą, że w społeczeństwie podzielonym na wyzyskiwanych i wyzyskujących wybrali miejsce uprzywilejowane. Byłby to straszny przykład

dla innych, że opór jest daremny, że trzeba się poddać... Na twórców kultury patrzą robotnicy, patrzy młodzież. Ona na pewno będzie pamiętać, jakkolwiek się teraz sama zachowa. Jeśli naprawdę wrócimy na kolana, jeśli usadowimy się na powrót w przedpokojach władzy, może się zdarzyć, że rzucimy tym na kolana innych, odbierzemy im wolę oporu. Oddając własne twarze na użytek przemocy, wzmocnilibyśmy jej siłę w sposób trudny do przeprowadzenia. Nie wybaczone by nam tego nigdy. I sami sobie byśmy tego nie wybaczyli”.

Trwają więc demokratyczni opozycjoniści w oporze, budując szczelny front odmowy, ale z ciał raczej „jak kamienie rzuconych na szaniec”, a nie z rozważ, z zacieklej obstrukcji wszelkich zmian, nie z dzieł i arcydzieł. Bowiem nie chce się powtórzyć sytuacja z XIX wieku i nie rośnie nowy Mickiewicz, Słowacki, Krasiński czy Norwid w dzisiejszym Paryżu czy Nowym Jorku. Ledwie Czesława Miłosza na wieszczce szczyty wywyżgnięto i to z niejakim trudem, bo uczona i zimna ta poezja trudno masy zdobywa, laureata Nagrody Nobla traktuje się jak polską wiarę w Boga – wszyscy wierzą i ja wierzę, a francuscy i niemieccy pedanci niech sobie szukają filozoficznych racji. Także wielkie nadzieje Nowej Fali nie odżywają w słońcu wolności; gazetowo-publicystyczny jest Barańczak jako poeta, mało odkrywczy, a bardziej krzykliwy w nienawiści jest Adam Zagajewski, w mrocznych orgiach wyobraźni pogrąża się Ryszard Krynicki, płaski staje się Antoni Pawlak, choćby w poemacie o „Zagładzie miasta”, zmetaforyzowanym wykładzie wiedzy upowszechnianej dla małaolotów przez dr Michalinę Wiśtocką.

W kraju ani Lenartowicz ani nowy Syrokomla nie kwili, ani też wielkiej prozy jak po 1863 roku nie uświadczysz. Coraz trywialniejszy i coraz bardziej publicystyczny jest Tadeusz Konwicki („Wschody i zachody księżyca”), któremu nie do twarzy z obelgami i pomówieniami, lepszy był, kiedy nienawiść nie wyparła sarkazmu z kart jego prozy. Żałosny jest poziom prozy Kazimierza Orłosa, który Balzakiem podziemia na pewno nie zostanie. Gdzieś do „Czarnej róży” „Wielkiemu strachowi” Juliana Strykowski. W „Miesiącach” krajowo-emigracyjnego Kazimierza Brandysa tylko pochlebca widzi filozoficzne głębie w rejestrze małych zdarzeń i okrucich sytuacji ludzkich. Tendencyjny stał się w swej prozie Marian Brandys, może mniej rozwlekle nudny, ale za to znowu nieznosnie aktualizujący. Nie

czas już na rewelacje polityczne, a więc i Stefan Kisielewski raczej szuka szczęścia w politycznej publicystyce. Swoje „Księgi bez wyjścia” pisze Marek Nowakowski, osiągnawszy w „Raporcie o stanie wojennym” i innych opowiadaniach dno swych możliwości; nikt już spod tego dna nie puka i niczego w tej prozie nie dopowiada, a i odbić się od dna autor nie chce, bojąc się oddychać zatrutym powietrzem normalności.

Żle jest z literaturą demokratycznie opozycyjną, ciąży na niej „polityczny garb” – zauważa Andrzej Szczypiorski w „Zapisie” i trafnie zauważa, iż tzw. niezależny „ruch edytorski umożliwiał artykulację języka politycznego”, obrodziła nam beletrystyka polityczna, ale „literatura polska uprawiała socrealizm à rebours” – z czego „widzący jasno w (nie) zachwyceniu” Andrzej Szczypiorski się nie cieszy, a co niżej podpisany musi potwierdzić i zgodzić się z nadwiślańskim Demostenesem naszej krajowej opozycji.

Bowiem Andrzej Szczypiorski zadaje pytania zasadne: „Idzie o to, co w tych książkach jest naprawdę natchnione, co jest w nich sztuką, co jest w nich artyzmem, który zmierzy się z przyszłością... Czy ich trwałość pisarska okaże się nieaktualna, gdy się wyzwolimy z ciężarów lat siedemdziesiątych?”. Szczypiorski jest „pełen niepokoju o los większości tych książek” i ja ten niepokój podzielałam, bo wiem już i potrafiłbym udowodnić, iż w tym szeregu książek wydanych w kraju i za granicą nie ma rewelacji. Ciśnie je w dół aktualność, nazbyt wyraźna służba społeczna opozycyjnym mocodawcom ofiarowywana, unicestwia je nie tylko „rozpaczliwa kłótnia z dniem dzisiejszym”, zapis dokumentalny i „przebrzmiała groteska” (określenia Andrzeja Szczypiorskiego), ale również optyka widzenia spraw ludzkich i społecznych skrzywiona przez nienawistne emocje, gniew zaciemniający rozum, lepienie złością, skurcz gardła wywołany niemożnością przelania krwi politycznych przeciwników, bezsilnością proporcjonalną do pragnienia dławienia i niszczenia. Z tymi garbami pójdzie literatura demokratycznej opozycji w przyszłość, będzie ziarnem nienawiści, będzie ciężarem nie do udźwignięcia dla Konwickiego, Strykowski, Mrożka i wielu innych, których szkoda i będzie pożywką dla Orłosiów, dla Brandysa, który stylistycznie zonduluje nawet całkowitą łysinę, zwerbalizuje każdą pustkę, dla Barańczaka chorego od urazów i gniewu.

Socjalistyczna polityka kulturalna jest otwarta i ta „otwartość” nie jest – jak ironizuje Kazimierz Brandys – „witrynowa, spektakularna”. Jest potwierdzana faktami wydawniczymi, jeśli mieszczą się w granicach tego otwarcia, jeśli książka nie występuje przeciwko pryncypiom ustrojowym i politycznym kraju, w którym ma być czytana i jeśli posiada odpowiedni standard artystyczny; krajowy wydawca nie obniży progu wydawniczego dla Kazimierza Orłosa czy Marka Nowakowskiego (na aktualnym poziomie twórczości). Te szanse musi literatura uwikłana w przygodę z zachodnim mecenatem, z krajową i zagraniczną opozycją antysocjalistyczną, sama zrozumieć i przemyśleć.

Droga powrotu jest otwarta; dialog i porozumienie są możliwe po zracjonalizowaniu i samoocenie politycznych skutków działalności, którą opozycja uprawiała i uprawia. Ta samoocena musi prowadzić do zasadniczego przewartościowania stanowisk, do uznania pryncypiów socjalistycznej polityki kulturalnej.

Fragmety artykułu Marcina Kówałskiego (pseudonim)
Literaci i literatura w antysocjalistycznej opozycji
opublikowanego w „Trybunie Ludu” nr 153 z 30 czerwca 1983.

Jurij Wasilkow

Kto stoi za kulisami

Na Zachodzie rozwinęła się historyczna kampania propagandowa, którą wywołały zdecydowane działania polskiego rządu w obronie ludowej władzy. Przeróżne „stacje radiowe” wprost prowokują polskich robotników do niepodporządkowania się prawom stanu wojennego i starają się przedstawić sprawy w taki sposób jakby w PRL „zdeptano prawa obywatelskie i wolności związkowe”. Rzecz jasna pod określeniem „związki zawodowe” rozumie się nade wszystko „Solidarność”, chociaż kierujący nią ekstremistyczni liderzy już dawno odeszli od związkowych zasad, a z ich działalnością są właśnie związane najcięższe chwile przeżyte przez Polskę w ciągu ostatnich szesnastu miesięcy.

Ogólny bieg zdarzeń, pogłębienie i zaostrzenie kryzysu w PRL wskazuje, że działania antysocjalistycznych sił, które znalazły schronienie w związku zawodowym „Solidarność”, były kierowane i pobudzane przez antykomunistyczne ośrodki na Zachodzie.

Liczne nici antysocjalistycznej opozycji prowadzą w szczególności do Paryża, gdzie znajduje się jeden z polskich emigracyjnych ośrodków, który wyspecjalizował się w wywrotowej robocie przeciwko PRL i innym krajom wspólnoty socjalistycznej.

Polski emigracyjny ośrodek w Paryżu zasłania się szyldem pisma „Kultura”. Co to takiego?

Pismo powstało dawno – w kręgach polskich wojskowych o reakcyjnym nastawieniu, którzy po drugiej wojnie znaleźli się na Zachodzie i nie życzyli sobie powrócić do ojczyzny, żeby wziąć udział w budowie nowego życia. To byli nade wszystko ludzie, którzy mieli nadzieję na wskrzeszenie w Polsce porządków

burżuazyjnych i w imię tego dążyli do zachowania na emigracji pod swoją kontrolą i wpływami możliwie jak najliczniejsze siły zbrojne. Z pieniędzy środków „Polskiego Drugiego Korpusu” w początku 1946 roku w Rzymie został utworzony Instytut Literacki (Casa Editrice Letteri). Ten to dom wydawniczy otrzymał własną drukarnię „Oggi” i z początku zamierzał wydawać literaturę dla podtrzymywania moralnego ducha emigrantów. Ale już w lipcu 1947 ukazał się pierwszy numer periodycznego pisma „Kultura”. Niedługo potem Instytut Literacki przeniósł się do Francji i rozlokował w Maisons Laffitte pod Paryżem. Formalnie nie zarejestrowany do 1961 roku, pierwsze kilka lat ograniczał się do wydawania miesięcznika.

W 1948 roku przy paryskiej „Kulturze” utworzono Ośrodek Badania Polski. W jego ramach powstało olbrzymie archiwum, biblioteka i Biuro Dokumentacji Polskiej Emigracji.

Trzeba powiedzieć, że Ośrodek Badania Polski prowadzi prace w stylu zwykłej wywiadowczej instytucji. Oto jeden rys tego. W Paryżu znajdują się dwa sklepy „Kultury”, które handlują przede wszystkim antysowiecką i antysocjalistyczną literaturą, w tej liczbie i rosyjskojęzyczną. Sprzedawca zakłada dla każdego kupującego specjalne dossier. Pierwsze dane są zapisywane zgodnie ze słowami klienta, a następnie jeżeli wzbudza on zainteresowanie kierownictwa ośrodka, dokonuje się uzupełnień. Szczególną uwagą obdarza się odwiedzających z Polski. Wypytyują o życie w ojczyźnie, interesują się kręgiem znajomych. Połyskane nazwiska a zdarza się – i adresy, są wprowadzane do kartoteki. Od czasu do czasu na te adresy są skierowane niewielkie przesyłki – powiedzmy rzadkie książki z danej specjalności. Jak to się mówi, nie tyle ważny jest podarek, co ważne zainteresowanie. W taki sposób zdobywano autorytet wśród określonej części inteligencji, którą „Kultura” miała ogarnąć swoim wpływem.

W wielu zachodnich krajach są organizowane kółka przyjaciół „Kultury”. Główną formą ich działalności – organizacja wykładów i dyskusji o sytuacji w Polsce. Pod jakim kątem widzenia prowadzone są w tych kółkach rozmowy, można zrozumieć po przekartkowaniu zsyłek pisma. Od pierwszych numerów wzięło ono ostro antysowiecki kurs, skierowany na podkopanie ludowej władzy w Polsce. I nie tylko w Polsce. „Kultura” próbowała zorganizować wydanie oddzielnych numerów po rosyjsku, czesku, słowacku i w innych językach.

Od pierwszych dni Instytutu Literackiego na jego czele stanął teraźniejszy jego szef J. Giedroyc, który przed wojną był jednym z kierowniczych działaczy sanacyjnej organizacji „Liga Mocarstwowa”, a potem służył jako oficer 2 Korpusu. Trzeba powiedzieć, że w początkach był on bardzo ograniczony w środkach. Ale tylko do całkiem określonego momentu.

W latach 1952-53 wyszło w świat pięć specjalnych numerów „Kultury”, które zawierały wybitnie tendencyjny przegląd sytuacji w Polsce. W tym też okresie zaczęła wychodzić Biblioteka „Kultury”, która gromadziła pod swoimi okładkami złożliwe oszczerstwa nie tylko na ludową Polskę, ale i na inne socjalistyczne kraje. Jak wiadomo nie przypadkowo. Na „Kulturę” posypał się rzeczywiście złoty deszcz. Solidna finansowa pomoc zaczęła przychodzić z amerykańskich źródeł: Komitetu Wolnej Europy, Kongresu Wolności Kultury, fundacji Forda i Rockefellera. Tutaj wypada przypomnieć, że Kongres Wolności Kultury powstał w 1950 i miał za zadanie „odłączać od socjalizmu” inteligencję w krajach socjalistycznych. Jak oznajmiła potem prasa amerykańska, tę organizację subsydiowała CIA. Od tej pory Giedroyc stał się prawdziwym worem pieniędzy dla tych, którzy aktywnie uczestniczyli w działalności opozycyjnej wobec władzy ludowej w Polsce. Dla zatajenia swoich więzi z CIA pismo drukuje na swoich stronicach nazwiska „dobrowolnych ofiarodawców”, co jednak z ledwością maskuje rzeczywistą sytuację.

Wysoko oceniają działalność „Kultury”, oddaloną od czysto oświatowej, ci, którym ona służy wiernie. I tak teoretyk antykomunizmu z USA J. Burnham pisał: „„Kultura” zrobiła więcej od agentur, którym przydziela się miliony dolarów... „Kultura” stała się pierwszorzędnym ośrodkiem wywiadowczym.”

Specjalne pożądanie „Kultury” wywoływała radiostacja Wolna Europa – monachijska filia CIA. Do jej mikrofonów zawsze starała się trafić. I osiągnęła sukces. Toteż w taki to sposób aktywny autor „Kultury” J. Nowak długi czas kierował polską sekcją tej rozgłośni, a obecnie jest członkiem komisji programowej Wolnej Europy.

Do liczby filantropów zza oceanu podłączyły się określone kręgi „życzliwych” z RFN. Na przykład niedawno Giedroyc odbył nielegalną podróż do Berlina Zachodniego, gdzie spotkał się z dość znanym A. Springerem. Po tym spotkaniu springerowska „Welt am Sonntag” zwróciła się do wpływowych kręgów RFN

z wezwaniem do „okazania Polsce pomocy kredytowej w zamian za polskie ziemie zachodnie”. Jak wiadomo w skład doktryny politycznej „Kultury” wobec zagranicy wchodzi też ścisły związek z zachodnioniemieckimi rewanżystami.

Jednym z celów podróży Giedroycia było otwarcie w RFN rachunku bankowego dla zbiórki składek na potrzeby „Kultury”. Nie bez jego uczestnictwa podobna operacja była przeprowadzona rok temu w innych krajach, na przykład w Australii. Na takiej drodze paryska „Kultura” usiłuje udowodnić, że z jednej strony jest ona tylko „moralnie” związana z destrukcyjnymi siłami wewnątrz Polski, a z drugiej – że materialna pomoc wrogom Polski Ludowej idzie, można powiedzieć, spontanicznie z różnych kierunków. Ale jeśli nawet otwarciem bankowych rachunków w różnych punktach kapitalistycznego świata można jakoś „zagmatwać ślady” to najściślejśza ideowa i organizacyjna więź „Kultury” z najbardziej złowrogimi kontrrewolucyjnymi siłami w Polsce, jak to się mówi, ma miejsce.

Tak to w paryskim ośrodku, dokładnie, detalicznie wypracowano całą strategię i taktykę „pełzającej kontrrewolucji” w Polsce Ludowej. „Kultura” ukierunkowała swoich stronników na urobienie inteligencji, robotników partyjnego i państwowego aparatu. W ramach tego celu mieściło się także podtrzymywanie ludzi, którzy skompromitowali siebie w kraju, po to żeby utworzyć dający nadzieję aktyw, pokłócony i rozszluszczony na organy władzy.

Z biegiem czasu, szczególnie po zdarzeniach 1968 i 1970 w Polsce, „Kultura” dążyła do rozszerzenia kręgu swego oddziaływania, a istotną uwagę skierowała na związki zawodowe, na robotników i pracowników umysłowych przedsiębiorstw przemysłowych. Świadomy, że frontalny atak przeciw realnemu socjalizmowi nie przyniesie sukcesu, paryski ośrodek zrozumiał, że dla osiągnięcia kontrrewolucyjnych celów niezbędne są cierpliwość i stopniowe realizowanie zamiarów. Dobrze mogą się temu przysłużyć, uczy „Kultura”, „stare tradycje różnych polskich społecznych formacji, źródła których wciąż jeszcze nie wyszły w kraju”.

I właśnie dlatego „Kultura” aktywnie opracowuje koncepcję światopoglądowego pluralizmu, który jest jakoby specyficznie nieokreśloną cechą polskiego życia politycznego. Stąd też paryski ośrodek z gotowością pochwycił zainicjowaną przez administrację Cartera prowokacyjną kampanię „w obronie praw

człowieka". „Kultura” stała się jednym z najważniejszych moralnych i finansowych mecenasów nielegalnej Konfederacji Polski Niepodległej, której działalność wyróżniała się patologicznym antysocjalistycznym i antysowieckim ukierunkowaniem.

W „Kulturze” zostały zdefiniowane także i takie detale politycznej działalności jak „rozpisana w szczegółach aktywność”. Tym szeroko manipulowali liderzy „Solidarności”, którzy określali stan liczbowy tej organizacji na podstawie powierzchownego badania. I nie było przypadkiem, że na tak zwanym „zjeździe” w Gdańsku został zatuszowany problem legitymacji członkowskich – wydanie ich mogłoby otwarcie pogorszyć statystykę, podkreślając demagogiczne pretensje do wyrażania „całego narodu”.

Właśnie na stronicach „Kultury” Kuroń sformułował koncepcję zlikwidowania władzy ludowej na drodze jej „rozpuszczenia w rozlicznych społecznych ruchach i ich instytucjach”.

Od pierwszych dni powstania „Solidarności” paryska „Kultura” była zaniepokojona tym, żeby kontrrewolucjoniści nie odkryli przed czasem swojej prawdziwej antyludowej istoty. W listopadowym numerze z 1980 roku napisano, że: „KSS – KOR w istotnym stopniu zaczyna obciążać nowe związki zawodowe swoją określoną linią polityczną i w gruncie rzeczy daje PZPR pretekst do walki ze związkami jako działającymi pod egidą KSS – KOR. Należy na jakiś czas umocnić się na osiągniętych pozycjach.”

Przez wszystkie miesiące po sierpniu 1980 roku „Kultura” nieustannie, z numeru na numer propaguje strategię i taktykę antysocjalistycznych sił w „Solidarności”, daje konkretne rady i rekomendacje, skierowane na niezbędne przejście na drodze kontrrewolucji władzy w kraju. Bliskie więzy liderów KSS – KOR i „Solidarności” z ośrodkiem polskiej reakcyjnej emigracji dostatecznie wymownie obniża ich cele: restaurację kapitalistycznej Polski, oderwanie jej od socjalistycznego związku, włączenie w orbitę światowego imperializmu.

Z całkowitą jasnością o swoich planach obalenia władzy socjalistycznej, okopani w „Solidarności” reakcyjni działacze, ogłosili na odbytych w pierwszych dniach grudnia 1981 zebraniach w Radomiu i Gdańsku. Przyszedł wreszcie czas, kiedy to knowaniom zaprzysięgłych wrogów socjalizmu niezbędne było dać zdecydowany i nieugięty odpór.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w PRL ze skrytek i archiwów „Solidarności” wydobyto nowe dokumenty o liderach tak nazwanej

„związkowej organizacji”, pod przykrywką której konsekwentnie prowadzono polityczną działalność ukierunkowaną na zmianę ustroju państwowego. Odkryte zostały częściowo i głębokie związki z zachodnimi ośrodkami wywrotowymi. I tak były rzecznik prasowy warszawskiej „Solidarności”, czyli członek Ogólnopolskiej Komisji Porozumiewawczej, matematyk warszawskiego uniwersytetu J. Onyszkiewicz już ponad piętnaście lat zajmuje się antysocjalistyczną działalnością. Współautor licznych artykułów opublikowanych na łamach paryskiej „Kultury”, w swoich kontaktach z polskimi i zagranicznymi dziennikarzami propagował linię zdobycia władzy w państwie. Po zjeździe „Solidarności” Onyszkiewicz stał się aktywnym stronnikiem antykomunistycznej organizacji Klubu Samorządnej Rzeczypospolitej. Przechodził szkołę kontrrewolucyjną jeden z podstawowych doradców „Solidarności” B. Geremek. Podtrzymywał stałe kontakty z polską reakcyjną emigracją inny „doradca” – J. Lityński. Stałe współpracuje z paryską „Kulturą” i ekspert „Solidarności”, były działacz Armii Krajowej W. Siła-Nowicki. Jeszcze w 1947 był on skazany za czyny bandyckie przeciw władzy ludowej i organizowanie rozpraw z komunistami, na karę śmierci, którą potem zamieniono na więzienie.

Kroki, podjęte przez polski rząd dla przerwania w kraju antysocjalistycznej działalności, wywołały atak dzikiej złości w szeregach reakcyjnej polskiej emigracji. Docierają oświadczenia o najrozmaitszych „manifestacjach protestu”, które były organizowane w szczególności w Paryżu. Ale nikt nie może zakwestionować prawa narodu do obrony swoich socjalistycznych zdobyczy w obliczu kontrrewolucyjnego zagrożenia.

Przedruk artykułu Jurija Wasilkowa *Kto stoi za kulisami* opublikowanego w sowieckim dzienniku związków zawodowych „Trud” z 27 grudnia 1981.

MAREK ZIELIŃSKI

NOTA EDYTORSKA

W zamiarze antologia miała pokazać wielorakość ataków na środowisko Instytutu Literackiego, sposób formułowania podstawowych oskarżeń, które powtarzały się bez zmian w ciągu lat, a także przypomnieć te osoby i koła polityczne, z jakich padały najczęściej obelgi, kłamstwa, dezawuowanie dorobku *Kultury*. Wbrew potocznym mniemaniom uczestniczyli w walce z Giedroyciem nie tylko partyjni funkcjonariusze. Na łanach starych gazet można odnaleźć również niektórych emigrantów, także i poważne postacie. I tak Klaudiusz Hrabyk okazał się autorem wydanej pod pseudonimem Tadeusza Mateji w Malmö broszury: „Podwójne życie Jerzego Giedroycia” (informację zawdzięczam kwerendzie Jacka Krawczyka). Najczęściej przeważali jednak propagandyści typu Witolda Fillera, Edwarda Modzelewskiego, Janusza Kolczyńskiego i inni. Dokładnie o nich pisze w swoim wstępie Leopold Unger. Na większość z tych nazwisk warto dzisiaj spuścić zasłonę miłosierdzia i zapomnienia, chociaż niektórzy w najlepsze funkcjonują również i w ramach obecnej rzeczywistości polskiej, bliżsi jednak właściwym swoim od lat zainteresowaniom, chociażby pornografii... Dopiero teraz po latach jest widoczne, że poprzednie polityczne akcesy były w ich przypadku zaledwie kamuflażem dla pasji erotycznych bądź finansowych. Mniejsza jednak o to.

Ciekawsze jest co innego. Postaci redaktora *Kultury* poświęcały sporo uwagi ośrodki PRLowskiego wywiadu. Świadectwem jest szkic pułkownika (potem awansowanego do stopnia generalskiego)

Krzysztofa Majchrowskiego czy książka znanego agenta, między innymi infiltrującego oddział „Ognia”, Jerzego Bronisławskiego – Kudasia. Ten ostatni był autorem licznych opracowań, o niewielkim znaczeniu literackim, obficie jednak korzystających z archiwum MSW, którego to ministerstwa Kudaś był rzecznikiem prasowym.

Najczęściej, co mogą bez trudności stwierdzić czytelnicy wyboru, artykuły, fragmenty książek czy specjalne opracowania o Instytucie Literackim charakteryzowały się niskim poziomem merytorycznym, słabą znajomością faktów, powierzchownym kontaktem z publikacjami *Kultury*. Na tym tle lepiej wypadają rezultaty pracy instytucji naukowych (para-naukowych), których zadaniem było zwalczanie emigracji. Stronnicze w komentarzach, aroganckie w stawianych zarzutach, są przynajmniej wolne od rażących pomyłek w datach, wydarzeniach z życia założyciela Instytutu. Dobrze i to. Kuriozalnie na tym tle wyglądają teksty opublikowane poza granicami Polski, nade wszystko w prasie sowieckiej. Klasą dla siebie jest dziennikarz *Krokodila* Aleksiej Gołub, którego tekst może stanowić dobry materiał dla psychoanalityka ze szkoły freudowskiej. Tyle w nim przeinaczeń, świadomych pomyłek, które w niewielkim stopniu dotyczą Giedroycia i jego pracy, a w dużo większym są odzwierciedleniem wywiadowczo-szpiegowskiej mentalności dziennikarza sowieckiego. Wychowany na wzorach dobrych czekistów w podobny sposób widzi cały świat i nie może zrozumieć, że daje się pracować inaczej i że Instytut Literacki nie jest zakamuflowaną agendą BND bądź CIA... Wybrane teksty do antologii „Anty-Kultura” zostały podzielone ze względu na tematyczne związki, jakie je łączą ze sobą. Częściowym uzasadnieniem dla takiego podziału były zagadnienia, które poruszali poszczególni autorzy. Bronisławskiego, Hrubyka-Mateję i Przypkowskiego ciekawiła sama postać Giedroycia i tajemnica jego życia. A swoją drogą wyraźny to i ważny hołd złożony postaci redaktora *Kultury*, podobnie jak wszystkie te teksty są rodzajem mimowolnego podziwu dla dorobku Instytutu Literackiego. Adama Hempla (bohatera niedawnego skandalu policyjnego, gdy powołany przez ministra Kozłowskiego do kierowania policją stołeczną, okazał się jednym z organizatorów grup prowokatorów wobec „Solidarności” – widać z tego, że Krzysztof Kozłowski nie czytał zamieszczonych w „Perspektywach” artykułów Hempla), Szyszkowskiego

i Komorowskiego interesował wpływ Giedroycia na kraj. Fillera i Kolczyńskiego łudziła nadzieja na przyporządkowanie *Kultury* tezmom gomułkowskiej propagandy o dywersji i kontrrewolucji z zewnątrz. Inni skupiali uwagę na stosunku Giedroycia do PRLu, partii komunistycznej, i za wszelką cenę starali się przekonać polskiego czytelnika o zmierzchu Instytutu Literackiego. Życzyli śmierci i upadku, co na szczęście nie stało się do dzisiaj. Giedroyc i w tym przypadku nie dał za wygraną i przetrwał wrogów.

„Anty-Kultura” jest wydana w nowej sytuacji politycznej. Polska uwolniła się od bezpośredniej zależności od Związku Sowieckiego. To dużo. Nadal jednak za mało, jak na ambicje Redaktora i jego zespołu z Maisons Laffitte. Toteż nie można wykluczyć, że za kilka lat, życie i nowi autorzy dopiszą następne odcinki skierowanej przeciw „Kulturze” książki. Niezależność postawy politycznej, nonkonformizm i etyczna nieugiętość mało ważą na polskiej scenie. I nie tyle powiększają szeregi przyjaciół, ile animują wrogów. O innych nazwiskach od tych, jakie zostały zamieszczone w książce, ale równie mocno ogarniętych pasją niszczenia wolności. Ten skromny wybór mocno wyrwykowy i bardzo daleki od kompletności, ma na celu, przynajmniej w zamiarach edytora, przybliżyć przeszłość i niełatwe borykanie się Instytutu Literackiego o prawo Polski do suwerenności i demokracji. Na tej drodze było więcej cierni niż laurów. Zapewne bez *Kultury*, w miejsce tego ułomnego, ale i dającego nadzieję kształtu polskiego państwa, wciąż mielibyśmy do czynienia z projektem wyrysowanym dla Polaków przez zwierzchników Fillera, Kudasia-Bronisławskiego, Kolczyńskiego, Hempla, Hrubyka i innych. Nie przypominał on Polski. O tym zamieszczone w tym wyborze teksty przekonują aż nadto wyraźnie. Ich autorzy, walcząc z *Kulturą*, tym samym niszczyli polskie życie i polską nadzieję.

Marek ZIELIŃSKI

S P I S R Z E C Z Y

DEKALOG ANTYKULTURY – LEOPOLD UNGER..... 7

I. WYOBCOWANIE

Spotkanie z Księciem – Jerzy Bronisławski	21
Podwójne życie Jerzego Giedroycia – Tadeusz Mateja	25
Arena – Andrzej Przypkowski	48
Cztery oblicza agenta X – Aleksiej Gołub	77

II. EMISARIUSZE

Rozpracowanie – W. Komorowski i H. Szyszkowski	85
Za kulisami działalności Jerzego Giedroycia – Adam Hempel	102

III. TEORIA I PRAKTYKA

Teorie i praktyki paryskiej „Kultury” – Witold Filler	113
Import kontrrewolucji – Edward Modzelewski	134
Dywersja – Janusz Kolczyński	160
Inspiracja	172
Antypolskość – Julian Wilczyński	185

IV. ZMIERZCH BOGÓW

Zmierzch bogów – Krzysztof Majchrowski	199
Niech będzie potop – Krzysztof Majchrowski	206

V. PARTIA

„Kultura” (Paryż) – Edward Rusek	213
Aktualne zagadnienia walki klasowej	223
Kierunki i treści – Adam Koseski	225
Ośrodek „Kultury” – Ewa Rokicka	227

VI: PRL

Paryska „Kultura” – Adam Batorowicz	231
Paryska Kultura rozszerza swoje usługi – Aleksander Lam ..	237
„Trybiki” propagandy - paryska „Kultura” – Jerzy Bronisławski	240
Jak zadbał o losy Polski belgijski „Le Soir?” – Ignacy Krasicki	245
Szymona Wiesenthala dywersja przeciw ZSRR – Wacław Szafrński	246
Literaci i literatura w antysocjalistycznej opozycji – Marcin Kowalski	247
Kto stoi za kulisami – Jurij Wasilkow	254

NOTA EDYTORSKA – MAREK ZIELIŃSKI	261
--	-----

Pomysł „Anty-Kultury” wylansowany został bardzo dawno temu. Pojawił się w roku 1986 na łamach... *Kultury*. Figuruje w pierwszych wierszach felietonu o „Agentach i gadach w pokoiku ze sklepikiem w Maisons Laffitte”, inspirowanego przez wyjątkowo groteskową brednię, jaką był cykl artykułów sowieckiego *Krokodyla* na temat *Kultury* i Jerzego Giedroycia (fragmenty tekstu są przytoczone wewnątrz książki).

To jednak, że Jerzy Giedroyc dał się skusić na „Anty-Kulturę” nie w roku 1986, a pięć lat później, to nie kaprys ani przypadek. Odpowiada to logice sytuacji.

Ze wstępu Leopolda Ungera